

18863

Bogumił Hetnarski



Ze Stopnicy do Itaki

Pamiętniki chemika





130 PA

Bogumił Hetnarski

Ze Stopnicy do Itaki

Pamiętnik chemika

Krosno 2009 r.



18863

Wydawca:
Oficyna Wydawnicza „Apla”
38-400 Krosno, ul. Kościuszki 49,
tel./fax. (013) 43 660 49
www.apla.otwarte24.pl

Copyright:
Bogumił Hetnarski

Wydanie I

ISBN 83-7450-067-0

Tekst:
Bogumił Hetnarski

Zdjęcia:
Archiwum autora

Skład, lamanie:
Ewa Rokosz

2409D/037-01

Wzrost

Wzrost człowieka jest procesem ciągłym, który trwa do końca życia. Wzrost jest procesem biologicznym, który polega na zwiększaniu się wielkości ciała człowieka. Wzrost jest procesem, który trwa do końca życia. Wzrost jest procesem, który trwa do końca życia.

Wzrost człowieka jest procesem ciągłym, który trwa do końca życia. Wzrost jest procesem biologicznym, który polega na zwiększaniu się wielkości ciała człowieka. Wzrost jest procesem, który trwa do końca życia. Wzrost jest procesem, który trwa do końca życia.

Wzrost człowieka jest procesem ciągłym, który trwa do końca życia. Wzrost jest procesem biologicznym, który polega na zwiększaniu się wielkości ciała człowieka. Wzrost jest procesem, który trwa do końca życia. Wzrost jest procesem, który trwa do końca życia.

Pamięci moich rodziców poświęcam

Wzrost człowieka jest procesem ciągłym, który trwa do końca życia. Wzrost jest procesem biologicznym, który polega na zwiększaniu się wielkości ciała człowieka. Wzrost jest procesem, który trwa do końca życia. Wzrost jest procesem, który trwa do końca życia.

Wstęp

Pierwszą część moich pamiętników podzieliłem na dwa okresy. Okres wstępny obejmuje rozdziały 1- 4 i ściśle wiąże się ze Stopnicą, małym miasteczkiem oddalonym o 67 km na południowy wschód od Kielc, w którym mój ojciec sprawował funkcję sędziego grodzkiego, a matka była lekarzem dentystą.

Tam urodziłem się 10 czerwca 1924 roku, otrzymałem podstawowe wykształcenie w tamtejszej szkole powszechnej, następnie w czasie wojny skończyłem szkołę średnią na tajnych kompletach i zostałem gruntownie przygotowany do studiów uniwersyteckich. Historia ta kończy się nieoczekiwanym i tragicznym wydarzeniem - zniszczeniem Stopnicy w latach 40.

Drugi okres pierwszej części moich wspomnień zawiera pozostałe rozdziały, od 5 do 10. charakteryzuje się tym, że w przeciwieństwie do pierwszego, Stopnica przestała być areną mojego życia. Nigdy więcej już tam nie mieszkalem. Bywałem przejazdem, ale nie zatrzymywałem się na dłuższy pobyt. Moi rodzice przenieśli się do Buska-Zdroju, odległego od Stopnicy o 17 km. Mój ojciec był tam rejentem, a matka zorganizowała sobie gabinet dentystyczny. Ja przebywałem w „świecie”, byłem na studiach, początkowo w Łodzi, następnie w Gdańsku. Do rodziców przyjeżdżałem jedynie na krótkie odwiedziny, w czasie przerw związanych ze Świętami Bożego Narodzenia, Wielkanocnymi oraz letnimi wakacjami.

W 1951 r. ukończyłem studia na wydziale chemicznym Politechniki Gdańskiej i pracowałem w instytutach naukowo-badawczych na Żoliborzu w Warszawie. Jako karierę zawodową obrałem drogę naukową i celem zademonstrowania mojej operatywności jako pracownik naukowy wyliczam wszystkie szczeble, przez które przeszedłem. Po kilku latach pracy w żoliborskich instytutach chemicznych przenieśliśmy się do Zakładu Syntezy Organicznej PAN, mieszczącego się na terenie wydziału chemicznego Politechniki Warszawskiej, stanowiącego załóżek przyszłego Instytutu Chemii Organicznej PAN. Cztery lata później (1960 r.) obroniłem moją dysertację doktorską na wymienionym wydziale. Po następnych dwóch latach wyjechałem jako stypendysta PAN do Akademii Nauk Związku Radzieckiego

w Moskwie. Po dwuletnim pobycie w tamtejszym Instytucie Elementoorganicznych Związków wróciłem do Polski. Wkrótce habilitowałem się na Politechnice Warszawskiej i zostałem mianowany docentem w Instytucie Chemii Organicznej PAN w Warszawie. Po upływie roku (w 1967 r.) zostałem odznaczony naukową nagrodą PAN za osiągnięcia w dziedzinie chemii organicznej, a w 1969 r. wyemigrowałem wraz z rodziną do USA. Dalsza historia dotycząca mojej rodziny i mnie miała miejsce po drugiej stronie Atlantyku i stanowi przedmiot następnej części moich pamiętników.

Zwracam uwagę Czytelnika na fakt, że pierwsze 20 lat mojego życia, ściśle związane z wydarzeniami zachodzącymi w moim rodzinnym miasteczku, były dziwnym zrządzeniem losu ostatnimi w jego tysiącletniej historii, gdyż Stopnica święciła tysiąclecie istnienia w XX w.

Jej zniszczenie nastąpiło w wyniku dwóch dramatycznych wydarzeń. Pierwsze miało miejsce w 1942 r. i stanowiło zdziesiątkowanie ludności Stopnicy; dwie trzecie jej mieszkańców zostało zniszczonych w wyniku eksterminacji Żydów. Drugie nastąpiło dwa lata później i polegało na spaleniu i kompletnej dewastacji miasteczka w wyniku walk radziecko-niemieckich; ani jeden dom w sześciotysięcznym mieście nie został zniszczony. Dwie okazały świątynie, czternastowieczny kościół farny i siedemnastowieczny kościół klasztorny znalazły się w gruzach. Co się tyczy losów ludności, to ocalała około jedna trzecia jej byłych mieszkańców, stanowiąca grupę pogorzalców.

W związku ze skojarzeniem się mojego dzieciństwa i wczesnej młodości z losami Stopnicy oraz z faktem, że spędziłem w niej podstawowe, formujące osobowość lata mojego życia, zajął się o końcowy okres jej tysiącletniego istnienia, uważam za właściwe poprzedzić moje pamiętniki prologiem, pozbawionym zbędnych szczegółów i stanowiącym jej lapidarny, niemal ażurowy, kalejdoskop dziejowy.



Z dziejów Stopnicy

Geneza Stopnicy niknie w pomroce dziejów. Na podstawie archeologicznych badań okolic Stopnicy i jej topograficznego położenia charakteryzującego się naturalną obronnością, można wyciągnąć wnioski na temat jej prehistorycznej przeszłości. Prawdopodobnie w X w. na terenie obecnej Stopnicy istniał dwór książęcy otoczony podgrodzem. Co się tyczy ośrodka religijnego to Aleksandra Salomon, autorka „Rysu historycznego dziejów Stopnicy” (7) twierdzi, że parafia istniała w Stopnicy ponad 900 lat. Fakt, że w Szklanowie, wsi odległej od Stopnicy o 3 km istniał kościół w X w., uprawdopodobnia twierdzenie o około tysiącletniej egzystencji parafii stopnickiej. Szklanowską świątynię pod wezwaniem św. Zofii wzniesiono prawdopodobnie dla obrządku wschodniego, ponieważ św. Zofię rzadko obierano za patronkę kościołów obrządku łacińskiego. Bliskość tych miejscowości może sugerować, że Stopnica w tamtym czasie była również siedzibą chrześcijańskiego kościoła.

Pierwsza historyczna wzmianka na temat Stopnicy pochodzi z kroniki Jana Długosza, który podaje w „Rocznikach”, że w 1103 r. proboszcz stopnicki Baldwin został mianowany biskupem krakowskim. Świadczy to o istnieniu wówczas w Stopnicy, ustabilizowanej i rozwiniętej parafii, a o Baldwinie, który nota bene, był francuskiego pochodzenia, że stanowił przykład niepośledniego włodarza i krasomówcy, zwracającego na siebie



*Panorama Stopnicy,
odbudowanej po wojnie Fot. R. Kopiński*

uwagę kół kościelnych i politycznych w Krakowie. Poza tym był uważany za biegłego w prawie kanonicznym oraz pełnił funkcję poborcy świętopie-trza. Znaczenie stopnickiej parafii niewątpliwie utrwaliło się, ponieważ w 30 lat później inny duchowny, stopniczanin Mateusz Cholewa, dostał podobnego zaszczytu jak Baldwin.

Z urzędowania w Stopnicy Bolesława Wstydliwego, księcia sandomiersko-krakowskiego, w drugiej połowie XIII wieku można wnosić, że znajdował się w niej jego dwór oraz, że osada była jego własnością. Wydał stąd przywilej dla opactwa cystersów w Wąchocku.

Król Władysław Łokietek, który bywał w regionie Gór Świętokrzy-skich zatrzymując się na zamku w Chęcinach, zbudował w Stopnicy w roku 1326 kaplicę pod wezwaniem św. Anny.

To wszystko było niejako wstępem do działalności prawdziwego dobroczyńcy Stopnicy, króla Kazimierza Wielkiego. W latach 1347-1362 zbudował w niej obronny zamek, gotycki kościół pod wezwaniem św. św. Piotra i Pawła oraz szpital dla ubogich. Kościół był jednym z sześciu, ufundowanych przez króla jako pokuta za utopienie księdza Marcina Baryczki, strofującego monarchę za niewłaściwy tryb życia.



Herb Stopnicy. Na błękitnym polu gotyckiej tarczy klucz piotrowy ustawiony w słup z zębem u góry po lewej stronie

Król Kazimierz nabrał predylekcji do Stopnicy, czy to ze względu na malowniczość jej położenia, czy też być może w zamku stopnickim miał szczególnie urocze i bliskie sercu konkubiny, bo słabość monarchy do płci nadobnej nie jest tajemnicą. Prawdopodobnie z okresu jego działalności budowlanej pochodzi pieczęć Stopnicy z piotrowym kluczem, który wyrytowany na niebieskim tle stał się jej herbem. Równie istotnym jak aktywność budowlana króla Kazimierza Wielkiego była jego szczodrość administracyjna. W 1362 r. dokonał lokacji Stopnicy na prawie średzkim. Nasza osada po raz pierwszy w tym przywileju została nazwana miastem. Wydarzenia te usytuowały ją na nowej płaszczyźnie ograniczonego samorządu. Stopnica za panowania tego monarchy liczyła 870 mieszkańców.

W okresie Jagiellonów (XV i XVI w.) miała przywilej na cotygodniowe targi, 3 jarmarki rocznie oraz na wyrób i wyszynk trunków. Kwitło rzemiosło, które zrzeszał jeden cech zatwierdzony przez Zygmunta I Sta-

rego w 1548 r. Trzydzieści lat później w Stopnicy istniały 64 mistrzowskie warsztaty.

W 1571 r. na religijnym firmamencie Stopnicy ukazało się nowe ciało niebieskie, którym był zbor kalwiński, założony przez Marcina Zborowskiego, starostę stopnickiego. Podporą nowej organizacji religijnej był Franciszek Stankar, były profesor języka hebrajskiego na Uniwersytecie Krakowskim.

Istotnym wydarzeniem o znaczeniu gospodarczym było przybycie Żydów do Stopnicy w XVI wieku. Przybysze ci mogli pomóc w rozwoju tego, czego najbardziej brakowało Stopnicy, tj. aktywności handlowej oraz rzemieślniczej. Tubylcza ludność Stopnicy zajmowała się głównie rolnictwem, wymagającym uaktywnienia i zwiększenia dochodowości przez katalizator handlu. Żydzi założyli swoją gminę w naszym miasteczku w XVII wieku. Wydaje się, że ziszczali pokładane w nich nadzieje, ponieważ Zbigniew Ossoliński z Tęczyna, wojewoda sandomierski przejmując starostwo stopnickie w 1619 r. zwolnił tutejszych Żydów „od robót wszelakich, szarwarków...”. W oparciu o kazimierzowskie przywileje Stopnica rozwijała się pomyślnie, w jej urzędach odbywały się ziemskie sądy województwa sandomierskiego. Poza tym stanowiła centrum administracji włości królewskich, będąc również ich częścią oraz była siedzibą starostwa, które w 1634 r. obejmowało dziewięć wsi. Można powiedzieć, że w pierwszej połowie XVII wieku Stopnica osiągnęła apogeum rozwoju ekonomicznego i prerogatyw administracyjnych. W tym okresie miało miejsce uroczyste wprowadzenie o.o. reformatów do nowego klasztoru pod wezwaniem św. Marii Magdaleny i Franciszka z Asyżu, ufundowanego przez starostę stopnickiego Krzysztofa Ossolińskiego i jego żonę, Zofię z Cikowskich, z myślą o nawracaniu arian i kalwinów.

Niestety, w miarę upływu czasu, w latach 1648-1649 do Stopnicy przybyli czterej jeźdźcy Apokalipsy, stanowiący ucieleśnienie wojen, moru i głodu. Zwały się tłumy uchodźców z Ukrainy, uciekających przed terrorem hetmana Bohdana Chmielnickiego i pułkownika Maksyma Krzywonosy.

W 1655 r. miał miejsce potop szwedzki, który spustoszył Stopnicę, a dwa lata później najechały miasto wojska Jerzego II Rakoczego, księcia siedmiogrodzkiego. Jakby nie dość było tych klęsk, w 1662 r. zaraza spowodowała śmierć 600 członków stopnickiej parafii.

Wydaje się zadziwiającym, że Stopnica wyszła z tych opresji obronną ręką. Stało się tak, dzięki zahartowaniu jej mieszkańców na zmienne koleje losu oraz dzięki przywilejom nadawanym miastu przez siedmiu królów (poza wymienionym wcześniej Kazimierzem Wielkim). Królowie: Jan Olbracht, Władysław Jagiełło, Aleksander Jagiellończyk, Henryk III Walezy,

Stefan Batory, Jan Kazimierz, Jan III Sobieski i August III byli ich źródłem. Stopnica była faworyzowana przez polskich monarchów jako siedziba niegrodowego starostwa oraz ze względu na jej strategiczne położenie na Kielecczyźnie. Zarówno XVIII-wieczne ogólne zabiegi polityczne zmierzające do naprawy Rzeczypospolitej, jak i działalność Jana Dekerta, prezydenta Warszawy, do zagwarantowania mieszczanom prerogatyw osobistego bezpieczeństwa, nie miały widocznego wpływu na życie Stopnicy.

Niestety, zbliżał się nieubłagane rok 1795, a z nim koniec szlacheckiej Rzeczypospolitej. W rezultacie dramatycznych wydarzeń nasze miasto odczuło erę zaborów poprzez znalezienie się na burzliwych wodach zmiennych układów politycznych.

W wyniku trzeciego rozbioru Polski, Stopnica znalazła się pod zaborem austriackim. W nowym podziale administracyjnym cyrkuły zastąpiły województwa, które z kolei zostały podzielone na obwody ze Stopnicą, stanowiącą siedzibę jednego z nich, wchodzącego w skład cyrkułu sandomierskiego. W dalszym ciągu zmiany administracyjne były kontynuowane równoległe do zmian politycznych.

W ramach traktatu zawartego w Tylży (1807 r.) tereny zagarnięte przez Prusy w dwóch ostatnich zaborach (2 i 3), zostały scalone i stworzono z nich Księstwo Warszawskie, które w roku 1809, po wojnie między Francją i Austrią, zostało powiększone o tereny zaanektowane przez Austrię w trakcie trzeciego rozbioru. W ten sposób Stopnica, stanowiąca stolicę rozległego powiatu, znalazła się w granicach Księstwa. Trzy lata później wielka armia napoleońska poniosła klęskę w Rosji, a następnie Kongres Wiedeński w 1815 r. zreorganizował zarys kartograficzny Europy. Z większej części terenów Księstwa Warszawskiego (zmniejszonego o Wielkopolskę, którą połączono z Królestwem Pruskim) utworzono Królestwo Polskie z carem Aleksandrem I jako królem. Miało ono stanowić monarchię konstytucyjną. Po wahadłowych zmianach administracyjnych, Królestwo Polskie podzielono na 10 guberni łącznie z sandomierską i kielecką oraz z powiatem stopnickim wchodzącym w skład tej ostatniej. Na tle międzynarodowych zmian życie naszego miasta toczyło się swoim torem bez większych zmian, podobnie jak fale rzeki Stopniczanki, płynącej na jego peryferiach i okalającej kościelne podgórze. Zaludnienie Stopnicy wynosiło 2061 mieszkańców w początku XIX w. (1827 r.) oraz 2994 w jego końcu (1885 r.). Po dwóch i pół wiekach przerwy, w Stopnicy, stały się ponownie popularne cechy. Pierwszy, jak wspomniałem, zatwierdzony przez króla Zygmunta I Starego zrzeszał rzemieślników wszystkich branż i został powołany

do życia w połowie XVI wieku. Listę XIX-wiecznych gildii otwiera cech bednarski, następnie zorganizowano cechy: stolarski, szewski i krawiecki.

W XIX w. dokonano również szeregu inwestycji o podstawowym znaczeniu dla codziennego życia. W tym względzie prym wiodło zbudowanie szpitala o 35 łóżkach, pod wezwaniem św. Karola Boromeusza (1855 r.). Poza tym oddano do użytku bitą drogę prowadzącą przez Busko do Kielc. Było to szczególnie ważne dla podróżnych udających się do Warszawy. 20 lat po oddaniu do użytku szpitala otwarto przytułek dla starców, pełniący również rolę infirmerii. Koniec lat 40. XIX wieku był świadkiem gospodarczego kryzysu i klęsk żywiołowych. Istną plagą były pożary. W 1795 r. miał miejsce jeden, na początku II połowy XIX w. były dwa. Ich przyczyną była, z jednej strony, drewniana zabudowa, z drugiej, powszechne używanie świec do oświetlania mieszkań. Pierwszej przyczynie starano się zaradzić budowaniem murowanych domów, był to wynik zarządzeń zabraniających stawiania drewnianych budynków w rynku.

Co się tyczy powstań - listopadowego i styczniowego, to na temat pierwszego brak danych, widocznie nie odbiło się ono echem w życiu Stopnicy. Drugie miało na nie tylko pewien ograniczony wpływ, ponieważ dyktator powstania Marian Langiewicz, przewidywał pobór 800 mieszkańców Stopnicy do oddziałów powstańczych, a zgłosiło się tylko 140 ochotników. Nie świadczyło to o entuzjazmie względem nowego zrywu patriotycznego. Mogło być to związane ze sceptycyzmem spowodowanym fiaskiem dwóch poprzednich insurekcji - kościuszkowskiej i listopadowej, względnie depresją wywołaną niekorzystną sytuacją ekonomiczną, w której miejskie rolnictwo stanowiło główne źródło utrzymania stopniczan. Tym niemniej podkreślić należy aktywność patriotyczną zakonników stopnickiego klasztoru, którzy odegrali czynną rolę w wydarzeniach powstania.

W latach 60. XIX w. władze określiły gospodarczo-ekonomiczne kryteria miast, których spełnienie było konieczne dla utrzymania ich statusu. W myśl tych nowych warunków dla osiedli kwalifikujących się do kategorii miast określono 3000 mieszkańców oraz 1500 rubli rocznego dochodu jako minima, poza tym połowę liczby właścicieli miejskich nieruchomości jako dopuszczalnego maksimum miejskich rolników. W związku z tym, że wymienione kryteria nie zostały zadawalająco spełnione w przypadku Stopnicy, Komitet Urządzący Królestwa Polskiego odebrał jej prawa miejskie i przypisał naszemu miastu status osady. Działo się to 1 czerwca 1869 roku. Była to przykra degradacja, tym niemniej Stopnica stale była siedzibą władz stopnickiego powiatu.

W 1901 r. zorganizowano w Stopnicy Ochotniczą Straż Pożarną. Ten ewenement można skwitować westchnieniem - nareszcie!

W 1914 r. wybuchła I wojna światowa z atrybutami wojennych przekleństw. Pochody armii, rekwizycje zapasów żywnościowych, bydła, utrudnione dostawy niezbędnych do życia materiałów, jak lekarstwa, odbiły się ujemnie na sytuacji gospodarczej miasta i jego okolic. Na czoło powszednich problemów w 1915 r. wysunęły się epidemie tyfusu i cholery dziesiątkujące ludność. W takich warunkach austriackie władze okupacyjne przeniosły zarząd powiatu do Buska-Zdroju.

Wreszcie nadszedł 1918 rok, a z nim znikła zhora zaborów. Cały kraj znalazł się na progu nowej rzeczywistości narodowej zwanej Rzeczypospolitą II vel Rzeczypospolitą Polską. Ludzie nabrali otuchy patrząc w przyszłość z oczekiwaniem zmian, które miały ułatwić ich codzienną egzystencję. Entuzjazm przepełniał myśli ludzi, kierując ich ku poszukiwaniom nowych, twórczych inicjatyw.

Ważnym problemem była sprawa oświaty. Szkolnictwo rejonu stopnickiego stało na niskim poziomie edukacji podstawowej względnie zawodowej. Już w 1906 roku zorganizowano w naszym mieście Koło Polskiej Macierzy Szkolnej. Była to ważna instytucja, ponieważ mogła mieć wpływ na rozwój regionalnego szkolnictwa. Docenił to Franciszek Dziedzic, kierownik stopnickiej Publicznej Szkoły Powszechnej i rozpoczął starania o zorganizowanie w Stopnicy gimnazjum. Dziedzic stanął *spiritus movens* tej inicjatywy. Było to trafne przedsięwzięcie, biorąc pod uwagę centralne położenie naszego miasta w powiecie oraz brak tego rodzaju placówki w jego granicach. Gimnazjum umożliwiałoby młodzieży sięganie poza horyzonty małomiasteczkowe w karierach zawodowych, a także ułatwiałoby jej kolejny etap nauki - kształcenie w szkołach wyższych.

Gimnazjum zaczęło funkcjonować już w 1918 r. Jednym z jego abiturientów był Feliks Stelmaszyński, późniejszy wychowanek wydziału matematycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, a następnie profesor matematyki i fizyki gimnazjum w Bielsku-Białej. W czasie wojny kierował kursami maturalnymi na tajnych kompletach w Stopnicy. Byłem wtedy jego uczniem.

Niestety, po 15 latach egzystencji, ośmioklasowe gimnazjum z dwoma językami klasycznymi - łaciną i greką, trapiące finansowymi trudnościami, zostało przeniesione do Buska-Zdroju. Jego ostatnim dyrektorem był polonista Adam Wilusz, którego nazwisko często obijało mi się o uszy we wczesnych latach 30.

Przeniesienie gimnazjum stanowiło stratę nie do powetowania. W jej rezultacie Stopnica została tylko z jedną instytucją o zasięgu powiatowym - szpitalem św. Karola Boromeusza, który doskonale prosperował. W okresie międzywojennym liczba jego łóżek niemal się podwoiła. Na skutek prośby starosty stopnickiego, biskup kielecki przydzielił do pracy w szpitalu kilka zakonnicy. Szpital był czynny do czasu zniszczenia Stopnicy w latach 40. XX wieku.

W okresie Rzeczypospolitej Polskiej liczba mieszkańców naszego miasta wynosiła 6142 (1939 r.). Na jego terenie działały trzy cechy: Cech Zbiorowy Żydowski, Cech Zbiorowy Rzemieślników Chrześcijan w Stopnicy oraz Cech Wędliniarsko- Rzeźniczy.

Na tym kończę omawianie zarysu dziejów Stopnicy, ponieważ zbiega się on w tym miejscu z moimi pamiątkami. Chcę go uzupełnić poczem osobistości regionu stopnickiego. Sylwetki te są mi bliskie, bowiem wiążą się ściśle z historią mojego miasta i jego okolicy.

Osobistości regionu stopnickiego

Wincenty zwany Kadłubkiem (Wincenty Kadłubek) 1150-1223

Urodzony w Kargowie, podstopnickiej wsi, pierwsze nauki pobierał w przykościelnej szkole w Stopnicy. Zdolnościami zwrócił na siebie uwagę swoich preceptorów. Wysłany na studia do Paryża uzyskał tam tytuł magistra nauk wyzwolonych. Po powrocie do kraju pozostawał w służbie księcia Kazimierza II Sprawiedliwego (początkowo księcia wiślickiego i krakowskiego, później również kujawskiego i mazowieckiego), do czasu jego przedwczesnej śmierci.

Następnie przeniósł się do Sandomierza na stanowisko prepozytora kolegiackiej kapituły. W czasie pobytu w Sandomierzu napisał znaczną część słynnej Kroniki Dziejów Polski.

W 1207 r., po śmierci krakowskiego biskupa Fulko Pełki, został wybrany jego następcą, 11 lat później zrzekł się tej godności i wstąpił do klasztoru cystersów w Jędrzejowie. Udał się tam pieszo z Krakowa i był jednym z pierwszych Polaków wchodzących w skład tamtejszego konwentu zakonnego, którego budowniczymi byli burgundzcy zakonnicy. Tam Kadłubek skończył pisanie Kroniki, zawartej w czterech księgach i obejmującej dzieje Polski do roku 1202. Jego dzieło, stanowiące apoteozę rządów Kazimierza II, napisane kwiecistą łaciną, łączy fakty historyczne z legendami. Na przykład opowiada o Kraku i Wandzie, i opisuje rzekome pokonanie starożytnych wodzów, jak Cezara i Aleksandra Wielkiego, przez Polaków.

Mimo tych wad Kronika jest zbiorem wiadomości o ówczesnej wiedzy przyrodniczej i humanistycznej. Była wykorzystywana od XV wieku do dydaktyki historii, poza tym wywarła przemożny wpływ na polską historiografię, aż do czasów oświecenia.

Wincenty Kadłubek został beatyfikowany w XVIII w. Jego prochy spoczywają w ołtarzu poświęconej mu kaplicy kościoła klasztorowego w Jędrzejowie.

Jan ze Stobnicy vel Stobniczanin (1410-1530)

Rodowód Stobniczanina wywodzi się ze Stopnicy, w nazwie której litera „p” została zastąpiona literą „b”. Wiąże się to z tym, że pierwotna nazwa naszego miasta brzmiała właśnie Stobnica. W pisanym po polsku przywileju Jana III Sobieskiego widnieje już litera „p” i ostatecznie ta wersja nazwy została przyjęta i funkcjonuje do dzisiaj. Stobniczanin był uczniem Michała z Bystrzykowa czyli Michała Twaroga, zwanego również Paryżaninem, średniowiecznego teologa i filozofa, dwukrotnego rektora Akademii Krakowskiej, profesora w Paryżu, pierwszego polskiego skotysty, który zajmował się również przyrodoznawstwem.

Stobniczanin, podobnie jak jego mistrz był zwolennikiem poglądów Dunsza Szkota, twierdzącego że teologia opiera się na objawieniu i wierze oraz stanowi akt woli, podczas gdy nauka wiąże się z doświadczeniem i rozumowaniem. Jan ze Stobnicy łączył również, podobnie jak Paryżanin, skotyzm z innymi kierunkami filozoficznymi i zajmował się przyrodą. W szczególności stał się znany dzięki pracy o świecie, opartej na książce niemieckiego geografą Martina Waldseemüllera. Kopie fragmentów tej książki, wykorzystane przez Jana ze Stobnicy stanowiły pierwsze mapy publikowane w Polsce. M.in. znalazła się tam mapa Ameryki.

Franciszek Stankar (1501-1574)

Nie pochodził z naszego regionu, a nawet nie urodził się w Polsce, ale był czynny właśnie w Stopnicy. Pochodził z Włoch, z Mantui. Został sprowadzony do Krakowa przez Samuela Maciejewskiego, biskupa krakowskiego, celem wykładania języka hebrajskiego w Akademii Krakowskiej.

Wkrótce okazało się, że zainteresowania Stankara są zupełnie inne. Interesował się filozofią i teologią, w szczególności bliskie jego sercu były idee arianizmu, których stał się propagatorem. Był jednym z tłumaczy Biblii Brzeskiej, opublikował również „Canones reformationis ecclesiarum poloniarum”. Był organizatorem reformowanych zborów w Małopolsce. Brał udział w doktrynalnych sporach protestantyzmu.

Stankar spędził ostatni okres życia w Stopnicy będąc podporą zboru kalwińskiego założonego przez starostę stopnickiego Marcina Zborowskiego. Zmarł w listopadzie 1574 roku.

Henryk Dembiński (1791-1864)

Urodzony w Strzałkowie, w pobliżu Stopnicy w pierwszym okresie kariery wojskowej był oficerem armii napoleońskiej, brał udział w kampaniach 1809, 1812 i 1813 roku. W okresie Królestwa Polskiego posłował na sejm. Brał czynny udział w powstaniu listopadowym zdobywając szlify generalskie i obejmując urząd gubernatora Warszawy. Po dymisji gen. Skrzyneckiego powierzono mu tymczasowo funkcję naczelnego wodza. Po objęciu dowództwa przez gen. J. Krukowieckiego, dowodził dywizją w obronie Warszawy. Po upadku powstania wyjechał na Węgry, gdzie brał udział w rewolucji 1848/1849, był m.in. szefem sztabu i przejściowo naczelnym dowódcą wojsk węgierskich. Po klęsce armii węgierskiej pod Temeszwarem w 1849 r., gdzie walczył pod dowództwem gen. Józefa Bema, następnie wyjechał do Turcji. Od 1851 r. mieszkał we Francji. Pozostawił pamiątki, na temat powstania listopadowego.

Pamiętniki

Część 1

W kraju

1924-1969



1. Moja wczesna młodość

Obudziłem się wcześniej rano w moim białym łóżeczku, którego kołdra pokryta była warstwą kwiatów. Były tam małe różyczki, ale głównie białe i niebieskie irysy pochodzące z ogródka znajdującego się przed domem. Łóżeczko było ustawione wzdłuż ściany sypialni moich rodziców. Gdy obróciłem się na prawy bok widziałem ich łóżka oraz dwa okna wychodzące na ul. Solecką. Okna zalane były potokami światła słonecznego, które padało na wyfroterowaną podłogę koloru wiśniowego tworząc na niej jaskrawe, cętkowane plamy. Muślinowe firanki łagodnie falowały w strumieniu wiosennego powietrza płynącego od strony niedomkniętych okien. Działo się to w Stopnicy, 10 czerwca. Mógł to być rok 1929, nie jestem tego pewien i nie jest to istotne. Na pewno miało to miejsce 10 czerwca, ponieważ był to dzień moich urodzin. Scenę tę pamiętam tak dobrze, jakby to miało miejsce wczoraj. Jest to jeden ze szczególnie dobrze zapamiętanych epizodów mojego wczesnego dzieciństwa.

Stopnica jest małym miasteczkiem położonym w Kieleckiem. Podróżny, zbliżający się do Stopnicy od strony Kielc musi pokonać strome wzniesienie, żeby dostać się do centrum miasteczka, w którym znajdował się kwadratowy rynek z czterema ulicami wychodzącymi z jego rogów, skierowanymi w cztery strony świata. Przed osiągnięciem rynku nasz przybysz minąłby piękny gotycki kościół, zbudowany przez króla Kazimierza Wielkiego w 1362 r., świadczący o długiej historii Stopnicy. Jeżeli inspekcja ulic nie nastroiłaby naszego przybysza podniośle, to pamięć pięknego kościoła oraz znajomość historii naszego miasta nie dopuszczą do pogardliwego machnięcia ręką.

Rynek był obudowany domami parterowymi i piętrowymi, głównie murowanymi, w których mieściły się rozmaite sklepy. Dwa razy w tygodniu, we wtorki i piątki, odbywały się tam targi. Rynek, zazwyczaj pusty, wypełniał się w takie dni pstrokatym tłumem wieśniaków, mieszkańców podstopnickich wsi oraz ich wozami wypełnionymi towarami przeznaczonymi na sprzedaż: drobiem, jarzynami, owocami itp. Sprzedający siedzieli na małych stołeczkach mając przed sobą towary tworzące różnokolorowe szpa-

lery. Były dwie kategorie sprzedających. Pod gołym niebem handlowali chłopci, natomiast w sklepach sprzedawcami byli Żydzi, ubrani w jarmużki i czarne chałaty. Śmiechy, okrzyki, wrzaski i przekleństwa towarzyszyły targowaniu. Obraz ten jest daleki od kompletnego, ponieważ brakuje tu operacji handlowych, obejmujących wiejskie czworonogi: krowy, świnie i konie. Handlowano nimi na tak zwanych targowicach. Jedna z nich mieściła się u stóp wzgórza rynkowego (podgórze kościelne), z którego odgłosy kwiczenia, rżenia i ryków była pomieszane z wrzaskiem handlarzy rozchodzący się po uliczkach i okolicznych ogrodach.

Gdyby nasz przybysz, znużony podróżą z Kielc, chciał odpocząć przed osiągnięciem centrum miasteczka, mógłby dotrzeć do klasztoru piękną aleją ocienioną wielowiekowymi lipami, następnie dostać się do klasztornego ogrodu przez ogromną furkę, cmentarz przyklasztorny, również obsadzony lipami, otoczony stacjami drogi krzyżowej, będący miejscem wiecznego spoczynku kilku przedstawicieli okolicznej szlachty z minionych wieków.

Niezapomniany ogród klasztorny! Wrył się w pamięć na zawsze. Na wiosnę chodziłem tutaj często, żeby zbierać fiołki rosnące obficie na trawnikach. Początkowo chodziłem ze służącymi, następnie z wychowawczyniami, w końcu sam lub z kolegami. Miejsce to kojarzy mi się z ławkami ustawionymi wzdłuż alejek, ocienionych starymi drzewami, klombami i pięknymi trawnikami. Ogród, obramowany starym murem zawsze wypełniała cisza i spokój. Można było tu odpocząć i oddać się refleksjom. Kościół klasztorny, zbudowany w 1639 r. przez sandomierskiego wojewodę Krzysztofa Ossolińskiego, oddany księżom reformatom, przyciągał mieszkańców okolicznych wsi i Stopnicy, którzy skwapliwie brali udział w klasztornych nabożeństwach. Mimo że, kościół farny, usytuowany u wylotu rynku, był że tak powiem „pod ręką”, to jednak wielu stopniczan wolało pokonywać znaczną odległość i uczestniczyć w klasztornych nabożeństwach. Szczególny spokój i jakby zaduma emanowały z kościoła, ogrodu i braci zakonnych przykutych ślubami do tego miejsca.

Ogród klasztorny nie był jedynym miejscem zbierania fiołków. Zbieraliśmy je również na tzw. Starym Cmentarzu, który znajdował się na szczycie pagórka, usytuowanego po drugiej stronie ul. Soleckiej w stosunku do domu, w którym mieszkaliśmy. Przymiotnik „stary” akcentował fakt, że dawno już nie był użytkowany. Założony w 1786 r., był miejscem pochówku katolików i prawosławnych; na wielu grobach i pomnikach widniały prawosławne krzyże, a tablice nagrobków były wypełnione cyrylicą. Stanowił dokument z czasów zaboru rosyjskiego, ponieważ przed I wojną światową Stopnica była się

Stara Stopnica



Kościół farny na stopnickim rynku (okres międzywojenny)



*Klasztor oo. reformatów w Stopnicy
(kościół i zabudowania klasztorne, okres międzywojenny)*



*Kończący się letni dzień targowy
(okres międzywojenny)*



Odświeżenie pomnika marszałka Józefa Piłsudskiego w 1931 roku

dzibą rosyjskich władz powiatowych. Oprócz niego był również „nowy”, katolicki cmentarz grzebalny, crygowany w 1880 r. Znajduje się on na wzgórzach odległych od miasta o około 0,5 km. Na łagodnych stokach pagórka ukoronowanego Starym Cmentarzem, zwróconym w kierunku miasta, mieściła się druga targowica, czynna, podobnie jak pierwsza, w dniu targowe. Na jej brzegu, przy ulicy Soleckiej znajdowała się remiza strażacka, w której przechowywano sprzęt służący do gaszenia pożarów. Były tam również widowiskowe urządzenia, scena oraz widownia wypełniona krzesłami. W tej sali odbywały się spektakle dawane przez przyjeżdżające trupy teatralne, względnie przygotowywane przez miejscowe organizacje, takie jak szkoła powszechna czy zawodowa, prowadzona przez siostry zakonne, szarytki. W remizie mieściło się również mieszkanie rodziny Zasuchów, składającej się z rodziców oraz sześciorga dzieci: Janka, Każka i Józka oraz ich trzech sióstr. Zadaniem starego Zasuchy była opieka nad remizą. Kaziak był głównym kompanem moich wczesnodziecinnych zabaw. Ich terenem w dni nie-targowe była targowica oraz Stary Cmentarz, który na wiosnę i w lecie dostarczał kwiatów, różyczek i fiołków oraz jesionowych gałęzi służących do sporządzania luków. W zimie, łagodne zbocze targowicy zamieniało się w wielki saneczkowy tor, z którego korzystały dzieci większej części Stopnicy.

Dwukrotnie wspomniałem rytuał zbierania fiołków, ponieważ miał istotne znaczenie dla naszej egzystencji. Fiołki były zapowiedzią wiosny, ich kwitnienie oznaczało, że gościliśmy ją i że byliśmy w okresie Świąt Wielkanocnych, które stanowiły jedno z dwóch centralnych wydarzeń roku w Stopnicy. Jestem pewien, że odnosiło się to nie tylko do naszego miasta, ale do większości osiedli międzywojennej Polski. Święta Wielkanocne i Święta Bożego Narodzenia były głównymi wydarzeniami życia religijnego, rodzinnego i towarzyskiego.

Pokutny nastrój okresu wielkopostnego koncentrujący się na uroczystościach Środy Popielcowej wkrótce został zastąpiony przez radość zbliżającej się wiosny oraz nadciągających świąt. Towarzyszyły temu wyższe temperatury i dłuższe dni. Trawniki, krzewy i drzewa pokrywały się świeżą zielenią. Był to okres kwitnienia zawilców i przyłaszczek. Stara wierzba po przeciwnej stronie ul. Soleckiej zakwitła pięknymi baziami, ich gałązki braliśmy do kościoła w Palmową Niedzielę.

Następnego dnia, w poniedziałek, był już początek Wielkiego Tygodnia. Na ten okres przypadały porządki domowe. Firanki szły do prania pozostawiając nieosłonięte podwójne okna, spomiędzy których usuwany

był izolujący je piach pokryty warstwą ligniny oraz zasuszoneymi kwiatami nieśmiertelników. W tym okresie miało miejsce wielkie pranie i generalne odkurzanie mebli. Podłoga w kuchni, starannie wyszorowana, pokrywana była bezbarwną pastą, natomiast podłogi w pokojach wiśniową. Froterowane, pozostawiały w powietrzu delikatny zapach terpentyny, który na zawsze pozostał synonimem zbliżających się świątecznych uroczystości. Nie był to jedyny zapach wypełniający mieszkanie moich rodziców w przedświątecznym okresie. Innym składnikiem aromatycznego bukietu była woń hiacyntów, których białe, niebieskie i różowe kwiaty były widoczne w pokojach, stołowym, sypialni oraz salonie.

W Wielkim Tygodniu głównym ośrodkiem aktywności była kuchnia. W naszym mieszkaniu przy ul. Soleckiej, które zazwyczaj było nazywane „u Stelmaszyńskiego”, w odróżnieniu od naszych dwu późniejszych mieszkań stopnickich „u Filipowicza” i „u Szwera” (nazwy wywodzą się od właścicieli owych domów), kuchnia była średniej wielkości pomieszczeniem o oknach wychodzących na podwórze usytuowane po północnej stronie domu.

Celem dostanie się z podwórza do kuchni należało wejść po schodkach na platformę półpiętra, z którego drzwi otwierały wejście do kuchni. Kuchnia łączyła się z pokojem stołowym, ładnie umeblowanym kompletem mahoniowych mebli, zegarem ściennym oraz jelenimi rogami. Pokój ten miał jeszcze dwoje drzwi, te na prawo wiodły do sypialni stanowiącej południową część mieszkania. Drzwi vis-a-vis kuchennego wejścia prowadziły do salonu, mrocznego pomieszczenia znacznych rozmiarów, wypełnionego wiśniowo-lakierowanymi meblami z gobelinowymi obiciami zielonego koloru, ozdobionymi srebrzystymi elementami roślinnymi. Tam, na wyeksponowanym miejscu wisiał duży gobelin oprawiony w złote, ciężkie ramy, przedstawiający fragment egzotycznego targu z wykonującym piruety tancerzem otoczonym grupą widzów. Z salonu wychodziło się do krótkiego korytarza rozszerzającego się w poczekalnię. Oddzielne drzwi prowadziły do gabinetu dentystycznego mojej matki. Z poczekalni wychodziło się na zewnątrz do ogródka, w którym rosło mnóstwo kwiatów oraz duży kasztanowiec. Stamtąd furka prowadziła na ulicę Solecą (obecnie ulica dr Wacława Piotrowskiego).

W Wielki Piątek do pokoju stołowego wstawiany był długi, prostokątny stół nakryty białym obrusem. Stał wzdłuż ściany z oknami wychodzącymi na podwórze. Wystawiało się na nim święcone. Czego tam nie było! Obfitość smacznych rzeczy. A więc przede wszystkim chleb i sól, zwoje kielbasy wraz z ugotowanymi na twardo i pomalowanymi jajkami, indor ozdo-

biony papierowymi rękawami, tzw. papilotami, cielęcina z nerką, od czasu do czasu bywał również pieczony prosiak. Jeśli chodzi o ciasta, to należy wymienić przede wszystkim polukrowane babki, następnie strucle czyli makowce dalej torty - fasolowy i orzechowy, stanowiące specjalność mojej matki. Inną specialite de la maison był sernik, zwany „serowcem”, znany w całej naszej rodzinie, nigdy później nie jadłem tak wspaniałego sernika. Oddzielną kategorię słodczy stanowią mazurki, w których między dwiema płaszczyznami filigranowego ciasta znajdowały się kombinacje bakalii. Wymienić należy jeszcze czekoladową babkę, za którą przepadałem. Między tymi wspaniałymi potrawami stała również karafka z wódką, śliwownicą z bośniackich śliwek, towarzyszyła jej butelka porzeczkowego wina. Autorem tych napojów był mój ojciec. Nie byłby ten obraz święconego kompletny, gdybym nie dodał, że stał tam również drewniany krzyż osadzony na prostokątnej podstawie, pokrytej zieloną rzeżuchą oraz biały baranek z cukru. Stół był przybrany liśćmi barwinku, a na jego rogach stały hiacenty.

W Wielki Piątek chodziło się „na groby” do kościoła parafialnego i do klasztoru. Do dziś pozostał mi w pamięci szczególny nastrój tych wizyt. Figura Chrystusa leżała w grobie na czołowym miejscu otoczona mnóstwem kwitnących hiacyntów i palących się świec. Ściany grobowca wyłożone były imitacją wielkich głazów. Obraz uzupełniały grupy modlących się ludzi. Wszystko to było spowite w ciszę mrocznego wnętrza kościelnego, podkreślaną przez czyjś kaszel oraz uporczywy dźwięk spadających gdzieś kropel wody. Na zawsze wbijające się w pamięć, wielokrotnie powtarzane misterium tragicznych wydarzeń z przed dwu tysięcy lat.

Gdy byłem starszy inne jeszcze sprawy absorbowwały mój umysł i uczucia. Były nimi: rekolekcje, spowiedź i komunie. Stanowiły ważne elementy Świąt Wielkanocnych. Ich wypełnianiu towarzyszyło uczucie zadowolenia ze spełnionego obowiązku, a świadomość pozbycia się ciężaru przewinień wznagała radość uczestniczenia w uroczystościach rezurekcji oraz święcenia ognia i wody na kościelnym cmentarzu. Natomiast nigdy nie brałem udziału w zbiorowym błogosławieniu święconego, ponieważ w Wielką Sobotę po południu przychodził do naszego mieszkania jeden z księży z fary w towarzystwie ministranta ubranego w białą komżę i błogosławił potrawy pokrapiając je święconą wodą. Po tej uroczystości miało miejsce małe przyjęcie, składające się z herbaty, ciasta i wina.

Pod wieczór jedliśmy uroczysty obiad świąteczny, poprzedzony dzieleniem się jajkiem i składaniem sobie nawzajem życzeń. Wszystkie te wydarzenia wraz z odgłosami wiosny, zieleniejącą murawą, drzewami puszc-

czającymi paki, wiążą się w radosne wspomnienie Świąt Wielkanocnych mojego wczesnego dzieciństwa. Okres tych świąt wspominany z perspektywy minionych lat, zacierających nieprzyjemnie zgrzyty, jeśli takie były, wydaje się być przeżyciem niepowtarzalnego szczęścia.

W Wielką Niedzielę pierwsze śniadanie składało się z makowca lub lukrowanej babki z kubkiem kakao. Drugie śniadanie zaczynało się zazwyczaj od tzw. „świętecznej mieszanki”, której autorem był mój ojciec. Potrawę przyrządzaliśmy z drobno pokrojonej kiełbasy, podobnie przygotowanych szynki i cielęciny oraz pokrojonego w kostkę jajka na twardo z dodatkiem chrzanu w occie. Mieszanka jedzona z chlebem posmarowanym masłem stanowiła wyborny lunch. Posiłek kończył się zwykle makowcem z kubkiem zabielennej kawy Enrilo z cykorią.

Następnie szło się na mszę do kościoła parafialnego. Większość miejscowej inteligencji, z nami włącznie, uczęszczała z reguły na mszę odprawianą o 10., była to tzw. „dziesiątowa”. Wchodziło się zazwyczaj do zakrystii i stamtąd uczestniczyło w nabożeństwie.

Wczesnym popołudniem slishmy „w goście”, to jest na przyjęcie do jednej z zaprzyjaźnionych z nami rodzin. Utrzymywaliśmy towarzyskie stosunki z trzema stopnickimi rodzinami: Komoniewskimi (Maksymilian Komoniewski był miejscowym komornikiem), Paślawskimi (była to rodzina lekarza weterynarii, dra Olgierda Paślawskiego) oraz Reinsteinami (głowa rodziny, Waclaw Reinstein, był wziętym obrońcą sądowym). Takie przyjęcia trwały wiele godzin, jedzenie potraw było przeplatane rozmowami i opowiadaniem anegdot. W czasie tych wizyt nigdy mi się nie przykrzyło, ponieważ w każdej z tych rodzin były dzieci. Szczególnie lubiłem dom Reinsteinów. Mieli troje dzieci: Jurka, Bożenkę i Jędrka. Najstarszy był Jurek i z nim szczególnie przyjemnie można było spędzić czas, miał zawsze coś ciekawego do opowiadania, szczególnie interesował się wojskiem i rozmowy z nim dotyczyły tego tematu. Niedawno zmarł i boleśnie odczułem tę stratę. U Reinsteinów podawano niekiedy wyszukane potrawy, jak np. baumkuchen, ciasto pieczone na drewnianym rożnie, o kształcie pnia drzewa z wystającymi sękami. Pan Reinstein był smakoszem. Bożenka mieszka obecnie w Kielcach i jestem z nią w stałym kontakcie. Najmłodsza latorośl, Jędrak, wylądował po niesłychanych przygodach w Australii. Waclaw Reinstein stał się w czasie wojny osoba o publicznym znaczeniu, ponieważ kierował zarządem naszego miasta. Był ostatnim burmistrzem tysięcletniej Stopnicy. Zamieszczam tu jego fotografię w towarzystwie żony i córki.

Przebieg drugiego dnia świąt był podobny do pierwszego z tą różnicą,



*Rodzina Wacława Reinsteina obrońcy sądowego w Stopnicy
z żoną Heleną i córką Bożeną.
Na zdjęciu brak dwóch synów - Jurka i Jędrka. Reinstein był ostat-
nim burmistrzem tysięcletniej Stopnicy, funkcje tę pełnił również
w czasie okupacji niemieckiej.*

że dyngus, to jest oblewanie wodą służących, względnie wychowawczyń, stanowił przestrzegany zwyczaj. I tak święta dobiegały końca, ich kulminacyjny dwudniowy okres przechodził gwałtownie w rutynę powszednich dni. Nagłe przejście od uroczystości świątecznych do pospolitych dni charakteryzowało częste używane powiedzenie „święta, święta i po świętach”. Echem minionych wydarzeń były potrawy pozostałe z obfitego święconego, które pokutowały w jadłospisie przez dłuższy czas.

W sąsiedztwie świąt był maj, radosny miesiąc pełnej wiosny. Na klombach kwitły białe i żółte narcyzy, a w naszym przydomowym ogródku, usytuowanym w sąsiedztwie gabinetu dentystycznego mojej matki, królowały pełne gracji białe i niebieskie irysy. Swoim dostojnością i tajemniczością nasuwały przypuszczenie, że o północy brały udział w bajecznym balu kwiatów opowiedzianym przez Andersena. Chwiały się na długich łodygach w powiewie łagodnego wiatru, nie zwracając uwagi na moje pytające spojrzenia, okrywając powłoką milczenia szczegóły swego prywatnego życia.

W okolicznych lasach pełno było konwalii, a brzegi strumyków poniebieszczały od mnóstwa lazurowych niezapominajek. Brzózki na brze-

gach leśnych polan pokryły się sukienkami zabarwionymi świeżą zielenią, której nie odda żadna paleta malarska, wyglądały jak stojące w miejscu panienki na białych nogach. Słychać było kukulki. W ogrodach zakwitły bzy. Dzieci i dorośli szukali szczęścia w kiściach ich kwiatów. W połowie miesiąca owocowe drzewa pokrywały się białymi i różowymi kwiatostanami, wypełniało je brzęczenie pszczół i trzmieli.

Drogi przyjacielu przyjechałeś do naszego miasteczka, spoglądasz na szacowne mury kazimierzowskiego kościoła i pytasz mnie, czy możnaby usłyszeć wiosnę w Stopnicy. Oczywiście, że tak, odpowiadam. Pozwól, że cię poprowadzę. Opuszczamy rynek i udajemy się ulicą w kierunku Kielc. Idziemy w dół podgórza kościelnego, docieramy do mostu przerzuconego nad rzeką Stopniczanką, okalającą moje miasteczko od zachodu, mijamy po prawej stronie stary młyn wodny z tablicą erekcyjną z 1827 r., następnie wysoki pomnik św. Jana Nepomucena zbudowany w 1730 r. i tu zatrzymujemy się. Jest południe i piękna pogoda. Z daleka i z bliska napływają fale rechotu i kumkania żab. Wydaje się, że jesteśmy w żabim centrum, które wypełniają żabie dźwięki, dochodzące nie tylko z pobliskiej rzeki i graniczącego z nią zamkowego stawu, ale również z niedalekich wsi: Kątów Starych i Wolicy. Chóry żabie zaczynają się wczesnym popołudniem i trwają przez większą część nocy. W ten muzyczny sposób dają o sobie znać stopnicka wiosna.

Wspomnienia wiosennych wydarzeń wiążą się ponownie z kościelnymi uroczystościami, mianowicie z nabożeństwami majowymi. Po południu, o godzinie piątej, tubalny głos dzwonów rozbrzmiewa z wieży kościelnej i rozchodzi się po uliczkach, i zaułkach miasteczka, dociera nawet do podstopnickich ogrodów. Ich dźwięki wzywają wiernych na majowe nabożeństwo. Stopniczanie, poważni obywatele, panie, dziewczęta i chłopcy udają się na „majowe” do kościoła. Przechodzą przez ocieniony kwitnącymi kasztanami cmentarz kościelny, żeby zniknąć w kościelnej kruchcie. Pozostały mi w pamięci te radosne uroczystości owiane zapachem bzów, ozdobione stożkami kasztanowych kwiatów, i uświęcone szepcąc maryjnej litanii w mrocznym wnętrzu świątyni.

Innego rodzaju wiosenną uroczystością, równie godną uwagi, były obchody związane z rocznicą trzeciomajowej konstytucji. Zanim poszedłem do szkoły byłem świadkiem ich celebrowania, a później jako uczeń szkoły powszechnej brałem w nich udział. Zbiórka uczniów miała miejsce przed budynkiem szkoły w rynku. Każdy z uczniów dzierżył biało-czerwona chorągiewkę. Uszeregowani dwójkami maszerowaliśmy do kościoła na nabożeństwo, następnie odbywał się pochód ulicami miasta. Uroczystości koń-

czyły się w rynku, gdzie uczestnicy wysłuchiwali przemówienia kierownika szkoły lub jednego z nauczycieli. Pochody trzciemajowe kojarzyły mi się później z historią króla Stanisława Augusta Poniatowskiego i jego dworu, widzianymi przez pryzmat literatury, np. kolorowy opis „Na dworze króla Stasia”, opublikowany przez Stanisława Wasylewskiego oraz poezji okresu stanisławowskiego. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że spiritus movens uchwalenia konstytucji gościł w Stopnicy. Wracając do Krakowa z Ukrainy, Stanisław August, zatrzymał się w naszym mieście 11 czerwca 1787 roku. Odwiedził kościół, następnie klasztor i po przenocowaniu w domu starosty stopnickiego Eljasza Wodzickiego w rynku, wyjechał w dalszą drogę do Krakowa. Te majowe obchody utkwiły mi w pamięci. Po latach, gdy pracowałem w Warszawie, zwykłem zachodzić na wiosnę do Parku Łazienkowskiego i ogrodu botanicznego, żeby wspominać dzieje panowania króla Stasia i ludzi biorących udział w obiadach czwartkowych oraz deklamować poezje okresu stanisławowskiego.

W Stopnicy, na wiosnę, miałem rozrywkę spędzając sporo czasu na „działce” czyli parceli budowlanej moich rodziców, usytuowanej u stóp podgórze kościelnego. Znajdowała się na pograniczu Stopnicy i wsi Wolicy, tuż za rzeką Stopniczanką. Była znacznych rozmiarów, ogrodzona, stanowiła nasz ogród warzywno-owocowy. Po jej lewej stronie znajdowała się posesja policjanta Michałuszki z ceglany domem. Po prawej mieściło się domostwo Rzepów.

Syn Michałuszki, Stefan, był moim serdecznym kolegą, chodziliśmy razem do szkoły powszechnej, do tej samej klasy. Pamiętam go jako niezwykle zdolnego chłopca, był pierwszym uczniem w klasie. Poza bardzo dobrymi stopniami z polskiego i rachunków był utalentowanym rysownikiem. Przychodził do naszego domu bawić się ze mną, ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek brał udział w jakiś zabawach. Czas spędzał na czytaniu moich książek. Doszły mnie słuchy, że nie żyje. Zmarnował się. Spotkałem go w czasie okupacji. Nie przypominał dawnego Stefka, interesującego się nauką. Szkoda mi go, był ogromnie zdolny.

Na naszej działce rosły różne warzywa, poza tym znaczna jej część obsadzona była truskawkami. W połowie czerwca chodziło się tam na „truskobranie”. Działka obfitowała również w drzewa owocowe, jak czerwone i białe renklody, jabłonie rodzące wczesne owoce (papierówki) oraz morele, które opatulone na zimę słomą przeobrażały się w rząd słomianych chochołów.

W drugiej połowie czerwca wyjeżdżaliśmy do naszej posiadłości w Janowie. Była to mała wioseczka, a właściwie skupienie kilku obejść gospodar-

skich położonych między Solcem-Zdrojem i wsią Zborowem. Do Janowa odległego od Stopnicy o 9 km jechało się ulicą Solecką, następnie należało pokonać stromą Górę Solecką, miejsce jesiennego zbierania kasztanów oraz zimowego saneczkowania. Stamtąd droga do Janowa wiodła przez trzy wioski, Suchowolę, Magierów położony na wysokim wzniesieniu, z którego w pogodne dni widać było Tatry i przez Zborów. Z Magierowa, droga gwałtownie spadając w dół prowadziła do Zborowa, skąd biegła do Solca-Zdroju. Jej polne odgałęzienie w Zborowie stanowiło wyboiste połączenie z Janowem.

W naszej janowskiej rezydencji mieliśmy jednopiętrową willę o czterech szczytach, położoną w dużym ogrodzie kwiatowym, którego centrum stanowił ogromny, owalny klomb. W lecie i w jesieni klomb był pełen kwiatów, lewkonii i lwich paszczy, a na jego szczycie królowały purpurowo kwitnące peonie. Ogród był porzecinany wygracowanymi alejkami obsadzonymi różnokolorowymi astrami. W ogrodzie kwiatowym mieściła się również duża altana



Nasza willa w janowskiej posiadłości.

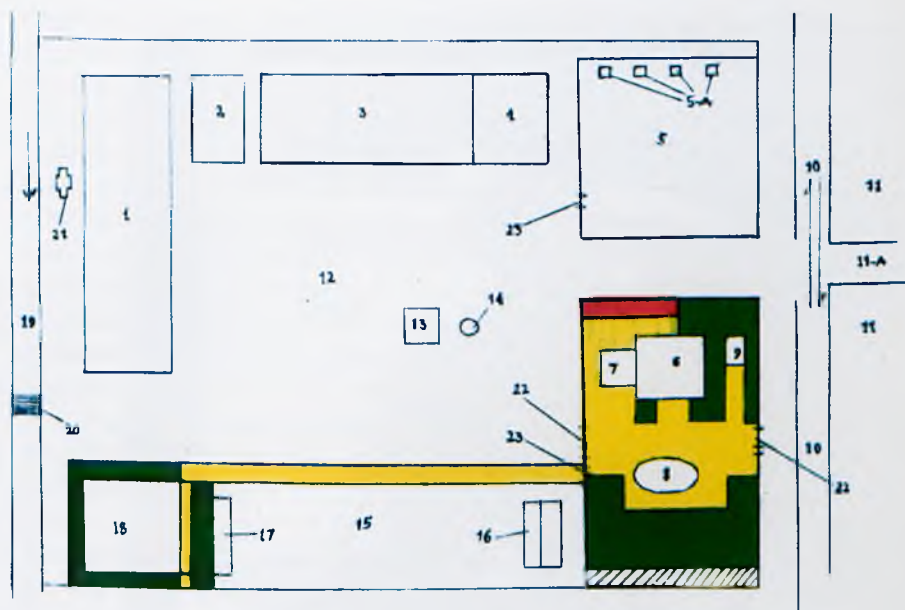
Stan z 1991 roku.

Fot. B. Hetnarski

zbudowana z metalowych prętów, porosła gęstym poszyciem dzikiego wina, zaopatrzona w stół i ławki. W czasie letnich upałów było to idealne miejsce do odpoczynku.

Od strony północnej i południowej domu znajdowały się dwa ogrody warzywne. Ogród południowy łączył się sadzawką, za którą płynęła rzeczka Janówka okalająca naszą posiadłość od strony łąki dzielącej nas od Solca-Zdroju. Była to szczególna łąka, w okresie letnim przeobrażała się w jeden wielki kobierzec kwiatów. W sadzawce hodowaliśmy karpie tzw. „japończyki”. Od czasu do czasu woda z sadzawki była spuszczana a wybierane ryby sprzedawaliśmy. Powyżej sadzawki mieściła się tzw. lodownia. Był to dół, w którym przechowywało się pokryty trocinami lód. Po drugiej stronie tego ogrodu, w jego części wschodniej, mieścił się zespół skrzyń inspektowych.

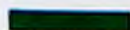
Nasza posiadłość w Janowie



Zabudowa Posiadłości Janowskiej

Legenda

- 1 Stodoła 2- Gnojownik 3- Dwie stajnie i chlew , na piętrze – spichlerz
 4- Mieszkanie fernala 5 - Północny ogród warzywny 6- Willa 7-Oszklona weranda
 5- A- Ule
 8- Klomb 9- Altana 10- Droga Zborów- Janów 11- Wschodni ogród (sad)
 11-A-Droga wewnętrzna
 12 –Podwórze 13- Studnia 14- Gołębnik 15- Południowy ogród warzywny
 16- Inspekty 17- „Lodownia”, pojemnik na lód izolowany trocinami
 18-Sadzawka 19- Rzeczka „Janówka”
 20-Mostek na rzeczce 21- Kierat 22- Brama i furtka 23-Furtka



Trawniki



Alejki



Jarzębiny



Karłowate akacje

Nasza posesja była z zewnątrz otoczona płotem, a jej części oddzielone wewnętrznymi ogrodzeniami.



Bogumil Hetnarski

*Kolorowa i powiększona fotografia naszej willi w Janowie
uzupełniająca jej czarno-białą wersję zamieszczoną w tekście*

Parkan ogrodu kwiatowego miał dwie bramy i furtki. Jedna para wiodła na zewnątrz do drogi łączącej Janów ze Zborowem oraz wiązała nas z naszym ogromnym ogrodem wschodnim (sadem). Naprzeciwko tej bramy „zewnątrznej” była druga, po przeciwnej stronie ogrodu kwiatowego, która prowadziła na podwórze gospodarstwa.

W jego środku mieściła się osłonięta daszkiem studnia z wiadrem przyczepionym do kołowrotu. Obok niej był gołębnik umieszczony na wysokim słupie. Wzdłuż rzeczki, od strony zachodniej podwórza, stała duża stodoła z dwoma wrotami. Prostopadle do niej, po jej prawej stronie, znajdował się podłużny budynek zbudowany z pustaków. Jego lewą część stanowił chlew, w którym hodowano świnię, następnie była obora dla krów, w trzeciej części mieściła się stajnia, w której trzymane były konie i kucyk, którym po osiodłaniu jeździliśmy po wygracowanych alejkach ogrodu kwiatowego (nie wyjeżdżaliśmy nim w pole z obawy wypadku).

W końcu budynku mieściło się mieszkanie rodziny formala, składające się z kuchni i dwu izb. Przez dłuższy czas zamieszkiwała je rodzina Sikorów z dwiema córkami, z których starsza, Janka, była towarzyszką moich zabaw.

Jak wspomniałem, jedno z wyjść z domowego obejścia prowadziło „w pole”, do owocowego ogrodu. Był to bardzo długi pas ziemi, na którym rosły rzadko posadzone drzewa, doskonale odmiany jabłek, głównie renety. Drugą część zajmowały znakomite czereśnie, ogromne, po dojrzaniu prawie czarne, bardzo słodkie. Ta część ogrodu była zazwyczaj sprzedawana sadownikom. Kupowali owoce „na pniu”, doglądali je, a gdy dojrzały zrywali i sprzedawali. My dostawaliśmy tzw. odsyp czyli uzgodnioną ilość dojrzałych owoców do domowej konsumpcji. Poza tym rosły tam również śliwy, damachy i renklody.

Sadownictwo nie było jedynym rodzajem upraw, hodowaliśmy również ziemniaki, zboże, zieloną paszę, kontraktowe buraki cukrowe, itd. Ojciec często stawał w korytarzu na piętrze domu przy oknie wychodzącym na nasz sad i wskazując ręką na rozległy pas zieleni mawiał z uśmiechem „popatrz Boguś, złote jabłko”. Istotnie, to całe gospodarstwo było swego rodzaju złotym jabłkiem.

I pomyśleć, że było zbudowane i rozwinięte przez mojego ojca. Było to jego życie, stanowiło dla niego całą przyjemność i satysfakcję. Był sędzią z zawodu, ale ogrodnikiem z zamiłowania. Zorganizowanie i zbudowanie całego gospodarstwa wymagało ze strony ojca nie tylko dużego wysiłku, ale i znacznego wkładu finansowego.

Poza tym, co opisałem, w skład naszego majątku wchodziły również dwie łąki i staw. Jedna z nich mieściła się na tak zwanym „Solnym”, w dużej odległości od głównego gospodarstwa, druga natomiast znacznie bliżej. Idąc wzdłuż rzeczki, o której wspominałem, zbliżającej się do Solca, ocienionej rosochatymi wierzbami rosnącymi po obu jej stronach, dochodziło się do stawu i otaczającej go łąki. To była nasza własność. Staw częściowo porośnięty tatarakiem i pokryty rzęsą był zarybiony karpiami, które często łapaliśmy na wędkę. Rzeczka po ominięciu stawu płynęła dalej, przed osiągnięciem Solca wpadała do zalewu, nad którym stał młyn. Od strony zalewu dochodziły odgłosy rżenia koni i okrzyki parobków, którzy je myli i poili.

Następnego dnia po przyjeździe na wakacje do Janowa, zazwyczaj budziła mnie powódź światła słonecznego, wpadającego przez okna pokoju sypialnego, znajdującego się na parterze willi. Zrywałem się z łóżka, szybko ubierałem się i pędziłem w pole. Pierwsza istota, która mnie witała był skowronek. Unosił się hen pod niebem, ledwie widoczny punkcik na tle intensywnie niebieskiego firmamentu, wyśpiewywał pokłony wiośnie i witał zbliżające się lato.

Po zjedzeniu śniadania z ojcem i moim bratem, następowały różne czynności w ogrodzie i polu, zależnie od gospodarskich potrzeb i moich planów. Moje zamierzenia i zajęcia zmieniały się w miarę upływu lat i dorostania.

Wakacje spędzaliśmy zazwyczaj bez matki, która pracowała w Stopnicy, również w czasie lata. Ale przyjeżdżała do Janowa autobusem w każdą sobotę po południu. W okresie lata autobusy często kursowały na linii Kielce - Stopnica - Solec Zdrój, z uwagi na napływ kuracjuszy do Solca. Nasze wychodzenia do autobusu po matkę z biegiem czasu stały się rytuałem. W niemal każdą sobotę między 4 a 5 po południu razem z bratem udawaliśmy się na spotkanie matki. Przez łąkę, o której poprzednio wspominałem, wędrowaliśmy w kierunku zabudowań gospodarskich naszego sąsiada Antoniego Warzechy i otaczającego je lasu olszynowego. Omijaliśmy ten kompleks i po miedzy dochodziliśmy do szosy Stopnica - Solec. Tu czekaliśmy na autobus. Tej miedzy nigdy nie zapomnę.

Ponieważ komunikacja nie była punktualna i na autobus ze Stopnicy trzeba było czekać niekiedy dobre pół godziny, zabijałem czas przesiadywania na tej miedzy badaniem jej fauny i flory. Porosła z rzadka trawą, gęsto natomiast macierzanką o delikatnych listkach i filigranowych różowych kwiateczkach, miedza stanowiła swego rodzaju entomologiczny rezerwat. Tu i tam, w cieniu listków macierzanki, przemykały czarne i brą-

zowe mrówki, a cykające koniki polne wielkimi susami przemierzały jej szerokość. Nad miedzą unosiły się liczne owady. Prym wiodły motyle. Łagodnie płasząc przelatywały dostojne admirały i płochliwe bielinki kapustniki. Od czasu do czasu nadlatywały huczące trzmiele w poszukiwaniu nektaru. Najbardziej jednak utkwiła mi w pamięci macierzanka, jej aromatycznego, intensywnego zapachu nigdy nie zapomniałem i po latach gdy miałem ogród w stanie Nowy Jork, w Ameryce, pamiętałem, żeby uprawą macierzanki upamiętnić jej kolonie na warzechowej miedzy.

Wreszcie, mijając ostatnie domy Zborowa, ukazywał się autobus ze Stopnicy, przystawał, matka wysiadła, zazwyczaj obarczona bagażem, zrywaliśmy się, żeby ją przywitać i zabrać pakunki. Udawaliśmy się w drogę powrotną do domu. Wieczorem miała miejsce kolacja urozmaicona przywiezionymi ze Stopnicy wiktuałami.

W niedzielę wyjeżdżaliśmy bryczką na msze do kościoła w Solcu, powoził nasz fernal. Po kościele, jeżeli nie zabraliśmy drugiego śniadania z domu, wstępowaliśmy do sklepu w centrum osady na świeże bułki z własnie ukiszzonymi ogórkami z koprem. Następnie jechaliśmy do źródła.

Przez szeroką bramę wjeżdżało się na jego teren i bitą drogą jechało się w kierunku łązienek. Po jej lewej stronie mieściły się wille dla kuracjuszy, po prawej mijało się szereg ławek ocienionych rozrzuconymi kasztanowcami. U wylotu drogi ukazywał się, jak na dłoni, obraz uzdrowiskowych budowli, otoczonych masą zieleni, mnóstwem rabat z kwiatami oraz dobrze utrzymanymi stawami z zadumanymi wierzbami płaczącymi.

Solec-Zdrój należał do inż. chemika Włodzimierza Daniewskiego. Znałiśmy go dość dobrze. W 1945 r., gdy byłem na progu politechnicznych studiów chemii, pożyczył mi niemieckie wydanie rachunku różniczkowego i całkowitego. Opowiadał mi, że w czasie wojny przerobił powtórnie cały kurs analizy matematycznej. Istotnie, co mógł robić lepszemu intelektualista pokroju Daniewskiego w zimie, w Solcu-Zdroju, odcięty od świata, zakutany w śnieżną oponę.

W niedzielę, gdy rodzice brali kąpiele, często spędzałem czas słuchając muzyki lub z bratem udawaliśmy się do zdrojowego lasu rozciągającego się za łązienkami. Był to duży las, głównie sosnowy, z ustawionymi wzdłuż piaszczystej drogi ławkami zbudowanymi z surowego drewna. Obfitował w poziomki i jeżyny. Zwłaszcza dużo było tych ostatnich, rosły tam ogromne zespoły jeżynowych krzaków obwieszonych czarnymi owocami. Późnym latem i jesienią pełno w nim było grzybów. Prym wiodły maślaki i surojadki, ale zdarzały się również prawdziwki i koźlaki. Wcze-

snym popołudniem wracaliśmy do domu na obiad, który był zazwyczaj podawany na werandzie, oszklonej przybudówce dostawionej do wcześniej zbudowanego domu, nad dachem której znajdował się taras.

Z werandy wchodziło się do mrocznego pokoju stołowego, z którego jedne drzwi wiodły do sypialni, a drugie do kuchni, skąd wychodziło się do sieni. Była ona węzłowym elementem domu. Mieściła schody łączące parter z piętrem. Pod schodami znajdowała się kłapa zamykająca wjazd do piwnicy, w której przechowywano zapasy jedzenia. Była szczególnie użyteczna w lecie. Poza tym w sieni znajdowały się drzwi prowadzące na ganek głównego wejścia.

Obok ganku rosły dwa drzewa akacjowe z kulistymi koronami, jakby dwaj wartownicy w zielonych czapach. Na pierwszym piętrze były trzy pokoiki. Z największego, środkowego, drzwi prowadziły na obszerny taras, pod którego balustradą stały zielono pomalowane skrzynki z różnokolorowymi petuniami. Z tarasu, skierowanego na zachód rozpościerał się rozległy widok na łąkę łączącą nas z Solcem i olszynowy lasek przy gospodarstwie Warzechy z rosnącymi na jego froncie niebotycznymi topolami. Na północy widniały wsie - Zborów, otoczony wieńcem rosochatych wierz i Magierów, pełen różnorodnych drzew owocowych. Mieszkańcami tego pokoju byliśmy obaj z ojcem. Jego łóżko stało w głębi pokoju, koniec mojego niemal dotykał okna wychodzącego na taras. Leżąc wieczorem w łóżku obserwowałem w zapadającym zmierzchu stożki warzechowych topoli wylaniające się z obłoków opadającej na łąkę mgły. Mając ten widok przed oczyma zasypiałem nieskończoną ilość razy, było mi wtedy bardzo dobrze i myślałem, że piękniejszego widoku nigdy, nigdzie nie ujrzę. Pokój po lewej stronie należał do matki, był usytuowany po południowej stronie domu, miał balkon, a jego okna wychodziły na ogród kwiatowy i resztę osiedla. Natomiast w oknach pokoju po prawej, północnej stronie, widniały zarysy Zborowa i Magierowa. Między tą panoramą i naszym domem wiała się droga łącząca Janów z szosą Stopnica - Solec. Na piętrze mieścił się jeszcze foyer z oknami skierowanymi na wschód, z których roztaczał się widok na naszą posiadłość (ogród), pola oraz wieś Włosnowice.

We wczesnym dzieciństwie pobyt na wakacjach obfitował w najrozmaitsze rozrywki i był spędzany na świeżym powietrzu. Jedyne zła pogoda mogła spowodować nasz pobyt w domu. Łowienie ryb na wędkę w sadzawce lub stawie, łapanie ich sitem w rzece za stodołą, stanowiły popularne zajęcia rekreacyjne. Lubilem włóczyć się po polach, godzinami wędrować pomiędzy zbożami, zbierając polne kwiaty: chabry, maki, kąkole i rumianki. Robiłem

z nich bukiety, które suszyłem, ponieważ przez dłuższy czas zajmowałem się przygotowaniem zielnika. Z chabrów próbowałem robić wino.

Ciekawiły mnie kamienie. Okolice Janowa obfitowały w różne ich odmiany, jak granity, piaskowce i inne, były różnych kształtów, kolorów i wielkości. Znaczna ich liczba nosiła odciski muszli płazów żyjących tutaj niegdyś, świadczące o aktywności wulkanicznej tych stron. Od czasu do czasu zdarzały się fragmenty skamieniałych drzew. Pewnego razu ojciec znalazł pokaźną część skamieniałego pnia z doskonale zachowanymi włóknami i pierścieniami jego przekroju. Znaleźisko to podobnie jak książki i różne pamiątki zginęło w wirze burzliwych wydarzeń.

Miałem szczególną predylekcję do obserwowania życia owadów. Z otworów wyborowanych w pniach starych drzew przez szkodniki wydobywałem poczwarki, które położone na wacie w pudełkach okrytych muślinem były źródłem ciem i motyli. Odpowiednio spreparowane i umieszczone w szklanych gablotach stanowiły eksponaty moich entomologicznych zbiorów. Motyle łapałem w siatkę, poza tym produkowałem je od stadium przedpoczwarkowego prowadząc hodowlę gąsienic. Szczególnie interesowałem się pszczołami i trzmielami.

W Janowie mieliśmy kilka pszczelich uli, w których obsłudze braлиśmy wprawdzie udział obaj z ojcem, ale wodzirejem był znajomy pszczelarz. Po większości operacji pszczelarskich byłem dotkliwie pożądlony. Fascynowały mnie trzmiele, jakby z trudem latające olbrzymy, wypełniające powietrze basowym dźwiękiem. Szukałem ich gniazd w przydrożnych rowach i na skraju łąk. Starannie okryte fragmentami mchu, trawy i liści, przycupnięte na zboczach nierówności terenu dla ochrony przed opadami, stanowiły kolekcje małych kubeków wypełnionych miodem. Piło się go za pomocą słomek. Pewnego razu znalazłem duże gniazdo trzmieli na brzegu rowu biegnącego wzdłuż należącego do nas pola. Ojciec zamówił u stolarza mały ul, do którego przenieśliśmy gniazdo. Ul, postawiony na trawniku stanowił pewnego rodzaju ciekawostkę przyciągając uwagę przyjeżdżających do nas gości. Od wczesnego rana wrzał życiem, trzmiele przylatywały i odlatywały. Doświadczenia zebrane w Janowie, nie poszły na marne. Nie zapomniałem o nich przez dziesiątki lat i kiedy, ponad pół wieku później miałem możliwość zorganizowania pasieki w Ameryce, zrobiłem to, żeby jeszcze raz odczuć przyjemność obcowania z tymi niezwykłymi owadami oraz przeżywać napięcia związane z wykonywaniem różnych czynności pszczelarskich.

Zbliżanie się sierpnia zwiastowało nową fazę aktywności mieszkańców Janowa - żniw. W ich pierwszym etapie, w koszeniu, nie braлиśmy

z bratem udziału, natomiast pilnie partycypowaliśmy w wiązaniu snopków, ściąganiu ich w określone miejsca oraz ładowaniu na wóz drabiniasty i zwożeniu. Niezapomniane były owe wjazdy na szczycie wypełnionego snopkami wozu do stodoły.

W naszym gospodarstwie uprawiało się trzy odmiany zbóż: pszenicę, żyto oraz owies, poza tym oczywiście ziemniaki, buraki pastewne i zieloną paszę, jak np. seradełę. Mieliliśmy, jak wspomniałem, dwie łąki, z którymi naturalnie łączyły się sianokosy, przewracanie suszącego się siana i zwożenie go do stodoły. Wszystko to wymagało dużego nakładu pracy, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że również utrzymanie dwu ogrodów warzywnych i dużego ogrodu kwiatowego też wymagało znacznego wysiłku i kosztów. Było nie do pomyślenia, żeby te prace mógł wykonać fornał z naszą pomocą, która szczerze mówiąc była bez większego znaczenia. Trzeba było najmować ludzi do pracy ze wsi, głównie z pobliskich Włosnowic. Przepracowany dzień stanowił dniówkę, z którą wiązała się określona zapłata. W końcu każdego tygodnia w „sezonie”, po zakończeniu pracy „dniówkowcy” gromadzili się w ogrodzie kwiatowym, jeśli pozwalała na to pogoda, ojciec siadał za stołem i zaczynało się rozliczanie.

W ten sposób funkcjonowało nasze gospodarstwo, które matka nazywała „gospoświniarstwem”. Było to kosztowne przedsięwzięcie, zważywszy że ojciec nie miał inklinacji handlowych. Lubił produkować, ale nie sprzedawać. Tym niemniej była to jego pasja.

W początku września wszystkie odmiany zboża były zebrane. Pola, na których łąny zbóż zostały zastąpione przez powierzchnie ściernisk wyglądały raczej smętnie. Zaczynały się podorywki. Jedną z podstawowych upraw - ziemniaki - była jeszcze w ziemi. Kopanie ziemniaków miało miejsce znacznie później, na przełomie września i października.

W końcu sierpnia zaczynał się czas grzybobrania. W soleckim lesie przyzdrojowym zbieraliśmy maślaki, surojadkami nie interesowaliśmy się. W magierowskim lesie należącym do majątku Łaszkiewiczów, z siedzibą w Zborowie, było mnóstwo prawdziwków i koźlaków. W tych lasach zbieraliśmy grzyby podczas pobytu w Janowie. Po powrocie do Stopnicy korzystaliśmy z innych miejsc grzybobrania.

Chyba największą atrakcją jesienną były polowania na kuropatwy. W tym miejscu mała dygresja na temat polowań w naszych stronach. Zasadniczo mieliśmy dwa rodzaje łownej zwierzyny, która była w centrum zainteresowań naszych myśliwych należących do lokalnych kółek myśliwskich. Były nimi kuropatwy i zające. Okres odstrzału kuropatw zaczynał

się na początku września i trwał przez cały miesiąc. Na zające zaczynało się polować w początkach grudnia. Polowano również na dzikie kaczkę, ale raczej sporadycznie. Sarny były rzadkością. Do polowania na zające konieczna była nagonka, zazwyczaj złożona z młodych mieszkańców okolicznych wsi, którzy za opłatą uczestniczyli w niej. Naganiacze tworzyli początkowo jedną linię wraz z ustawionymi w pewnych odstępach myśliwymi. W miarę postępu łowów linia wyginała się, żeby w końcu połączyć się, tworząc tzw. kocioł. Zające zagonione w jego wnętrze były celem myśliwych, znajdujących się na obwodzie kotła.

Polowania na kuropatwy miały charakter indywidualny, polowało się na nie w pojedynkę, wymagały jednak dobrze ułożonego psa myśliwskiego, który „wystawiał” kuropatwy. Gdy poczuł ich obecność stawał, myśliwy, którego pies wyprzedzał, przygotowywał się do strzału, a następnie powoli posuwał się do przodu, gdy tymczasem pies stał nieruchomo. W pewnym momencie kuropatwy nagle zrywały się spod nóg myśliwego, który momentalnie „składał się” i strzelał. Pies, podniecony strzałem, biegł w kierunku spadających ptaków, szukał ich w zaroślach i aportował je.

Mieliśmy bardzo dobrego psa myśliwskiego o historycznym imieniu Tell, z rasy gryfonów. Gdy poczuł obecność kuropatw stawał bez ruchu. Jego krótki ogonek (miał obcięty ogon) ustawiał się prostopadle, ojciec przygotowywał się do strzału i bardzo powoli wyprzedzał Tella. Nagle niemal równocześnie z gwałtownym łomotem skrzydeł zrywającego się do lotu stada, padały strzały oddane z belgijskiej dubeltówki. Tell w podskokach rzucał się w kierunku, w którym odleciały kuropatwy, szukając zabitych i rannych ptaków. Wprawdzie rok szkolny zaczynał się w stopnickiej szkole z początkiem września, jednak ze względu na sezon polowania na kuropatwy, kierownictwo szkoły na prośbę moich rodziców, przedłużało czas moich wakacji o dwa tygodnie.

Udział w tych polowaniach był niezapomnianym przeżyciem. Wczesnie rano wychodziliśmy z ojcem i Tellem w pole. Przejrzałe, wczesnojesienne słońce zalewało potokami światła całą okolicę, jego promienie załamując się w kroplach rosy zabarwiały je kolorami tęczy, upodabniając ziemniaczane bąble do małych choinek obwieszonych świecidełkami. Nasza uwaga koncentrowała się na polach kartofli, albowiem tam kryły się stada kuropatw. Polowanie zazwyczaj zaczynaliśmy od naszych zagonów. Powoli przemierzaliśmy je, od czasu do czasu podnosząc z ziemi doskonale jabłka, spadłe z drzew. Na polach widoczne były stada pasącego się bydła, figurki doglądających je dzieci oraz pasma niebieskawego dymu ścielącego się nad powierzchnią ogołoconych pól. Był to dym z pastuszych ognisk,

w których pieczono ziemniaki. Koło południa wracaliśmy z polowania, ojciec z fuzją, ja z wiązką upolowanych kuropatw i Tell obskakujący mnie i obwąchujący nieżywe ptaki. Na obiad służąca już przygotowała pieczone kuropatwy z kluseczkami i jakąś jarzyną. Lukullusowe przysmaki. Był to koniec wakacji.

Po powrocie do szkoły w Stopnicy, w wolnych chwilach kontynuowaliśmy grzybobraniowe wycieczki do okolicznych lasów. Szczególnie utkwiło mi w pamięci grzybobranie w pewne popołudnie. Był piękny późnowrzesniowy dzień, matka nie miała jakoś wielu pacjentów, jedną czy dwie osoby obecne w poczekalni przesunęła ma inny dzień i zaproponowała, żebyśmy poszli na grzyby. Poszliśmy do wolicckiego lasu. Minęliśmy wieś Źródła, której nazwa pochodzi od licznych studzienek z kryształową wodą bijącą z otaczających ją wzgórz. Po dotarciu do lasu poszliśmy do tej jego części, w której matka uważała, że znajdziemy gąski. Istotnie, nazbieraliśmy dużo grzybów, których kapelusze pokryte były piaskiem i niewidoczne dla zbierającego. Było to niezwykle popołudnie, łagodne, nasycone złotem opadających liści i promieniami słońca. Pamiętam, że Matka nosiła pomarańczowego koloru beret z barwnymi figurami. Coś musiało być niezwykłego w tym popołudniu, ponieważ zapamiętałem je tak wyraźnie i już wtedy zdawałem sobie sprawę z jego szczególnej wartości.

Późną jesienią, w końcu października, uliczki cmentarzy pokrywają się grubą warstwą opadłych liści, a powietrze staje się przesycone delikatnym zapachem ich rozkładu. Zbliża się pora uczczenia zmarłych w ramach uroczystości Wszystkich Świętych i Dnia Zadusz nego. Na kilkanaście dni przed końcem października procesje całych rodzin udają się na cmentarze w celu porządkowania grobów, oczyszczania alejek, innymi słowy celem przygotowania cmentarzy do święta zmarłych. Tak jest i było w miasteczkach i miastach całej Polski, a więc i w Stopnicy, gdzie jak wspomniałem znajdują się dwa cmentarze, stary i nowy. Ten pierwszy, usytuowany w pobliżu miasteczka w okresie święta zmarłych był niemy i cichy, nikt tu nikt nie odwiedzał. Jak wspomniałem był to cmentarz pochodzący z dawnych czasów, założony został w 1786 r. Drugi, nowy, późną jesienią tętnił życiem. Erygowany w 1880 r., był odwiedzany przez wielu stopniczan celem uporządkowania grobów zawierających prochy krewnych, spędzenia przy nich kilku chwil, odświeżając w pamięci szczegóły z ich życia oraz uczczenia ich pacierzem.

Przed dniem Wszystkich Świętych ojciec przygotowywał długą listę tak zwanych „przypominków” złożonych z imion krewnych, których ksiądz

wymieniał z ambony, a zgromadzeni w świątyni wierni włączali w swoje modlitwy. Tę listę zanosiłem do kościoła i wręczałem kościelnemu wraz z datkiem pieniężnym.

W dzień Wszystkich Świętych świece zakwitły płomieniami na grobach. Po południu miała miejsce uroczysta procesja. Wieczorem, cmentarz odcinał się łuną świateł od otaczającego mroku. Podobnie wyglądał Dzień Zaduszny. Lubilem odwiedzać cmentarz w dzień po tych uroczystościach. Cały przepych odświętnych przygotowań zniknął, tu i ówdzie wały się niedopalone świece, jakieś podarte napisy, a nagrobki były pozalwane staryną. Był to obraz zaniedbanej sceny teatralnej po mozolnie przygotowanym spektaklu, albo nieuprzątniętej sali bankietowej po odejściu gości. Po pewnym czasie nieporządek zniknął. Odwiedzający odeszli do swoich spraw i problemów, do świata żywych, natomiast zmarli pozostawali w swojej wiecznej rezydencji. Będą odwiedzani ponownie za rok. W międzyczasie podzieliła się miejscem z nowo zmarłymi. Kiedyś, było to chyba w czasie wojny, odkryłem napis na jednym z nagrobków stopnickiego cmentarza, który zadziwił mnie lapidarnym sformułowaniem: „kim wy jesteście, my byliśmy, kim my jesteście, wy będziecie”. Po latach okazało się, że napis ten nie był oryginalny, ponieważ na Powązkowskim Cmentarzu w Warszawie znalazłem podobny.

Zima za pasem, kiedy spadnie śnieg? Czy św. Marcin przyjedzie na białym koniu 11 listopada i okryje białym całunem całe miasteczko? Czasem tak się istotnie zdarzało, częściej jednak jesień przedłużała swój pobyt, z późnej stawała się bardzo późną, żeby w końcu listopada zamienić się w zimę. Okres Bożego Narodzenia zaczynał się w zasadzie 6 grudnia, zainicjowany przez wizyty św. Mikołaja, oczekiwane przez dzieci z drżeniem serca. W wigilie jego wizyt próbowało się zgadnąć jakie podarunki przyniesie. Ranek dawał odpowiedź na te pytania. Rodzaj podarunków ulegał ewolucji. Początkowo, przed osiągnięciem wieku szkolnego, składały się ze słodczy i zabawek, później były książki. W miarę upływu czasu charakter książek ulegał zmianie, stawały się coraz bardziej „dorosłe”. Gdy byłem już starszy i wiedziałem, że św. Mikołajem byli rodzice, niekiedy nie zadowalały mnie podarunki, rodzaj książek czy łakoci i dawałem temu wyraz wylewając żółć niechęci do wychowawczyń czy służących. Byłem z natury malkontentem, ojciec stwierdzał to niejednokrotnie. Sądzę, że miał rację.

Św. Mikołaj nie ograniczał się do nocnych wizyt, występował również wobec licznej widowni, w ramach imprez rozdawania podarunków,

organizowanych zarówno w ochronce prowadzonej przez siostry zakonne, kanoniczki od Świętego Ducha, do której uczęszczałem w okresie przedszkolnym, jak również później, w szkole podstawowej. Adventowy charakter grudnia był podkreślany przez głos sygnaturki wzywającej mieszkańców wcześniej rano na rołaty, gdy miasteczko nie zdążyło pozbyć się jeszcze mroków nocnych. Sama uroczystość zaczynająca się od słów: „Rotate caeli...”, jak i wczesna pora jej celebrowania stwarzały niejako mistyczny nastrój oczekiwania.

Choinka przybywała do naszego domu na kilka dni przed Wigilią. Ustawiona na krzyżakach w stołowym pokoju sięgała sufitu i wypełniała mieszkanie aromatycznym, świerkowym zapachem. Początkowo ubierał ją ojciec, później obaj z bratem pomagaliśmy mu w tej czynności. Duża ilość bombek różnych kształtów i kolorów, zawieszanych na drzewku była uzupełniana mnóstwem słodyczy przeznaczonych do konsumpcji. Poza tym zawieszaliśmy również orzechy laskowe i włoskie, przyczepione lakiem do długich nici, które owijały choinkę jak naszyjniki, a koła fig, przyczepiane do gałązek za pomocą drucików względnie nitki, zwisały jak ogromne kolczyki. W Stopnicy nie było elektryczności w okresie międzywojennym, w związku z tym drzewko było iluminowane różnokolorowymi świeczkami woskowymi wetkniętymi w blaszane lichtarzyki przytwierdzone do gałęzi za pomocą sprężynek. Obok świeczek wisały również zimne ognie. Cała choinka była spowita srebrzystymi i złocistymi łańcuchami szychowymi oraz zamglona przez tzw. anielskie włosy. Szczyt drzewka wieńczyła gwiazda betlejemka. Gdy świeczki zostały zapalone w dzień Wigilii, cała choinka zabłysła różnokolorowym blaskiem dzięki płomynom odbijającym się od bombek.

Matka prosiła nas, żebyśmy wyszli na chwilę, ponieważ św. Mikołaj był oczekiwany lada moment, a chciałby uniknąć spotkania z nami, ponieważ bardzo się śpieszy. Gdyby nas spotkał musiałby spędzić z nami pewien czas, a na to święty nie może sobie pozwolić w wigilijny wieczór. Wkrótce służąca poprosiła nas, żebyśmy weszli do pokoju stołowego, ponieważ święty już był, zostawił podarunki i opuścił mieszkanie. Wchodzimy, istotnie, pod choinką czekają na nas paczki i paczuszki. Rzucamy się żeby zobaczyć co zawierają, ale zaczyna się kolacja i musimy odpakowywanie podarunków odłożyć na później.

Dzielimy się oplatkiem z rodzicami, składamy sobie życzenia i przystępujemy do rytuału wigilijnej kolacji, której menu w ciągu lat pozostało niezmiennie. Zaczyna się od śledzia z chlebem, następne danie to barszczyk z czerwonych buraków z uszkami nadziewanymi grzybami, potem

karp smażony i gotowany z chrzanem oraz chlebem lub bułką, wreszcie kompot z suszonych śliwek z ciastem. Po kolacji kończymy oglądanie podarunków. Oczywiście, choinka cały czas zalewała powodzią światel stolarowy pokój. Siadaliśmy wokół niej i śpiewaliśmy kolędy. Pierwsza zaczynała się od słów „Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...”, ojciec ją bardzo lubił. Później następowały inne, trwało to do późnych godzin wieczornych. Śpiewanie przerywane było zapalaniem zimnych ogni wybuchających kaskadą srebrzysto-złoty iskier.

Na pasterkę zazwyczaj nie chodziliśmy, rodzice uważali, że to dla nas za późno. Wigilia Świąt Bożego Narodzenia była chyba najważniejszym świętem rodzinnym celebrowanym przez rodziny katolickie w całej Polsce. Uświęcona tradycją, wpojona od najmłodszych lat, stała się wydarzeniem, w czasie którego rozrzuceni po świecie członkowie rodzin chcieli być razem. Gdy się zbliżała, trud i odległość nie były przeszkodą w dążeniu do znalezienia się w kręgu rodzinnym w ten szczególny i jedyny wieczór w całym roku. Gdy ktoś był nieobecny, krzesło przy wigilijnym stole było puste.

Pamiętam pewną wigilię, w czasie której nie było ojca, podróżował. Zima była szczególnie ostra, nadmierne opady śnieżne stały się przyczyną zasp hamujących ruch pociągów i autobusów. Nie mógł wrócić na czas. Nastrój wieczoru wigilijnego został zniszczony, zabrakło ciepła rodzinnego i klimat tego święta był jedynie imitacją tego, co się odczuwało w inne lata, gdy byli obecni wszyscy członkowie najbliższej rodziny. Ojciec wrócił późno, tym niemniej czar wieczoru został zaprzepaszczone. Uroczysty charakter okresu świątecznego był podkreślany przez choinkę, której ozdoby w czasie dnia błyszczały w promieniach wpadającego przez okna słońca, a wieczorami w świetle płomyczków kolorowych świeczek.

Pierwszego dnia świąt, po śniadaniu, wizycie w kościele, spacerze oraz wczesnym obiedzie, był czas na życie towarzyskie. Udawaliśmy się do jednej z zaprzyjaźnionych rodzin, albo odwrotnie, my podejmowaliśmy naszych przyjaciół kolacją. Podobny rytuał obowiązywał drugiego dnia świąt.

Czas między świętami a Nowym Rokiem był czymś w rodzaju półwakacji, życie płynęło na zwolnionych obrotach. W tym międzyświątecznym okresie młodzież intensywnie uprawiała sporty zimowe. Na łąkach jeździło się na stawie znajdującym się naprzeciwko starego młyna, u stóp podgórza kościelnego. Łyżwiarstwo stanowiło sport elitarny. Narciarstwo było, praktycznie nieznane, mimo że faliste, pagórkowate tereny otaczające Stopnicę nadawały się i zachęcały do jego uprawiania. Czynnikiem utrud-

niającym uprawianie narciarstwa był brak niezbędnego sprzętu. Pospolicie uprawianym sportem było saneczkowanie. Istniało kilka torów saneczkowych, zarówno w centrum miasteczka, jak i na jego przedmieściach. Były one masowo odwiedzane przez młodzież. Uliczkami miasta przesuwali się powoli konne sanie, dźwięczące dzwoneczkami, a chodniki wypełniali uczniowie miejscowych szkół, powszechnej i zawodowej oraz studenci spędzający ferie w rodzinnych domach.

Zasadniczy okres świąteczny zapoczątkowywała Wigilia, a kończył Nowy Rok poprzedzany przez uroczystości Sylwestra czyli wigilii noworocznej. Ścisłe mówiąc za koniec Świąt Bożego Narodzenia przyjmuje się datę 6 stycznia (Trzech Króli), po której zazwyczaj rozbierało się choinki, ale świąteczny nastrój kończył się noworoczną uroczystością. Sylwestrowy wieczór obchodzono hucznie.

Stary rok żegnany był balem, w którym uczestniczyła cała stopnicka inteligencja. Urządzany był w kazimierzowskim pałacu, w którym za moich młodych lat mieściło się gimnazjum, a później pobierały tam naukę starsze roczniki szkoły powszechnej. Nigdy nie brałem udziału w tym balu, z którego moi rodzice przychodzili nad ranem, zazwyczaj znużeni, ale równocześnie zadowoleni. Noworoczny obiad spożywaliśmy w otoczeniu najbliższej rodziny.

1 a. *Nasze życie towarzyskie*

Jego najbardziej frenetycznym okresem był czas obejmujący Święta Bożego Narodzenia i Święta Wielkanocne. Spędzaliśmy je razem z rodzinami Komoniewskich, Paślawskich i Reinsteinów. Od czasu do czasu wyjeżdżaliśmy w czasie Świąt Wielkanocnych na plebanię do Świniar, koło Solca-Zdroju, gdzie proboszczem był ks. Bronisław Rajchel, siostrzeniec mojego ojca. Moja stryjenka, a jego matka prowadziła gospodarstwo na plebani w czym służyła pomocą siostra księdza, stara panna. Rajchel odwiedzał nas również w Stopnicy i Janowie. Był zwykle w dobrym humorze i wprowadzał pogodny nastrój.

Z nastaniem wiosny, życie towarzyskie przesuwało się na zewnątrz domu i koncentrowało na spacerach. Naszymi częstymi towarzyszami w tym względzie byli doktorostwo Piaseczyńscy. Ojciec rodziny był ordynatorem miejskiego szpitala, poza tym prowadził prywatną praktykę lekarską. Góra So-



Ksiądz Bronisław Rajchel

lecka stanowiła cel naszej częstej marszruty. Pociągały nas piękne widoki widziane z jej szczytu. Piaseczyńscy mieszkali niemal u jej podnóża. Niekiedy wędrowaliśmy do klasztoru i spacerowaliśmy wokół jego murów, w cieniu prastarych lip. Nie unikaliśmy, oczywiście, ogrodu klasztornego, pociągał nas jego dostojny spokój. Stopnica nie miała desygnowanego miejsca do spacerów, czyli nie było parku. Mój ojciec, będąc członkiem stopnickiej rady gminnej, ilekroć brał udział w jej posiedzeniach stawiał wniosek o zorganizowanie parku na błoniach położonych wzdłuż rzeczki Stopniczanki i sięgających do przysiółka Źródła. Gdy ojciec był obecny na posiedzeniach, wniosek przechodził, później, w czasie jego nieobecności, był obalany. W rezultacie nie został zrealizowany.

Inna grupa naszych znajomych odwiedzała nas, wpadając popołudniami na herbatę. Do nich należała Janeczka Piaseczyńska, żona dra Piaseczyńskiego, moja matka chrzestna. Zwykle przychodziła bez męża. Niekiedy zdradzała sekrety ich domu i tak opowiedziała historię wycieczki do Warszawy nowo kupionym samochodem doktora. Ofiarami tej eskapady były zabite kury, kaczki i gęsi a nawet cielak. Piaseczyński nie miał wprawy w prowadzeniu samochodu. Komizm tej historii był nadzwyczajny. Na szczęście cało wrócili z tej wyprawy do domu. Opowiadała również o wskazówkach, które doktor dawał kucharce, co i jak gotować, żeby podnieść zdrowotność posiłków.

Do naszych częstych gości należał Henryk Sławiński, stary kawaler, założyciel stopnickiego Składu Aptecznego, który swego czasu wraz z siostrą przybył do Stopnicy z Lublina. Był chory na astmę i zmarł w 1935 roku.

Chcę tu wspomnieć rodzinę Szpigłów, którzy dzierżawili od rządu folwark Podzamcze położony w przysiółku Wolica, graniczącym ze Stopnicą. Utrzymywaliśmy z nimi stosunki towarzyskie w późnych latach 20. Józef Szpigiel znał świat i ludzi, był człowiekiem bywałym, zamożnym i ciekawym. Wpadał do nas od czasu do czasu na herbatę po południu, zwykle sam. Interesował się paranormalnymi zjawiskami psychicznymi. Pamiętam, że gdy szkoła powszechna zorganizowała w pałacu bal maskowy dla dzieci przysłał po mnie powóz ze swojego majątku, który zabrał mnie na bal, a następnie po jego zakończeniu odwiózł z powrotem do domu. Szpigiel był osobistością znaną na terenie Stopnicy. Wspomnę tutaj pewne wydarzenie, którego go spopularyzowało.

W początku I wojny światowej, wojskowe władze rosyjskie aresztowały grupę stopniczan i Szpigła na podstawie donosu, pod zarzutem popierania legionów i ich organizatora Józefa Piłsudskiego. Na tych terenach obowiązywał stan wojenny i sprawa mogła być rozpatrywana przez sąd polowy, który często wydawał wyroki śmierci. Wtedy żona Szpigła pojechała do generała Kozaków, stacjonującego w Solcu (obecnie Solec-Zdrój) i wyjednała zwolnienie aresztowanych.

Wg informacji uzyskanych dzięki poszukiwaniu mgra Krzysztofa Wołoszynowskiego, Józef Szpigiel urodził się w 1863 r. we wsi Kamienica Polska k. Częstochowy, zmarł 23 sierpnia 1931 r., zostawił żonę Leonie i syna Henryka Stanisława, warszawskiego dziennikarza.

Ojciec Wołoszynowskiego ułatwił mi dostanie się do Korpusu Kadetów we Lwowie w 1938 r. (piszę o tym poniżej), a on dostarcza mi, już trzeci raz, trudno dostępnych danych biograficznych dotyczących osób, o których mówię. Jestem mu podwójnie zobowiązany.

W późniejszych latach 30. nawiązaliśmy towarzyskie stosunki z rodziną Gromadzkich. Tomasz Gromadzki był kierownikiem szkoły powszechnej, to nazwisko kilkakrotnie występuje w moich pamiętnikach.

Od czasu do czasu zachodzili do nas księża z fary, jak np. ksiądz kanonik Franciszek Wilczyński, mój chrzestny ojciec, czy proboszcz ks. Antoni Kuczyński lub wikarzy, którzy jak ks. Tomal, byli pojedynczymi gośćmi w czasie Świąt Wielkanocnych. Przychodzili w towarzystwie ministranta, żeby pobłogosławić święcone i zostawali na podwieczorku złożonym z ciasta, wina i herbaty.

Wymieniam tu tylko ludzi, z którymi kontakty utrzymywaliśmy przez dłuższy czas. Mieliśmy również innych gości, z którymi spotkania miały miejsce sporadycznie, nie poświęcam im tutaj miejsca. Jak widać z powyższego opisu towarzyskie życie w Stopnicy było raczej ubogie, ale istniało cały rok.

1 b. Stopnickie tragedie

Opisując historię naszego miasta nie wspomniałem o życiu jeszcze innego rodzaju, prywatnym, rodzinnym, chronionym przed publicznym okiem. Niekiedy kurtyna zakrywająca je bywała zrywana w wyniku niedyskrecji członków rodziny, lub utraty kontroli nad jego przebiegiem w wyniku wewnętrznych napięć i namiętności. Znam dwa wypadki, w których wewnętrzne konflikty skończyły się tragicznie.

Jeden wydarzył się w czasie I wojny światowej, w trakcie okupowania Stopnicy przez wojska austriackie. Było to zabójstwo mężczyzny dokonane przez jego żonę i kochanka. Sprawę prowadził austriacki sąd polowy, który skazał ich na karę śmierci. Wyrok został wykonany w wąwozie, po wschodniej stronie Góry Soleckiej. Mój ojciec był świadkiem egzekucji i opowiadał mi jej szczegóły. Po salwie egzekucyjnej kobieta jeszcze żyła i sierżant austriacki uśmiercił ją rewolwerowym strzałem. Na miejscu egzekucji postawiono krzyż, który przypominał mi o tej tragedii ilekroć chodziłem tam zbierać kasztany czy jeździć na sankach.

Inna tragedia miała miejsce w 1938 roku. Dotyczyła rodziny Dłuskich, składającej się z małżeństwa i dwojga dzieci. Stefan Dłuski był kierownikiem Spółdzielni Rolniczo-Handlowej w Stopnicy. Zarówno spółdzielnia jak i mieszkanie kierownika mieściły się w pałacu kazimierzowskim, pomieszczenia spółdzielni na parterze, a apartament Dłuskich na piętrze. Kierownik był przystojnym mężczyzną, znanym w mieście. Jak donosiły późniejsze plotki, lubił kobiety, na co żona, Maria, patrzyła krzywym okiem. Niewątpliwie, ten problem był przedmiotem domowych scysji i urósł z czasem do takiej rangi, że byle wydarzenie związane z tą sprawą mogło spowodować tragiczne konsekwencje. Jak słyszałem, przypadkowa konwersacja w obecności żony Dłuskiego na temat innego, towarzyskiego spotkania z udziałem jej męża i atrakcyjnych kobiet, rozżarzyła zazdrość Dłuskiej i stała się bezpośrednią przyczyną tragedii rodziny. Gdy kilka dni

później Dłuski wrócił późno do domu, żona wyjęła zza stanika rewolwer i zaczęła do niego strzelać. Raniony mąż wybiegł na balkon wołając o pomoc. Tragedia miała miejsce 16 sierpnia 1938 roku, o godz. 2 nad ranem. Tej samej nocy jego żona popełniła samobójstwo. Osierocili dwoje dzieci. Szczegóły tej relacji pochodzą od Eugeniusza Grzyła, organisty stopnickiego kościoła oraz od Ignasiowej, kobiety, która była gosposią u Dłuskich, a później pracowała w tym samym charakterze w naszym domu. Historia ta wstrząsnęła Stopnicą.

2. Sprawy rodzinne

2 a. Moi rodzice

Z tego, co dotąd napisałem można by sądzić, że wszystko w moim dawnym życiu było pogodne, przesycone różową poświatą zadowolenia. Niestety, tak nie było. Pochodzę z mieszanego małżeństwa. Moja matka była warszawianką pochodzenia żydowskiego, wywodziła się z kompletnej zasymilowanej inteligenckiej rodziny. Skończyła stomatologię, przyjechała do Stopnicy i zaczęła pracować jako lekarz dentysta. Mój ojciec był sędzią grodzkim w Stopnicy. Po pewnym czasie znajomości z matką oświadczył się. Matka starała się wyperswadować mu pomysł tego rodzaju maria-



Jan i Izabela Hetnarscy. Moi rodzice

zu, zwracając uwagę na trudności i komplikacje towarzyszące życiu mieszanego małżeństwa, ale ojciec nie ustawał w perswazjach, pomniejszał trudności i bagatelizował zastrzeżenia. Matka, po dłuższych naleganiach ojca, zgodziła się na małżeństwo. Po okresie nauki religii katolickiej u sióstr zakonnych w jednym z podkieleckich klasztorów, przyjęła chrzest. Moi rodzice pobrali się w kościele na Karczówce, miejscowości położonej w pobliżu Kielc i w 1923 r. osiedlili się w Stopnicy. Ponieważ konsekwencje ich decyzji miały przemożny wpływ na nasze koleje losu, poświęcam im nieco uwagi. Dla zrozumienia jak ich dzieci będą się czuły w tym małomiasteczkowym środowisku, trzeba zdać sobie sprawę z tego, że mieszkańcy Stopnicy byli w przeważającej większości ortodoksyjnymi Żydami. Katolicy stanowili mniejszość. Współistnienie tych dwu środowisk można porównać do mieszaniny oleju i wody, która mieszana w dniu powszednim w wyniku kontaktów usługowo-handlowych, tworzy zawiesinę jednego elementu w drugim, jednak pozostawiona w spokoju, w czasie weekendów, powraca do układu początkowych dwu faz.

My, oczywiście należeliśmy do fazy katolickiej, która była antysemitcka, utrzymywaliśmy stosunki towarzyskie z jej członkami oraz z księżmi, zarówno z fary jak i klasztoru. A jednak.... Kiedys, przy jakiejś okazji, matka powiedziała mi z goryczą „Boguś, gdybyś ty wiedział, ile ja zniosłam upokorzeń!”. Sądzę, że miała na myśli katolików. Żydowskie pochodzenie mojej matki było moim przysłowiowym garbem. Kamienie obelg nie były mi obce, a ponieważ ich źródłem były obie frakcje tego oryginalnego systemu społecznego sądzą, że przejściowo byłem uplasywany jakby na pograniczu obu faz. A co mój brat Rysiek, cztery lata młodszy ode mnie? Sądzę, że odczuwał to samo. Był zawsze małomówny i zamknięty w sobie.

Byłem ogromnie kochany przez rodziców i ja również bardzo ich kochałem oraz byłem do nich bardzo przywiązany. Tym niemniej stosunki między moimi rodzicami nie były dobre, było to małżeństwo mniej niż udane. Pochodzili z różnych środowisk, mieli odmienne usposobienia i zainteresowania.

Matka, jak wspomniałem, warszawianka, przyjechała do małego miasteczka ze względu na lepsze warunki finansowe w porównaniu z tymi, które miałyby mieszkając i pracując w Warszawie. Była niezwykle pracowita i zaradna. Był czas, że prowadziła trzy gabinety dentystyczne, ze względu na to, że w najbliższej okolicy nie było lekarzy dentystów. Tak więc, w pewne dni tygodnia ordynowała poza Stopnicą, w Pacanowie,

a w letnie soboty, gdy w Solcu-Zdroju była pełnia sezonu leczniczego, przyjmowała również tam pacjentów, łącząc tę pracę z niedzielnym pobytym w Janowie. Przy swoim stopnickim gabinecie zorganizowała techniczne laboratorium produkujące sztuczne części uzębienia, jak koronki, mostki i protezy.

Była najlepszą matką pod słońcem. Ponieważ pracowała zawodowo, celem zapewnienia swoim synom dobrej opieki, angażowała wychowawczynię, absolwentkę seminariów nauczycielskich, które mieszkały u nas w domu i zajmowały się nami. Matka okazała niesłychaną odwagę, prowadząc w czasie wojny gabinet dentystyczny, przyjmując pacjentów ze Stopnicy i okolic, nawet w okresie maksymalnego nasilenia terroru niemieckiego po wysiedleniu Żydów. Gdyby ktoś złożył doniesienie do władz niemieckich dotyczące jej pochodzenia, nasza egzystencja znalazłaby tragiczny epilog. Jeden z pracowników tajnej policji z Buska, gdzie mieszcili się niemieckie władze powiatowe, znajomy ojca z dawnych czasów, powiedział mu, że dopóki takiego oskarżenia nie ma, żadne kroki przeciwko nam nie będą wdrożone. Nawiasem mówiąc, Niemcy znali sprawę mojej matki, ale bez oficjalnego donosu nie chcieli podejmować żadnych akcji. Brak „donosowej” okoliczności stanowi również pochwałę polskiego społeczeństwa, którego antysemickie nastawienie nie było tajemnicą. Należy zdać sobie sprawę z tego, że był to czas pogardy, kiedy niesnaski między członkami najbliższej rodziny znajdowały niekiedy rozwiązanie w Gestapo.

Matka, pracując w tym ogromnie niebezpiecznym układzie stosunków, zapewniła naszej rodzinie warunki normalnej egzystencji (ojciec nie pracował), a mnie i bratu możliwość nauki. Starła się pomóc swojej rodzinie w Warszawie, a nawet okresowo, przyjęła niektórych jej członków do nas, mimo że sama była zagrożona. Była niezwykle dzielna i oddana nam, kiedy bez rozpacz, raczej z pogodną twarzą pogodziła się z losem, w czasie naszej emigracji, a później umierała sama w nieobecności kogokolwiek bliskiego. Po prostu trudno wyliczyć wszystkie przykłady jej samozaparcia i poświęcenia dla członków rodziny. Chcąc przeniknąć kurtynę teraźniejszości i spojrzeć w przyszłość, milcząc patrzyła na mnie badawczo, zwłaszcza gdy perorowałem na jakiś temat. Jej oczy spoczywały na mojej twarzy, a pofałdowane czoło świadczyło o zamyśleniu.

Moja matka była uosobieniem życia. Była niezwykle energiczna, szybka, zmartwieniami starła się nie przejmować. Zwykle nucila różne piosenki, pamiętam fragmenty trzech: „Znam uliczkę w Barcelonie pachnącą kwiatem jabłoni....”, „Warszawa w kwiatkach...” oraz „Wyszedł żuczek na

słoneczko w czerwonym płaszczyku...”. Wyznawała zasadę, że kiedy praca to praca, a później rozrywka.

Ojciec był inny, raczej mało mówny, bardzo pracowity i niezwykle sumienny, powolniejszy niż matka. Pracował wiele lat w sądzie. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę, sądownictwo odczuwało brak sędziów. Ojciec, będąc doświadczonym pracownikiem sądowym został powołany przez Ministerstwo Sprawiedliwości na stanowisko sędziego grodzkiego w Stopnicy i sprawował tę funkcję przez około 15 lat. Jak wspomniałem był bardzo sumienny, wyroki wydawane przez niego, jeśli apelowane, z reguły były zatwierdzane przez Sąd Wojewódzki. Bardzo dużo pracował pisząc orzeczenia sądowe po nocach. Przy tej pracy palił dużo papierosów. „Widzę” go, jakby to było wczoraj, zapalającego papierosy ponad szkłem lampy naftowej. Po jego odejściu na emeryturę dwu sędziów wykonywało pracę, którą on robił w pojedynkę. Swoją pracą zyskał sobie uznanie otoczenia i nie miał wrogów. Był to jeden z elementów, które przyczyniły się do tego, że w czasie wojny, gdy śmierć groziła matce i nam, nikt nas nie zadenuncjował. To była zapłata za jego służbę.

Ojciec lubił pracę zawodową, ale jego umiłowaniem było rolnictwo. W nasz majątek w Janowie wkładał duszę i pieniądze. W lecie, gdy matka wyjeżdżała do Krynicy, on udawał się do Janowa. Matka uważała, że jeżeli wkłada się w coś pieniądze to powinny się zwrócić z nawiązką. Według ojca, pieniądze inwestowane w gospodarstwo zwracają się w postaci korzystania z niego i posiadania go. Te różnice były przedmiotem nieustannych scysji. Nie były to jedyne powody niesnasek domowych. Nie chcę tutaj roztrząsać tych spraw.

Poza gospodarstwem mój ojciec miał jeszcze jedno hobby - lubił namiętnie polować. Polował na kuropatwy, zające i kaczki. Pochodził z okolic Olkusza, gdzie dziadek był właścicielem młyna. Dziadek był amatorem ornitologiem, kochał ptaki, umiał je naśladować i wabić. Był w tym mistrzem. Ojciec wyniósł z domu rodzinnego miłość do przyrody, zawsze trzymał psy i ptaki. Przed małżeństwem miał w swoim mieszkaniu oswojonego gawrona.

Różnice między moimi rodzicami były istotne, napięcia częste i długotrwałe, milczenia pospolite, nierzadko zdarzały się też kłótnie. Te epizody działały na mnie przygnębiająco. Lubiłem, gdy w domu panowała pogoda, a nie burzowa atmosfera.

W miarę upływu lat różnice między moimi rodzicami pogłębiały się, ojciec czuł się izolowany, zwłaszcza, gdy po studiach opuściliśmy dom

rodzinny. Sądzę, że był nieszczęśliwy. Zmarł w wieku 82 lat na wylew krwi do mózgu. W tym miejscu ciśnie mi się na usta pytanie, jaka była przyczyna tych zadrażeń? Przede wszystkim niedoceniaenie. Sądzę, że matka nie doceniała ojca, może zaczęła go docenić, ale wtedy, gdy już go nie było. Druga sprawa, która wchodziła w grę to znaczna różnica wieku, matka była młodsza o 9 lat.

2 b. Rodzina mojej matki

Matka utrzymywała bliskie stosunki ze swoją rodziną, która w większości mieszkała w Warszawie. Podobnie, jak okazała się nadzwyczajną matką, była również doskonałą córką. Kochała ogromnie swoich rodziców. Jej ojciec był pracownikiem ubezpieczalni, zmarł z końcem lat 20. Pamiętam do dziś ten wieczór, w którym otrzymała żałobną depeszę. Była przepelniona rozpaczą.

Mama przywoziła swoją matkę, naszą babcię, do Stopnicy, gdzie przebywała z nami przez kilka miesięcy w roku. Sporo czasu spędzała w Janowie. Brała siarczano-słone kąpiele w Solcu-Zdroju, cierpiała na przewlekły reumatyzm i miała stale zabandażowane kolana. Pamiętam, że często nuciła „Piosenkę pijaka”, zaczynając się od słów: „Wiatr za oknami śmieje się, psiakrew to życie takie złe...”

Warszawska rodzina mojej matki, mieszkająca w 3-pokojowym mieszkaniu przy ul. Leszno, składała się z jej siostry (mojej ciotki), również lekarza dentysty, szwagra, znanego lekarza pediatry, Adolfa Szpinaka, naszej babci i siostrzeńca Jurka, którego hobby w latach międzywojennych była geografia. Podczas wojny Jurek spędził z nami w Stopnicy około roku, przerabiając kurs gimnazjalny na tajnych kompletach.

W Warszawie, ale pod innym adresem, mieszkał młodszy brat mamy, Henryk Manblit, z żoną i synkiem Luciem. Był inżynierem elektrykiem. Zginął w kwietniu 1943 r. w getcie, walcząc na jego barykadach jako żołnierz Żydowskiej Organizacji Bojowej (ŻOB), jego najbliższa rodzina również zginęła. Pamiętam, że kiedy te wydarzenia miały miejsce, odwiedził nas ks. Bronisław Rajchel, mama ze łzami w oczach opowiadała mu, że jej brat bierze udział w walkach ulicznych z Niemcami w Warszawie, ksiądz, po wyrazach współczucia powiedział wtedy: „twój brat jest bohaterem”.

Poza Warszawą mieszkał drugi brat mamy, Arnold, lekarz. Pracował w Działoszynie, zginął również na ulicy warszawskiego getta. Nie zatrzymał się na wołanie Niemca, który następnie strzelił, raniąc śmiertelnie Arnolda.

Przed wojną, matka odwiedzała swoją rodzinę rokrocznie, często zabierając mnie ze sobą. W czasie wojny, ojciec zastąpił matkę w wyjazdach do Warszawy, odwiedzał jej krewnych zaopatrując ich w pieniądze.

2 c. Mój brat

Miałem tylko jednego brata, Ryszarda Bożysława, „Ryska”, urodzonego 31 maja 1928 r. w Stopnicy, podobnie jak ja, w domu Stelmaszyńskiego przy ul. Soleckiej. Poświęcam mu kilka wspomnień z naszej wczesnej młodości. Rysiek w najwcześniejszych latach swego życia nazywany był również „Ućkiem”, ze względu na sposób wymawiania swojego imienia.

Już w tamtych latach uwydatniały się pewne cechy jego charakteru, widoczne przez całe życie. Małomówność i tajemniczość czy też skrytość doszły do głosu wcześniej. Również zalety innych cech, jak zapobiegliwości materialnej, dały się poznać już wtedy. Miał zabawki, z których szczególnie cenny był dla niego trójkołowy rowerek. Stanowił on przedmiot zazdrości dzieci sąsiadów. Gdy myślę o tych czasach, natychmiast przypominają mi się jego nawoływania, skierowane do amatorów korzystania z pojazdu: „nie rusz, to moje!”.

Często popołudniami prowadził rozmowy z ojcem na temat budowy jakichś nadzwyczajnych willi. Spra-



*Mój brat w początku lat 40.,
u progu nauki gimnazjalnej
na tajnych kompletach*

wy finansowe zawsze były mu bliskie. Pewnego razu poprosił ojca o pożyczkę pewnej sumy na weksel. Tatuś skwapliwie się zgodził, podpisał weksel i wręczył go Ryškowi, który po starannym przeczytania dokumentu poprosił o wyjaśnienie dlaczego ojciec podpisał weksel jako Jan Niewiadomy. Posady naszego mieszkania zatrzęsły się od śmiechu.

W czasie okupacji marzył o rozprawdaniu drobnych towarów, jak czekoladki czy papierosy, z pomocą młodych sprzedawców.

Był na pewno bardzo zdolny. Wśród zatrudnianych przez matkę nauczycieli, którzy mieli dokształcać nas w domu był m.in. Eugeniusz Klewowski. Zajmował się nami, gdy mieszkaliśmy w domu Filipowicza. Dawał nam testy na inteligencję, z których wynikało, że Rysiek odznaczał się znacznie wyższym poziomem inteligencji niż większość dzieci w jego wieku. Te wyniki potwierdziła jego późniejsza kariera życiowa. Mój brat uważany był za „łatwe dziecko”, z którym nie było kłopotów, często mówiło się o tym w naszym domu. Nawet nie wiem, kiedy skończył szkołę powszechną. Jego osiągnięcia i trudności nie stanowiły przedmiotu rozmów. Prowadzone ostatnio z nim rozmowy na temat przeszłości przekonały mnie, że i on doskonale pamięta szczegóły minionych lat. Jestem pewien, że po swojemu przeżywał wszystko w skrytości ducha.

Podobnie jak nauka w szkole powszechniej, minęły jego lata gimnazjalne. Gimnazjum zaczął na tajnych kompletach w czasie wojny. Następnie, po wojnie, program licealny przerabiał w buskim gimnazjum. Tak się szczęśliwie złożyło, że nasi rodzice mieszkali wtedy w Busku-Zdroju i Rysiek nie musiał dojeżdżać do szkoły. Gładko uzyskał patent maturalny. Następnie, również bez kłopotu, dostał się na wydział mechaniczny Politechniki Gdańskiej, który ukończył po sześciu latach. Wszystko szło jak z płatka, dopóki życie miało charakter jednotorowy, a możliwości wyboru właściwej drogi postępowania były ograniczone. Na trudności i kontrowersje natknął się już w końcowej fazie pobytu w Gdańsku oraz później, kiedy skomplikowane problemy życiowe wymagały podejmowania niekiedy bolesnych decyzji. 17-letni okres życia mojego brata, od ukończenia studiów do wyjazdu do USA, obfitował w ważne wydarzenia: założenie rodziny, zdobycie mieszkania, zrobienie doktoratu z matematyki stosowanej i usytuowanie się w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki PAN, gdzie był adiunktem. W tym czasie spędził rok (1964/65) w USA, jako stypendysta PAN.

Na emigracji (1969 r.) osiadł z rodziną w stanie Nowy Jork. Po krótkim pobycie w Cornell University w Iłace, Ryškowie osiedlili się w pobli-

skim mieście Rochester, gdzie mój brat został profesorem w tamtejszym instytucie technologicznym. Zajmował się głównie dydaktyką i jak wiem był z tej pracy zadowolony. Istotnym posunięciem w jego karierze było założenie czasopisma naukowego, kwartalnika, The Journal of Thermal Stresses, który wydaje od wielu lat, czasopismo stało się ostatnio miesięcznikiem. Jest ponadto współautorem dwu książek, jedna z nich stanowi pomoc dla zaawansowanych studentów, druga natomiast jest obszernym studium matematycznym elastyczności. Obecnie jest już na emeryturze.

3. Pierwsze lata nauki

Do szkoły poszedłem w wieku siedmiu lat, czyli w 1931 roku. Mieszkailiśmy wtedy przy ul. Soleckiej, „u Stelmaszyńskiego”. Szkoła mieściła się w rynku, w pobliżu naszego mieszkania. Moim nauczycielem był Teofil Jasiński. Stanowił przykład doskonałego pedagoga i wychowawcy, pełniącego te funkcje

przez cały okres mojego pobytu w szkole powszechnej czyli podstawowej. Jego żona, Eugenia, prowadziła duży sklep, w którym można było nabyć różne przedmioty domowego użytku oraz środki farmaceutyczne nie wymagające recept. Był to tzw. Skład Apteczny, którego założycielem był, przybyły z Lublina, Henryk Sławiński, brat Jasińskiej.



Teofil Jasiński, mój nauczyciel i wychowawca, z córkami: po lewej Dzikka, moja miłość z lat dziecińczych, po prawej młodsza, Wanda

Córka Jasińskich, Dzikka, była moją pierwszą miłością, mieliśmy może pięć lat, gdyśmy się poznali. Później uczęszczaliśmy do tej samej klasy, potem nasze drogi rozeszły się. Sentyment do niej tkwił we mnie przez wiele lat, bywa, że czuję jego ślady jeszcze teraz.

W szkole powszechnej byłem miernym uczniem. Cały kurs języka polskiego był przesycony rozbiorami gramatycznymi, które wcale mnie nie interesowały. Wkrótce odkryłem dziedzinę, która stanowiła dla mnie niezmiernie interesujące pole intelektualnej aktywności. Była nią literatura piękna, stałem się jej namiętnym czytelnikiem. Pierwsza książka, którą sam

przeczytałem, to powieść Marii Konopnickiej „O krasnoludkach i o sierotce Marysi”, pożyczył mi ją mój wychowawca. Później przyszła kolej na „Podróżę Guliwera” J. Swifta, „Baśnie” Andersena, „Baśnie” braci Grimm. Równocześnie matka prenumerowała nam Płomyczek, periodyk dla małych dzieci. Z biegiem czasu jego miejsce zajął Płomyk, czasopismo dla starszych dzieci. Płomyk został spopularyzowany procesem wytyczonym jego redaktorce, Wandzie Wasilewskiej, o rzekome przemycanie idei komunistycznych na łamy czasopisma. Prym w tej kampanii wiódł popularny u nas Ilustrowany Kurier Codzienny.

Jeśli chodzi o matematykę, czyli tzw. rachunki, to muszę wyznać, że nie miałem do nich pociągu. Moje kłopoty z matematyką ciągnęły się przez wiele lat i skończyły się w czasie wojny, gdy tego przedmiotu zaczął mnie uczyć matematyk.

W trakcie pierwszych trzech lat szkoły kontynuowaliśmy wynajmowanie mieszkania przy ul. Soleckiej. Były to najszcześniejsze lata mojego życia. Przypuszczam, że stanowiło to przyczynę tego, że szczegóły ówczesnego życia wryły mi się w pamięć z ogromną wyrazistością.

Pamiętam mały ogródek kwiatowy po zachodniej stronie domu, w którym córki naszego gospodarza, Hela i Honorka, hodowały kwiaty. Z jednej jego strony rósł duży krzak bzu, pod nim postawiono ławeczkę. Ogródek graniczył z dużym sadem pełnym ogromnych drzew. Dominowała w nim stara grusza, która co roku rodziła mnóstwo niewielkich, słodkich owoców. W pobliżu ogródka, na kraju sadu stała kuźnia właściciela domu, który był kowalem z zawodu. Za ogrodem owocowym płynął mały strumyk, dalej znajdowała się targowica, o której już wspomniałem. Żona naszego gospodarza, chora umysłowo, snuła się po domu i ogrodzie szepcząc coś do siebie. Po podwórzu chodziły kury w towarzystwie koguta, którego donośne pianie budziło mnie niekiedy rano. Od tamtego czasu datuje się niezwykle wrażenie odczuwane przeze mnie, kiedy słyszę kogucie zdrowaśki. Budzą we mnie uczucie czegoś odległego, trudnego do wyrażenia, co napawa mnie niepokojem.

Szkoła powszechna w Stopnicy była rozlokowana w różnych częściach miasteczka. Główna jej siedziba mieściła się w rynku. Uczęszczałem tam do pierwszej i drugiej klasy, trzecia i czwarta znalazły lokum na jednej z bocznych ulic, a piąta i szósta zostały umieszczone w pałacu kazimierzowskim, w pobliżu podgórza kościelnego.

Lekcje zaczynały się od pieśni religijnej, którą śpiewały wszystkie dzieci, zarówno wyznania katolickiego jak i mojżeszowego. Nauka była

oczywiście przerywana pauzami, które zapowiadał dzwonek na korytarzu. Ach, ten dzwonek! Niekiedy był oczekiwany z bijącym sercem, gdy cała klasa zamierała w bezruchu i ciszy, a w przestrzeni, ponad głowami uczniów, wisiało pytanie zadane przez nauczyciela, na które nie znaleźliśmy odpowiedzi. Czas dzwonka był, tuż, tuż i wreszcie, gdy zabrzmiał wiedzieliśmy, że dostaliśmy się na drugi, bezpieczny brzeg tej denerwującej sytuacji i że prawdopodobieństwo dostania niedostatecznego stopnia mieliśmy już za sobą. Nauczyciel trzymał nas w napięciu jeszcze chwilę, wreszcie dawał za wygraną i sam wyjaśniał zagadnienie.

Jesienią 1934 r. przeprowadziliśmy się do mieszkania należącego do Stefana Filipowicza, rejenta mieszkającego poza Stopnicą. Było to mieszkanie w willi położonej na końcu miasta, w pięknym ogrodzie, jednym z najładniejszych jakie widziałem w swoim życiu, a sporo ich zwiedziłem w różnych miastach i krajach.

Ogród zaczynał się za domem, tworząc prostokąt. Jego wstępna część leżała na tym samym poziomie co dom, usytuowany na wzniesieniu, dalsza część rozciągała się w dół po zboczu wzniesienia. Dalej ogród przechodził w płaszczyznę i kończył się sadzawką, sąsiadującą ze strumykiem, za którym znajdowała się łąka należąca również do posesji Filipowicza. Kręgosłupem ogrodu była szeroka aleja, początkowo wysadzana srebrzystymi świerkami, w dalszej części innymi ozdobnymi drzewami. Mniej więcej w środku ogrodu, po prawej stronie alei mieściła się duża altana. Aleja była poprzecinana szpalerami, usytuowanymi do niej prostopadle, np. szpalerem jaśminowym, grabowym i innymi. Brukowana droga, biegnąca wzdłuż wschodniej krawędzi ogrodu łączyła łąkę z gospodarskimi zabudowaniami należącymi do posesji. Droga ta była ogrodzona z obu stron i otoczona zaroślami głogu. Front posiadłości od ul. Staszowskiej oddzielały trzy oddzielne mini-ogrody. Centralny, o szerokości domu, z polaną pośrodku, był oddzielony z obu stron brukowanymi drogami od dwu pasów zarośli ograniczających posesję od wschodu i zachodu. Drogi kończyły się furtkami wychodzącymi na ul. Staszowską. Cała posesja otoczona była parkanem. Trudno mi wymienić tutaj wszystkie szczegóły tego ogrodu. Był to niezwykle obiekt, doskonale zaprojektowany, z mnóstwem interesujących okazów botanicznych. Całością posiadłości opiekował się ogrodnik, który wraz z rodziną mieszkał na jej terenie. Sądzę, że w czasie, kiedy myśmy się do niej wprowadzili, czasy świetności willi już minęły. Zbudowanie tego obiektu musiało być kosztownym przedsięwzięciem. Jego zaplanowaniem kierował

zapewne wytrawny architekt. My wynajmowaliśmy pierwsze piętro willi. Parter był przeznaczony dla właściciela, który jednak bywał tam rzadko. Później, część parteru wynajmowały zakonnice prowadzące szkołę zawodową. Tak wyglądał majątek rejeta Filipowicza w latach 30.

Pozwolę sobie zrobić dygresję na temat wyglądu tej posiadłość po upływie połowy wieku. W tej willi mieszkaliśmy do 1937 roku. W 1991 roku mieszkałem w USA i byłem na emeryturze. Przyjechałem do Polski z wizytą. Będąc w Stopnicy nie omieszkalem odwiedzić posesji rejeta Filipowicza. Z pięknej willi nie zostało nic. Co do ogrodu to widoczne były jedynie ślady dawnej świetności, jak fragmenty szpaleru grabowego, krzaki głogu oraz tu i ówdzie stare drzewa. Teren dawnego ogrodu został wykorzystany do zorganizowania działek warzywnych przez okolicznych mieszkańców. I pomyśleć, że tak nędzny epilog przypadł w udziale temu pięknemu obiektowi!

Wracam do wspomnień. Po tej przeprowadzce nasze życie uległo pewnym zmianom. Moja matka przestała przyjmować pacjentów w domu, bo zamieszkaliśmy na peryferiach miasta, więc chodziła do swojego gabinetu dentystycznego mieszczącego się w centrum miasta. Ojciec przeszedł na emeryturę i jeśli był w Stopnicy zajmował się tzw. działką, albo jeździł do Janowa i doglądał swojego umiłowanego gospodarstwa.

W szkole zaszły również zmiany. Jej długoletni kierownik, Franciszek Dziedzic, przeszedł na emeryturę, a jego miejsce zajął Tomasz Gromadzki, człowiek w średnim wieku, polonista, światły i sympatyczny. Miał równie miłą żonę i dwoje dzieci, Elżunię i Leszka. Z tą rodziną zaprzyjaźniliśmy się i utrzymywaliśmy stosunki towarzyskie. Gromadzcy mieli obszerną bibliotekę, z której niejednokrotnie korzystałem. We wczesnym okresie wojny bywali u nas dość często na kolacji, zwłaszcza on.



Bogumił Witold Hetnarski. (Dru-giego imienia z reguły nie wymie-niam). Tu jako uczeń 6 oddziału szkoły powszechnej w Stopnicy (1937 r.).

Fatum zawisło nad nimi. W czasie ucieczki przed Niemcami, we wrześniu 1939 r., ich córka zginęła w czasie niemieckiego bombardowania. Wrócili do Stopnicy. Pan Tomasz opowiadał o bezsennych nocach, w czasie których myślał o ... zemście. Złe nie spało. Gromadzki został zastrzelony w czasie próby ucieczki podczas aresztowania go przez żandarmerię niemiecką na wiosnę 1944 r.

W 1937 roku skończyłem sześć lat nauki w szkole powszechnej i był czas rozpoczęcia gimnazjum. Klasę siódmą kończyła tylko ta młodzież, która nie planowała kontynuacji nauki.

Ojciec marzył o oddaniu mnie do korpusu kadetów. W międzywojennej Polsce były dwa takie korpusy: w Rawiczu, w pobliżu granicy polsko-niemieckiej, do której kandydaci mogli być rekrutowani także z województwa kieleckiego i we Lwowie. Do Rawicza zdałem egzamin, ale nie zostałem przyjęty. Pozostał zatem korpus we Lwowie, do którego dostać się było bardzo trudno z dwu przyczyn; po pierwsze był to korpus elitarny, po drugie, był przewidziany dla kandydatów z południowo-wschodniej Polski. Dostanie się na tę uczelnię wydawało się niemożliwe.

Znalazła się jednak droga do przezwyciężenia tych trudności - przy pomocy dwóch osób. Pierwszą był generał Tadeusz Piskor, inspektor armii, który dzierżył folwark „Podzamcze”, dawną królewską, będący domeną niegrodowego starostwa stopnickiego, należącego w okresie międzywojennym do państwa. Znajdował się na peryferiach Stopnicy, we wsi Wolica. Drugą osobą był profesor chemii w pierwszym gimnazjum im. Mikołaja Kopernika we Lwowie, Stanisław Wołoszynowski, pochodzący ze wsi Sroczków, położonej w pobliżu Polańca, gdzie jego rodzina miała posiadłość ziemską. Moja droga do korpusu miała mieć charakter dwustopniowy. Najpierw powinienem dostać się do gimnazjum we Lwowie, skąd po kilku miesiącach nauki mógłbym się przenieść do korpusu kadetów. Nasz plan przewidywał ominięcie zasady, że do tego korpusu przyjmowani byli tylko mieszkańcy południowo-wschodniej Polski.

Dłaczego właściwie chciałem dostać się do korpusu kadetów, a przynajmniej nie oponowałem, gdy rodzice zdecydowali się na umieszczenie mnie tam? Już wtedy myślałem o studiowaniu chemii i prowadzeniu badań naukowych nad gazami bojowymi w jakimś instytucie wojskowym. Muszę szczerze wyznać, że nie miałem wówczas pojęcia o chemii. Sądzę, że tego rodzaju zainteresowania wyrobiłem sobie na podstawie lektury. Czytałem dużo, nie ograniczałem się do książek ze szkolnej biblioteki, korzystałem również z prywatnej wypożyczalni Józefa Zyngiera, względnie młodego

człowieka, prowadzącego w Stopnicy sklep z materiałami piśmienniczymi, który zebrał znaczną ilość książek dla dorosłych i wypożyczał je za nieznaczną opłatą. Łapczywie czytałem wszystkie książki, które wpadły mi w ręce. Pamiętam, że pod koniec szkoły powszechnej przeczytałem wszystkie, dostępne mi utwory Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego. Nikt nie kontrolował mojej lektury. Najwidoczniej coś z tej masy przeczytanych książek skierowało moją uwagę na chemię i badania naukowe. Tak, ale instytut wojskowy i bazy bojowe? To były aspekty przyciągające wyobraźnię, dotyczyły operowania niebezpiecznymi truciznami. Przez lata interesowałem się takimi związkami chemicznymi. Dość powiedzieć, że pierwszą moją publikacją jako chemika, pracującego nad pracą doktorską w Zakładzie Syntezy Organicznej PAN w 1957 r., był przeglądowy artykuł na temat wysoce toksycznych związków fosforoorganicznych.

Do Lwowa pojechaliśmy z mamą w końcu sierpnia 1937 r. Umieszczony zostałem na stacji u starszej, zamożnej wdowy, p. Bartoszewskiej, u której mieszkał również Wołoszynowski. Odnajmował pokój z wiktem i opierunkiem. Bartoszevska miała dwu synów. Starszy, kawaler, prawnik z zawodu, zajmował oddzielny pokój. Podobnie rzecz się miała z młodszym, Adasiem, studentem medycyny. Ja spałem w stołowym pokoju i tam odrabiałem lekcje. Całe gospodarstwo prowadziła Bartoszevska z pomocą służącej. Do pełnego opisu mieszkańców należy dodać, że był tam również piesek foksterier, milusiński pani domu.

Dziwnym zbiegiem okoliczności dowiedziałem się, że po wojnie Wołoszynowski uczył chemii w gimnazjum w Busko-Zdroju, ożenił się i miał syna uczącego się w tymże gimnazjum.

U Bartoszewskiej miałem dobre warunki. W gimnazjum nauka szła mi dobrze. Mimo to nie czułem się zadowolony, brak mi było domu. Późniejsze doświadczenia pokazały, że byłem wybrednym stworzeniem, które egzystowało w pewnych warunkach, mogło nawet w nich kwitnąć, ale w innych było jak roślina „zwarzona” mrozem.

Lwów był miastem szczególnym. Nie miałem wtedy doświadczenia i co za tym idzie skali porównawczej z innymi miastami. Byłem wprawdzie w Krakowie i w Warszawie, były to jednak wizyty przelotne, w towarzystwie rodziców. We Lwowie byłem po raz pierwszy sam, między obcymi ludźmi. Lwów pozostał mi w pamięci jako coś niecodziennego, coś różnego od innych miast, które później poznałem, spróbowałbym to wyrazić jako paralełę konwersacji radiowych Szczepka i Tońka oraz wyimaginowanych rozmów o podobnej tematyce prowadzonych przez osoby pochodzące z innych dzielnic Polski. Było to miasto, którego urok był trudny do zdefiniowania.

W styczniu 1938 r. zostałem przyjęty do korpusu kadetów. Spaliśmy w sali zbiorowej. O godz. 9 wieczorem gasło światło, wszyscy musieli iść spać. Wcześniej, bo o 5 rano pobudka, toaleta, następnie w ponurych korytarzach poaustriackich koszar apel, witanie nowego dnia pieśnią „Bogurodzica”. Po tej pieśni, jednogłośnie stwierdzaliśmy, że „Marszałek Józef Piłsudski zmarł ciałem, ale żyje duchem i żyć będzie wiecznie”. Następnie miało miejsce picie tranu w pomieszczeniu noszącym ślady wymiotów. Potem odbywały się ćwiczenia fizyczne, lekcje, obiad, po którym następowało obowiązkowe leżenie na łózkach i odrabianie lekcji. Wreszcie mieliśmy czas wolny, przeznaczony na rekreację, kończący się kolacją, apelem i spaniem. W dni świąteczne można było dostać przepustkę do miasta. Ten tryb życia zupełnie mi nie odpowiadał. W miarę upływu czasu nie tylko poznawałem świat zewnętrzny ale i siebie. Byłem i zostałem indywidualistą, tego rodzaju komuna nie była zgodna z moim usposobieniem. Miałem wrażenie, że z normalnej temperatury dostałem się do lodowatej kąpieli. To porównanie wydaje się całkiem trafne, ponieważ po kilku miesiącach pobytu w korpusie dostałem grypy z powikłaniami i wyładowałem w szpitalu wojskowym, skąd po pewnym czasie wróciłem do domu. Było to przed końcem roku szkolnego. Miałem stan podgorączkowy i arytmie serca. Wg lekarskiej diagnozy moje zdrowie szwankowało ze względu na niewłaściwe funkcjonowanie gruczołów wnekowych. Co to są gruczoły wnekowe, doprawdy, do dzisiaj nie wiem. Zalecono mi dłuższy pobyt w Rabce.

Z korpusu otrzymałem urlop zdrowotny i pamiętam, że w jesieni 1938 r. pojechaliśmy z mamą do Rabki. Zatrzymaliśmy się w pensjonacie. Był to czas, kiedy na ustach wszystkich była sprawa Zaolzia. Nie pamiętam, jak długo byliśmy z mamą w tym uzdrowisku, chyba niezbyt długo, ponieważ matka musiała wracać do pracy.

Wtedy zostałem przyjęty do pensjonatu doktorowej Olszewskiej w Rabce. Był to wzorowo prowadzony pensjonat dla dzieci z podobnymi defektami zdrowotnymi jak moje. Miałem tam doskonałe warunki. Znaczną część roku 1938 i 1939 spędziłem w Rabce, biorąc korepetycje. Późną wiosną 1939 r. pojechałem z ojcem do Lwowa, żeby załatwić sprawy mojego urlopu zdrowotnego. Moje sprawy zostały ułożone w ten sposób, że miałem zjawić się w korpusie w końcu sierpnia 1939 r. i złożyć wszystkie egzaminy do 2 klasy (2 kompanii) i zostać tam na dobre. Zdrowie mi się poprawiło i można było uważać, że większość bolączek została zażegnana.

Tu jeszcze dygresja. Gdy byłem we lwowskim gimnazjum, czyli w jesieni 1937 r., moi rodzice przeprowadzili się z willi reagenta Filipowicza do

domu Dawida Szwera, na stopnickim rynku. Było to ładne mieszkanie na pierwszym piętrze. Składało się z pokoju stołowego, salonu, sypialni, gabinetu dentystycznego mojej matki, poczekalni dla jej pacjentów i kuchni. Nasz gospodarz był zamożnym kupcem bławatnym. Celem tej przeprowadzki było uniknięcie oddzielnego położenia mieszkania i gabinetu dentystycznego, co było nad wyraz niewygodne.

4. Wojna i nauka

Wakacje 1939 r. spędziłem w Janowie. Były to nadzwyczajne wakacje przesycone słońcem i piękną pogodą. Plony dopisywały. Matki zarobki kwitły. W moim otoczeniu odnosiło się wrażenie dobrobytu. Równocześnie w prasie i w radiu czuło się ferment, pod powierzchnią spokoju i dobrobytu panowało zdenerwowanie i niepewność. Pogrożki niemieckie, niepokoje w Gdańsku, u nas plakaty pełne bojowych haseł „Zwarci, gotowi...”, defilady. W lipcu i sierpniu zdenerwowanie doszło do zenitu i stało się powszednim stanem.

W końcu sierpnia wyjechaliśmy z ojcem do Lwowa. Miałem do zdania egzaminy z klasy pierwszej do drugiej. Podróżowaliśmy autobusem do Tarnowa, stamtąd pociągiem do Lwowa. Wszędzie pełno było wojska i sprzętu wojskowego, armat, czołgów. Dopiero w czasie tej podróży zdaliśmy sobie sprawę z powagi sytuacji. Wszystkie transporty kierowane były na zachód. Oczywiście pociągi cywilne zmierzające na południowy-wschód były opóźnione, wszędzie postoje.

W końcu dotarliśmy do Lwowa. Zatrzymaliśmy się w hotelu, w centrum miasta. Następnego dnia udaliśmy się do korpusu kadetów. Tam nas poinformowano, że wojna jest, tuż, tuż i że korpus będzie zamknięty do odwołania. Egzaminy oczywiście zdałem i poszły mi bardzo dobrze. Komendant korpusu, pułkownik Gielgut, powiedział ojcu, że wojna jest za pasem i że on ma nadzieję na dostanie po wojnie „czegoś lepszego”. O wojnie mówił jako o krótkotrwałym, zwycięskim epizodzie... . Po załatwieniu tych spraw wróciliśmy do hotelu.

Był 31 sierpnia. Następnego dnia, przed południem, Lwów został zbombardowany. Po raz pierwszy widziałem na ulicach krew. Właśnie w pobliżu naszego hotelu spadła bomba, na jezdni i na chodnikach stały kałuże krwi. Słychać było sygnały karetek pogotowia. W pobliżu eksplozji zatrzymał się tramwaj, z którego wyskoczył pobladły motorniczy i gestykulując opowiadał o czymś z przejęciem.

Zaraz potem pojechaliśmy taksówką na dworzec kolejowy, zapchany podróżnymi. Pociągi odchodziły nieregularnie, stale przejeżdżały transporty

wojskowe. W końcu, koło północy dostaliśmy się do pociągu jadącego w kierunku Przemyśla. Podróż była długa i uciążliwa, nie tylko dlatego, że nasz pociąg musiał przepuszczać wojskowe transporty, ale także dlatego, że pociąg stawał w polu co jakiś czas, a nad naszymi głowami dudniły niemieckie samoloty. Wypadki bombardowania względnie ostrzeliwania z karabinów maszynowych środków lokomocji były już znane. W czasie tych postojów pasażerowie musieli opuszczać pociąg. Po dwóch dniach podróży dotarliśmy do Tarnowa.

Było piękne, wrześniowe popołudnie. Właśnie wsiadaliśmy na tarnowski dworzec do autobusu jadącego do Stopnicy, gdy zawyły syreny zwiastujące nalot lotniczy. Wszyscy do schronów! Znane mi było już wtedy to paralizujące uczucie, gdy nad głową krążą niemieckie samoloty i nie wiadomo, czy odlecą, czy zrzucą bomby, czy też obniżą lot i zaczną ostrzeliwać przerażonych ludzi z karabinów maszynowych. Po tym epizodzie, który skończył się niewinnie, jedynie pobyt w tarnowskim schronie przeciwlotniczym, wsiadliśmy do autobusu i bez dalszych przygód dotarliśmy do Stopnicy, a następnie do Janowa. Wkrótce po przyjeździe poszedłem do Solca-Zdroju. Tam zastałem zdenerwowanie i rozgardiasz. Przeważająca liczba kuracjuszy już opuściła uzdrowisko, a ci którzy zostali, byli na wyjeźdźnym. W toku były prace porządkowe w opustoszałych willach. Zamieszanie było widoczne w urządzeniach zdrojowych. Wracając z Solca zauważyłem, że tuż za olszynkowym laskiem, w pobliżu naszego majątku, wzbijał się w górę niemiecki samolot. Pobiegnęłam w tamtym kierunku, ale samolot w międzyczasie znikł. Po powrocie do domu usłyszałem podawany przez radio komunikat, że Niemcy zrzucają z samolotów dywersantów na zapleczu frontu.

W ciągu najbliższych dni zaczęło się piekło uchodźców z zachodnich rubieży Polski. Uciekinierzy, z dobytkiem na samochodach, konnych wozach, rowerach lub wędrując pieszo, zalewali drogi. Widziało się ewakuowaną policję, straże pożarne, jakieś paramilitarne organizacje, nie brakowało również wojskowych maruderów. Jeden z nich zastrzelił Tella, naszego psa myśliwskiego.

Ludzie opowiadali o tragicznej historii małżeństwa uciekającego na motocyklu. Kobieta miała rzekomo niemowlę w plecaku. Poza tym była obciążona jeszcze jakimiś tobołami. Kiedy się zatrzymali, stwierdzili z przerażeniem, że nie mają dziecka. Istny koniec świata! Wszyscy zmierzali na wschód, „za Wisłę”. Twierdzili, że na linii Wisły organizuje się obrona. Mnie również udzieliła się ta gorączka. Zamęczałam ojca prośbami, żeby-

śmy też uciekali. Odpowiadał mi dwoma retorycznymi pytaniami: „po co?” i „dokąd?”. Logika tego rozumowania była nieodparta. Iść na tułaczkę? Czy rzeczywiście na Wiśle będzie jakaś linia obrony? Jeśli nawet będzie, to jak długo wytrzyma napór niemieckiej armii? Polskie samoloty znikły z nieboskłonu. Szczerze mówiąc, nigdy ich nie widzieliśmy, widoczne było jedynie niemieckie lotnictwo. Jakakolwiek ucieczka nie miała sensu. Sytuacja na froncie była rozpaczliwa. Niemcy posuwali się błyskawicznie. Polska nie była przygotowana do nowoczesnej wojny. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero teraz, kiedy wojna była w toku. Około połowy września nasilenie uciekinierów zmalało. Pogłoski donosiły, że Niemcy zajęli Szczucin.

Wreszcie nadszedł ten feralny dzień, od dawna oczekiwany z bojażnią. Poprzedzana bombardowaniami, niemiecka ofensywa nadciągnęła od południowego-zachodu. Był piękny, słoneczny dzień jesienny. Około południa rozpoczęła się kanonada w pobliżu Janowa. Schroniliśmy się do piwnicy. Razem z nami była rodzina naszego fornała Sikory. Piwnica była dość solidnie zbudowana i niektórzy sąsiedzi również skorzystali z naszej gościny. Wkrótce pociski zaczęły padać w pobliżu naszego domu, a eksplozje bomb wstrząsały jego murami. Nagle, łomotanie do drzwi zmusiło matkę i mnie do otwarcia ich. Na progu stali dwaj żołnierze. Sądzieliśmy, że to Niemcy i matka, która płynnie mówiła po niemiecku, zwróciła się do nich w tym języku. Początkowo byli zaskoczeni, ale po chwili sprawa się wyjaśniła. Prosilili o chleb i wodę, powiedzieli, żeby zejść do piwnicy i wyjaśnili, że polskie oddziały wycofują się szeroką tyralierą na południowy-wschód i że są cały czas pod ostrzałem z ziemi i z powietrza. Byli zmęczeni i pokryci potem. Wróciliśmy do piwnicy. Pod wieczór strzelanina ustała. Nasi goście rozeszli się do domów, a my wyszliśmy do ogrodu kwiatowego, aby zacerpnąć świeżego powietrza.

Był piękny, pogodny wieczór, cykały świerszcze, wydawało się, że wszystko jest jak było, a w rzeczywistości przekroczyliśmy Rubikon historii, staliśmy u progu wydarzeń i zmian, jakich ludzkość jeszcze nie doświadczyła. Ale o tym nie mieliśmy pojęcia.

Życie, po wkroczeniu Niemców biegło dawnym, utartym torem. W Janowie nie widywało się praktycznie okupantów. Raz tylko spostrzegłem dwóch niemieckich żołnierzy u naszego sąsiada Słomińskiego. W Janowie spędziliśmy jesień.

17 września wojska radzieckie zajęły znaczną część wschodniej Polski, a 28 września Niemcy wkroczyli do Warszawy, po jej trzytygodniowym oblężeniu. Rząd Polski przekroczył granicę rumuńską i został inter-

nowany. Tak więc, mieliśmy nowy rozbiór naszego kraju po 20 latach niepodległości. Nie do wiary, że 21-letnie wysiłki Polaków nad zbudowaniem narodowego, integralnego bytu, bohaterstwo armii w czasie krótkiej wojny, skończyły się szeregiem tragicznych wydarzeń. Analizowanie tych faktów przekraczałoby ramy tego pamiętnika.

Niemcy na zajętych terenach wprowadzili swoją administrację. Województwo kieleckie zastąpili administracją zlokalizowaną w Radomiu (District Radom), powiat Busko został powiększony przez część powiatu pińczowskiego i miał siedzibę w Busku-Zdroju, był to wg nomenklatury niemieckiej Kreis Busko.

Późną jesienią wróciliśmy do Stopnicy. Zastaliśmy rażącą zmianę. Okazało się, że Niemcy po wkroczeniu do miasta podpalili część rynku i fragment południowej pierzei rynkowej poszedł z dymem. Nie była to taka wielka strata, bo stały tu głównie drewniane, prowizoryczne zabudowania, tym niemniej wyrwa w zabudowie rynku raziła oko.

W nowym roku szkolnym, 1939/1940, gimnazja i uniwersytety były zamknięte, istniało prywatne, podziemne szkolnictwo oparte na bazie przedwojennych podręczników. W tym pierwszym okupacyjnym roku szkolnym moją nauczycielką była Maria Nożycowa, osoba w średnim wieku, bardzo miła, ale bez wyższego wykształcenia. Skończyła gimnazjum w Stopnicy przed przeniesieniem go do Buska-Zdroju. Była bardzo zdolna, dyplom maturalny otrzymała ze złotym medalem. Nie wiem, co zdecydowało o tym, że dalej nie kontynuowała nauki. Jej mąż chyba nic nie skończył poza gimnazjum. Mieli dwoje dzieci.

W tym czasie zacząłem się interesować nauką, przede wszystkim geografią i podróżami. Pamiętam, że w lecie 1939 r. wpadł mi do rąk numer Płomyka poświęcony podróżom, zawierał wywiady z kilkoma polskimi, współczesnymi podróżnikami. Dla mnie szczególnie interesujące było interview z Ferdynandem Antonim Ossendowskim, którego książkami byłem zafascynowany. Rady wszystkich podróżników - pisarzy, bo byli oni również literatami, sprowadzały się do dwóch imperatywów: ten, kto chce podróżować musi się uczyć, mieć obszerny światopogląd, poza tym powinien opanować kilka języków. Sądzę, że podchodzili do sprawy podróży dość jednostronnie, zapomnieli o jednym szczególe, bagatela, o pieniądzach. Wiem coś o tym, ponieważ sam wiele podróżowałem. Możliwyby tę kwestię zdefiniować inaczej, mianowicie, że przyszli podróżnicy powinni myśleć również o zdobyciu zawodu umożliwiającego zrealizowanie wojaży. Inna rzecz, że odpowiedni zawód wiąże się z wykształceniem. Moja uwaga

wzmocnia więc pierwszą część rady zawartej w Płomyku - należy się uczyć!

Zacząłem to robić intensywnie. Czynnikiem katalizującym moje dążenie do zdobycia wiedzy była izolacja. Miałem wprowadzić kolegów i znajomych z dawnych lat, ale oni nie wykazywali zainteresowania nauką, a co za tym idzie, więc z nimi sprowadzała się do przelotnych i przypadkowych spotkań. Należy wziąć pod uwagę, że był to czas mojego intelektualnego i fizycznego dojrzewania. W domu spędzałem całe dnie, wychodziłem jedynie w południe na spacer w kierunku Góry Soleckiej i często docierałem do jej szczytu. Był to mój ulubiony spacer, obejmujący południowo-zachodnią część miasta. Inną faworyzowaną marszrutę stanowiła aleja lipowa otaczająca klasztor. Żeby tam dotrzeć należało minąć młyn na rzece Stopniczance oraz przyzamkowy staw. Moje spacerowanie nie były beczynnymi wędrówkami, nosiłem zazwyczaj listę niemieckich słówek, które starałem się przyswoić.

Moje ówczesne nastroje stanowiły wypadkową trzech elementów: religijnego, seksualnego i wysiłków związanych ze studiami. Gdy te elementy pozostawały w równowadze nie miałem trudności z wykonywaniem codziennych czynności. Jeśli natomiast nastąpiło zaburzenie w ramach jednego z nich, np. religijnego, co zdarzało się dość często w postaci wątpliwości odnośnie jakiegoś dogmatu lub promowanych przez Kościół Katolicki poglądów, robiłem kilometrowe peregrynacje chodząc godzinami wokół stołu i starając siebie przekonać, że moje wątpliwości były bezpodstawne.

Należy dodać, że wówczas byłem bardzo pobożny, modliłem się żarliwie i regularnie chodziłem do kościoła. Szczególną predylekcją miałam do nabożeństw odprawianych w klasztorze. Na poranne msze uczęszczałem nie tylko w niedziele, ale i w dni powszednie. W czasie wojny stopniccy reformaci często gościli przyjezdnych zakonników. Niektórzy z nich byli doskonałymi krasomówcami i ładnie odprawiali msze, wówczas celebrowane wyłącznie po łacinie. Goście używali niekiedy tzw. włoskiej łaciny, która pięknie brzmiała. Jako dowód mojej żarliwości wyznam, że litanie do Matki Boskiej znałem na pamięć.

Poza tym dużo czytałem. Zapoznałem się z „Trylogią” Sienkiewicza, jego „Listami z podróży”, „Quo vadis” i nowelą „Pójdźmy za nim”, która zrobiła na mnie duże wrażenie. Przeczytałem „Faraona” Prusa. Treść jej doskonale zaabsorbowałem i przetrawiłem tak, że stała się niemal częścią mojej osobowości. Przypominałem ją sobie w różnych okolicznościach życia, choć mijało coraz więcej lat od czasu jej przeczytania. Pozostał mi

w pamięci obraz religijnych ceremonii, ale nade wszystko byłem pod niezwykłym wrażeniem kultu wiedzy, którym przesiąknięta jest ta powieść. Jej lektura stanowiła asumpt do zwiedzenia Egiptu (sic!). W 1997 r. razem z żoną zwiedziliśmy go i widzieliśmy wszystko, co było dla nas interesujące.

Przeczytałem „Placówkę”, „Emancypantki” i to niezwykle dzieło - „Lalkę”. W czytankach do klasy 3 lub 4 gimnazjum umieszczone było opowiadanie autora, którego nazwiska nie pamiętam, o jego czytelniczych przygodach. Pisał, że po przeczytaniu „Trylogii” brał do ręki książki innych autorów wstydząc się za nich, ale kiedy zaczął czytać „Lalkę” Prusa zrozumiał, że wkroczył do pałacu cudów, tylko inną bramą. Wkraczałem zatem do czytelniczego pałacu cudów różnymi bramami.

Niezapomniane wrażenie zrobiła na mnie lektura „Chłopów” Reymonta, w której podziwiałem niemal biblijne opisy natury i niezwykle charakterystyczne nieposkromionymi pasjami. W tamtych czasach czytałem wiele książek napisanych przez znakomitych autorów. Czytałem je w szczególnych warunkach. Proszę sobie wyobrazić dorastającego chłopaka, praktycznie odizolowanego od świata zewnętrznego. Kontakty z ludźmi były mocno ograniczone, radia nie słuchałem, bo było to niebezpieczne, a poza tym mnie nie interesowało. Podobnie było z prasą. Zatem życie w czterech ścianach z nauką i książkami. W tych warunkach pochłaniałem książki, przeżywałem przygody ich bohaterów, niemal brałem w nich czynny udział. W ten sposób treść lektur wryła mi się w pamięć w sposób niezwykle, formując charakter i kształtując moją osobowość.

Nie tylko sam czytałem książki, mieliśmy również lektora w osobie mojej matki. W zimowe wieczory, przy szczelnie zasłoniętych oknach, zgodnie z zarządzeniem władz (obowiązywało zaciemnienie), matka siadała przy biurku w swoim gabinecie, a my, czyli ojciec, mój brat Rysiek i ja sadowiliśmy się na krzesłach wokół niej. Matka była nadzwyczajnym lektorem. Pamiętam, że w grudniu 1940 r. matka czytała nam właśnie „Nędzników” Wiktora Hugo, gdy nagle, za oknami, rozległa się seria strzałów. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że Niemcy wyciągnęli z domów kilku Żydów, z których jeden był ostatnio przybyłym skądś technikiem dentystycznym i zastrzelili ich na ulicy. Powodem tego były rzekome, komunistyczne kontakty zastrzelonych.

Z Marią Nożycową przerobiłem materiał 2 klasy gimnazjalnej. W roku szkolnym 1940/1941 miałam przerabiać klasę 3. Jej materiał był znacznie trudniejszy niż materiał podawany w klasie 2. Matematykę stanowił

kurs geometrii, poza tym w grę wchodziły elementy fizyki i chemii. Wynikało z tego, że ktoś musiał zastąpić Nożycową. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, w tym czasie zawitał do Stopnicy Feliks Stelmaszyński, profesor gimnazjum w Bielsku-Białej. Był on synem właściciela domu, w którym się urodziłem. Ukończył matematykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, miał także uprawnienia do nauczania fizyki i chemii w gimnazjach. Mówił o sobie, że jest matematykiem z zawodu, a chemikiem z zamiłowania. Pewien problem mieliśmy z łaciną, wprawdzie Stelmaszyński twierdził, że poradzimy sobie z tym przedmiotem, ale łacina była poważnie traktowana w 3 klasie i w związku z tym miałem wątpliwości czy istotnie damy sobie z nią radę. W Stopnicy nie było nikogo, kto mógłby być uważany za łacinika. Wprawdzie w moim mieście był jeszcze jeden profesor gimnazjalny, Władysław Majka, historyk, który również wrócił do rodzinnych pieleszy z chwilą wybuchu wojny, ale nie mógł być uważany za znawcę łaciny. Kompetentni pedagodzy znajdowali się w Busku-Zdroju i Pińczowie, ale kilkakrotne wyjazdy każdego tygodnia do jednego z tych miast mogłyby mieć żałosne konsekwencje. Po namyśle doszliśmy do wniosku, że łacina mimo wszystko nie jest taka ważna, z uwagi na to, że miałem zamiar przerabiać kurs liceum matematyczno-fizycznego, gdzie łaciny nie wymagano. W ten sposób Stelmaszyński został moim generalnym nauczycielem. Czuję się zobowiązany do poświęcenia mu uwagi, ponieważ nie tylko był moim nauczycielem, ale również wychowawcą i okazał się dla mnie człowiekiem opatrnościowym.

Feliks Stelmaszyński ukończył gimnazjum w Stopnicy. Marzył o studiowaniu chemii na politechnice czy choćby na uniwersytecie. Niestety, mając niekorzystną sytuację materialną był zmuszony zarabiać korepetycjami na utrzymanie. Miał również inklinacje w kierunku matematyki, skończył więc studia matematyczne na UJ. W początku wojny liczył 32 lata. Po zamknięciu gimnazjum w Bielsku-Białej wrócił w rodzinne strony, do Stopnicy. Tu miał dwie siostry mieszkające we własnym domu, którego część odnajmowaliśmy szereg lat temu. Przyjechał z żoną i córeczką. Wkrótce żona zabrała dziecko i wyjechała do Krakowa.

Stelmaszyński stanowił przykład człowieka o szerokich horyzontach umysłowych, był wszechstronnie czytany, interesował się różnymi dziedzinami nauk ścisłych i problemami filozoficznymi. Czasami odwiedzał klasztor celem prowadzenia dyskusji z zakonnikami na temat teorii poznania oraz stosunku religii do nauk ścisłych. Nazwałem go człowiekiem opatrnościowym dla mnie, gdyż miał zasadniczy wpływ na kształtowanie się

mojego światopoglądu i charakteru, mogę śmiało powiedzieć, że wprowadził mnie w świat nauk ścisłych, ukazał mi ich perspektywę. Lekcje z nim nie ograniczały się do uzgodnionej ilości godzin, spędzał ze mną znacznie więcej czasu, opowiadając mi o różnych problemach naukowych, o swoich przeżyciach i o ludziach, których spotkał. Odmalował przede mną studia uniwersyteckie, profesorów, stosunki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wtedy usłyszałem o matematykach: prof. Tadeuszu Wazewskim, prof. Witoldzie Wilkoszu, którego książkę „Liczę i myślę” z tej okazji wówczas przeczytałem. Stelmaszyński nie miał nie cierpiących zwłoki zajęć, wydaje mi się, że był nawet zadowolony znajdując we mnie namiętnego słuchacza. W tych warunkach i w takiej atmosferze przemierzaliśmy trzecią klasę. Nigdy w przeszłości niczego nie studiowałem z takim zapałem, jak ten kurs gimnazjalny, a potem licealny w Stopnicy, w czasie wojny. Szczerze mówiąc nie miałem wrodzonych zdolności matematycznych. Ale ten człowiek, mój mistrz, z uporem i cierpliwością prowadził mnie przez sieć pewników, twierdzeń i dowodów geometrii. Pamiętam, że często używał swojej papierośnicy i linijki do nakreślenia na kartce papieru linii równoległych do istniejącej prostej. Myśląc o tym przypominam sobie kształt jego palców poźółkłych od nikotyny.

Podnieję do studiowania czerpałem także z lektury dzieł Prusa, których fabuły mają często podbudowę złożoną z opisu zjawisk przyrodniczych, tak jest w „Lalce” i „Faraonie”, a nawet taki element istnieje w „Emancypantkach”, w postaci wykładu na temat wyprowadzenia dwumianu Newtona. Nade wszystko jednak, źródłem pobudzającym mój głód wiedzy były „Syzyfowe prace” Żeromskiego, który opisał w nich samokształceniowe koło zorganizowane przez grupę wolnomyślących uczniów kieleckiego gimnazjum. Jego uczestnicy nie szczędzili trudu podejmowanego dla pogłębienia posiadanych wiadomości z zakresu nauk ścisłych, celem uzasadnienia ich materialistycznego światopoglądu.

W czasie wojny zapoznałem się z twórczością Żeromskiego, która wywarła na mnie niezatarte wrażenie.

Od czasu do czasu ojciec wyjeżdżał do Warszawy z pomocą materialną dla matki rodziny, która przebywała w warszawskim getcie. Każdy jego powrót witany był huraganem radości. Nie tylko dlatego, że wracał cały i zdrowy, ale również dlatego, że przywoził cudowne książki, doskonale podręczniki i literaturę piękną pióra znakomitych autorów. Kupił również, po długich namowach i prośbach, zanoszonych do obojga rodziców, wspinałe wydawnictwo - Encyklopedię Świat i Życie. Składała się z pięciu to-

mów, cztery zawierały artykuły dotyczące zasadniczych problemów nauki i sztuki, napisanych przez najlepszych polskich specjalistów, piąty tom był ogólnym leksykonem. Encyklopedia była luksusowo wydana i kosztowała dużo pieniędzy, ale stanowiła istotną pomoc naukową. Niestety, spaliła się w 1944 r., dzieląc losy mojej ówczesnej biblioteki i urządzenia całego mieszkania. Mimo izolacji zawarłem znajomość z kilkoma młodymi ludźmi, a nawet zaprzyjaźniłem się z tymi, którzy podobnie jak ja, czas poświęcali na studia. Pierwszym z nich był Zygmunt Klainman, Żyd, którego wojna zapędziła do Stopnicy. Był to niewątpliwie wybitny umysł, bardzo samodzielny, doskonale matematyk i polonista. W 1942 r. skończył kurs maturalny. Pożyczał ode mnie książki, między innymi udostępniłem mu podręcznik geometrii analitycznej Łomnickiego. Jego szwagier, inżynier, rozwiązał wszystkie zawarte w nim zadania. Klainman przyszedł pożegnać się ze mną jesienią 1942 r., kiedy miano wysiedlać Żydów ze Stopnicy. Twierdził, że jego rodzina zorganizowała sobie kryjówkę w jakiejś podstopnickiej wsi, w której mieli nadzieję przetrwać wojnę. Słyszałem wiele o losach Żydów, którzy kryli się po wsiach i wiem, że niewielu przeżyło okupację. Żegnając się zostawił mi poezje Mickiewicza, które dziwnych zrządzeniem losu przetrwały wojenną podróż, towarzyszyły mi w peregrynacji emigracyjnej i są obecnie w mojej bibliotece. Wkrótce po jego wyjeździe poczułem się osamotniony. Nie miałem kolegi, z którym mógłbym wymieniać poglądy na temat nurtujących mnie spraw. Moi rówieśnicy, dzieci zaprzyjaźnionych z nami rodzin z okresu międzywojennego, nie wchodzili w grę, ponieważ zarzucili naukę. W okresie wojny nasze życie towarzyskie zamarło, wizyty i rewizyty znikły w obliczu nieustannych kłopotów i problemów. Urwały się więc nawet przelotne kontakty z dziećmi naszych przyjaciół.

W tych warunkach w sukurs przyszła mi matka, która poznała mnie z dwoma młodymi ludźmi, jej pacjentami, pochodzącymi spod Stopnicy. Byli to Józef Berak i Bogdan Żal. Berak pochodził z Piestrzca, wsi niezbyt odległej od Stopnicy. Wyróżnił się samodzielnym przerobieniem w czasie wojny rachunku różniczkowego, mimo niechęci ojca do nauki syna. Już wtedy marzyliśmy obaj o studiowaniu chemii. Po wojnie Józek skończył studia chemiczne na Politechnice w Gliwicach, a potem pracował w Instytucie Chemii Ogólnej w Warszawie.

Bogdan Żal pochodził również z podstopnickiej wsi, z rodziny zamożnego gospodarza. Podobnie jak ja interesował się chemią. Pamiętam, że kiedyś dostał obszerny podręcznik chemii nieorganicznej. Był tym ogrom-

nie podniecony i natychmiast zabrał się do wertowania jego treści. Żał miał rzeczowy pogląd na świat, wyrobiony pod wpływem brata, inżyniera górnika, który uważał, że najistotniejszą sprawą w pracy zawodowej jest brak zwierzchników. Niezależność, twierdził, jest sprawą fundamentalną. Jego brat ilustrował to twierdzenie licznymi przykładami, opowiadał jak jego znajomi inżynierowie formalnie drżeli przez swoimi szefami. Bogdan zaczął studia uniwersyteckie tuż po wyzwoleniu, kiedy na Wiśle ustabilizował się front. Wschodnia część Polski była już wyzwolona i w Lublinie powstał Uniwersytet im. Marii Skłodowskiej Curie. Studiował ... weterynarię. Nie znam dalszych jego losów.

Wspomniałem szwagra Klainmana, który spędzał wieczory na rozwiązywaniu zadań z geometrii analitycznej oraz studia inż. Włodzimierza Daniewskiego w dziedzinie analizy matematycznej. Były to aktywności charakterystyczne dla okresu wojny. Ludzie starali się zająć intelektualnymi zagadnieniami, żeby oderwać myśli od ponurej rzeczywistości okupacyjnej. Podobnie miała się sprawa z prof. Stelmaszyńskim, który zaczął się uczyć języka angielskiego.

Ja byłem zaangażowany w intensywne studia w ramach tzw. Uniwersytetu Stopnickiego, bo tak nazwałem nasz tajny komplet, którego byłem członkiem w latach szkolnych 1940/1941 do 1943/1944. Moja codzienność miała charakter dwupłaszczyznowy, w ramach jednej płaszczyzny miały miejsce ograniczone kontakty ze światem zewnętrznym, a więc codzienne spacerunki, wyjazdy na wakacje do Janowa, uczestniczenie w porannych nabożeństwach w klasztorze, itd. Drugi nurt to było życie w domu, wyżywanie się w zdobywaniu wiedzy. Była to główna i istotna część każdego dnia. Moje studia zaczynały się rano, zazwyczaj koło południa miały miejsce lekcje z nauczycielem, następnie wychodziłem na spacer. Później był obiad i dalsze studiowanie, które przerwane krótką kolacją przeciągało się do północy, niejednokrotnie do 1 lub 2 nad ranem. W takim wypadku trudno mi było podnieść się z łóżka następnego dnia, ponieważ nie byłem przyzwyczajony do ślęczenia po nocach.

W lecie 1941 r. przyjechał do nas z Warszawy mój cioteczny brat, Jerzy Szpinak, syn znanego pediatry. Jego matka, podobnie jak moja była dentystką, ale pracowała jako nauczycielka. Sytuacja w Warszawie była zła, mieszkali w dzielnicy, o której wiadomo było, że będzie częścią getta. Jurek był sympatycznym, młodym człowiekiem, niezwykle pracowitym i zdolnym. Wzbogacił szeregi uczniów naszego profesora Stelmaszyńskiego. Mój ojciec, który przywiózł go z Warszawy, wysoko cenił jego pomoc w pro-

wadzeniu janowskiego gospodarstwa w czasie wakacji. Przyjechała również kuzynka mojej matki z córką. Takie zwiększenie liczby lokatorów w naszym mieszkaniu było możliwe we wczesnym okresie okupacji. Większość ludności Stopnicy stanowili Żydzi, a więc możliwość pobytu u nas warszawskich gości zależała od stosunku Niemców do ludności żydowskiej.

Lata 1939-1941 stanowiły względnie spokojny okres mojego życia, ale na horyzoncie zaczęły gromadzić się chmury. Stosunek Niemców do ludności cywilnej był wypadkową szeregu elementów, jak sytuacja polityczna, gospodarcza, wojskowa, a nade wszystko zależał od intensywności realizowania ideologii nazistowskiej.

Wkrótce po zakończeniu działań wojennych 1939 roku zaczęły krążyć plotki na temat partyzanckiej aktywności w naszym regionie. Nazwy grup partyzanckich wywodziły się od pseudonimów ich dowódców. Wydarzenia przypisywane zorganizowanemu ruchowi wyzwolńczemu miały początkowo charakter sporadyczny, z biegiem czasu jednak stały się popolitymi zjawiskami. Zaczęły się częste ataki na różnego rodzaju urzędy, rekwirowanie żywności i pieniędzy przeznaczonych dla Niemców. Najbardziej znaną organizacją partyzancką w naszych stronach były oddziały stanowiące zbrojne ramię emigracyjnego rządu polskiego w Londynie. Początkowo występowały pod nazwą Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), przekształcone w 1941 roku w Armię Krajową (AK), która stała się masową organizacją, obficie zasilaną przez inteligencję. Wieś była również zmilitaryzowana, wyrazem tego ruchu były dość u nas popularne Bataliony Chłopskie (BCh). Mniej znane były prawicowe Narodowe Siły Zbrojne (NSZ), poza tym od czasu do czasu dochodziły pogłoski o aktywności oddziałów Polskiej Armii Robotniczej.

Miałem kolegów w każdej z tych grup, sam nie należałem do żadnej, ponieważ nie interesowałem się polityką. Byłem jednostronny, żyłem w świecie nauki, imponowały mi osiągnięcia intelektualne, emocjonowałem się problemami, których nie rozumiałem lub których nie znałem. Ta cecha mojej osobowości doszła do głosu w początkach wojny i towarzyszy mi niezmiennie od tamtych czasów.

Partyzantce sprzyjały silnie zalesione tereny, oddalonych od nas o zaledwie 50 km Gór Świętokrzyskich, gdzie było centrum ruchu partyzanckiego w tym regionie. Wytworzyła się szczególna, skomplikowana sytuacja. Jej aktorami byli z jednej strony Niemcy i ich donosiciele, których liczba wzrastała w miarę upływu czasu pomimo, że byli bezlitośnie tępieni przez wywiad partyzancki, z drugiej strony byli partyzanci i ludność cywilna, którą

Niemcy starali się eksploatować na wszelki możliwy sposób. Były to rekwizycje żywności i wywożenia na przymusowe roboty do Niemiec.

Partyzanci, zróżnicowani politycznie, bynajmniej nie tworzyli jednolitego frontu przeciw wspólnemu wrogowi. Wewnętrzne utarczki nie należały do rzadkości. Pamiętam czas, że każdego ranka na ulicach Stopnicy znajdowano trupy cywilów. W skład tego konglomeratu rozmaitych aktywności wchodził również problem ludności żydowskiej, przeciwko której Niemcy kierowali główną dozę trucizny ideologii nazistowskiej.

W 1941 r. mieliśmy gwałtowny napływ oddziałów Wehrmachtu. Jego żołnierze stacjonowali w gmachu szkoły powszechnej w rynku. Kilkakrotnie niemieccy oficerowie kwaterowali w naszym mieszkaniu. Trzeba przyznać, że zachowywali się nienagannie. Równocześnie obserwowaliśmy pochód armii niemieckiej na wschód. Całą wiosnę, od rana do wieczora, przeciągały przez stopnicki rynek niekończące się niemieckie formacje wojskowe. Czołgi, wozy, sprzęt artyleryjski, różne samochody, nawet oddziały konnicze, wszystko to płynęło na wschód.

Wkrótce potem, 22 czerwca, gazety doniosły wielkimi nagłówkami, że Niemcy zaczęły działania wojenne skierowane przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Zgodnie z wypróbowaną metodą stosowali blitzkrieg. Posuwali się szybkimi marszami w głąb Rosji, oskrzydlając znaczne połacie terenu wraz z obecnymi na nich radzieckimi jednostkami wojskowymi, tworząc tzw. kotły. W rezultacie tego, jak głosiły niemieckie komunikaty wojenne, w ich ręce wpadały duże ilości jeńców i sprzętu wojskowego. Początkowo działania wojenne rozwijały się pomyślnie.

My, małomiasteczkowi politycy, zastanawialiśmy się, czy bez porównania wyższa technika armii niemieckiej niż ta, którą dysponowała wielka armia Napoleona, zapewni Niemcom zwycięstwo. Poza armią, na terenie Związku Radzieckiego trzeba było liczyć się z bezkresnymi przestrzeniami, kontynentalnym klimatem, ostrymi mrozami, śniegami, przeszywającymi wiatrami oraz wiosennymi roztopami i jesiennymi słotami. Należało też brać pod uwagę marne rosyjskie drogi. Poza tym na zapleczu należało przewidywać aktywność radzieckiej partyzantki, która groziła sparaliżowaniem zaopatrzenia frontu. Zastanawialiśmy się nad znaczeniem radzieckich strat.

Przyszła zima 1941/1942. Niemcy nie zdobyli Moskwy, ani Leningradu. Gazety niemieckie donosiły, że niemieccy żołnierze oglądali Moskwę przez lornetki. Fiasko zdobycia Moskwy skłoniło naszych lokalnych polityków do konkluzji, że Niemcy przegrali wojnę. Było to na rok przed

stalingradzką klęską. W moim otoczeniu istniało głębokie przeświadczenie, że niemiecka okupacja jest sprawą przejściową. Popularne również były przepowiednie dotyczące politycznej przyszłości. Według szczególnie często powtarzanego proocstwa, niemiecki orzeł miał polecieć na wschód i wrócić ze złamanym skrzydłem. Działania wojenne na wschodzie miały istotny wpływ na zachowanie się Niemców w Generalnej Guberni. Stali się bardzo czujni, ponieważ poważniejsza akcja sabotażowa na terenie Polski groziła zaburzeniami dostaw na wschodni front.

Radykalizacji uległ również stosunek do Żydów. Wprowadzono obowiązek noszenia gwiazdy Dawida i utworzono getto. Nie było ono odizolowane od reszty miasta, a ograniczało się jedynie do wydzielenia ulic, które miały być zamieszkałe wyłącznie przez ludność żydowską. Zabroniono Żydom wchodzenia na rynek, co było szczególnie dotkliwie, bowiem przyrynkowe kamienice należały właśnie do nich. Mogli ze swoich domów wychodzić jedynie na boczne ulice. Tego rodzaju restrykcje paraliżowały ich aktywność handlową. Byli ponadto powoływani do robót porządkowych, zwłaszcza w zimie. Ich sytuacja mieszkaniowa znacznie się pogorszyła, ponieważ musieli dostarczać mieszkań dla przybyszów z odległych stron, wysiedleńców. Z niektórymi z nich zawarliśmy znajomość, np. poznaliśmy rodzinę pewnego krawca przybyłego z Niemiec, którego córka udzielała nam lekcji niemieckiej konwersacji. Zawarliśmy również znajomość z pewnym cukiernikiem z Wiednia, który opowiadał nam o nadzwyczajnych tortach produkowanych przez niego w Austrii. Stopnica była pełna przybyszów, nie tylko Żydów, ale i Polaków. Często byli to wysiedleńcy z zachodnich części kraju, np. z Poznańskiego. Zdarzali się również inni, z różnych stron, których wojna i związane z nią zmiany wypędziły z domowych pieleszy.

Tak wyglądało nasze środowisko w roku 1941/1942. Przerabiałem wówczas materiał klasy czwartej. Mimo szczególnej uwagi przywiązywanej do przedmiotów ścisłych, kurs języka polskiego traktowany był z dużą pieczołowitością. W klasach trzeciej i czwartej, równoległe z czytankami zawierającymi często świetne eseje pióra znanego historyka kultury i sztuki Stanisława Wasylewskiego, przerabialiśmy uniwersytecki kurs „Historii literatury niepodległej Polski” Ignacego Chrzanowskiego. Pamiętam do dziś gruby tom tego znakomitego podręcznika w okładkach z szarego, bibulastego papieru z mottem Kazimierza Brodzińskiego „Literatura każdego narodu jest jego moralnym bytem, bezpiecznym w swoich granicach, żadnemu zniszczeniu niepodległym”. Karty tej książki prowadziły mnie od

„Kazań Świętokrzyskich” przez literaturę renesansu, Jana Kochanowskiego z Czarnolasu, Mikołaja Reja z Nagłowic i Jana Chryzostoma Paska ze Smogorzowa koło Stopnicy, pamiętnikarza par excellence, po twórczość poetów oświecenia, związanych z dworem króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Nawiasem mówiąc, szczególnym zbiegiem okoliczności, miejscowości, w których wymienieni wyżej twórcy mieszkali, znajdują się w województwie kieleckim, a więc mieszkali i pracowali w tym samym geograficznym regionie tworząc z niego ośrodek najwyższej klasy polskiego pisarstwa XVI i XVII wieku. Region ten stanowił również centrum aktywności publicystycznej na niwie teologicznej, mam na myśli ośrodki w Rakowie i Pińczowie ze słynnymi oficynami drukarskimi. Bliskie mi są i stale pamiętam „Treny” Kochanowskiego, „Żywot człowieka poczciwego” Reja, „Bajki” i „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki” Ignacego Krasickiego, poezje Adama Naruszewicza i Franciszka Karpińskiego oraz „Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III” Jędrzeja Kitowicza. W tym czasie zapoznałem się także z historią Kościoła Katolickiego. Starannie przerobiłem dwa tomy napisane przez pewnego księdza - historyka i znałem ich treść na wrywyki. Zawsze interesowały mnie sprawy religii.

Zbliżał się koniec roku szkolnego 1941/1942. Wyjechaliśmy na wakacje do Janowa i wtedy właśnie dotknęła nas pierwsza katastrofa. Nadeszło zawiadomienie, że zostajemy wyzuci z posiadania Janowa. Drogą nieoficjalną dowiedzieliśmy się, że przyczyną tego było żydowskie pochodzenie mojej matki. Część ruchomego dobytku z Janowa należało zabrać do Stopnicy, pozostałe rzeczy oddaliśmy na przechowanie do ks. Bronisława Rajchla, proboszcza w Świniarach, siostrzeńca mojego ojca.

Ojciec czynił starania o anulowanie tego zarządzenia i przedstawił szereg dokumentów stwierdzających jego niemieckie pochodzenie, w wyniku czego, niemiecki agronom powiatu buskiego, stanowiącego administracyjną namiastkę powiatu stopnickiego, Wagner, nadzorujący politykę agrarną regionu, początkowo anulował tę krzywdzącą decyzję. Wróciliśmy zatem do Janowa na dalsze wakacje. Mimo to, nie mieliśmy wątpliwości, że radość posiadania Janowa, corocznie spędzane tam wakacje dobiegają kresu. Janów stanowił bowiem wspólną własność obojga rodziców, a w związku z pochodzeniem mamy, wiedzieliśmy, że Niemcy nie zostawią tej sprawy w spokoju. Istotnie, wkrótce otrzymaliśmy nowe zarządzenie, zgodnie z którym Janów został nam zabrany. Wagner, który nabrał swego rodzaju sympatii do mojego ojca, dał jej wyraz w innym przypadku, wróć jeszcze do tej sprawy. Janowski okres naszej egzystencji stanowił

bajeczną rzeczywistość. Wprawdzie odzyskaliśmy majątek po wojnie i początkowo ojciec bywał tam od czasu do czasu, ale wakacji już tam nie spędzaliśmy. Niemcy oddali Janów niejakiemu Łabińskiemu, wysiedleńcowi z Poznańskiego. Nie mogę powiedzieć, żeby Łabiński źle się do nas odnosił, przeciwnie, nieproszony dostarczał nam jakichś produktów żywnościowych, które nie miały praktycznego znaczenia. W końcu lata wróciliśmy z naszych ostatnich wakacji w Janowie do Stopnicy.

Wkrótce zaczął się rok szkolny 1942/1943. W organizacji tajnego nauczania nastąpiły zasadnicze zmiany. Dydaktyka nabrała charakteru grupowego, stała się nauczaniem „na kompletach”. Kompletów nie były niezależnymi grupami uczniów, ale zostały podporządkowane władzom gimnazjalnym w Busku. Po wojnie uczniowie otrzymywali świadectwa. Były one respektowane przez wszystkie uczelnie w kraju. W moim przypadku Stelmaczyński zorganizował komplet złożony z trzech studentów, Ryśka Kahla, Maćka Gruszewskiego i mnie. Rysiek był stopniczanie, okazał się sumiennym uczniem. Oryginalną postacią był Maciek, przystojny blondyn, szczupły, o niebieskich oczach i o niewątpliwie humanistycznych zdolnościach. Był inteligentny i dowcipny. Stanowiliśmy dobrze dobrany zespół, który sprawnie funkcjonował i doprowadził nas do matury. Maciek był przybyszem, mieszkał u swego stryja, starszego pana, również przybysza, który wraz z żoną prowadził sklep spożywczy mieszczący się po przeciwnej stronie rynku, vis-a-vis naszego mieszkania. Lekcje odbywały się codziennie w naszym domu.

W drugiej połowie 1942 roku okupant zaczął koncentrować Żydów w miastach. Do takich miejskich ośrodków zaliczono też Stopnicę i zaczęto osiedlać w niej Żydów z okolic. W stopnickim getcie zrobił się tłok. Równocześnie zaczęły krążyć uporczywe pogłoski, że zagęszczenie ludności żydowskiej jest wstępem do jej wysiedlenia. Taka ewentualność, zważywszy dotychczasową działalność Niemców, wydawała się możliwa. Niektórzy ludzie zaczęli znikać. Na marginesie wspomnę, że dom, w którym mieszkaliśmy, należał do Żyda, Dawida Szwera i że był otoczony żydowskimi mieszkaniami, w związku z tym, nastroje nurtujące Żydów z łaźwiwością przenikały do nas.

Mimo tej denerwującej atmosfery, nasz zespół „Uniwersytetu Stopnickiego” pracował gorączkowo. Przerabialiśmy kurs pierwszej klasy liceum matematyczno-fizycznego, a więc kurs fizyki Kalinowskiego, obszerny zakres algebry, chemii organicznej i biologii, poza tym kurs niemieckiego oraz katolicką dogmatykę, której treść była przedmiotem ożywio-

nych dyskusji. W ramach studiów nad literaturą polską przerabialiśmy romantyzm, posługując się podręcznikiem pióra Juliusza Kleinera jako źródłem podstawowym. Przerabialiśmy wszystkie przedmioty przewidziane w programie klasy I, często w szerszym zakresie, niż zalecany. Staraliśmy się uczyć gruntownie i z zapałem, byliśmy głęboko przeświadczeni, że będzie to stanowić podstawę naszych studiów w przyszłości. Mimo że, nie wiedzieliśmy, co może nastąpić. Chcę podkreślić, że wszyscy byli głęboko przekonani, że Niemcy przegrają wojnę, mimo sukcesów na froncie wschodnim, zdobycia Sewastopola i Noworosyjska. Wiedzieliśmy, że im dalej na wschód posuwa się armia hitlerowska, tym dla niej gorzej.

4 a. Zagłada Żydów

W połowie października napięcie stopniczan doszło do zenitu. Około dwudziestego Niemcy zawiadomili ludność żydowską, żeby była przygotowana do wysiedlenia. Wyszczególniono przedmioty, które Żydzi mogą ze sobą zabrać. Ojciec odwiózł matkę do Solca-Zdroju, do pensjonatu Anny Łackiej, naszej wieloletniej, dobrej znajomej. Jurek Szpinak, mój kuzyn z Warszawy, został umieszczony u Ryszarda Gronka w podstopniczej wsi Skrobaczów. Gronek był kucharzem i w dawnych czasach przygotowywał przyjęcia w naszym domu. Rysiek, mój brat, został wysłany na plebanię w Świaniarach. W rezultacie podjętych środków ostrożności, w domu zostaliśmy tylko obaj z ojcem. Te przedsięwzięcia zostały zaaranżowane celem zapobieżenia nieszczęściu, o które w dniu wysiedlenia, przypuszczaliśmy, byłoby łatwo. Przez pierwsze dwa dni naszego samotnego pobytu nic się nie wydarzyło, ale trzeciego przyszła nawałnica.

Był to 5 listopada 1942 r. Rano obudziła nas palba karabinowa, dochodziła z północno-zachodniej części miasta. Ponieważ Żydów tam nie było, sądzę, że miała to być pobudka sygnalizująca ich wysiedlenie. Natychmiast wstaliśmy. Nie mieliśmy wątpliwości, że zaczyna się operacja wysiedleniowa. Około godziny 7 - 8 w mieszkaniach zajmowanych przez Żydów zaczął się gwałtowny ruch, szuranie wielu stóp. Wkrótce dały się słyszeć gardłowe wrzaski niemieckie „raus, raus!” i strzały na rynku, i w bocznych ulicach. Krzyki oprawców mieszały się z nawoływaniem szcztuch ludzi. Byliśmy jak odrętwiali. W sieni, z której wchodziło się do po-

czekalni gabinetu dentystycznego mojej matki znajdowały się również drzwi wejściowe do dwu mieszkań zajmowanych przez Żydów. W jednym z nich mieszkała rodzina krawca, który miał bardzo ładną córkę o kasztanowych włosach i brązowych oczach. Gdy przechodziłem, od czasu do czasu wdawała się ze mną w rozmowę. Przed wysiedleniem robiła to częściej niż zwykle. Tego feralnego dnia już od wczesnego rana dochodziły do nas z sieni odgłosy szurania butów i pospiesznych kroków. Karabinowe strzały wydawały się koncentrować w okolicy rynku, na który zaczęły napływać pierwsze grupy nieszczęśliwych naznaczonych gwiazdami Dawida. Tymczasem dziwne rzeczy zaczęły się dziać na podwórzu. Słychać było przekleństwa i półgłosem, po polsku wymawiane polecenie „Dawaj pieniądze” i buch!, uderzenie pięścią czy kolbą karabinu, trudno powiedzieć, ponieważ na podwórzu trudno było spojrzeć z okna 1 piętra. Potem znowu słychać było „dawaj dolary” i uderzenie, prawdopodobnie na odlew. Następnie to samo zdanie, ale dla odmiany dotyczące złota. Podejrzewałem, że ten epizod był dziełem ukraińskich oddziałów, pomagających Niemcom w przeprowadzeniu wysiedlenia. Nagle dał się słyszeć głos tej dziewczyny z sąsiedztwa, rozdzierający krzyk, „mamysi, mamysi”, nawołujący matkę. Crescendo jej rozpaczliwego wołania było niemal pionowe i nagle zgasło. Wspomnienie tego krzyku budziło mnie przez kilka nocy. Rynek zapełniał się ludźmi ubranymi w czarne chałaty z gwiazdami na opaskach. Dźwigali się tobołki i zawiniątka. Starali się trzymać razem, ale Niemcom nie zawsze to odpowiadało i starali się rozdzielać stłoczone grupy. Od czasu do czasu padały strzały. Gwar głosów kilkutysięcznej rzeszy ludzkiej mieszał się z komendami Niemców oraz okrzykami policji żydowskiej starającej się utrzymać porządek. Do bezbronnych ludzi strzelano bezkarnie. Długo nie mogłem się pogodzić z faktem, że są sytuacje, w których można zabijać ludzi jak zające na polowaniu.

Około 2 po południu kolumna Żydów wyruszyła w stronę Szczucina. Ci, którzy nie byli w stanie iść byli zabijani na miejscu. W Szczucinie odbywała się selekcja. Młodych i zdrowych zatrudniono w fabryce zbrojeniowej w Skarżysku, pozostałych wywożono do obozu zagłady w Treblince. Taka jest powszechna wersja, choć słyszałem też inną, że były transporty, kończące się w Majdanku, gdzie piece przerabiające ludzi na popiół pracowały na pełnych obrotach. Mówiono, że odór tego dymu był tak odrażający, że mieszkańcy Lublina musieli zatykać nosy chodząc jego ulicami. Około 3 po południu rynek stopnicki opustoszał. Pozostały tu i ówdzie trupy, kałuże krwi, zawiniątka, jakieś papiery i szmaty. Wozy, zaprzężone w człapiące konie powoli przeciągały

przez rynek. Były wypełnione trupami, zabranymi z bocznych ulic. Z furmańek przykrytych plandekami wystawały kończyny zabitych. Szczególnie utkwiła mi w pamięci noga kobiety obuta w pantofel, stercząca niemal prostopadle w kierunku pochmurnego nieba, stanowiła jakby symbol nieznego protestu przeciwko krwawym wydarzeniom.

Nie był to koniec tragedii, jej dalszy ciąg właśnie się zaczynał. Osoby stare i chore, oszczędzone w czasie wysiedlenia przetransportowano na rynek. Kładziono je, bądź ustawiano w pozycji półleżącej, w rogu rynku, po tej samej stronie co szkoła, we wschodnim końcu północnej pierzei, w pobliżu sklepu, gdzie jak pamiętam, sprzedawano papierosy. Wokół tego sklepu zebrała się grupa Niemców, którzy zaczęli strzelać do Żydów. Byli widocznie w dobrym nastroju, być może podchmieni. Przyłączył się do nich jakiś cywil, który właśnie wyszedł ze sklepu, z ożywieniem, żartując, coś z nimi omawiał, wydawało się że wyniki tej tragicznej strzelaniny.

Krwawy dzień zbliżał się do końca. Od rana był bezsłoneczny, jakby słońce poskapało swego życiodajnego blasku tragicznym wydarzeniem. Mimo zapadającego zmroku Niemcy nie zakończyli akcji, przeszukiwali przy świetle latarek piwnice i zakamarki opuszczonych domów strzelając do ukrywających się nieszczęśników.

Ciekawa rzecz, że nasze pięciopokojowe mieszkanie nie było sprawdzane. Tylko raz ktoś zapukał do drzwi wiodących z sieni do poczekalni dentystycznego gabinetu. Na progu stał cywil, który, gdy nas zobaczył, uklonił się i bez słowa wyszedł zamykając drzwi. To było wszystko. Zrobiła się noc. Na ulicach, od czasu do czasu rozbrzmiewały strzały przy akompaniamencie wycia psów. Noc była makabryczna.

Spanie przygotowaliśmy sobie z ojcem na tapczanie w stołowym pokoju. Zasnąłem szybko, zmęczony napięciem minionego dnia. Obudziłem się nagle, późno w nocy, ojciec krzyczał: „Boże, mój Boże, dlaczego mnie to wszystko spotyka?!”. Był w stanie depresji. Leżałem jak trusia. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym epizodzie.

Następny dzień wydawał się zwykły i powszedni. Słońce wstało jakby nigdy nic, natura egzystowała bez wyraźnej reakcji na wydarzenia poprzedniego dnia. Miasto było jak wymarłe. Nawet przeszukiwanie pozostałości żydowskich przez polskich sąsiadów nie miało miejsca. Po kilku dniach życie zaczęło się odradzać. Sklepy prowadzone przez Polaków zostały pootwierane. Tym niemniej ubytek znacznej części ludności nadawał miasteczku charakter opustoszałego osiedla.

Wiedzieliśmy, że tragiczne zajścia nie skończyły się i że ich dalszy ciąg wkrótce nastąpi. Niemcy planowali likwidację getta w Staszowie. Tamtejsi Żydzi mieli być przewiezieni do Stopnicy furmankami należącymi do podstaszowskich chłopów. U nas mieli przesiąść się na podwozy należące do rolników z okolicznych wsi. W tydzień po wywiezieniu stopnickich Żydów, furmanki wiozące Żydów ze Staszowa ukazały się na stopnickim rynku około 10 rano. Stopnickie podwozy już na nich czekały. Moment później nastąpił kulminacyjny punkt całej operacji. W Staszowie członkowie żydowskich rodzin starali się lokować na tych samych furmankach, w Stopnicy natomiast, Niemcy chcieli oddzielić dzieci od rodziców, co spowodowało dantejskie sceny protestu. Gęsto padały strzały. To wszystko widziałem na własne oczy z okna naszego mieszkania, skąd rozpościerał się widok na rynek, stanowiący scenę potwornego spektaklu, który miał niewielu widzów, możliwe że byłem jedynym stopniczanie, naocznym świadkiem, bowiem mieszkania w rynku należały do wywiezionych Żydów. Pamiętam, jakby to było wczoraj, na wozie stojącym blisko naszego domu stała kobieta, do której strzelił Niemiec. Po strzale kobieta natychmiast upadła. Widziałem wiele podobnych scen, ale ta utkwiła mi w pamięci ze szczególną wyrazistością. Po południu rynek opustoszał.

Następnego dnia wyszedłem na spacer nie zwracając uwagi na kolor brukowanej nawierzchni. Po powrocie stwierdziłem z przerażeniem, że moje buty pokrywa warstwa czerwonego błota. Dopiero wówczas zauważyłem, że rynek pokryty był warstwą krwi.

Ojciec zaczął również wychodzić z domu. Pewnego dnia spotkał naszego dobrego znajomego, dra Wacława Piotrowskiego, zasłużonego obywatela Stopnicy, którego nazwiskiem ochrzczono jedną z ulic naszego miasta. Powiedział ojcu, że rozchorował się w wyniku tych zdarzeń i że okrucieństwo tego, co się zdarzyło w ostatnim czasie przeżywało wszystkie przykre doświadczenia jego życia razem wzięte. Z perspektywy czasu te sceny z przeszłości wydają się być produktem majaczenia mózgu. Niestety, taka była prawda.

4 b. Podzwonne stopnickich Żydów

Zanim nastąpiła zagłada stopnickich Żydów, stanowili oni ważny element naszego miasta, byli społecznością niezwykle aktywną w różnych sferach życia, wnosili swój wkład w rozwój Stopnicy. Koegzystencja z ludnością chrześcijańską, choć znaczone sporadycznymi konfliktami, była dość harmonijna. Dobrze zapamiętałem znaczące postacie gminy żydowskiej.

Żydówką była Maria Nożycowa, moja nauczycielka w latach 1939-1940, z którą przerabiałem kurs drugiej klasy gimnazjalnej. Nie miała wyższego wykształcenia, była abiturientką stopnickiego gimnazjum. Mimo naszych serdecznych stosunków, nigdy nie mówiła dlaczego przerwała naukę. Mam wrażenie, że na przeszkodzie stanęły sprawy rodzinne i materialne. Miała męża i dwoje dzieci. Wywieziono ją z dziećmi, natomiast mąż został w Stopnicy pełnić obowiązki żydowskiego policjanta. Pewnej liczby tych funkcjonariuszy Niemcy nie wysiedlili, zostawiając ich dla celów porządkowych. Gdy go spotkałem kilka dni po akcji wysiedlania, wstąpił na chwilę do naszego mieszkania, byłem niepomiarnie zdziwiony, ponieważ sądziłem, że towarzyszył żonie w nieszczęsnej podróży. Musiała się do końca poniewierać samotnie z dwojgiem dzieci w drodze do... Treblińki. Nie pytałem go o żadne szczegóły.

Wspominałem o mojej przyjaźni z Żydem, Zygmuntem Klajnmanem. Niekiedy zastanawiam się, jakie były jego dalsze losy.

We wczesnych latach 30. częstym gościem w naszym domu był Mandelman, obrońca sądowy, który przychodził celem przedyskutowania z ojcem niektórych spraw sądowych, będących właśnie na wokandzie. Mandelmanowie mieszkali w domu położonym naprzeciwko naszego, przy ul. Soleckiej. Stanowili małżeństwo z trojgiem dzieci, dwiema córkami, Chajką i Machcią oraz synem Josiem. Najmłodsza była Chajka, znana z picia octu w celu schudnięcia. Machcia, ruda, o ile mnie pamięć nie myli, była uczennicą stopnickiego gimnazjum.

Miałem również dwóch dobrych znajomych muzyków, którzy dawali mi lekcje gry na skrzypcach. Byli nimi: Samuel Weksler, człowiek w średnim wieku i Izaak Aronzon, który mieszkał z rodzicami przy ul. Soleckiej. Ojciec tej rodziny był na wpół ociemniałym emerytem, wychodził z żoną na spacer niemal codziennie, o ile pozwalała na to pogoda, zwykle pod wieczór, ponieważ jego żona przez większość dnia pracowała jako krawcowa. Dwa cienie, trzymające się za ręce, pojawiały się na ulicy Soleckiej

i żwawym marszem posuwały się w kierunku niezbyt odległej Góry Soleckiej. Izaak był młodym, utalentowanym skrzypkiem. Na krótko przed wojną znikł. Mówiono, że wyemigrował do Izraela.

Na podwórzu Aronzonów stał dom, z którym wiąże się ponura historia. Mieszkał w nim Moryc, Żyd, człowiek o tajemniczych koneksjach i niecodziennych zainteresowaniach. Odznaczał się technicznymi zdolnościami. Przed wojną składał i sprzedawał aparaty radiowe. Posiadał samochód, co stanowiło rzadkość w przedwojennej Stopnicy. Zналиśmy go od lat. Bywał u nas zarówno w Janowie, jak i w Stopnicy, jego odwiedziny wiązały się z problemami naszych odbiorników radiowych. Był sympatyczny i przedsiębiorczy. Nagle w 1941 r. uderzeni zostaliśmy wiadomością, że został zabity. Pewnej nocy, wczesną wiosną, przyszli do niego członkowie jednej z podziemnych organizacji. Ich rozmowa może być jedynie przedmiotem spekulacji. Wyprowadzili go na zewnątrz i zastrzelili. Powszechnie mówiono, że był niemieckim szpiegiem. Zaraz po otrzymaniu tej wiadomości, idąc na swój codzienny spacer na Górę Solecką, wstąpiłem tam, ale wszystkie ślady egzekucji zostały już usunięte.

Pisałem też o Józefie Zyngierze, właścicielu księgarń i sklepu z materiałami piśmienniczymi oraz wypożyczalni książek. Naręcza książek, które od niego pożycałem zbliżyły nas. Znikł na długo przed wysiedleniem. W jego zastępstwie księgarnię prowadziła jakaś kobieta, której aktywność skupiła się jedynie na wyprzedazy zbiorów Zyngiera.

Galeria żydowskich postaci, z którymi wiązało się nasze życie byłaby niekompletna, gdybym nie wspomniał medyków dbających o nasze zdrowie. Nie byłem słabowity, ale chorowałem dwa razy w roku, na przełomie zimy i wiosny oraz jesieni i zimy. Wczesny kwiecień i październik to były miesiące, kiedy z bólem głowy, kaszlem i gorączką, kładłem się do łóżka. Wtedy na widownię wkraczał felczer, Żyd, Majorek Blusztajn, który z czasem stał się nieodzownym elementem naszej egzystencji. Po zbadaniu zapowiadał, że zapisze mi „wykrztuśną miksturę”, czasem zalecał bańki, wcieranie w plecy terpentyny, wygrzanie się i zapewniał, że cała moja choroba zniknie bez śladu. Często zapadałem na anginę i wtedy należało pędzlować mi migdałki. Majorek był niewysokim, tęgawym mężczyzną, uosobieniem optymizmu i energii. Budził zaufanie przy pierwszym kontakcie. Jego córka Andzia, praktykowała wykonywanie technicznych robót dentystrycznych w pracowni wchodzącej w skład gabinetu dentystrycznego mojej matki. Niekiedy przyjeżdżała do Janowa.

Żydzi przybyli do Stopnicy w 1540 roku. W 1649 r. zorganizowali tu własną gminę. Mieszkali w Stopnicy 400 lat, a ich zagłada wyprzedziła zniszczenie miasta o dwa lata. Reprezentowali ogromnie dynamiczny element. Kilkakrotnie musieli się przeciwstawiać próbom ograniczenia ich rozwoju, którego pierwszym przykładem był edykt króla Jana Kazimierza z 1662 r., zabraniający stopnickim Żydom osiedlania się w rynku i w pobliżu kościoła. Wkrótce przewyciężyli te ograniczenia i uzyskali swobodę wyboru miejsca zamieszkania. Lustratorzy królewskiego urzędu skarbowego donosili w raporcie z 1789 r., że „w samym rynku Żydzi mają swoje domy, między którymi 2 tylko domy przez chrześcijan posiadane, reszta mieszczan w ulicach i na przedmieściach mieszka”. Inny przykład miał podłoże religijne. Otóż, w roku 1694 ksiądz Krzysztof Dembicki, oficjał i kanonik sandomierski wniósł skargę do Trybunału Koronnego przeciw Żydom w Stopnicy oskarżając ich o niewłaściwy stosunek do religii katolickiej. W powodzi różnych wydarzeń słuch o tym procesie zaginął.

Przykładem innej, antyżydowskiej aktywności był tumult 11 marca 1919 roku. Brał w nim udział kilkutysięczny tłum złożony z mieszkańców powiatu stopnickiego, rabujący żydowskie sklepy. Policja i żandarmeria położyły kres tym ekscesom po wielogodzinnej akcji i aresztowaniu trzech organizatorów napadu. Był to izolowany przypadek, który więcej się nie powtórzył.

W połowie XVIII wieku August III nadał stopnickim Żydom przywileje prowadzenia handlu, wyszynku, stawiania budynku szkolnego oraz praktykowania swojej religii. Te przywileje umożliwiły Żydom zajęcie dominującej pozycji w stopnickim handlu, w prowadzeniu sklepów i sprzedaży produktów rolnych oraz w zbyciu towarów przemysłowych, importowanych do miasta. Uwidacznia to podział liczby sklepów między Polakami i Żydami w 1911 roku. Jeden sklep był w rękach polskich, pozostałe w żydowskich. W 1928 r. Żydzi byli właścicielami 202, a Polacy 23 sklepów. Rzemieślniczą domeną Żydów było krawiectwo i szewstwo. W 1848 r. zorganizowali „Cech Zbiorowy Żydowski”, zrzeszający 32 członków. O swobodzie w praktykowaniu religii świadczy istnienie dwóch synagog i dwóch ementarzy. Około początków XX wieku Żydzi stanowili 2/3 (67%) ludności miasta. Pragnę tutaj zauważyć, że wg danych Wielkiej Encyklopedii PWN (9) średnia wartość żydowskiego zaludnienia polskich miast wynosiła 30%. Załączam tu wykres zależności zaludnienia Stopnicy przez Żydów wyrażonego w procentach gremium obywateli jako funkcji czasu. Krzywa charakteryzuje się niezakłóconym przebiegiem, wskazującym na brak dojmujących przeszkód w rozwoju ich egzystencji.

W 1940 r., gdy groźba wyniszczenia żydowskiego społeczeństwa stawała się coraz bardziej realna, młodzież żydowska zamieniła rynek na swego rodzaju promenadę. Jesień 1940 r. była ciepła i pogodna. We wrześniu i październiku, gdy mrok spowijał Stopnicę, na rynku odbywały się spacerowe żydowskiej młodzieży. Nie opuszczała go, ponieważ było to niebezpieczne, a poza tym, szczerze mówiąc, nie było dokąd iść. Spacerując wszyscy widzieli się nawzajem. Spacerowali po chodnikach, więc plac rynkowy był pusty a chodniki pełne. Towarzystwo temu spacerowi głośne rozmowy, śmiechy i żarty. Te perypatetyczne rozrywki stanowiły wyraz spontanicznej potrzeby zbiorowego spotykania się i wspólnego przebywania. Być może były też pewnego rodzaju protestem wobec nieubłaganego losu. Mieszkaliśmy w rynku i obserwowałem, co się na nim działo. Wieczory spędzałem nad książkami, w pustym o tej porze gabinecie mojej matki, którego okno dawało obraz rynku, podobnie jak balkon w poczekalni jej pacjentów, na który wychodziłem od czasu do czasu.

Dwa lata później tętniąca życiem żydowska część miasta zamarała na zawsze. Najtragiczniejszym elementem była oczywiście śmierć jej mieszkańców. Kilka osób, które przeżyły eksterminację, nie powróciło już do Stopnicy. Konsekwencją tego była nieodwracalna destrukcja obu świątyń i cmentarzy. Na miejscu jednego zbudowano magazyny, teren drugiego służy jako pastwisko. Nie ma śladów macew. W czasie wojny Niemcy polecieli usunięcie ich z cmentarzy, w związku z tym można je odnaleźć dzisiaj w niektórych gospodarskich obejściach Stopnicy i pobliskich wsi, gdzie służą jako płyty chodnikowe. Trudno uwierzyć, że 400-letnia historia stopnickich Żydów została unicestwiona nie pozostawiając materialnych śladów.



Wykres obrazujący rozwój osadnictwa żydowskiego w Stopnicy

4 c. Stopnica po wysiedleniu Żydów

Po wysiedleniu większość mieszkań żydowskich była pusta. My stanęliśmy wobec dylematu, czy mój kuzyn Jurek będzie bezpieczny w Stopnicy. Doszliśmy do wniosku, że dalszy jego pobyt w Stopnicy może mieć tragiczne konsekwencje dla niego i dla nas. Dopóki ludzi było więcej przynajmniej nie rzucali się w oczy. Po wysiedleniu Żydów liczba mieszkańców znacznie się zmniejszyła i wszyscy się znali. Krwawe wypadki mogły wyzwoić w ludziach różne emocje. Doszliśmy do wniosku, że jedyną radą będzie wyjazd Jurka. Jedyne miejsce, do którego mógł się udać była Warszawa. I pojechał. Furmanką do Kielc, stamtąd pociągiem do Warszawy. Rodzina matki była o tym powiadomiona, ktoś czekał na niego na warszawskim dworcu kolejowym i odwiózł go do zorganizowanej „meliny” w Rembertowie. Tam zamieszkał u pewnej wdowy. Oczywiście nie mógł wrócić do rodziców, bo mieszkali już w getcie.

Po tym epizodzie życie wróciło do normy, w nowych warunkach byliśmy jednak ciągle w napięciu. Matka przestała wychodzić z domu w ciągu dnia, żeby nie rzucać się w oczy, ale wychodziła z ojcem na spacerzy wieczorami. Mimo wszystko podjęła praktykę dentystyczną i jak poprzednio poczekalnia jej gabinetu była wypełniona pacjentami. Podjęcie praktyki było niewątpliwie posunięciem rozsądnym. Z jednej strony chroniło matkę przed degradacją psychiczną, ale z drugiej było przedsięwzięciem ryzykownym i wymagało odwagi oraz wyrobionego charakteru. Celem zachowania więzi z realnym życiem i orientowania się w obowiązujących standardach wyglądu kobiet „na wolności”, obserwowała przechodniów z okien naszego mieszkania, zwłaszcza w niedziele, gdy szli do kościoła lub wracali z nabożeństw. W przypadku jakiejś nieoczekiwanej sytuacji, gdy coś mogło jej grozić w ciągu dnia, zaworem bezpieczeństwa była możliwość opuszczenia naszego mieszkania i schronienia się w mieszkaniu pożydowskim, wówczas pustym, położonym vis-a-vis wyjścia z naszej kuchni do sieni. Kilka razy korzystała z tej kryjówki, gdy wydawało się, że Niemcy coś planują, ponieważ znaczna liczba żandarmów pojawiała się w na rynku. Takie życie szarpało nerwy.

Nasz komplet „Uniwersytetu Stopnickiego” podjął intensywną pracę i kontynuowaliśmy przerabianie pierwszej klasy licealnej. Święta Bożego Narodzenia obchodziliśmy normalnie, z choinką. Nie odczuwaliśmy uszczerbku w naszej egzystencji.

Ogólnie jednak nastroje były ponure, makabra okupacji trwała już trzeci rok i rzucała cień na samopoczucie wszystkich. Każdego dnia docierały do nas nowiny o tym co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin. Zazwyczaj były to krwawe wypadki. Np. Niemcy wykryli w jednej z pobliskich wsi ukrywających się Żydów, często z dziećmi i zaprowadzili ich na żydowski cmentarz celem egzekucji, a następnie poszli do baru Piotrowiczów na stopnickim rynku dla zapicia wyrzutów sumienia, albo np. zastrzelono jakiegoś donosiciela. Niekiedy źródłem nowinek były parachunki w podziemiu, których epilogiem byli zabiści, znajdowani na uliczkach miasta. Czasem plotki dotyczyły aktywności partyzantów, a to zarekwirowali ziarno w jakimś majątku, albo pieniądze w instytucji kierowanej przez Niemców, albo zabili kogoś, kto się skumał z okupantem.

Wszystkie te wydarzenia stwarzały duszną atmosferę, z której nie można było się wyzwolić, zaczerpnąć świeżego powietrza. Wielu ludzi znajdowało ukojenie w kieliszku. Masowo produkowano bimbler. Ten łatwo dostępny produkowany w domu napój alkoholowy zanieczyszczony był fuzlami i stanowił przyczynę zatrucia.

Odskocznię od odrażającej rzeczywistości znajdowałem w książkach, w rozwiązywaniu skomplikowanych zadań algebraicznych. Na szczególną uwagę zasługiwała geometria analityczna, budziła zainteresowanie bogactwem krzywych linii ujmowanych w równania. Razem z algebrą przygotowywała nas do kursu podstaw analizy matematycznej, który stanowił podstawę matematyki w drugiej klasie licealnej.

Mimo tych interesujących studiów, elementem najbardziej odciągającym nas od brutalnej rzeczywistości był kurs literatury polskiej, obejmujący w tym czasie romantyzm. Utwierdził nas w przekonaniu, że świat wzniosłych uczuć, wyrażonych znakomitym językiem, wcale nie zginął. Mickiewicz w „Stepach Akermanskich” twierdził, że istnieje tęsknota za rodzinnym krajem i bliskimi ludźmi, a w „Odzie do młodości” zapewniał, że oburzająca teraźniejszość i jej cynizm przemina, że nadejdą lepsze czasy, których zadania podyktuje i wprowadzi w czyn młodość. My właśnie czuliśmy się młodzi i wierzyliśmy, że stanowimy awangardę przyszłych zmian.

W grudniu 1942 r. miał miejsce epizod, który wstrząsnął mną do głębi. Pewnej nocy obudziłem się w świetle latarek elektrycznych trzymanyh w rękach żandarmów otaczających mój tapczan w stołowym pokoju. Onie miałem. Intruzi weszli bardzo cicho otwierając frontowe drzwi i nie budząc nikogo. W ogóle się nie odzywali. Towarzyszył im cywil, który po polsku poprosił o lampę naftową. Wstałem bez słowa i podałem mu to, czego

żądał. Pierwsza, paraliżująca myśl, która mną owładnęła to był domysł, że najazd był związany z moją matką i że stanowił wstęp do tragicznych wydarzeń. Chwilę później zrozumiałem, że mieli inną misję do spełnienia. Matka w ogóle ich nie interesowała. Po otrzymaniu lampy nieproszeni goście opuścili nasze mieszkanie. Z odgłosów dochodzących do nas wywnioskowaliśmy, że udali się na strych. Coś tam robili stukając. Po dłuższej chwili cywil powrócił, oddał lampę i wyszedł. Wkrótce cała grupa wsiadła do samochodu i odjechała. Pod wieczór następnego dnia ojciec poszedł na strych zobaczyć, co się tam wydarzyło i wyjaśnił tajemnicę nocnej wizyty. Dom, w którym mieszkaliśmy, należał do Dawida Szwera, kupca bławatnego, wysiedlonego wraz z innymi Żydami, który zostawił na strychu znaczne ilości materiałów. Niemcy dowiedziawszy się o tym przyjechali sprawdzić zasłyszaną informację. Wkrótce po tych odwiedzinach przybyła grupa wojskowych i wywiozła zawartość schowka.

Nadszedł pamiętny rok 1943. Wrył się w pamięć klęską Niemców pod Stalingradem oraz likwidacją warszawskiego getta. Pierwsze z tych wydarzeń zakończyło gigantyczne operacje militarne w ramach wysiłków niemieckich zmierzających do opanowania Kaukazu i dolnego biegu Wołgi. Zmagania trwały od połowy lipca 1942 roku i zakończyły się klęską armii niemieckiej 2 lutego 1943 roku. W wyniku tych zmagania Niemcy i sprzymierzeni z nimi Włosi, Rumuni i Węgrzy stracili około półtora miliona ludzi oraz ogromne ilości sprzętu wojennego. Wydarzenia te przypieczętowały pewność, że klęska Niemców jest sprawą czasu. Te wypadki odbiły się u nas echem ożywionej aktywności partyzantów.

Likwidację warszawskiego getta przeżyliśmy dotkliwie, zwłaszcza że zginął brat mojej matki, inż. elektryk Henryk Manblit z żoną i synkiem. Studia ukończył na politechnice w Tuluzie we Francji, a dorabiał na nic pracując jako fryzjer. Był niezwykle serdecznym człowiekiem. Cieszył się uznaniem i przyjaźnią mego ojca. Tuż przed ostatecznym zamknięciem getta spotkał się z moim ojcem, który przyjechał do Warszawy z pomocą finansową dla matki rodziny. Wujek Henio powiedział mu wtedy, że Niemcy szykujący się do zniszczenia getta spotkają się ze zbrojnym oporem. Zwierzył się również z zamiaru uczestniczenia w walkach jako członek Żydowskiej Organizacji Bojowej. Walki w getcie były krwawe. Część miasta, gdzie mieściło się getto była ostrzeliwana ogniem artyleryjskim i bombardowana z powietrza. Niemcy podpalali partery domów, a rozprzestrzeniający się ogień zmuszał nieszczęśliwych mieszkańców do wychodzenia na coraz wyższe piętra i w końcu do wyskakiwania przez okna na bruk. Tak zginęło w płomieniach około 6 tysięcy osób, 7 tysięcy

zostało zabitych, resztę wywieziono do obozu zagłady w Treblince. Likwidacja getta trwała od 19 kwietnia do połowy lipca. Dziwna rzecz, według ówczesnego czasopisma niemieckiego, Die Woche, Święta Wielkanocne 1943 r. były najpóźniej wypadającymi w XX wieku, bo obchodzone były dopiero w końcu kwietnia. Pamiętam, że było ciepło i była piękna pogoda. Dochodziły nas echa wydarzeń warszawskich. Ludzie mówili o nich półgębkiem.

Niepokojące wiadomości dochodzące z różnych stron stwarzały atmosferę niepewności, zdenerwowania i oczekiwania zmian. Coraz częściej dochodziły słuchy o sabotażach, wykolejaniu pociągów i rekwizycji pieniędzy. Czas płynął nieubłaganie, zbliżało się lato. Nauka nad materiałem I klasy licealnej dobiegała końca. Wszystkie egzaminy zostały zdane pomyślnie, mieliśmy wakacje. Tego roku spędzaliśmy je w Stopnicy. Korzystaliśmy z tzw. działki. Tam spędzałem większość czasu, czytając i pracując w ogrodzie. Pozornie czas jakby zastygł, tragiczne wydarzenia przeszłych lat wydawały się tak niecodzienne, jakby pochodziły z nierealnego świata.

6 lipca 1943 r., wcześniej rano rozeszły się pogłoski, że Niemcy otaczają Stopnicę. Wkrótce ogłoszono, że mieszkańcy muszą opuścić swoje domy, które będą poddane rewizji. Czuliśmy, że znaleźliśmy się w potrzasku. Matka nie wychodziła w dzień, a jej wyjście na rynek oznaczałoby oddanie się w ręce Niemców z przerażającymi konsekwencjami dla całej rodziny. Matka nie wychodziła, a Niemcy udawali, że nie wiedzą o jej istnieniu i pracy zawodowej. Wydaje się to wszystko nieprawdopodobne, ale taka właśnie była ta sytuacja, jak nie z tej ziemi. Szybko podjęliśmy decyzję, żeby matkę zamknąć w drewnutni, znajdującej się na podwórzu. Rynek zapełniał się ludźmi, poszliśmy również, mój ojciec, brat i ja. Niemcy szczególnie interesowali się rynkiem i tu sprawdzali kamienicę po kamienicy. Przeprowadzający rewizje żandarmi nieubłaganie zbliżali się do naszego domu. Byłem przerażony, nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Zacząłem się modlić tak żarliwie, jak nigdy w życiu, ani przedtem, ani potem. Byłem mokry od potu. Gorąca modlitwa uspokoiła moje nerwy. Oczy miałem wlepione w bramę naszego domu, nagle przed jego wejściem ukazał się żandarm, który odprawił gestem kolegów rewidujących mieszkania. Nasz dom został wyłączony z rewizji! Odprężenie było niesamowite. Wydawało mi się, że słońce świeci jaśniej, a ściany kamienic uśmiechały się do mnie. Byłem szczęśliwy. Epilogiem było przemaszerowanie zebranych na rynku obywateli przed grupą oficerów żandarmerii i granatowej policji. Potem pozwolono nam rozejść się do domów.

Zbliżała się jesień. Nasz komplet, w niezmiennym składzie, przy-

stąpił do przerabiania materiału klasy drugiej licealnej. Główną część tego kursu stanowiły podstawy rachunku różniczkowego i całkowego, który przerobiliśmy bardzo szybko rozwiązując wszystkie zadania z podręcznika. Innym przedmiotem stanowiącym temat do dyskusji była część fizyki poświęcona optyce. Promieniowanie elektromagnetyczne i jego właściwości były omawiane z zainteresowaniem. Inne przedmioty powitane z entuzjazmem to krótki zarys astronomii, niestety ograniczony tylko do układu słonecznego oraz kurs propedeutyki filozofii. Tym ostatnim byłem tak zainteresowany, że przerobiłem go znacznie szybciej niż wynikało to z rozkładu lekcji. Zawsze interesowałem się problemami filozoficznymi i religijnymi, i tak zostało po dzień dzisiejszy.

Moja matka interesowała się życiem i bieżącymi wydarzeniami, kiedy opowiadałem jej o nauce, zazwyczaj mówiła, że podziwia moją ciekawość. Lekturą ojca była głównie prasa, poza tym zaopatrywał mnie w książki, dzięki wyjazdom do Warszawy. Nie wtrącał się do moich studiów. Mój brat był zazwyczaj małomówny, a będąc młodszym o 4 lata, uczył się na niższym poziomie i miał odpowiednich wiekiem kolegów. W rezultacie tego miałem ograniczone grono rozmówców, z którymi mogłem dyskutować interesujące mnie problemy.

W tych warunkach każdy gość w domu, z którym można było wymienić poglądy, był cenny. Takim niezmiernie dla mnie wartościowym gościem był Tomasz Gromadzki, o którego tragicznych losach już wspominałem. We wczesnym okresie okupacji odwiedzał nas razem z żoną, później przychodził sam, zazwyczaj późnym popołudniem i z reguły zostawał na kolacji. Często grywaliśmy w szachy. Każde jego odwiedziny były okazją do ożywionych dyskusji na tematy filozoficzne, polityczne i literackie. Obaj żyżyliśmy się w nich. Nie zapomniałem ich treści do dzisiaj. Poza tym w czasie okupacji zachodziła do nas w odwiedziny Jadwiga Dudzikowa, bardzo miła i sympatyczna osoba, żona pilota wojskowego, który w wyniku działań wojennych 1939 r. znalazł się w Anglii. Jej wizyty miały inny charakter niż spotkania z Gromadzkim. Wnosiła z sobą element pogodnych anegdot i łagodnych plotek. Była pożądanym gościem. Jadwiga zwróciła naszą uwagę na trzy gracje wojennej Stopnicy. Były nimi trzy szykowne dziewczyny stanowiące uosobienie wdzięku. Przemierzając ulice naszego miasta rozchmurzały twarze ponurych stopniczan. Zamieszczam tutaj ich konterfekt. Ojciec Jadwigi był stryjecznym bratem Teofila Jasińskiego, mojego nauczyciela i wychowawcy w stopnickiej szkole powszechnej. Wkrótce po zakończeniu działań wojennych mąż Jadwigi przyleciał

samolotem z Anglii i wywiózł do Londynu żonę i córkę.

Nasz komplet pracował w pośpiechu ponieważ sytuacja na froncie wschodnim stawała się krytyczna dla Niemców. W lecie 1943 r. przegrali bitwę pod Kurskiem, następnie stracili część Ukrainy i Białorusi. Spodziewaliśmy się, że kiedy sytuacja w 1944 r. poprawi się, polne



Trzy gracje wojennej Stopnicy, od lewej: Wanda Jasińska, jej siostra Stefania (Dzidka), obecnie Leszczyńska i Bożena Reinsteinówna, obecnie Michalecka.

trakty i rozjechane drogi obeschną po wiosennych roztopach, Polska będzie terenem działań wojennych. W związku z tym czyniliśmy wysiłki, żeby zakończyć kurs klasy drugiej licealnej i złożyć maturę w marcu lub kwietniu 1944 roku.

Czas mijał szybko. Ruch partyzancki przybierał na sile. Minęły już czasy kiedy starcia z Niemcami miały charakter potyczek. Obecnie były to poważne operacje militarne. Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy w komplecie, cali i zdrowi. Nastroje były raczej pozytywne, tym niemniej nie pozbawione elementu podniecenia i niepewności. W początkach 1944 r. zbliżaliśmy się do matury. W lutym złożyliśmy egzaminy z przedmiotów obowiązujących w 2 klasie liceum, w marcu egzaminy maturalne. Dla uczczenia tego wydarzenia moi rodzice urządzili przyjęcie, w którym uczestniczyli członkowie naszego kompletu i obaj profesorowie: Feliks Stelmaszyński i Władysław Majka, czyli cały, samozwańczy „Uniwersytet Stopnicki”. Było to naprawdę przyjemne wydarzenie na tle szarej codziennej egzystencji. Stanowiło ukoronowanie naszych kilkuletnich trudów. Po maturze należało podjąć decyzję co dalej robić.

Bardzo chciałem się uczyć. Ale co studiować? Zasadniczo były trzy, potencjalne kierunki studiów, które brałem pod uwagę: medycyna, prawo i chemia. Matka chciała, aby jeden z nas wybrał studia medyczne. Niestety, żaden z nas nie kwapił się do tego. Być może brakło odpowiedniej podniety. Medycyna była odległa od przedmiotów przerabianych w gimnazjum

i liceum. Co do prawa, to wszyscy byli przeciwni zaangażowaniu się w tę specjalność. Ojciec zdecydowanie odradzał prawo. Jeśli chodzi o chemię to jej zwolennikiem był mój świątły mentor, Feliks Stelmaszyński. Kochał chemię i często ubolewał, że nie miał warunków materialnych by zostać chemikiem. Te studia wymagają ślęczenia w laboratoriach, a on musiał zarabiać korepetycjami na utrzymanie i opłaty uniwersyteckie. Jeśli chodzi o mnie, to od dawna myślałem o chemii. Większość przedmiotów w ramach liceum jak fizyka, matematyka i biologia miały związek z chemią. Cała otaczająca mnie przyroda śpiewała hymny pochwalne na cześć chemii. Biologia, naturalnie, też była pociągająca, ale chemiczne laboratorium wyobrażałem sobie, choć nigdy takiego nie widziałem, zaś biologicznego nie. Poza tym chemia stwarzała możliwości syntezy tych wszystkich cudów i innych, o których ludzie nie mieli jeszcze pojęcia, jak nieznanymi lekami i środkami ochrony roślin. Innymi słowy chemia otwierała pole do twórczej pracy o namacalnych rezultatach. Jeśli chodzi o biologię to w przeciętnym środowisku inteligentnym mało kto zdawał sobie sprawę z potencjalnych możliwości tej specjalności i niewielu przewidywało, że nowoczesny pogląd na świat będzie domeną dwu dziedzin naukowych: fizyki i biologii. Interesowała mnie jeszcze astronomia, ale sądziłem, że w Polsce nie ma warunków do tego rodzaju badań, ze względu na kosztowne wyposażenie niezbędne do pracy naukowej. Nie dawała także możliwości twórczych, np. tworzenia nowych rzeczy, a to była dla mnie najważniejsza sprawa. W rezultacie tych rozważań zdecydowałem się na studia chemiczne. Nie miałem dostępu do jakiegokolwiek laboratorium chemicznego. Sądziłem, że solidna znajomość matematyki będzie pomocna, zwłaszcza w chemii fizycznej. Po rozmowach ze Stelmaszyńskim byłem entuzjastycznie usposobiony do tych studiów.

Wkrótce po naszej maturze prof. Stelmaszyński pojechał do Krakowa odwiedzić swoją rodzinę. Spotkał się tam z matematykami z działającego w podziemiu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Uzyskał temat pracy doktorskiej i prawo prowadzenia kursu teorii wyznaczników. Po jego powrocie podjąłem naukę nad tym zagadnieniem. Równocześnie doszedłem do wniosku, że moja znajomość matematyki gimnazjalnej nie jest zadowalająca. Zdecydowałem się na ponowne przerobienie całego kursu gimnazjalnego matematyki wraz z rozwiązaniem wszystkich zadań. Nie koniec na tym, postanowiłem streścić cały czteroletni materiał, wszystkie twierdzenia i dowody. Moi rodzice nie mogli się temu nadziwić, bo nastaly piękne i pogodne dni kwietniowe, a ja cały czas spędzałem nad książkami. Pracowałem samodzielnie. Napotkane trudności pokonywałem sam, bez uciekania się do pomocy mojego preceptora. Takie były założenia tego przedsięwzięcia.

Kiedy pola, ogrody i przydroża pięknej ziemi kieleckiej pokryły się zielenią i kwiatami, na jej drogach pojawiły się zwiastuny odwrotu wielkiej armii niemieckiej. Korowody furmanek i samochodów pełnych cywiliów z dobytkiem zdążyły na zachód. Uciekinierami byli Ukraińcy współpracujący z Niemcami, uciekali też Volksdeutsche. Wiele pojazdów wypełnionych egzotycznymi pasażerami, Kałmukami, Kazachami czy Mongołami, również zmierzało w kierunku zachodnim. Wielu z nich nosiło niemieckie mundury. Zdążyli do Niemiec, ale Niemcy były nieustannie bombardowane przez alianckie lotnictwo.

Sytuacja przypominała wydarzenia, jakie miały miejsce w Polsce we wrześniu 1939 r. W miarę rozwoju wiosny fala uchodźców przybierała na sile. Widoczne były również wycofujące się oddziały wojskowe. Pamiętam, jak pewnego dnia rano, na stopnicki rynek zawitał oddział niemieckiej kawalerii. Biwakował do południa. Żołnierze przygotowywali jedzenie, opatrywali konie. Koło południa odjechali. Poza tym widzieliśmy wycofywane transporty broni.

Celem zastraszenia i równocześnie odwrócenia uwagi społeczeństwa od bieżących wydarzeń, na wiosnę 1944 r. Niemcy przeprowadzili falę aresztowań na naszych terenach. Jej ofiarą padł mój serdeczny znajomy Tomasz Gromadzki, były kierownik szkoły powszechnej. W czasie aresztowania próbował uciec i został zabity. Chcieli też aresztować Jana Szmita, ucznia gimnazjum, syna Władysława, organisty stopnickiej fary. Dzięki niezwykłemu zbiegowi okoliczności udało mu się uniknąć aresztowania. Żandarmi, którzy przyszli po niego, przyprowadzili z sobą wilczura. Janek miał podobnego wielkością psa i gdy Niemcy mieli założyć mu kajdanki psy zaczęły się gryźć. Wynikło zamieszanie i chłopcu udało się wymknąć z domu. Przez podwórza wypadł na łąkę przy rzece i dobiegł do jej dolnego biegu. Uważając, że jest już bezpieczny wypiął się na grupę Niemców obserwujących go z niezbyt odległego folwarku Podzamcze. Jeden z nich otworzył ogień i wielokrotnie trafił Janka. Wspomnienie przystojnego chłopca przywołuje w pamięci jego niezwykle urodziwą siostrę, Barbarę. Ich ojciec, absolwent warszawskiego konserwatorium muzycznego, przychodził do nas często w pewnym okresie, bowiem uczył mojego brata gry na pianinie. W ramach aresztowań zatrzymano również Bronisława Pałysa, studenta medycyny. Zabrano go ze szpitala, gdzie leżał ze złamaną nogą. Zastrzelono go w Lesie Waleckim, w pobliżu Buska-Zdroju. Kilka dni po egzekucji koledzy przenieśli jego zwłoki na stopnicki cmentarz. Po wojnie ekshumowano Pałysa i przewieziono do Wielkopolski, gdzie spoczął w rodzinnym grobie.

4 d. Ucieczka do Baranowa

W czerwcu i lipcu słyhać już było odległe kanonady. Drugiego sierpnia napięta sytuacja nagle się rozładowała. Na stopnickim rynku pojawiły się nieznane czołgi. Po krótkiej konsternacji okazało się, że Stopnica została zajęta przez oddziały radzieckie. Mieszkańców ogarnęła euforia. Wolność, wolność słyzało się naokoło. Do miasta wkroczyły oddziały partyzanckie. Partyzanci byli uzbrojeni i nie ukrywali swoich przynależności politycznych. Na maszcie, w centrum rynku, łopotała białoczerwona chorągiew. Ad hoc stworzona milicja zajęła się sprawą bezpieczeństwa mieszkańców. Wkrótce okazało się, że ekstaza wolności była przedwczesna. Radziecki oddział, który tak nagle wkroczył do Stopnicy, okazał się być awangardą, która wtargnęła w głąb obszaru kontrolowanego przez Niemców. W Stopnicy byli Rosjanie i partyzanci, ale miasto otaczali Niemcy. Jedynie od wschodu był niewielki korytarz łączący radziecką szpicę z solidnymi i licznymi ugrupowaniami wojskowymi stacjonującymi nad Wisłą. Mimo wszystko Rosjanie usadowili się w Stopnicy. Byli przyjaźnie nastawieni do miejscowej ludności, powiedziałbym, że byli serdeczni. Często stawali nas swoimi racjami żywnościowymi. Szczególnym powodzeniem cieszyła się tzw. tuszonka. Były to puszki z mięsem wieprzowym, bardzo smacznie przyprawionym liśćmi bobkowymi. Pochodziła z amerykańskich dostaw. Rozmawialiśmy z żołnierzami radzieckimi, chociaż nie znaleźmy języka rosyjskiego. Moja matka znała go doskonale, skończyła gimnazjum rosyjskie i to ułatwiała porozumiewanie się. Szczególnie przyjemnym interlokutorem był pewien oficer polityczny. Opowiadał o Moskwie, szkołach w Związku Radzieckim, uniwersytetach, życiu, itd.

Tymczasem Niemcy ochłonęli i zaczęli zacieśniać pierścień okrążenia wokół Stopnicy. Zaczęły się mnożyć potyczki na peryferiach miasta. Czołgi przejeżdżały jego ulicami zdążając w różnych kierunkach. Wydawało się, że w sukurs tym, które przyjechały jako pierwsze, przybyły nowe. Niestety, oficerowie żalili się w rozmowach na trudności zaopatrzenia, głównie w paliwo. Najgorsze było ostrzeliwanie z broni pokładowej i bombardowanie z samolotów obrzeży naszego miasta przez Niemców. Oszczędzono tylko centrum, sądzono zapewne, że zadrzewione tereny i ogrody na peryferiach kryją radzieckie oddziały i broń. Wybuchy bomb i odgłosy krążących samolotów terroryzowały mieszkańców stwarzając stan permanentnego zdenerwowania.

3 sierpnia na podwórzu domu Stelmaszyńskich spadła bomba, a jej odłamki śmiertelnie raniły w głowę dwuletnie dziecko adwokata Wrzoska, lokatora domu oraz spowodowały obrażenia Beresiewicza, drugiego tenanta.

Wypadki te były przyczyną łańcuchowej reakcji prof. Stelmaszyńskiego, który wpadł do naszego mieszkania następnego dnia, tj. 4 sierpnia przed południem i zapytał moją matkę co ma robić i gdzie się schronić. Byłem wówczas nieobecny, a po powrocie opowiedziała mi matka całe zdarzenie, była wzburzona. Można wyobrazić sobie nasze przerażenie, kiedy w kilka godzin później doszła do nas wiadomość, że mój nauczyciel nie żyje. Nie wiedział dokąd się udać, sądził, że będąc w mieszkaniu byłby narażony na niebezpieczeństwo zasypania walącymi się murami w razie trafienia domu bombą. W związku z tym schronił się w rowie oddzielającym ogród owocowy Stelmaszyńskich od sąsiedniej posesji. Był to dość szeroki rów, często suchy, niejednokrotnie miejsce naszych zabaw w minionych latach. Tuż obok tego rowu stała kuźnia (pozostałość po jego nieżyjącym ojcu). Okazało się, że bomba spadła do ogrodu i jej odłamek ranił profesora. Zabranym do szpitala zmarł tego samego dnia. Stelmaszyński był człowiekiem opanowanym, a jego niezwykle zachowanie poprzedzające śmierć stało się zrozumiałe w świetle tego, co miało miejsce poprzedniego dnia.

Nazajutrz miał się odbyć pogrzeb, poproszono mnie, żebym przyszedł wcześniej i pomógł w przygotowaniach. Pogrzeb był planowany na późne popołudnie. Gdy przyszedłem ciało profesora było już przygotowane, sam układałem go w trumnie. Trudno mi było uwierzyć, że to ten sam człowiek, który przychodził na lekcje, prowadził ze mną wielogodzinne rozmowy. Był szczupłym, wysokim mężczyzną. Teraz, gdy leżał w trumnie wydawał się jeszcze szczuplejszy. Było mroczne popołudnie. Z daleka dochodziły odgłosy artyleryjskiego pojedynku. Pogrzebowe uroczystości odbyły się w pośpiechu. Nie wiedzieliśmy, co przyniesie jutro.

Po powrocie do domu zastanawiałem się nad dziwnym zbiegiem okoliczności w moim życiu. Urodziłem się w domu Stelmaszyńskich, tam spędziłem najlepsze lata mego życia, stamtąd zacząłem uczęszczać do szkoły, z ulicy Soleckiej wyprowadziliśmy się gdy miałem 10 lat. W czasie wojny bardzo był mi potrzebny nauczyciel i wychowawca, wówczas zjawiał się Feliks Stelmaszyński, który znakomicie pełnił te role. Cztery lata spędzone w jego towarzystwie były moim „Uniwersytetem Stopnickim”. Po ukończeniu tego „Uniwersytetu” profesor odszedł na zawsze, a uczniowie rozproszyli się po szerokim świecie. Nie przypuszczałem wówczas, że i ja w naj-

bliższym czasie opuszczę Stopnicę i nigdy już w niej nie zamieszkać.

Następny dzień, 6 sierpnia 1944 roku, był piękny i słoneczny. Niestety, z samego rana przyszła złowroga wiadomość, że Rosjanie wycofują się z miasta i jeśli chcemy wraz z nimi wydostać się ze Stopnicy to trzeba natychmiast podjąć decyzję. Nie wiem, kto był autorem tej informacji, ale był to z pewnością jakiś opiekuńczy duch, być może ktoś z lokalnych władz AK. Stopnica miała wtedy jedyne połączenie ze światem zewnętrznym - drogę na wschód, łączącą miasto z Oleśnicą, pobliską wsią. Jak pokazała najbliższa przyszłość nasze miasto miało się stać terenem zaciętych walk ulicznych. Droga do Oleśnicy była już pod ostrzałem artylerii niemieckiej. Nie wyobrażam sobie przejścia nią następnego dnia, tj. 7 sierpnia. Czyli nasza ucieczka 6 sierpnia stanowiła ostatni moment ratunku. Gdybyśmy się dostali w ręce Niemców byłby to nasz koniec. Nie byłiby bowiem to już ci sami ludzie, którzy ignorowali pochodzenie mojej matki, należący do administracji dra Wilhelma Schäfera, starosty buskiego. Zdecydowaliśmy, że matka z moim bratem i ze mną opuści Stopnicę, a ojciec zostaje celem opieki nad mieszkaniem, które nota bene, sponęło doszczętnie.

Zdążyliśmy tylko wziąć trzy swetry i już uciekaliśmy na piechotę w stronę Oleśnicy. Droga była pod nieustannym ostrzałem. Pociski padały wokół nas wzbijając fontanny piachu utrudniając nam marszrutę po piaszczystej drodze. Nie byliśmy jedynymi uciekinierami, inni też towarzyszyli nam w tym niebezpiecznym przedsięwzięciu. Kiedy wreszcie wydostaliśmy się spod ostrzału mój brat był tak przerażony, że klękał i żegnał się przed każdą napotkaną kapliczką przydrożną.

Wg informacji dostarczonych przez Rosjan powinniśmy dostać się do Baranowa Sandomierskiego, ponieważ ta miejscowość stanowiła centrum radzieckiego przyczółka na Wiśle, którego, jak mówili nasi informatorzy, Niemcy nie będą w stanie zlikwidować.

Do Baranowa dostaliśmy się dzięki uprzejmości radzieckich szefów wojskowych ciężarówek. Przez radziecką komendanturę wojskową Baranowa otrzymaliśmy lokum mieszkalne na jego peryferiach. Równocześnie matka starała się otworzyć gabinet dentystyczny.

Los ojca nie dawał mi spokoju. Razem z moim stopnickim kolegą, Witkiem Górskim, postanowiliśmy wybrać się do Stopnicy i zobaczyć co tam się dzieje. Informacje o tym w czyich rękach znajdowało się miasto były sprzeczne. Pomysł tej wyprawy był kompletnie irracjonalny, bo bez względu na to do kogo należało wówczas nasze miasto, jego ludność była na pewno ewakuowana, gdyż Stopnica leżała na frontowym terenie. Wtedy

nie zdawałem sobie z tego sprawy. Szliśmy polnymi drogami, przemierzaliśmy lasy i wsie. Czasami korzystaliśmy z transportów wojskowych. Mijsiliśmy małe, prowizoryczne cmentarze, gdzie pochowano radzieckich żołnierzy. Gdy zapadał wieczór zazwyczaj zwracaliśmy się do posterunków wojskowych, które kierowały nas do domów, gdzie mogliśmy przenocować.

Wkrótce przed zbliżeniem się do celu naszej wyprawy zostaliśmy zatrzymani przez oddział wojskowy. Poddano nas przesłuchaniu. Oficerowie, gdy dowiedzieli się o celu naszej wędrówki patrzyli na siebie z niedowierzaniem. Powiedzieli, że w Stopnicy są Niemcy i że miasto jest pod radzieckim ostrzałem, a okoliczne wsie ostrzeliwiają Niemcy. Oświadczyli, że jeśli mamy wątpliwości co do ich słów to możemy się przekonać o tym naocznie. Pozwolą nam przejść do ostatniej linii okopów i spojrzeć na podstopnicki teatr wojenny. Tak też się stało.

Stopnica ukazała się nam jak na dłoni. Za bardzo jednak wystawiliśmy głowy i jakiś podoficer zaczął wrzeszczeć, żebyśmy się schowali. Podszedł bliżej i wyjaśnił, że Niemcy mają punkt obserwacyjny na wieży kościelnej i stamtąd kierowany jest ostrzał radzieckich pozycji. Wreszcie uwierzyłem, że Niemcy byli w Stopnicy i sprawę odszukania ojca musiałem odłożyć do stycznia 1945 roku.

Wracaliśmy z kolegą do Baranowa. Przechodząc między miedzami często widzieliśmy fontanny pyłu wzbijanego przez eksplodujące pociski niemieckie. W Baranowie zastałem wszystkie sprawy uporządkowane. Matka założyła sobie gabinet stomatologiczny. Miała kłopoty z dyplomem dentystycznym, który w czasie ucieczki zaginął i musiała go prowizorycznie odtworzyć na podstawie zeznań świadków, którzy ją dobrze znali.

Baranów Sandomierski był powszechnie znanym miejscem o historycznym znaczeniu. Znajdował się tu słynny zamek zbudowany przez Leszczyńskich na przełomie XVI i XVII wieku, który, niestety, w czasie naszego pobytu był zdewastowany. Zresztą nie mieliśmy czasu na interesowanie się przeszłością, bo koncentrowaliśmy się na sprawach bieżących. Mimo różnego rodzaju trudności życie jakoś się ułożyło.

Nie przejmowaliśmy się zbytnio kłopotami związanymi z powszednią egzystencją, ponieważ byliśmy pewni, że za kilka miesięcy opuścimy Baranów. Nasze mieszkanie składało się z pokoju i kuchni ogrzewanych drzewem, które nieustannie rąbałem. Było przyjemne i ciche, położone przy spokojnej ulicy. Często wyjeżdżałem celem zaaprowizowania rodziny. Zdarzało się, że ktoś w pobliżu Baranowa bił świnie i sprzedawał mięso. Żeby

je kupić trzeba było być w określonym miejscu o określonej porze. Podobnie miała się sprawa z innymi produktami żywnościowymi. Źródłem produktów roślinnych były pobliskie łąki, we wrześniu i październiku pokryte pieczarkami. Można było je jeść do przesytu.

Poza tymi czynnościami gospodarczymi dużo czytałem pożyczając książki z biblioteki gimnazjum mieszczącego się w niedalekim Tarnobrzegu. Wówczas przeczytałem zbeletryzowaną biografię Leonardo da Vinci, autorstwa Dymitra Mereżkowskiego, która wywarła na mnie duże wrażenie. Zwłaszcza podziwiałem badania anatomiczne, prowadzone w tajemnicy przed władzami przez Leonarda i słynnego anatoma Marca della Tore. Z podnieceniem czytałem opisy studiów nad lotem ptaków służące pracy nad skonstruowaniem maszyny latającej i ze współczuciem dowiedziałem się o losie jednego z uczniów da Vinci, zafascynowanego tą ideą. Robił ogromną liczbę modeli tej maszyny, zazwyczaj nucił pod nosem „leca, leca żurawie, lećmy i my z nimi”, w końcu zupełnie zwariował. Fragment ten pozostał mi w pamięci na zawsze. W tych warunkach nadeszła jesień, piękny październik ustąpił miejsca listopadowi. Oczekiwaliśmy grudnia, byliśmy pewni, że w grudniu lub na początku stycznia nastąpią zmiany, które pozwolą nam wrócić w rodzinne strony. Nie były to jedynie przypuszczenia i marzenia.

W naszym otoczeniu zachodziły istotne zmiany. Obserwowaliśmy niesamowity napływ wojska i sprzętu wojskowego. Wszystko zmierzało na zachód. Całe miasteczko było przepelnione żołnierzami. Każde miejsce nadające się do przenocowania zostało zajęte.

Do naszego lokum trudno było kogokolwiek dokwaterować, ze względu na ciasnotę. Kuchnia natomiast była dość obszerna i zgodziliśmy się przyjąć współużytkowników. Była to mała grupka radzieckich żołnierzy. Zaprzyjaźniliśmy się z nimi. Stale częstowali nas swoimi racjami żywnościowymi, zwłaszcza osławioną tuszonką.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia, spędzaliśmy je w oczekiwaniu i nadziei. Minął Nowy Rok i nic, ale wojska dalej szły na zachód i oficerowie mówili, że lada dzień należy oczekiwać masowej ofensywy. Nadszedł wreszcie pamiętny dzień 12 stycznia, nad ranem obudził nas huk. Od zachodu dochodził odgłos kanonady. Ofensywa! Trwało to kilka dni, następnie zapanowała cisza. Stanowiła niesłychany kontrast z hukiem, z którym staraliśmy się jakoś oswoić. Przypuszczaliśmy, że niemiecka linia obrony została przerwana. Nasze domysły potwierdzili radzieccy oficerowie. Doradzali nam, żeby odczekać kilka dni, a następnie wracać do domu.

4 e. Zniszczenie Stopnicy

Wkrótce opuściliśmy Baranów. Korzystając z uprzejmości radzieckich żołnierzy, jadących w kierunku szybko posuwającego się na zachód frontu, pewnego dnia po południu dotarliśmy do Stopnicy. Naszym oczom ukazał się tragiczny widok. Miasto było dokumentnie spalone. Nasze mieszkanie także było kompletnie zdewastowane. Jego urządzenie poszło z dymem. Poza naszym, było jeszcze jedno mieszkanie, które chciałem odwiedzić - dom Stelmaszyńskich.

Chciałem się przekonać czy coś zostało po moim nauczycielu, jakaś pamiątka, która przypominałaby mi go w przyszłości. Pobiegłem tam. Mieszkanie nie było spalone, raczej nadpalone, wszędzie czuć było swąd spalenizny. Było puste. Przypomniałem sobie przestrogi radzieckich żołnierzy, żeby przy wchodzeniu do jakiegokolwiek domu zachować szczególną ostrożność, ponieważ mógł zostać zaminowany przez Niemców. Położyłem się na brzuchu i delikatnie sprawdzając podłogę czołgałem się, w ten sposób sprawdziłem dwie kondygnacje domu. Znalazłem książkę z datą z zimy 1941 roku i notatką „Czytałem tę książkę w czasach niepewności, przygnębienia i rozgoryczenia”.

To był on, mój nauczyciel. W tym momencie w moim umyśle pojawiło się następujące wspomnienie. Jest mroźny i słoneczny dzień, mój nauczyciel przyszedł na lekcje, jak zwykle, w jesionce. Zdjął ją i usiadł przy stole. Wyjął papierosnicę i zapalił papierosa. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął list, drżącymi palcami rozprostował go i z wyrazem napięcia na twarzy zaczął czytać stronicę epistoły huśtające się w takt drżenia jego rąk. Po skończeniu lektury siedział w milczeniu dłuższą chwilę patrząc na zalane słońcem podwórze. Następnie zaczęliśmy lekcje.

Spalenie miasta położyło kres mojemu sui generis „romansowi” ze Stopnicą. Wprawdzie bywałem tam potem przejazdem, ale nigdy na dłużej. Mimo to, wiele lat później, gdy mieszkałem już na stałe w USA i zastanawiałem się, gdzie chciałbym być pochowany, zawsze czułem, że w Stopnicy, najchętniej w rynku. Tak bardzo byłem przywiązany do miejsca mojego urodzenia i dzieciństwa.

* * *

W Stopnicy nie było gdzie się zatrzymać, była spalona i kompletnie wyludniona, zatem udaliśmy się do odległego o 17 km Buska-Zdroju. Tam skorzystaliśmy z gościny znajomych. Wkrótce odnaleźliśmy ojca, który okres rozłąki z nami spędził w obozie, zorganizowanym dla wysiedlonych mieszkańców Stopnicy.

W ciągu kilku dni wynajęliśmy dom przy ul. Stopnickiej. Matka zwerfikowała swój dyplom i otworzyła gabinet. Ojciec, wkrótce po powstaniu polskiej administracji, został powołany przez ministra sprawiedliwości do czynnej służby i został rejentem w Busku-Zdroju (17 kwietnia 1945 r.). Równocześnie pełnił przejściowo funkcję sędziego sądu okręgowego w Kielcach. Obowiązki wykonywał w sądzie grodzkim, w Busku, na przełomie lat 1946/1947.

Będąc rejentem przejął kancelarię notarialną po swoim poprzedniku. Mieściła się, podobnie jak nasze mieszkanie, przy ul. Stopnickiej. Zajmowała lokum na piętrze starego domu. Jej ściany poliniowane były półkami wypełnionymi opasłymi woluminami ksiąg wieczystych. Obsada kancelarii, poza moim ojcem, składała się z dwu osób, Joachima Marka, rejentalnego dependenta oraz Marysi Ząbkowej, pełniącej obowiązki maszynistki. Duszą zespołu był Marek, który pracował tu wiele lat i świetnie znał przepisy prawa spadkowego. Był to człowiek niemłody, sympatyczny, niezmiernie akuratywny i oddany całą duszą swoim obowiązkom. Późnymi popołudniami, kiedy notariat był nieczynny, przychodziłem tam, żeby się uczyć. Marek, podobnie jak my, mieszkał przy ul. Stopnickiej. Nazwa ulicy przypominała nam naszą rodzinną miejscowość.

Wiosna zbliżała się szybko. Przyjechał do nas Jurek Szpinak z miejscowości położonej pod Częstochową. Wkrótce potem przyjechała także ciocia Lusja, siostra mamy, matka Jurka. W ukryciu przeżyła okupację. Wyruszyła po krótkim odpoczynku do Łodzi z zamiarem osiedlenia się w tym mieście.

4 f. Podzwonnej mojej młodości i Starej Stopnicy

Po przeżyciach ostatnich lat, a zwłaszcza ostatnich miesięcy, życie zaczęło się uspokajać, ale trudno było z nim dojść do ładu. Stale miałem przed oczyma stopnickie gruzy i popioły. Ciągłe zadawałem sobie dręczące, retoryczne pytanie, czy tylko tyle zostało z moich pierwszych dwudziestu lat życia, z mojej młodości? Przechodziłem w myślach nasze stopnickie mieszkanie, to na Soleckiej, w domu Stelmaszyńskiego i to następne, w domu rejenta Filipowicza i wreszcie ostatnie - w domu Dawida Szwera. To tam spalił się nasz dobytek, z pianinem, biblioteką zawierającą nieodżałowane encyklopedie, wielotomową Gutenberga i pięć tomów Encyklopedii „Świat i Życie”.

Stopnica była jedną częścią mojego wszechświata, druga znajdowała się w odległości 9 km na południe, w Janowie. Była to nasza posiadłość z czteroszczytową willą, pięknymi ogrodami, kwiatowym i warzywnymi, stawem, sadzawką oraz łąkami i polami. Obie stanowiły cudowny świat mojej młodości. Wystarczy, że zamknę oczy i pomyślę o widoku roztaczającym się z tarasu willi i natychmiast „widzę” zarysy niebotycznych topoli otaczających gospodarstwo naszego sąsiada przez łąkę, Antoniego Warzechy. Wystarczy mi pomyśleć i już „widzę” wijącą się rzeczkę Janówkę, zaakcentowaną rosochatymi postaciami wierzb, dalej domy Zborowa, a jeszcze dalej, na wzgórzu, otoczone sadami domy Magierowa. Noszę również w pamięci obraz niekończących się szeregów drzew w naszym sadzie z widocznymi w oddali zabudowaniami Włosnowic.

To letnie i jesienne krajobrazy. A jakie były zimowe? Późną jesienią, zimą i wiosną pamięć wypełniały ulice Stopnicy. Na nich uczyłem się chodzić, po nich biegłem do szkoły powszechnej, chodziłem do kościoła i klasztoru, między otaczającymi je domami żyłem i uczyłem się żyć. Po prostu wrosłem w to tysiącletnie miasteczko! Czas w nim spędzony stanowił zamknięty rozdział mojej historii. Moja młodość wydarzyła się w tym miasteczku i razem z nim przeminęła. I pomyśleć, tysiąc lat - 9 liter albo jedynka i trzy zera - tak skromny zapis tak długiego czasu. Inaczej, tysiąc lat to 33 ludzkie generacje, zakładając, że jedna generacja to 30 lat. A każda generacja to wiele lat po 365 dni, a każdy dzień to 24 godziny. Ludzie przeżywali godzina po godzinie, dzień po dniu, radując się, śmiejąc, płacząc, chorując i pracując. W ramach każdej z generacji. Gdzie są ślady po nich? Są wszędzie, tylko trzeba umieć patrzeć i czuć. Obecne są w funda-

mentach zburzonych i spalonych budowli, w zrekonstruowanych ścianach i kształtach, np. kościoła farnego, który zburzony w czasie wojny został po niej odbudowany. Co z tego, że mury są nowe, stare są fundamenty, a kształty i wymiary nowych ścian są takie jak oryginału. W rezultacie odbudowana świątynia przemawia do wiernych głosem swej poprzedniczki.

Dawne czasy odzywają się czasem zupełnie nieoczekiwanie, np. tzw. „Stary Cmentarz” został oddany do użytku stopniczan w 1786 roku, a w 1880 został zamknięty. Jego miejsce zajął „Nowy Cmentarz”, bardziej oddalony od miasta. Na placu targowym tzw. targowicy, usytuowanym u podnóża wzniesienia, na którym znajduje się pierwszy z wymienionych cmentarzy, wystarczy kilka sztychów łopaty, aby obnażyć ludzkie kości. Sądzę, że w tym miejscu znajdował się jeszcze starszy cmentarz. Przeszłość mamy pod swoimi stopami.

Obecnie dygresja na temat nomenklatury. Przez Starą Stopnicę rozumie się miasto od zarania jego historii do zniszczenia w 1944 r. W 1945 r. zaczęła się era Nowej Stopnicy. Erę Starej Stopnicy dzieli na cztery okresy. Pierwszy nazywam Królewską Stopnicą, trwał on od początków istnienia miasta do 1795 r., tj. do końca Rzeczypospolitej szlacheckiej (I Rzeczypospolitej). Drugi, to okres zaborów, były to lata 1795-1918. Trzeci okres stanowił osadę i trwał od 1918 do 1939 r. Ostatnim stadium była Wojenna Stopnica (1939-1945) i wreszcie nastąpiły czasy Nowej Stopnicy, które trwają po dzień dzisiejszy.

Stara Stopnica starzała się. Załatwianie i rozwiązywanie istniejących od dawna problemów wlokło się w ślimaczym tempie. Jako przykład przytoczę wysiłki zmierzające do sprawnego zaopatrywania stopniczan w wodę. Już w końcu XVIII wieku stopniccy oo. reformaci zainstalowali wodociąg doprowadzający wodę z rzeki Stopniczanki do klasztoru. Nawet król Stanisław August Poniatowski w czasie przejazdu przez Stopnicę w roku 1787, będąc gościem stopnickiego starosty niegrodowego Eliasza Wodzickiego, oglądał wodociągowe urządzenie zakonników, składające się z rur i „machiny” pompującej wodę. Na marginesie wspomnę, że wizyta króla związana była z jego podróżą z Ukrainy do Krakowa. Wracał ze spotkania z cesarzową Katarzyną II w Kaniowie nad Dnieprem. W tym czasie również Wodzicki zainstalował podobny wodociąg do zaopatrywania w wodę domu starościńskiego w rynku. Były to jednak indywidualne próby rozwiązania problemu. W początku XIX wieku na terenie miasta były czynne 32 studnie, usytuowane na tyłach domów. Jakość tej wody była tak marna, że nie nadawała się nawet do pojenia bydła. Wydawało się, że dobrej wody

Nowa Stopnica



Piotr Kaleta

Krzysztof Wokuszynowski

*Współczesna Stopnica z lotu ptaka.
Pieczęć z lat międzywojennych,
kiedy powiat z siedzibą w Busku-Zdroju nosił nazwę "Powiatu Stopnickiego"*



Widok Stopnicy ze wzgórza kościelnego



*Klasztor oo. sercanów,
odbudowany w miejscu zniszczonego klasztoru oo. reformatów.
Fot. Ryszard Góra*



*Widok zrekonstruowanego kościoła farnego z perspektywy Starego Cmentarza
Fot. B. Hetnarski*

będzie dostarczać centralna studnia, wykopana w 1822 r. Okazało się jednak, że problem był daleki od rozwiązania. W 1905 r. zainstalowano wodociąg doprowadzający wodę z przysiółka Źródła. Instalację zaopatrzone w wieżę ciśnień, a w rynku założono publiczne krany.

Jednak w czasie I wojny światowej wieża przestała działać. Nerozwiazany problem prześladował międzywojenną Stopnicę, aż do czasu jej zniszczenia w 1944 roku. Pitną wodę wożono względnie noszono do wielu mieszkań za pomocą tzw. nosideł. To świadczy dobitnie, że na wprowadzenie wodociągów nie starczyło Starej Stopnicy 150 lat! Stanowi to wymowny przykład mojego argumentu o starzeniu się Stopnicy.

Na ten proces miał również wpływ szereg plag, prześladowujących miasto. Pisałem już o wojnach, potopach szwedzkim i siedmiogrodzkim, w czasie którego spuszczone nawet wodę z zamkowego stawu w poszukiwaniu skarbów.

Oddzielną kategorię plag stanowiły pożary. Było ich tyle i tak różnych, że do ich opisania brak jest wręcz określeń.

Inny departament nieszczęść stanowiły choroby. Najgorsze były epidemie, np. czarnej śmierci czyli dżumy, która nawiedziła Stopnicę w XIV wieku, a następna odebrała życie 600 mieszkańcom w 1662 roku. Mieliśmy także przypadki szarańczy. Ta z 1748 roku była tak wielka, że chmury owadów zakrywały słońce. Plaga ta powtórzyła się w następnym roku. Zniszczyła zasiewy, okazała się również szkodliwa dla drzew. Nie była to nowość. W XIV wieku zanotowano trzykrotnie szarańczę.

To wszystko nie równa się zniszczeniu, które dotknęło nasze miasto w pierwszej połowie lat 40. XX wieku. Złożyły się na nie eksterminacja Żydów w 1942 r. i walki radziecko-niemieckie w 1944 r.

Chcę jeszcze podać kwintesencję naszej wojennej egzystencji. Żyliśmy w cieniu miecza Damoklesa, śmiertelnie zagrożeni z powodu żydowskiego pochodzenia mojej matki. Zagrożenie trwało cały czas, a niebezpieczeństwo stale się pogłębiało. Aby zrozumieć ogrom niebezpieczeństwa należy cofnąć się do czasu sprzed wysiedlenia. Złowrogi stosunek Niemców do Żydów był wprawdzie widoczny, ale nic nie zapowiadało takiej tragedii jak ich eksterminacja. Mój ojciec zwrócił się do Franciszka Piskorka z zapytaniem, co władze niemieckie mają zamiar zrobić z naszą rodziną. Piskorek był znajomym ojca sprzed wojny, funkcjonariuszem tajnej policji w Busku-Zdroju. Był poza tym żołnierzem AK, o czym nie wiedzieliśmy. Zapytany odpowiedział, że Niemcy nic nie zrobią jeśli nie będzie denuncjacji. Po tej informacji zrozumieliśmy, że Niemcy nie stanowią bezpośredniej groźby, ponieważ denuncjacja nas do władz niemieckich przez współobywateli była mało prawdopodobna, ale oczywiście możliwa.

Przeczytajmy, co na ten temat pisze Jerzy Jerzmanowski, w swojej książce „W starych Kielcach”, str. 131: „Czwarty sędzia nieprawnik, Nachtman, sądził jeszcze w Polsce Ludowej. Podobnie jak Kronkowski, ale ten pracował jako sędzia po drugiej wojnie w rejonie wybrzeża. Gros pracy Nachtmana przypadło na okres drugiej niepodległości. Chyba wszystkie te lata spędził w Stopnicy, w powiecie Busko-Zdrój. Zawód sędziego nie należy do łatwych, szczególnie gdy chodzi o stosunek ludności do człowieka ferującego wyroki. W procesach karnych sędzia niejednokrotnie pozbawia sądanego wolności, na każdym rozstrzygnięciu w sprawie cywilnej ktoś traci, a ktoś zyskuje. Łatwo tedy o pretensje do najlepszego nawet sędziego. Dlatego doprawdy nie lada sprawdzian swej pozycji wśród ludności uzyskał sędzia Nachtman podczas okupacji. Sam był rdzennym Polakiem, natomiast jego żona, lekarz dentysta, pochodziła z żydowskiej rodziny i powszechnie o tym wiedziano. Można sobie wyobrazić, w jakim zagrożeniu żyła całą wojnę. A przecież ze Stopnicy nie wyjechała i nikt jej tutaj nie zadenuncjował do końca. Wystawia to świadectwo wysokiemu morale ludności, pośrednio zaś mówi o samym Nachtmanie. Tylko z gruntu sprawiedliwy sędzia mógł wierzyć, że nie ma osobistych wrogów.”(3)

Nachtman było rodowym nazwiskiem mojego ojca. Po wojnie ojciec zmienił nazwisko dla całej najbliższej rodziny na nazwisko panińskie jego matki, Marianny Hetnarskiej. Nie było czarnej owcy ani w Stopnicy, ani w jej okolicach. Nikt nas nie zadenuncjował. Doprawdy nie wiem, czy gdziekolwiek w Polsce miał miejsce taki przypadek, żeby władze niemieckie zajęły wyczekujące stanowisko w stosunku do mieszanego małżeństwa, uzależniając swoją postawę od reakcji Polaków. Wytworzyła się paradoksalna sytuacja, w której Niemcy unikali mojej matki, a moja matka starała się również ich nie widzieć i nie wychodziła za dnia z mieszkania. Niemcy nie weszli nawet do naszego domu w czasie wywożenia ludności żydowskiej, w listopadzie 1942 r., gdy przeszukiwali całe miasto w poszukiwaniu ukrywających się Żydów.

Gdy w lipcu 1943 r. wszystkim mieszkańcom kazano zebrać się na rynku i gdy opuszczone mieszkania poddano rewizji, naszego nie sprawdzano. Nie wierzyłbym w te historie, gdybym sam ich nie doświadczył. Jak rozumiem przyczynę tego anormalnego zachowania się Niemców? Było to jak sądzę związane z moim ojcem, jego niemieckim pochodzeniem, sprawowaniem przez kilkanaście lat urzędu sędziego i faktem, że jego siostrzeniec był proboszczem parafii Świniary w pobliżu Solca-Zdroju. Te elementy

złożyły się synergistycznie na wpływ wywarty na kogoś w niemieckiej administracji powiatu buskiego. Moim zdaniem tym kimś był kreislandwirt Wagner, który miał w rękę dotyczące nas dokumenty od chwili odebrania nam Janowa. Był on oficjalnie agronomem nadzorującym wydział polityki agrarnej, w rzeczywistości stanowił szarą eminencję władz niemieckich w Busku-Zdroju.

W tym czasie zacząłem personifikować Stopnicę, wyobrażałem sobie, że jeśli się twierdzi, że Stopnica mówi coś, to taki pogląd reprezentuje większość stopniczan. Kiedy przyjechałem do Stopnicy w połowie stycznia 1945 r., płacząc nad jej losem, patrząc na jej ruiny i zgliszcza, sądziłem że Stopnica umarła. Zmęczona plagami i nieszczęściami ubiegłych lat, nie załatwionymi sprawami, dysząca dymami pożarów, zmaltretowana bombami, dała za wygraną i zmarła. Jakże się myliłem! Wydarzenia najbliższej przyszłości pokazały ją w zupełnie nieoczekiwanym świetle. Okazała się feniksem, odrodziła się z popiołów. To odrodzenie było efektem działań garści pogorzalców, którzy dali asumpt do powstania Nowej Stopnicy. To był przełomowy okres naszego życia.

Kończąc moje wspomnienia na temat Starej Stopnicy chciałbym zrobić kilka uwag na temat jej społeczeństwa. Na początku moich wspomnień porównałem mieszkańców Stopnicy do mieszaniny oleju i wody, mając na uwadze dwie frakcje społeczne, polską (katolicką) oraz żydowską (możliwszą). Mieszanina obu składników tworzyła się w dnie powszednie na tle stosunków usługowych, handlowych i rzemieślniczych. W czasie weekendów obie grupy społeczne rozdzielały się tworząc dwie fazy.

Poza wymienionymi stosunkami utylitarnymi terenem zbliżenia obu grup była szkoła. Do Publicznej Szkoły Powszechnej uczęszczały dzieci obu frakcji społecznych. Inną dziedziną bliskiej współpracy członków lokalnego społeczeństwa było zarządzanie miastem.

Mimo, że oddychałem życiem frakcji polskiej, jestem pewien, że wszyscy członkowie Starej Stopnicy żywili serdeczny sentyment lokalnego patriotyzmu, będącego jej tradycją oraz byli świadomi pulsu jej życia.

Nie wątpię, że każdy z mieszkańców Stopnicy zapytany o charakter jego więzi z rodzinnym miastem odpowiedziałby, że to było jego miasto.

5. Studia

Wiosną 1945 r. doszły mnie słuchy, że w Częstochowie zorganizowano kursy chemiczne, które rzekomo miały być załącznikiem wydziału chemicznego przyszłej Politechniki Łódzkiej. Wyruszyłem więc do Częstochowy. Wynajęcie jakiegoś lokum w tym czasie nie było łatwe. Zatrzymałem się u znajomych naszych przyjaciół. Moi gospodarze stanowili rodzinę złożoną z małżeństwa i małego synka. Pan domu rano wychodził do pracy, nie pamiętam, gdzie pracował, a pani, po porannej krzątaniu, wyruszała na spacer z wózkiem.

Kursy chemiczne, na które zacząłem uczęszczać były prowadzone przez Tadeusza Wojno, profesora Uniwersytetu Warszawskiego oraz przez dra Edwarda Józefowicza, późniejszego profesora chemii nieorganicznej Politechniki Łódzkiej. Kiedy przyjechałem kursy były na wymarcu, w związku z powołaniem do życia Politechniki Łódzkiej. Spędziłem tam miesiąc lub dwa. Ponieważ kursy nie dysponowały żadnym laboratorium, więc doszedłem do wniosku, że mój dalszy pobyt w Częstochowie jest jedynie stratą czasu. Najwłaściwiej będzie, sądziłem, wrócić do domu i jesienią udać się do Łodzi na egzamin konkursowy, aby rozpocząć studia na politechnice.

Wstępne egzaminy na wydział chemiczny Politechniki Łódzkiej złożyłem bez trudności i rozpocząłem wymarzone studia. Ciotka Lusia osiedliła się w Łodzi i miała do dyspozycji dwa mieszkania. Jedno położone było przy ul. Zachodniej, drugie przy ul. Mielczarskiego. W pierwszym mieszkała i miała gabinet dentystyczny. Drugie stało puste. Zamieszkaliśmy w nim razem z Jurkiem, moim kuzynem, który w tym czasie był studentem Łódzkiej Akademii Medycznej. W mieszkaniu przy ul. Mielczarskiego w zasadzie nie prowadziliśmy domowego gospodarstwa. Było to miejsce, w którym spaliśmy, uczyliśmy się, a właściwie ja, bo Jurek uczył się w mieszkaniu ciotki, tj. przy ul. Zachodniej, gdzie też jadalśmy kolacje i niedzielne obiady. Śniadania ciotka przygotowywała wieczorem, zabierałem je ze sobą wracając na noc do naszej „rezydencji” na Mielczarskiego.

Kiedy zastanawiam się nad studiami w łódzkiej politechnice przede wszystkim wspominam wykłady z fizyki prowadzone przez profesora Władysława Kapuścińskiego. Były to wykłady o „zhumanizowanej” treści, bynajmniej nie przeładowane wzorami matematycznymi czy wykresami, natomiast często ilustrowane rysunkami. Te wykłady miały charakter jakby pogładowy. Kiedyś na przykład Kapuściński mówił, że ludzie wyobrażają sobie materię i energię jako dwie różne rzeczy, a przecież kawałek drewna czy garść słomy są ekwiwalentami energii i stanowią różne odmiany materii. Pamiętam też inne jego wypowiedzi, jak tę, że wszystko jest możliwe tylko prawdopodobieństwo urzeczywistnienia pewnych zdarzeń jest nieskończenie małe, jak na przykład to, że biurko przy którym siedzi mogłoby się wywrócić.

Innymi, interesującymi dla mnie wykładami były kursy wyższej matematyki, prowadzone przez prof. Edwarda Otto. Spośród obecnych na jego wykładach studentów chyba najczęściej zabierałem głos. Rozumiałem na bieżąco ich treść i starałem się uzyskać dodatkowe informacje od wykładowcy. Moje studia nad fizyką i matematyką w naszym „Uniwersytecie Stopnickim”, pod kierunkiem profesora Stelmaszyńskiego, przyniosły widoczne rezultaty, ponieważ z obu tych przedmiotów na politechnice otrzymałem bardzo dobre stopnie.

Natomiast wykłady z chemii nieorganicznej prof. Józefowicza były prowadzone oschle, bez nawiązania do życia czy historii chemii. Dobrze, że wydał ich skrypt, z którego można było nauczyć się tego przedmiotu bez konieczności uczęszczania na wykłady. Moja częsta nieobecność na tych wykładach spowodowała, że otrzymałem jedynie ocenę dobrą, mimo że do egzaminu byłem przygotowany celująco. Jakościowa analiza stanowiła pierwsze laboratorium chemiczne z jakim się zetknąłem. Jej kurs prowadziła mgr Stanisława Witekowa. Byłem tak podniecony prowadzonymi doświadczeniami, że wynikami dzieliłem się z koleżankami i kolegami, było to przyczyną wielu uszczypliwych uwag. Później, po latach, praca laboratoryjna stała się treścią mojego życia. W początkowym okresie studiów ujawniła się pewna cecha, która stanowiła moją słabość. Był to brak umiejętności robienia dobrych notatek w trakcie wykładów. Dla słuchacza obeznanego z treścią wykładu sprawa prowadzenia zapisków nie powinna stanowić problemu, ale jeśli przedmiot jest nieznanym należy umieć prowadzić notatki. Należy umieć się skoncentrować, szybko pisać i pamiętać następujące po sobie wypowiedzi. Wydaje mi się, że idealnym rozwiązaniem byłaby znajomość stenografii. Teraz, kiedy piszę te wspomnienia nie rozu-

miem dlaczego nie poświęciłem wakacji na nauczenie się stenografii. Kto zaczyna studia powinien o tym pamiętać. Połowa problemów odpada przy posiadaniu dobrych notatek. W ich braku trzeba tracić multum czasu na wyławianie koniecznych informacji z morza literatury. Jednak, wszystko złe, ma też dobre strony, nieumiejętność robienia dobrych notatek zmusza do samodzielnej pracy i uczy krytycznego doboru poszukiwanych wiadomości. Moja żona, która często nie miała podręczników, a robiła doskonałe notatki, zawierające specyficzne szczegóły i przykłady indywidualnie związane z wykładowcami, z reguły dostawała celujące stopnie.

Podobnie jak inne fakultety, wydział chemii miał swoich ekscentryków. Należał do nich Janusz Krzywicki. Starszy ode mnie, przystojny, obyty i inteligentny, do tego dobrze ubrany, robił wrażenie człowieka pochodzącego z zamożnego domu. Słyszałem, że jego ojciec był właścicielem garbarni w Radomiu. Był to nadzwyczajny student. Przerabiał materiał dogłębnie, właściwie prowadził własne studia nad przedmiotem i mógł być niewygodnym dyskutantem dla jakiegoś wykładowcy. Inną osobliwością był Zdzisław Gałdecki. Ten oryginał był przykładem stachanowca celującego w szybkim przerabianiu materiału oraz laboratoriów. Obaj dobrze się zapowiadali. Niestety, po opuszczeniu łódzkiej uczelni dwa lata później, więcej o nich nie usłyszałem. Poza nimi było wielu dobrych studentów, pilnych i pracowitych. Była także spora grupa kujonów.

Moja ocena tego pokolenia, pierwszego studiującego po wojnie, była zdecydowanie pozytywna. Było to pokolenie, któremu nieobca była bieda, obarczone bagażem przeżyć. Ta generacja spragniona była wiedzy. Nie przypuszczam, żeby kiedykolwiek w przyszłości polskie uczelnie miały tak pilnych i z takim samozaparciem uczących się studentów jakimi my byliśmy.

W Łodzi zaprzyjaźniłem się z Ludwikiem Walewskim, który należał do bocznej linii rodziny, słynnej w związku z romansem Marii Walewskiej z Napoleonem. Rodzina była liczna, a jeden z jej przedstawicieli, hr. Colonna Walewski, był swego czasu rejentem w Stopnicy i posiadał, w jej pobliżu, majątek ziemski. Od czasu do czasu bywał w naszym domu, a jego syn był moim kolegą. Miewał niezwykle pomysły, jednym z takich była idea utworzenia paramilitarnej organizacji młodzieżowej. W tej sprawie napisał list do ministra spraw wojskowych, na który otrzymał odpowiedź, że sprawa zostanie rozpatrzona i więcej nigdy na ten temat nic nie usłyszeliśmy.

Lutek Walewski nic nie słyszał o swoim stopnickim krewniaku. Był absolwentem tajnego technikum chemicznego, zorganizowanego w czasie wojny w Warszawie. Opowiadał mi o różnych przeżyciach z czasów woj-

ny. Poza studiami był zaangażowany w działalność Armii Krajowej. Będąc studentem chemicznej uczelni miał za sobą solidny staż eksperymentalny. W porównaniu z nim czy Irką Idzikowską, moją serdeczną koleżanką, również absolwentką tych kursów, byliśmy laboratoryjnymi żółtodziobami. Lutek prowadził dobre notatki, miał umiejętność szybkiego pisania. Korzystałem obficie z jego materiałów. Był marzycielem dającym się łatwo porwać nowym ideom i lubił fantazjować na ich temat. Pamiętam, że pewnego razu zwrócił moją uwagę na pewien artykuł w Tygodniu Powszechnym, którego szczegółowej treści dziś nie potrafiłbym odtworzyć. Dotyczył on zjawisk o charakterze paranormalnym, związanych z życiem martwych przedmiotów. Był ogromnie podniecony tym artykułem i wiele razy wracał do jego treści.

Lutek ze swym marzycielstwem przypominał swoją matkę, osobę społecznie zaangażowaną, która za cel postawiła sobie pogodzenie komunizmu z katolicyzmem. Nie mogłem sobie wyobrazić takiej fuzji. Podstawą jednego poglądu był materializm, a drugiego spirytualizm, stanowiąc nawzajem wykluczające się punkty widzenia. W czasie pobytu w Łodzi często bywałem w domu Walewskich. Mieszkali przy ul. Piotrkowskiej, głównej i najbardziej okazałej arterii miasta. Ojciec Lutka był znanym sędzią, popularność zyskał sądząc jakiegoś niemieckiego przestępcę wojennego i skazując go na karę śmierci. Z Lutkiem rozstałem się gdy przeniósłem się do Gdańska. Przyjaźń odnowiliśmy, gdy zostałem docentem. Moja emigracja spowodowała, niestety, zerwanie kontaktów.

Układ jaki istniał w Łodzi nie był dla mnie zadowalający. Jurek przeważnie spędzał czas w mieszkaniu przy ul. Zachodniej, tak że w naszym mieszkaniu przy Mielczarskiego byłem przeważnie sam. Nie umiałem sobie tu zorganizować jakiegoś gospodarstwa domowego. Niemal całe życie spędziłem w domu rodzinnym. W Łodzi miałem także stryjka. Po pierwszym półroczu, po świętach Bożego Narodzenia, pojechaliśmy z ojcem do Łodzi i załatwiliśmy sprawę mojego przeniesienia do stryjka. Sądziiliśmy, że będzie to korzystna zmiana. Mieszkanie stryjka miało trzech lokatorów: stryjka, jego najmłodszego syna Bronka, który był kapitanem politrukiem i właśnie przeszedł do cywila oraz służącej Barbary, szarej eminencji, która decydowała o różnych sprawach. Stryjenka nie mieszkała w Łodzi na stałe, rezydowała w Wistce Szlacheckiej, majątku należącym do stryjostwa i przyjeżdżała jedynie z okazji świąt. W tym układzie miałem być czwartym lokatorem.

Powszedni dzień w nowym mieszkaniu wyglądał następująco: rano stryjek wychodził do pracy w fabryce, której był właścicielem (fabryka

drukowała tkaniny metodą opracowaną przez stryjka, będącą sekretem, której nigdy nie opatentował), Broniek wstawał zazwyczaj późno po nocach spędzonych z Barbarą i chodził również do fabryki swojego ojca. Był młodzieńcem wszechstronnie odczytanym i znał dobrze język niemiecki. Nosił się z zamiarem napisania jakiegoś utworu literackiego, ale w czasie mojego pobytu u nich nic z tego nie wyszło. Szereg lat potem tragicznie zakończył życie.

Po pewnym czasie do mieszkania stryjka wprowadził się piąty lokator. Był nim jego starszy syn Olek, kleryk seminarium duchownego w Kielcach. Właściwie był już u końca studiów, kiedy zdecydował się nie przyjmować święceń kapłańskich i wystąpił z seminarium. Wrócił do ojca i zapisał się na archeologię na Uniwersytecie Łódzkim. Studiował pod kierunkiem prof. Konrada Jażdżewskiego. Olek był bardzo zdolny. Podręczniki naukowe studiował ze słuchawkami na uszach. Pytałem go, czy słuchanie muzycznych audycji nie przeszkadza mu w studiach. Odpowiedział, że przeciwnie, absorbuje peryferie jego uwagi i ułatwia mu koncentrowanie się na nauce. Po przeczytaniu określonej literatury szedł na egzamin i z reguły przynosił bardzo dobre oceny.

Przy okazji chcę wspomnieć o innej sprawie, mianowicie, że po wojnie nasza rodzina stała się bardziej zróżnicowana „nazwiskowo”. Rodzina mojego ojca była polsko-niemieckiego pochodzenia i jej nazwisko brzmiało Nachtman. Po wojnie część rodziny zmieniła je na rodzinne, polskie nazwiska. Tą drogą my zmieniliśmy nazwisko na Hetnarski. Broniek również zmienił nazwisko na takie samo. Olek, który później został profesorem archeologii na UMCS w Lublinie przybrał nazwisko Gardawski. Strzyjek, podobnie jak jego pozostali dwaj synowie, Kazik i Władeczek, obaj księża, pozostali przy nazwisku Nachtman. Dlatego może wydawać się dziwnym, że mówię np. o swoim kuzynie księdzu Kazimierz Nachtmanie, że jest on moim stryjeczynym bratem. Takie niekiedy są paradoksy życia.

Wprowadzenie się Olka zagęściło stryjkowe mieszkanie. Moje życie w Łodzi i nauka jakoś się nie układały. Należy też powiedzieć, że organizowanie politechniki dalekie było od zakończenia. Sale wykładowe i laboratoria rozrzucone były po całym mieście, co utrudniało studia. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności mój brat został przyjęty na wydział mechaniczny Politechniki Gdańskiej. Tak się złożyło, że jego nauczyciel matematyki w gimnazjum, w Busku-Zdroju, gdzie Rysiek zrobił maturę, Marian Czerwiński, został profesorem na Politechnice Gdańskiej. Dzięki kontaktom z prof. Stanisławem Turskim, również matematykiem i rektorem tejże politechniki, Czerwiński ściągnął Ryśka do Gdańska, a następnie uła-

twił moje przeniesienie na gdańską uczelnię. Tego rodzaju translokacja stanowiła zrealizowanie gorącego życzenia naszej mamy, żebyśmy studiowali w tym samym miejscu. W rezultacie tego przeniesienia, we wrześniu 1947 roku znalazłem się we Wrzeszczu, który był siedzibą politechniki. Początkowo zatrzymałem się w Oliwie, gdzie Rysiek wynajmował mieszkanie u pewnej wdowy. Wkrótce znaleźliśmy lokum we Wrzeszczu, w YMCA, organizacji o korzeniach sięgających USA. Mieliśmy oddzielne pokoje z obsługą. Na parterze znajdowała się restauracja, w której można było zjeść śniadanie, obiad i kolację. Na uczelni mogliśmy się dostać spacerkiem, w ciągu 15 minut. W końcu miałem dobre warunki do nauki.

Przed wyjazdem z Łodzi uzupełniłem brakujące mi egzaminy z dwu lat studiów, miałam również zrobioną pracownię jakościowej analizy związków chemicznych. Wszystkie te przedmioty zaliczono mi na Politechnice Gdańskiej i zostałem przyjęty na 3 rok studiów. Nie miałem odrobionego laboratorium analizy ilościowej związków chemicznych i od tego zacząłem. Ta pracownia była najpilniejsza, powinna być zaliczona na 2 roku studiów. Musiałem się spieszyć. W przypadku moich zamierzonych specjalizacji chemicznych, odnośnie których już wtedy byłem pewien, że pozostaną im wierny, najważniejsze były: synteza związków organicznych oraz technologia środków leczniczych. Laboratorium preparatyki organicznej czyli ćwiczeń dotyczących syntezy związków organicznych stanowiło trzecią, zasadniczą pracownię. Postanowiłem nadrobić braki w taki sposób, żeby wziąć praktykę wakacyjną w przemyśle i w laboratorium przemysłowym wykonać preparatywne ćwiczenia.

W lecie 1948 r., jako student, zostałem skierowany przez uczelnię na praktykę wakacyjną do Boruty, fabryki barwników mieszczącej się w Zgierz, w pobliżu Łodzi. Tam umieszczono mnie na oddziale naftoelanów, którego kierownikiem był mgr inż. Walerian Stachura, sympatyczny i uczynny człowiek. Opowiedziałam mu o moim problemie z preparatyką organiczną. Czasami miałem wątpliwości czy mój plan zaliczenia politechnicz-



*Ryszard B. Hetnarski,
mój brat, jako student
Politechniki Gdańskiej
(1947 r.)*

nych ćwiczeń preparatywnych, w oparciu o pracę wykonywaną w laboratorium przemysłowym był realny. Na politechnice rozpoczęcie syntezy jakiegoś preparatu poprzedza z reguły kolokwium na jego temat. Z asystentem dyskutuje się również stadia syntezy. Mimo wszystko postanowiłem spróbować zrealizować mój plan.

Wytłumaczyłem Stachurze moje zamiary. Zgodził się. Dawał mi do syntezy różne preparaty barwnikarskie. Opierając się na podręcznikach, które zgromadziłem i jego wskazówkach, pracowałem w skromnym przyoddziałowym laboratorium od rana do wieczora, a nawet często do późnych godzin nocnych. Pracując w ten sposób zsyntetyzowałem w ciągu dwóch miesięcy znaczną liczbę chemicznych związków, szczegółowo zrelacjonowałem ich własności oraz opisałem metody, stosowane do ich otrzymania. W jakiś czas po powrocie do Gdańska, przestawiłem moje wyniki Leonowi Kamińskiemu, profesorowi chemii organicznej, który polecił mi zgłosić się na kolokwium i zaliczył mi moją pracę jako laboratoryjny kurs preparatyki organicznej. W ten sposób udało mi się nadrobić stracony czas. Przy tej okazji Kamiński zrobił uwagę, że po raz pierwszy w swojej praktyce spotkał studenta, który zalicza laboratorium preparatyki organicznej na podstawie pracy wykonanej niemal samodzielnie w laboratorium przemysłowym.

W nowym, gdańskim środowisku moje studia posuwały się szybko. Analizę ilościową zaliczyłem w ciągu kilku miesięcy po przyjeździe. Zawarłem również nowe znajomości. Między nimi szczególnie istotne było poznanie dwu młodych ludzi, podobnie jak ja, przybyszów, którzy przybyli do Gdańska z Politechniki Śląskiej. Byli to Tadeusz Celewicz i Jan Szarkowski. Z pierwszym z nich zawarłem serdeczną przyjaźń. Tadek był człowiekiem przystojnym, sympatycznym, zdolnym i pełnym humoru. Innym typem był drugi przybysz z Gliwic, Janek. Zawsze spokojny, zrównoważony, o wystudiowanych manierach, starannie ogolony i ubrany. Człowiek z rezerwą. Obracał się w „wyższych sferach towarzyskich” wydziału chemicznego. Tadek nazywał go dyplomata. Obaj mieszkali w YMCA, we wspólnym pokoju, o piętro niżej ode mnie. Z Jankiem również byłem w bardzo dobrych stosunkach. Z biegiem czasu moja znajomość z Tad-



*Bogumił Hetnarski
w czasie przeprowadzki
z Łodzi do Gdańska
(1948 r.)*

kiem przerodziła się w serdeczną zażyłość. Pochodził z Podkarpacia, ze Starego Sącza, gdzie jego ojciec był sędzią. Kochał Tatry i na wakacje wyjeżdżał w tamte strony. Pobyt w górach był okresem, na który czekał z utęsknieniem przez cały rok. Nawet oszczędzał pieniądze, żeby wówczas móc pozwolić sobie na kupno droższych papierosów. Jego hobby stanowiło robienie zdjęć fotograficznych pejzaży górskich. Służyły mu do tego tanie aparaty fotograficzne. Marnym sprzętem produkował piękne fotografie.

Tadek był doskonałym studentem, robił nadzwyczajne notatki, z egzaminów, bez większego wysiłku, otrzymywał bardzo dobre oceny, poza tym był utalentowanym eksperymentatorem. Jedyną jego słabą stroną była matematyka i co za tym idzie niejaki trudności z chemią fizyczną. Na 3 roku studiów dr Marian Antosz prowadził ćwiczenia rachunkowe z chemii fizycznej. Stanowiły one nie byle jaki straszak. Nie było tam wprawdzie elementów wyższej matematyki, ale wymagały dobrej znajomości chemii fizycznej. Należało sprawnie kojarzyć różne reguły tej dziedziny, z której nie składaliśmy jeszcze egzaminu. Jakimś cudem zdobyłem doskonały zbiór zadań rachunkowych z chemii fizycznej, pióra Antoniego Basińskiego, profesora chemii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu i obaj z Tadekiem przerobiliśmy wszystkie zadania. Na kolokwium otrzymaliśmy bardzo dobre oceny.

Trzecią, wyjątkową znajomością, zawartą na wydziale chemii była znajomość z Edwardem Borowskim. Obdarzony urodą amanta filmowego, dnie i noce trawił na studiowaniu chemii i eksperymentowaniu w laboratorium. Od wczesnej młodości był samorodnym pracownikiem naukowym. Opowiadał mi kiedyś, że doświadczenia chemiczne robił będąc uczniem gimnazjum w Wilnie, skąd pochodził. Właściwie był naszym starszym kolegą, zważywszy jego zaawansowanie w studiach, a nie wiek. Wcześniej został asystentem w Katedrze Technologii Środków Leczniczych, kierowanej przez prof. Zygmunta Ledóchowskiego. Prowadził samodzielne studia nad izolowaniem antybiotyków z produktów roślinnych, które doprowadziły go do docentury. Skomplikowane losy sprawiły, że w pewnym momencie zerwał stosunki z prof. Ledóchowskim.

Borowski spędził pewien czas w USA, na stypendium, gdzie zrobił dobrą pracę na wymieniony wyżej temat, określając strukturę wyizolowanych przez siebie produktów naturalnych. Był nadzwyczajnym eksperymentatorem, nie tylko prowadził intensywne prace badawcze, ale też sam produkował szklane instrumenty, potrzebne mu do doświadczeń. W latach 60. straciłem z nim kontakt. Spotkaliśmy się ponownie w czasie mojego pobytu

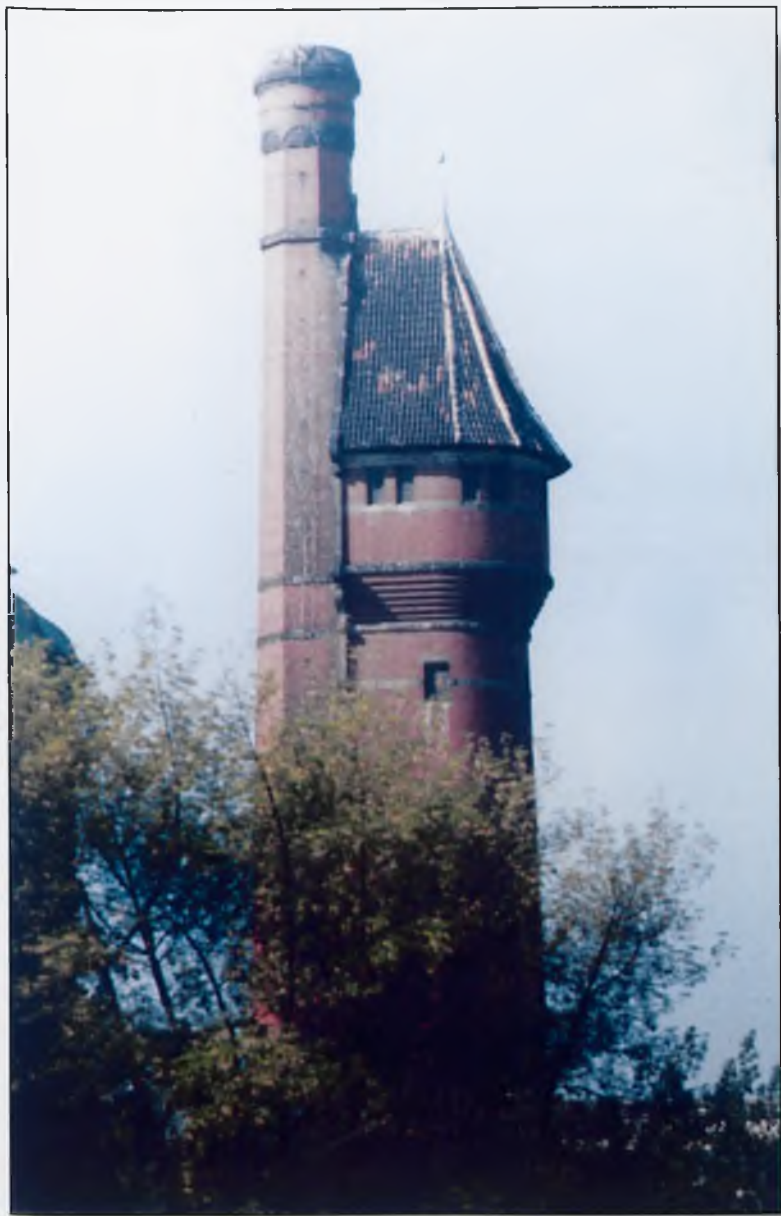
w Polsce w 1991 r. Odwiedziłem go na Politechnice Gdańskiej. Został profesorem technologii środków leczniczych. Byliśmy u niego wraz z naszym wspólnym kolegą, Bogdanem Liberkiem, profesorem chemii organicznej na Uniwersytecie Gdańskim, specjalistą w dziedzinie chemii peptydów.

Liberek został odznaczony nagrodą naukową PAN i był również utalentowanym chemikiem. Odnowiłem z nim znajomość spotkawszy go na Międzynarodowym Sympozjum Chemii Peptydów w Toronto, w 1987 r. i pozostawaliśmy do niedawna w stałym kontakcie.

W 1948 r. przyjąłem pracę asystenta studium towaroznawstwa organicznego prowadzonego pod egidą Katedry Botaniki Politechniki Gdańskiej, którą kierował prof. Tadeusz Sulma, dziekan wydziału farmacji Gdańskiej Akademii Medycznej. Sulma, uczeń prof. Władysława Szafera, znanego polskiego botanika, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, był człowiekiem kulturalnym, z którym obcowanie było przyjemnością. Pracę w jego zakładzie przyjąłem nie ze względu na moje zainteresowanie towaroznawstwem organicznym, ani ze względu na botanikę, ale mając na uwadze chemiczne laboratorium istniejące przy tej katedrze. Polska uczelnia odziedziczyła większość pomieszczeń po byłej niemieckiej uczelni technicznej. Nie mam pojęcia, co mieściło się za czasów niemieckich w lokalu zajmowanym przez katedrę botaniki. Na pewno nie należał do wydziału chemicznego. Dla mnie istotne było to, że w tyle ówczesnego zakładu botaniki mieściło się pomocnicze laboratorium chemiczne. Stanowił je niewielki pokój o podłodze wyłożonej kafelkami i stołach pokrytych ceramiczną wykładziną. Pokój był zaopatrzony w szafy wypełnione laboratoryjnym szkłem. Moje marzenie ziściło się. Braki wyposażenia uzupełniłem, brakujące przedmioty pościągałem, skąd się tylko dało i w końcu miałem do swojej dyspozycji laboratorium.

Tematem mojej pracy dyplomowej u prof. Ledóchowskiego miała być synteza sulfetronu, sulfonoamidu do zwalczania gruźlicy. Do opracowania problemu dobrałem sobie towarzysza, Tolka Tomasa, studenta tego samego roku i tej samej specjalności. Ledóchowski zgodził się na taki układ. Obaj z Tolkiem poświęciliśmy wiele czasu tej pracy, często spędzaliśmy noce w laboratorium. W pamięci zostało mi pewne wydarzenie z tego okresu. Któregoś dnia, wiosną 1950 roku, pracowaliśmy całą noc i rano wydarzył się niebezpieczny wypadek. Pękła kolba wypełniona gorącym alkalicznym roztworem, który wylał się na spodnie Tolka i wypalił w nich dziury wielkości talerzyków. Mój towarzysz był zrozpaczony, rozplakał się. Sytuacja była tragicomiczna, nie wiedziałem czy płakać, czy się śmiać. W koń-

Politechnika Gdańska



*Komin Politechniki Gdańskiej, część instalacji technicznych uczelni,
stanowi akcent w panoramie Wrzeszcza.*

Fot. B. Hetnarski

*Główne wejście
do Politechniki
Gdańskiej.
Fot. B. Hetnarski*



*Bogdan Liberek, profesor
chemii peptydów
na Uniwersytecie Gdańskim,
mój kolega z czasów studiów.
Spędził lata pracując
na Politechnice Gdańskiej
Fot. B. Hetnarski*

cu jakoś go uspokoiłem, pożyczyłem mu letni płaszcz, który miałem w laboratorium. To umożliwiło Tolkowi powrót do domu.

Przed wakacjami 1950 r. dyplomowa praca była zakończona i napisana. Na jej temat wygłosiłem referat w auli politechniki. Przed wakacjami 1950 r. wszystkie ćwiczenia laboratoryjne miałem zakończone, pozostały mi do zdania tylko egzaminy z kilku „solidnych” przedmiotów, m.in. były to chemia fizyczna i technologia organiczna. Postanowiłem zostać w domu z rodzicami kilka miesięcy celem solidnego przygotowania się do tych egzaminów. W Busku było mi bardzo dobrze, dni spędzałem na nauce, pod wieczór wychodziłem na przechadzkę. Nagle, na początku 1951 r. otrzy-



*Mgr inż. chemii Tadeusz Celewicz,
mój przyjaciel z czasów studiów.*

Fot. A. Zima

małem depeszę od Tadka Celewicza, który prosił mnie o powrót twierdząc, że we dwójkę będzie nam łatwiej przygotować się do egzaminu z chemii fizycznej. W rezultacie tego przerwałem moje „naukowe” wakacje i wróciłem do Oliwy, gdzie wówczas mieszkałem, bowiem władze zamknęły YMCA na rok przed ukończeniem moich studiów. Po przyjeździe do Oliwy zaczęliśmy z Tadekiem „tłuc” chemię fizyczną. W tym czasie Tadek mieszkał u swoich teściów, Zimów. Jego urodziwa i sympatyczna żona była związana z Akademią Sztuk Pięknych w Gdańsku. Nie pamiętam, czy była wówczas jeszcze studentką, czy już absolwentką. Przychodziłem do Tadka niemal codziennie, a naukę kończyliśmy często wieczorem. Nigdy nie zapomnę tego egzaminu, który zdawałem pięknego, wiosennego dnia, 1951 r., był to już mój ostatni egzamin przed otrzymaniem dyplomu, z którego dostałem od prof. Minca piątkę.

Zbliżał się koniec roku akademickiego 1950/1951. W tamtym czasie absolwenci studiów otrzymywali tzw. nakazy pracy. Były to skierowania do pracy w różnych instytucjach. Starano się je dobrać tak, aby obie strony były zadowolone. Na komisje przydzielającą nakazy poszliśmy razem z Tad-

kiem Celewiczem. On dostał przydział do przemysłu w Gliwicach, a ja otrzymałem skierowanie do Instytutu Farmaceutycznego w Warszawie. Mogłem wreszcie wykrzyknąć z radością „mam drogę otwartą w szeroki świat!”.

Wakacje spędziłem u rodziców w Busku-Zdroju. Otrzymanie dyplomu mgra inż. wcale nie uważałem za jakieś wielkie osiągnięcie. Sądziłem, że był to jedynie stopień na drodze życia i kariery. Ku zdziwieniu mojego ojca, zamiast wypoczywać i korzystać z pięknej pogody na wycieczki w Góry Świętokrzyskie, większość czasu spędzałem ucząc się języka angielskiego.

6. Zwiedzanie świętokrzyskiego regionu

6 a. Góry Świętokrzyskie

W końcu czerwca 1953 r. przyjechałem na urlop do Buska-Zdroju, gdzie było mnóstwo zajęć w związku z końcowymi pracami nad naszym nowym domem, który został zbudowany przez mojego ojca. Była to budowla o ścianach metrowej grubości, żartowaliśmy, że wytrzyma tysiąc lat, jak Stopnica. Miałem jednak w zanadru inne plany urlopowe, chciałem wybrać się w Góry Świętokrzyskie. Zamiar ten dojrzewał we mnie przez wiele lat, w czasie których przejeżdżałem przez Kielce vel Kleryków, która to nazwa stworzona została zamiennie przez Stefana Żeromskiego. Przed wojną przejeżdżałem przez Kleryków z mamą w drodze do Warszawy, do jej rodziny. Po wojnie, każdego roku przejeżdżałem trzykrotnie przez Kielce, na Święta Bożego Narodzenia, Święta Wielkanocne i na letnie wakacje. Zarówno z Gdańska, jak i później z Warszawy, jeździłem do Kielc pociągiem, a potem do Buska autobusem.

Moja mini-ojczyzna to teren Kielecczyny w granicach obszaru wytyczonego przez Stopnicę, Busko-Zdrój i Solec-Zdrój. To jest kraniec regionu świętokrzyskiego, położony na pińczowsko-wójczańskim wypiętrzeniu. Nie ma więc powodów dziwić się, że chciałem w końcu poznać Góry Świętokrzyskie stanowiące środkową część tego regionu.

Brak mi było do tej wyprawy towarzyszy. Udało mi się jednak namówić na nią dwu braci Piaseczyńskich, Wieska i Dzidka. Byli to synowie doktorowej Piaseczyńskiej, mojej chrzestnej matki. Wiesiek był studentem filozofii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i utalentowanym artystą: grafikiem i rzeźbiarzem, a Dzidek uczęszczał do gimnazjum w Busku-Zdroju. Przyjaźniliśmy się. Wiesiek, na moją prośbę, wykonał cykl ołówkowych szkiców miejsc, które zwiedzaliśmy w czasie tej eskapady. Kilkoma ilustruje tę część pamiętników. Nie były one nigdy publikowane.

Z Buska udaliśmy się autobusem do Kielc, stamtąd do Świętej Katarzyny, osady położonej u stóp Łysicy, mającej wysokość 612 m n.p.m.

i stanowiącej najwyższy szczyt Gór Świętokrzyskich. Najbardziej wyeksponowanym ich pasmem są Łysogóry, ciągnące się z północnego zachodu na południowy wschód na długości 15 km. W Świętej Katarzynie znajduje się klasztor założony przez Jana Rzeszowskiego, biskupa krakowskiego. Od lat 70. XV wieku rezydowali w nim bernardyni. Pożar zniszczył klasztor w XVI w., w XVII odbudowany padł ponownie pastwą ognia w 1847 roku i znowu został odbudowany. Od 1817 r. mieszkają w nim bernardynki, przeniesione z Drzewicy. Jediną, zabytkową część klasztoru stanowi wirydarzyk z otaczającymi go krążgankami, znajdujący się na zewnątrz kościoła pochodzącego z XVII wieku. Wezwanie kościoła (jego patronką jest św. Katarzyna) użyczyło nazwy zarówno osadzie jak i górze, u której podnóża jest położona. Do Świętej Katarzyny przybyliśmy po południu i po zwiedzeniu kościoła oraz wirydarzyka z krążgankami udaliśmy się na spoczynek.

Następny dzień powitał nas słońcem. Udaliśmy się na szczyt Łysicy, czyli Świętej Katarzyny, zwieńczony krzyżem. Podziwialiśmy widok Doliny Wilkowskiej i Pasma Klonowskiego. Szczególną atrakcję stanowiły dla nas gołoborza, bezdrzewne tereny pokryte rumowiskami kwarcytu łysogórskiego będącego piaskowcem okresu kambryjskiego. Formacje te spowodowały powstanie dodatkowych nazw dla gór Św. Katarzyny i Św. Krzyża, odpowiednio Łysicy i Łysej Góry vel Łyśca. Gdy podeszliśmy bliżej do Góry Radostowej i Ciekot, czyli okolic ściśle związanych ze Stefanem Żeromskim, „żeromszczyzna” zaczęła przenikać nasze rozmowy, zarówno wspomnieniami jego biografii jak i fragmentami dzieł, przede wszystkim Syzyfowych prac i Popiołów. Korzystając z turystycznego szlaku w pobliżu rzeki Lubrzanki, dotarliśmy do Góry Kamień. Po osiągnięciu jej szczytu znaleźliśmy się twarzą w twarz z czarcim profilem „Diabelskiego Kamienia”, taką nazwę nosi szczyt tej góry. Stanowi on rzadkie zjawisko ostrych grani, które w Górach Świętokrzyskich zostały złagodzone erozją trwającą miliony lat. Ze szczytu Góry Kamień podziwialiśmy zarys centralnej części świętokrzyskiego regionu, złożonego z gór i dolin.

Następnie odwiedziliśmy stanowisko „Bartka”, wielowiekowego dębu, stanowiącego muzealny relikw. Podparty drewnianymi drągami, stanowił przykład wyzwania rzuconego destrukcyjnym procesom natury przez żywotność drzewa wzmocnionego wysiłkiem człowieka. Pod Bartkiem rzekomo wypoczywał Bolesław Krzywousty; tu, Kazimierz Wielki ferował wyroki sądowe; a Jan III Sobieski odwiedził go wracając z odsieczy wiedeńskiej. W 1906 r. dąb został uszkodzony przez pożar. W okresie międzywojennym jego dziuple wypełniono betonowymi plombami.

Na noc wróciliśmy do Świętej Katarzyny. Po zasłużonym odpoczynku wyruszyliśmy na południowy wschód, wzdłuż Świętokrzyskiego Parku Narodowego, w kierunku Świętego Krzyża. Powierzchnia tego parku wynosi 6043 ha, z tego 30% stanowią ściśle rezerwy. Drzewostan na terenach, przez które przechodziliśmy był bajeczny; niskie partie dolin porastały sosnowe bory; wyżej były jodły, buki i dęby; zdarzały się również modrzewie i graby. Modrzewie były w znacznie mierze wyniszczone, ale w ścisłym rezerwacie na Chełmowej Górze, w pobliżu Nowej Słupi, widzieliśmy ich piękne okazy. Napotkaliśmy również świerkowe zarośla. W czasie tej włości nie zawsze spaliśmy w schroniskach, były przypadki noclegów na leśnych polanach.

Gdy dotarliśmy do Świętego Krzyża, na teren klasztoru weszliśmy przez ogromną, wschodnią bramę ozdobioną dwoma krzyżami: zwykłym, dwuramiennym i podwójnym, czteroramiennym, tzw. benedyktyńskim. Spojrzenie w tył uświadomiło nam malowniczość położenia tego portalu usytuowanego na tle pasma Gór Jeleniowskich. Od kultu Drzewa Świętego Krzyża w klasztorze na Łysej Górze cały region tych gór zyskał miano Gór Świętokrzyskich. W czasie tej wycieczki i następnych, gdyż góry te odwiedziłem kilkakrotnie, odnosiłem wrażenie, że przybywam do świątynnego osiedla Majów w Andach. Analogią było górzyste usytuowanie religijnych osiedli w enklawach niebotycznych lasów.

Co się tyczy przeszłości Łysej Góry to przyjmuje się, że przez pierwsze trzysta lat jej historii była siedziskiem pogańskiego kultu. W pierwszych latach XII wieku, w czasie panowania Bolesława Krzywoustego, zbudowany został tu klasztor benedyktyński, początkowo pod wezwaniem Świętej Trójcy, a następnie Świętego Krzyża. Spustoszony przez Tatarów w XIII w., odbudowany przez Bolesława Wstydlwego i zaludniony przez zakonników z włoskiego opactwa Monte Cassino, stał się ofiarą pożaru w połowie XV w., który zniszczył cenny księgozbiór. W początkach II połowy XVII wieku został zdewastowany przez Szwedów. Ponownie uległ pożarowi w 1777 r., gdy braciszek zakonny zaproszył ogień na kościelnej wieży. W 1819 r. klasztor uległ kasacie, a w roku 1884 stał się siedzibą ciężkiego więzienia dla więźniów politycznych. Hitlerowski okupant urządził tutaj obóz zagłady dla radzieckich jeńców. Gdyśmy tam przybyli, na ścianach korytarzy widniały rosyjskie napisy grożące karą śmierci za kanibalizm.

Obecnie gospodarzami klasztoru są Misjonarze Oblaci Najświętszej Marii Panny. Zespół klasztorny składa się z kościoła, kaplicy Oleśnickich i zabudowań klasztornych okalających prostokątny wirydarz z krużganka-

mi. Po ostatnim pożarze (1777 r.) kościół został odbudowany na przełomie XVIII i XIX w. Nadano mu klasycystyczny wystrój. W głównym ołtarzu znajduje się obraz Św. Trójcy, pędzla Franciszka Smuglewicza. Od czasów średniowiecza jest to miejsce kultu religijnego związanego z przechowywanymi in situ relikwiami Świętego Krzyża. W świątyni znajdują się dwa obrazy związane z tymi relikwiami. Jeden przedstawia św. Helenę identyfikującą Drzewo Świętego Krzyża, drugi nawiązuje do legendy złożenia go z fragmentów znajdujących się w tym klasztorze. Oglądaliśmy także kaplicę fundacji Mikołaja Oleśnickiego, zbudowaną w I połowie XVII wieku. Jej ściany pokrywa barwna polichromia. W krypcie znajdują się groby Oleśnickich i Jeremiego Wiśniowieckiego.

Z biblioteki świętokrzyskiego klasztoru pochodzi XV-wieczna kopia najstarszego zabytku piśmiennictwa polskiego, pięciu Kazań Świętokrzyskich. Pocięto je na 18 pasków i użyto do oprawy łacińskiego kodeksu. Odnalazł je Aleksander Brückner w carskiej Bibliotece Publicznej w Petersburgu w 1890 r. Rewindykowane, stanowią obecnie własność Biblioteki Narodowej w Warszawie.

Wspomnienia modlitwnej sesji, odbytej tu przez króla Władysława Jagiełłę przed bitwą grunwaldzką odgrywają niepoślednią rolę w stworzeniu szczególnej atmosfery pełnej pietyzmu dla historycznej tradycji panującej w świętokrzyskim klasztorze. Upamiętnia to nazwa drogi łączącej Nową Słupię ze świątynią. Król przebył ją *per pedes apostolorum*. Od tamtego czasu nosi ona nazwę Drogi Królewskiej.

Na drodze z klasztoru do Nowej Słupi napotkaliśmy kłęzącą, wykutą w kamieniu, postać świętokrzyskiego pielgrzyma, odzianego w długie szaty, posuwającego się, jak mówi miejscowa tradycja, w kierunku klasztoru rocznie o odległość równą średnicy ziarnka piasku. Rzekomo, gdy osiągnie cel swej pielgrzymki ma nastąpić koniec świata. Kiedyś wędrował z odsłoniętą głową, obecnie jakieś litościwe ręce ocieniły ją daszkiem, chroniąc świętobliwego pątnika od destrukcyjnych wpływów deszczy, śniegów i wiatrów.

Z Nowej Słupi udaliśmy się do Grzegorzewic, wioski chlubiącej się posiadaniem romańskiej chrzcielnicy z XII wieku, którą rozbudowano i konsekrowano jako kościół. Nie zapomnieliśmy też o odwiedzeniu romańskiego kościoła w pobliskim Tarczku.

Opuszczając te tereny byliśmy pod wpływem świętokrzyskiej magii, na którą złożyło się kilka elementów: tamtejsza fauna i flora, niezwykła geologia, architektura budowli, przeszłość historyczna, a po-

Góry Świętokrzyskie

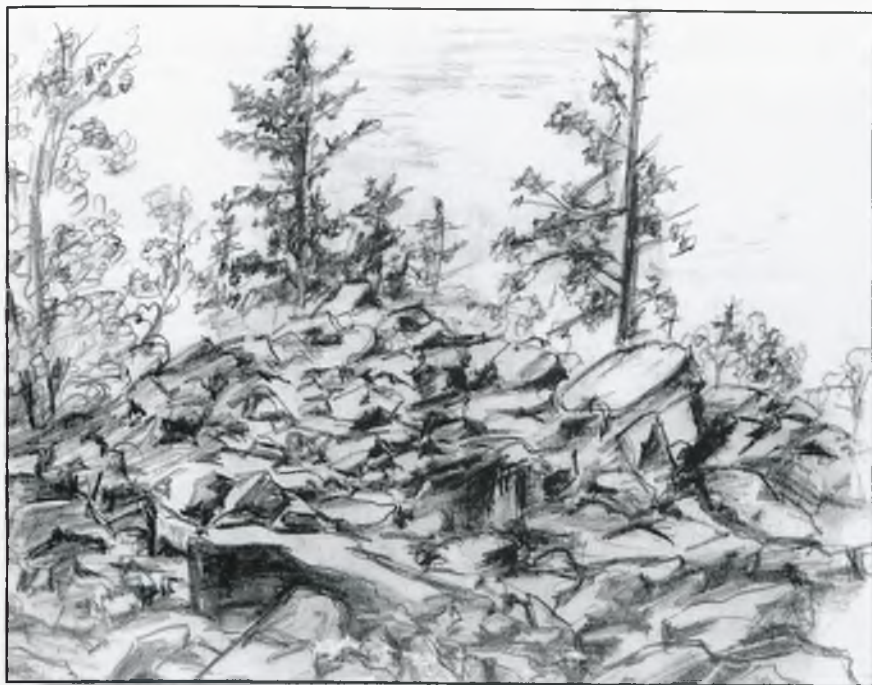


*Ksiądz kanonik
Kazimierz Nachtman,
mój brat stryjeczny,
był proboszczem
w Kostomłotach,
w Górach Świętokrzyskich,
zbudował tam kościół.
Został pochowany
na tamtejszym cmentarzu. *)
Fot. B. Hetnarski*



*Główne wejście na teren
świętokrzyskiego klasztoru,
tzw. Brama Wschodnia,
usytuowana od strony pasma
Gór Jeleniowskich.
Fot. B. Hetnarski*

**) zmarł w 2002 r.*



*Wiesław Piaseczyński - przykład
świętokrzyskiego gotoborza.
Rysunek*



*Wiesław Piaseczyński - dąb Bartek,
niemy świadek historii Polski od
czasów Bolesława Krzywoustego
po dzień dzisiejszy.
Rysunek*

Wiesław Piaseczyński
- czarci profil
„Diabelskiego Kamienia”,
stanowiącego
szczyt Góry Kamień.
Rysunek



Wiesław Piaseczyński
- baptysterium
w Grzegorzewicach,
obecnie fragment kościoła.
Rysunek





*Wiesław Piaseczyński - zarys świętokrzyskiego klasztoru
widziany z perspektywy Nowej Słupi.
Rysunek*

za tym ... literatura. W niedalekim Jędrzejowie błogosławiony Wincenty Kadłubek skończył redakcję Kroniki Historii Polski, zawartej w czterech księgach. W regionie Gór Świętokrzyskich powstały zręby literatury ariańskiej, reprezentowanej przez twórczość Braci Polskich z ośrodkami ruchu intelektualnego w Pińczowie i Rakowie. Nade wszystko jednak z Kielecczyną, a zwłaszcza z regionem świętokrzyskim, wiąże się proza Żeromskiego. Opisane wakacje były pierwszym wypadem w tamte strony. Po nim nastąpiły dalsze.

Po upływie szeregu lat, bo dopiero w 1965 roku, wybraliśmy się tam całą naszą rodziną, tj. żoną ze mną i dwojgiem naszych dzieci. Wtedy nasza wycieczką objęła również oglądnięcie Bodzentyna, starego miasteczka, założonego w XIV wieku przez Bodzantę, biskupa krakowskiego. Stanowiło ono własność krakowskich książąt Kościoła przez setki lat. W gotyckim kościele, ufundowanym przez biskupa Zbigniewa Oleśnickiego w połowie XV wieku, znajduje się tryptyk stanowiący główny ołtarz. Jego środkową częścią jest obraz Zaśnięcia NMP, pędzla Marcina Czarnego, zięcia Wita Stwosza. Tryptyk ten został przeniesiony z katedry wawelskiej do bodzentyńskiego kościoła w XVI wieku. Nie to jednak było magnesem przyciągającym mnie do Bodzentyna. Były nim ruiny zamku biskupiego ufundowanego w XIV wieku, przebudowanego dwieście lat później na renesansowy pałac. Pozostały po nim resztki murów obronnych, wspaniały portal bramy wjazdowej, renesansowe, kamienne oprawy okienne, gzymsy oraz część pięknych niegdyś krużganków. Stanowisko to zyskało status trwałej ruiny. Patrząc na nie, trudno mi było pogodzić obecność tej znakomitej rezydencji z zabitym deskami partykularzem bodzentyńskim, na którym się znajduje. Ta kompozycja stanowi zaiste niecodzienny układ.

Z reguły, lubię włóczyć się po cmentarzach, oglądać groby i czytać napisy na ich tabliczkach. To są szczególne znajomości, zawierane z nieżyjącymi osobami poprzez ich wieczyste rezydencje. Nie znało się ich za życia, niekiedy słyszało się o nich lub czytało. I tak, na nowym stopnickim cmentarzu „odkryłem” zaniedbany grób dra Franciszka Hassmana, lekarza powiatowego w Stopnicy sprzed I wojny światowej. Wspomina go Stefan Żeromski w III tomie pamiętników z 1888 roku. Moja mama po przyjeździe do Stopnicy w początkach lat 20. mieszkała u Hassmanów. Opowiadała, że pewnego razu miała miejsce okropna burza i Hassmanowa (przypuszczam, że chodziło o córkę doktora, Żeromski też ją wspomina) wystawiała święte obrazy na zewnątrz domu celem ochrony go przed piorunami.

Będąc w Bodzentynie pytałem o cmentarz. Jeden z moich rozmówców powiedział mi, że w mieście jest interesujący kirkut, na którym zachowało się kilkadziesiąt grobów z macewami, na których oprócz inskrypcji w języku hebrajskim znajdują się również graficzne symbole opisujące pogrzebanych Izraelitów. I tak, przedstawienie złamanej świecy i tonącego okrętu oznaczało śmierć. Obecność menory czyli siedmioramiennego świecznika świadczyła, że pogrzebano tu kobietę, ponieważ do kobiet należało zapalanie świec w szabasy. Wyciągnięte dłonie to symbol kapłana. Misy i dzbany oznaczały lewitów. Była to dla mnie nowość. Niedaleko od posesji rejenta Filipowicza w Stopnicy był kirkut, na którego epitafia niejednokrotnie spoglądałem, ale nigdy nie badałem ich napisów, zniechęcony nieznanym mi pismem hebrajskim.

Ostatnią eskapadę w Góry Świętokrzyskie, ściśle mówiąc do świętokrzyskiego klasztoru, odbyliśmy razem z ks. kanonikiem Kazimierzem Nachtmanem, moim bratem stryjecznym, który wtedy rezydował w Domu Księży Emerytów w Kielcach. Było to w 1991 r., w czasie mojej wizyty w Polsce.

6 b. Południowo-zachodnie krańce regionu świętokrzyskiego

W lecie 1954 r. byliśmy młodym małżeństwem, nasz ślub miał miejsce w kwietniu tegoż roku. Na wakacje pojechalśmy w Góry Świętokrzyskie. Żona zwiedzała je po raz pierwszy, ja po raz drugi. Po tej wycieczce wybraliśmy się na zwiedzanie południowo-zachodniego krańca regionu świętokrzyskiego, Chęcińskiego Pasma Górskiego.

Tym razem nie zwiedzaliśmy całego pasma wyżynnego, ograniczyliśmy się do Chęcin, jako reprezentującej go miejscowości. Wybraliśmy ją ze względu na jej znaczenie historyczne oraz bogactwo widoków rozpościerających się z Góry Zamkowej (360 m n.p.m.). Widoczne stamtąd panoramy zapierają dech w piersiach, bezgraniczne tereny stykają się na odległym horyzoncie z nieboskłonem.

Mówiąc o Chęcinach myślę nie tylko o zamku, ale również o mieście drzemiącym w jego cieniu.

Fundatorem tamtejszego kościoła, podobnie jak stopnickiej fary, był król Kazimierz Wielki. Budowę rozpoczęto w 1368 roku. Od XVII wieku istnieje w Chęcinach żeński klasztor bernardynek. Miasto charakteryzuje się średniowiecznym szablonem ulic, zabudowanych jednopiętrowymi domami. Godne uwagi jest tutaj powiązanie mieszkań bramami i sieniami przez które prowadzi dojazd do budynków gospodarczych w głębi podwórzy.

Zamek składa się z dwóch części, starszej górnej, rozciągającej się między dwiema okrągłymi basztami i młodszej, dolnej, zaopatrzonej w trzecią basztę. Ta baszta jest czworoboczna i kontroluje zachodnią bramę wjazdową. Do zamku można było dostać się od wschodu przez zwodzony most i bramę zamykaną żelazną kratą. W zamku był dom mieszkalny i kaplica. Dolna część miała charakter gospodarczy, była tu studnia wykuta w skale i wejście do lochu, przez który zamek łączył się podziemnym przejściem z kościołem w mieście. Załoga liczyła 150 rycerzy. W czasie wojny jej zadaniem było utrudnianie poruszania się nieprzyjacielskich oddziałów. W czasie pokoju zapewniała bezpieczeństwo podróżnym. Władysław Łokietek miał predylekcję do Chęcin, jak zresztą do całego regionu świętokrzyskiego. W związku z tym sentymentem warto wspomnieć Stopnicę. Miasto miało specyficzne ukształtowanie terenu otaczającego kwadratowy rynek średniowieczny. Z jego południowo-zachodniej strony był płaski teren o brzegach stromo opadających w stronę rzeki Stopniczanki i tworzących podgórze. To miejsce wprost błagało o jakąś okazałą budowlę. Władysław Łokietek chciał zadośćuczynić prośbie mieszkańców i widocznej potrzebie terenu, ale na przeszkodzie stanął brak pieniędzy i nieustanne wojny. Trudna sytuacja polityczna, gospodarcza i militarna były powodem, że w Stopnicy stanęła tylko kaplica. Dar ojca dla miasta powiększył syn, Kazimierz Wielki, dobudowując do tej kaplicy piękny kościół gotycki pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła.

W 1331 roku Władysław Łokietek zwołał do Chęcin zjazd dostojników „wszystkich ziem polskich” celem podjęcia decyzji odnośnie wojny z zakonem krzyżackim, bowiem zakon nie chciał się podporządkować wyrokowi sądu papieskiego, który zapadł w Inowrocławiu w latach 1320-1321. Zjazd w Chęcinach jest bardzo istotnym faktem, stanowił namiastkę pierwszego sejmiku i zapoczątkował wprowadzenie sejmowej instytucji do zarządzania krajem. Po uzyskaniu zgody tego quasi sejmiku na rozwiązanie militarne problemu krzyżackiego, król ogłosił mobilizację wojska do Chęcin. Stąd, w tymże roku, polska armia pod dowództwem Władysława Łokietka

wyruszyła w kierunku Bydgoszczy. Do bitwy doszło pod Płowcami. Krzyżacy ponieśli klęskę, niestety o symbolicznym znaczeniu.

Chęciński zamek otoczony był nimbem niezwyciężoności, stanowił bezpieczne miejsce. W czasach niepokojów tu właśnie przechowywano skarby koronne. Na zamku mieszkała przez pewien czas druga żona Kazimierza Wielkiego, Adelajda, z którą Kazimierz rozwiódł się z powodu jej niepłodności. Rezydowała tu także królowa Bona. Zamek został spalony przez rokoszan Mikołaja Zebrzydowskiego w 1607 roku. Odbudowany, uległ ponownemu zniszczeniu w czasie potopu szwedzkiego. Mimo to istniał w dalszym ciągu. Armaty zamkowe dały się słyszeć ostatni raz w 1787 r. Salwy witały Stanisława Augusta Poniatowskiego, wracającego z Krakowa do Warszawy.

Po utracie niepodległości zamek zaczął popadać w ruinę. Na nas wywarł duże wrażenie, a widoki z baszty zamkowej pamiętamy do dzisiaj. Na terenie zamku był czynny zakład kamieniarski, w którym nabyliśmy piękny przycisk do papierów. Do czarnej, marmurowej podstawy jest przytwierdzona biało-brązowa kula marmurowa. Przycisk przetrzymał nasze zawieruchy życiowe, przyjechał z nami do Ameryki i obecnie stoi na moim biurku, w naszym domu przy ul. Morrisa we Freeville.

7. Instytuty Przemysłowo-Badawcze na Żoliborzu

W początkach września 1951 r. przyjechałem do Warszawy. Zameldowałem się do pracy w Instytucie Farmaceutycznym (IF), który mieścił się na Bielanach. Był to jeden z instytutów, które mieściły się na zewnątrz zabudowań Bielan. Poza „moim” instytutem były tam inne: Tworzyw Sztucznych, Chemii Ogólnej, Barwników i Półproduktów oraz Materiałów Wybuchowych. Laboratoria mieściły się w dwupiętrowych budynkach okalających prostokątny dziedziniec, natomiast administracje instytutów znalazły pomieszczenia w wieżowcu. Laboratoria IF i Instytutu Barwników i Półproduktów ulokowane były w tym samym budynku.

Po załatwieniu formalności w oddziale personalnym zostałem wprowadzony do gabinetu dyrektora, mgra Witolda Gomułki, wysokiego i tęgiego człowieka o podłużnej twarzy i różowej cerze. Robił wrażenie osoby łagodnej, o ujmującym sposobie bycia. Z biegiem czasu miałem możliwość przekonać się, że pod tą maską kryło się inne usposobienie, którego aktywność napędzana była głównie troską o utrzymanie pozycji zdobytej niejako przypadkiem. Napatoczył się zaraz po wojnie na jakieś wakujące stanowisko, nie pamiętam jakie i został przyjęty na zasadzie „kto pierwszy ten lepszy”. Tę historię słyszałem z jego ust. W praktyce okazał się odpowiednim kandydatem, awansował na stanowisko dyrektora instytutu przemysłowo-badawczego, został mianowany docentem i dotrwał na zajmowanej pozycji do emerytury.

Praca mojego instytutu, jak i pozostałych, zwanych „instytutami żoliborskimi”, polegała na opracowywaniu technologii otrzymywania związków chemicznych w oparciu o dane literaturowe. Syntezy chemiczne stanowiące dominujące tło naszej pracy były opracowywane początkowo na skalę laboratoryjną. Wielocząłonowe syntezy były wyposażone w analityczne metody kontroli międzyoperacyjnych półproduktów. Dalszy rozwój badanych technologii polegał na opracowywaniu syntez w większych skalach i wprowadzaniu poprawek do parametrów ustalonych dla skali laborato-

ryjnej. Oczywiście, celem tych zadań było opracowywanie metody otrzymywania docelowych związków w skali półtechnicznej i wprowadzenie ich do produkcji przemysłowej. Ilości substratów reakcji chemicznych prowadzonych w tej skali były znaczne i eksperymenty prowadziło się w dużych pomieszczeniach, jak np. w halach fabrycznych. Opracowania tematów instytutowych miały charakter prac odtwórczych i z reguły opierały się na literaturze patentowej, której informacje nie zawsze były łatwe do odcyfrowania i niejednokrotnie dostarczały błędnych danych. W związku z tym chemicy pracujący w instytutach przemysłowo-badawczych mieli pole do oryginalnych rozwiązań, które niekiedy stawały się przedmiotem nowych patentów i publikacji.

W IF zostałem przyjęty do pracowni syntezy organicznej, której kierownikiem był mgr Adam Korkuczański, a kierownikiem zakładu, w skład którego wchodziło to laboratorium - mgr inż. Czesław Bełżecki. Pracę podjąłem z ogromnym entuzjazmem. Pracowałem na dziennych zmianach, a niekiedy także nocnych. Początkowo pomagałem Korkuczańskiemu przy opracowywaniu jego problemu. Wkrótce zacząłem sam otrzymywać tematy, za które byłem osobiście odpowiedzialny i dostałem do pomocy techniczkę. Pracowałem żarliwie, wierząc że te prace prowadzą do czegoś poważnego i mimo ich odtwórczego charakteru wiodą do poważnych badań naukowych, które będą moim udziałem w przyszłości. Rzadko opuszczałem laboratorium o przewidzianym czasie, z reguły kontynuowałem pracę do późna.

W IF pracowałem półtora roku, od września 1951 do maja 1953 r. Opracowałem sześć chemicznych tematów, m.in. syntezę pochodnej piperazy, zasadniczego składnika tiodazyny, środka przeciwoścogowego. Moje opracowanie zostało wykorzystane w przemyśle. Przygotowałem również metodę produkcji Mertiolatu, czyli soli sodowej kwasu etylortęciosalicylowego, silnego antyseptyku, też wykorzystaną w przemyśle. Nad tym projektem pracowałem wspólnie z Janką Kotlerówną, moją serdeczną koleżanką. Praca nad Mertiolatem miała szczególne znaczenie dla mojej przyszłości. Zetknąłem się wówczas po raz pierwszy ze związkami rtęcioorganicznymi, które w przyszłości miały stanowić moją specjalność, rozszerzoną z biegiem czasu na inne związki metaloorganiczne. Dużo pracy włożyłem w opracowanie syntezy sulfametazyny, sulfonu pospolicie stosowanego w zaburzeniach jelitowych o podłożu bakteryjnym. Z reguły największą skalą w jakiej opracowałem tematy była skala wielkolaboratoryjna. Przy sulfametazynie przeszedłem do skali ćwierćtechnicznej i opracowałem założenia do skali półtechnicznej. Wszystkie prace wykonałem zupełnie samodzielnie.

Moja praca zawodowa rozwijała się pomyślnie, natomiast moje życie prywatne nie było łatwe. Główna trudność związana była z brakiem mieszkania. Po przyjeździe do Warszawy zatrzymałem się u przyjaciółki mojej matki, pani Gieni, starszej osoby, nie najlepszego zdrowia, która mieszkała przy ul. Wiśniowej na Mokotowie, w ładnej i czystej kamienicy. Zajmowała wygodny apartament na parterze. Niestety, pani Gienia miała lokatora w osobie swojego przyjaciela. W związku z tym mogłem się tam zatrzymać jedynie na krótko. Nie było innej rady, jak tylko prowadzić koczowniczy tryb życia. W ten sposób przevegetowałem zimę 1951/1952. Od czasu do czasu byłem nocnym gościem w domu mojego stryjecznego brata, Olka Gardawskiego. Wspominałem o nim pisząc o moim pobycie w Łodzi. W międzyczasie Olek przeniósł się do Warszawy i pracował w Polskiej Akademii Nauk, przygotowując dysertację doktorską. Mieszkał w przydzielonym mieszkaniu z żoną i dwojgiem dzieci: Julkiem, obecnie ekonomistą, profesorem Akademii Handlowej w Warszawie i Anią, późniejszą absolwentką wydziału zoologii UW i pracowniczką Ogrodu Zoologicznego. Ich mieszkanie nie było przestronne, tym niemniej spędzenie



Aleksander Gardawski, mój brat stryjeczny z żoną, Jadwigą Bursche Gardawską. W latach 1951-1953 byłem częstym gościem w ich mieszkaniu. Później Olek został profesorem archeologii na UMCS w Lublinie

kilku godzin w beztroskiej atmosferze stanowiło cenny element mojej egzystencji. Mimo trudności znalazłem sobie w końcu lokum w jednej z podwarszawskich miejscowości, niestety, ograniczało się ono jedynie do noclegów. Mój opis odzwierciedla trudności mieszkaniowe w ówczesnej Warszawie, która w czasie powstania została niemal doszczętnie zniszczona i właśnie była w trakcie odbudowy.

Gwałtowna zmiana mojej sytuacji nastąpiła w 1952 r., kiedy Ministerstwo Przemysłu Chemicznego przydzieliło instytutom żoliborskim duże mieszkanie w Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej (MDM). Przydział był mały, a chętnych wielu. Należałem do szczęśliwców objętych przydziałem. Przydzielone mieszkanie stanowiło czteropokojowy apartament na trzecim piętrze, z obszernym foyer, łazienką i kuchnią. Każdy pokój miał dwóch mieszkańców. Moim towarzyszem był mgr inż. Jerzy Wojciechowski, kielczanin i kolega z Politechniki Gdańskiej. Obaj pracowaliśmy w Instytucie Farmaceutycznym. W pozostałych pokojach zamieszkali pracownicy żoliborskiego Instytutu Tworzyw Sztucznych. Wszyscy byliśmy świeżo upieczonymi absolwentami wydziałów chemicznych wyższych uczelni. Nie było między nami nieporozumień, stosunki ułożyły się poprawnie.

W czasie pracy w IF zawarłem znajomość z niecodzienną osobistością, mgr inż. Zbigniewem Buczkowskim. Studiował na wydziale chemicznym Politechniki Wrocławskiej. Skierowany został nakazem pracy do IF. Był solidnie wykształcony, władał angielskim, rosyjskim i niemieckim. Miał rozległe zainteresowania i szerokie horyzonty myślowe. Poza sprawami zawodowymi interesował się historią wojen, szczególnie operacjami militarnymi na Morzu Bałtyckim w czasie II wojny światowej. Interesowały go antyki. Kiedyś, pamiętam, nabył stary i cenny dywan o dużych rozmiarach. Był większy od pokoju, w którym chciał go rozłożyć. Ale nie pozbył się go, tylko przesunął ściany pomieszczenia, celem zwiększenia jego powierzchni. Interesował się narzędziami i miał ich sporą kolekcję. Doktorat zrobił na wydziale chemicznym macierzystej uczelni. Nie wiem, gdzie się habilitował. Dwa lata spędził w laboratoriach Akademii Nauk Związku Radzieckiego studiując zastosowanie widm w podczerwieni do badania struktury związków organicznych. Wkrótce potem wyjechał na 2 lata do USA, gdzie pracował pod kierunkiem prof. Rogera Adamsa. W USA został ekspertem w dziedzinie stosowania rezonansu magnetycznego do badania organicznych kompleksów. Kilka lat spędził w Arabii, pod egidą ONZ. Po powrocie został profesorem na wydziale chemii Politechniki Warszawskiej.

Buczkowski był interesującym człowiekiem, mającym liczne walory, znaczną wiedzę i doświadczenie. Często rozmawialiśmy, z jego poglądami należało się liczyć. Zmarł nagle, w sile wieku, w czasie spotkania towarzyskiego w Podkowie Leśnej pod Warszawą, pod koniec lat 70., kiedy ja mieszkalem już w USA. Szczegóły tej tragedii podał mi prof. Urbański.

W IF nie widziałem możliwości postępu w mojej karierze. Wprawdzie Gomułka obiecywał mi możliwości zrobienia doktoratu, ale te przyrzeczenia tonęły w nawale tematów i zadań przemysłu domagającego się nowych opracowań technologicznych. Spędzanie czasu na uzupełnianiu opatentowanych czy opublikowanych metod produkcyjnych wydawało mi się jego stratą.

Pewnego wiosennego dnia 1953 r., szczególnym zrzędzeniem losu, przechodząc przez międzyinstytutowy dziedziniec, spotkałem mgra inż. Waleriana Stachurę, mojego dobrego znajomego z dawnych czasów. W 1948 r., jako student, odbyłem wakacyjną praktykę na jego oddziale, w fabryce barwników „Boruta”, w Zgierzu. Ucieszył się z naszego spotkania, widocznie wyrobiłem sobie u niego dobrą opinię w trakcie tej praktyki. Wypytywał mnie o moją sytuację życiową. Dowiedziałem się od niego, że był dyrektorem Instytutu Barwników i Półproduktów (IBP). Zaproponował mi stanowisko kierownika Pracowni Syntezy Organicznej w Zakładzie Środków Ochrony Roślin. Kierownikiem tego zakładu był mgr Jan Kulesza. Tę ofertę przyjąłem natychmiast.

Wkrótce przeniosłem się do nowego miejsca pracy. Mieściło się na niższych kondygnacjach tego samego budynku, w którym pracowałem dotychczas. Domeną moich obowiązków miały być syntezy związków chemicznych o właściwościach grzybobójczych i owadobójczych. Roślinami interesowałem się zawsze i środki ich ochrony stanowiły dla mnie fascynujący przedmiot. Moja praca składała się, poza mną, z inż. Zofii Chomiczkiej i techniczki. Niestety, nie mogłem dłużej zagrzać miejsca na nowym stanowisku, ponieważ musiałam wyjechać do fabryki półproduktów organicznych w Żarowie koło Świdnicy na Dolnym Śląsku. Byłem kierownikiem trzyosobowej ekipy, w której również znaleźli się: mgr Krystyna Rusin, przyszła kierowniczka pracowni w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku pod Warszawą, mgr inż. Wiesław Moszczyński, późniejszy dyrektor Instytutu Przemysłu Organicznego oraz technik Aleksander Jakusz. Naszym zadaniem było uregulowanie produkcji merkaptobezotiazolu, przyspieszająca polimeryzacji chemicznych komponentów w produkcji gumy. Było to pilne zlecenie i natychmiast po jego otrzymaniu opuściliśmy Warszawę.

W Żarowie poznałem interesującego człowieka, mgra inż. Józefa Kabałę, kierownika przyfabrycznego laboratorium badawczego. Był to sympatyczny pan, doskonale znający profil produkcyjny fabryki i ogólnie dobrze obeznany z problemami technologii organicznej. Przyjemnością było prowadzić z nim rozmowy na tematy zawodowe i towarzyskie. W jakiś czas po naszym pobycie w Żarowie, Kabała został mianowany wicedyrektorem IBP w Warszawie. Lata później został adiunktem na wydziale chemicznym Politechniki Warszawskiej w katedrze aparatury technologii chemicznej prof. Ciborowskiego, gdzie zaczął pracę nad dysertacją doktorską. W wirze wydarzeń straciłem go z oczu.

Pobyty w IBP miał zasadnicze znaczenie dla mojego życia osobistego. Tam spotkałem moją przyszłą żonę, również pracownicę tego instytutu. Była kierowniczką pracowni analitycznej. Zwróciła moją uwagę swoją osobowością. Miała ogromny potencjał intelektualny, dostawała celujące stopnie, od szkoły podstawowej, przez gimnazjum im. Hoffmanowej w Warszawie, po Uniwersytet Warszawski. Mimo chronicznego braku podręczników spowodowany brakiem pieniędzy, opierając się na własnych notatkach i spo-



Hanna Krystyna Hetnarska, moja żona, w laboratorium analitycznym w Instytucie Przemysłu Organicznego na Żeraniu w Warszawie.

radycznie pożyczanych książkach przeszła studia chemiczne na bardzo dobrych ocenach. W czasie studiów zwróciła na siebie uwagę profesorów: Wiktora Kemuli, Wojciecha Świątosławskiego i Wiktora Lampego, reprezentujących: chemię analityczną, fizyczną i organiczną, którzy ofiarowali jej asystentury w kierowanych przez siebie katedrach. Wybrała asystenturę u prof. Lampego. Po ukończeniu studiów, z przyczyn materialnych, wybrała pracę w IBP. Po krótkim okresie wstępnym dostała kierownicze stanowisko w Zakładzie Analitycznym. W kilka lat później została odznaczona medalem przez Ministerstwo Przemysłu Chemicznego za wprowadzanie metod analitycznych do fabryk. Oceniałem ją jako osobę bardzo akuratańską w różnych dziedzinach życia.

W rok po naszym poznaniu wzięliśmy ślub w kościele, w Busku-Zdroju. W ten sposób zaczęła się nasza wspólna odyseja życiowa. Start nie był łatwy, ponieważ nie mieliśmy mieszkania. Moja żona mieszkała z kuzynką w podnajmowanym mieszkaniu na Saskiej Kępie, ja w dalszym ciągu w komunalnym apartamencie na MDM. Należało coś zrobić, żeby rozwiązać w końcu sprawę wspólnego dachu nad głową. Zapisanie się do spółdzielni mieszkaniowej nie wydawało się właściwym rozwiązaniem, ponieważ, po pierwsze, wymagało poważnego wkładu pieniężnego, po drugie, należało czekać kilka lat na zrealizowanie tego rodzaju inwestycji. Otrzymanie przydziałowego mieszkania z pracy byłoby dla nas najlepszym rozwiązaniem, ale urzeczywistnienie tego było ogromnie trudne, gdyż przydziały mieszkaniowe były skąpe, a rzesze oczekujących liczne. Wprawdzie mieliśmy poważny atut - pracowaliśmy razem z żoną w tej samej instytucji, mimo to trzeba było wykazać się czymś więcej, żeby pokonać trudności związane z otrzymaniem tego przydziału.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, pewnego dnia zostałem wezwany do Stachury, który powiedział mi, że planuje wysłanie mnie z nową misją do przemysłu. Chodziło o uruchomienie produkcji gameksanu, tj. heksachlorocykloheksanu, znanego środka owadobójczego, w zakładach przemysłowych Rokity, w Brzegu Dolnym na Śląsku, w pobliżu Wrocławia.

Fabryka była dużym zakładem chemicznym o zróżnicowanym profilu produkcji. Ministerstwo Przemysłu Chemicznego zakupiło w Niemczech linie produkcji tego insektycydu. Razem z nią do fabryki przybył niemiecki ekspert. Jednak wdrożenie do przemysłu nabytej technologii napotykało na trudności.

Natychmiast zgodziłem się na ten wyjazd, bowiem powiązałem to zadanie z naszą potrzebą mieszkaniową.

Wkrótce okazało się, że praca nad tym problemem potrwa dłużej czas i skład instytutowej ekipy będzie ulegał zmianie w miarę jego upływu. Zrealizowanie naszego zadania ułatwiała nam obecność filii IBP w Rokicie, w której odkryłem mojego kolegę z Politechniki Gdańskiej, mgra inż. Zbigniewa Oleszczyka. Specjalista niemiecki pracujący w ramach naszego zespołu robił wiorstowe notatki. Wyglądało to tak, jakby nie znał parametrów reakcji przed przyjazdem, a dowiadywał się o nich dopiero w trakcie prowadzenia półtechnicznych prób produkcji. W Rokicie niemal zadowolony, ale przyjeżdżałem do Warszawy, zazwyczaj nocą, pociągiem sypialnym. W czasie tych peregrynacji kilkakrotnie spotykały mnie przykrości. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że moje ubranie było przesiąknięte mysim zapachem, charakterystycznym dla nieoczyszczonego gameksanu. Pewnej nocy, będąc już w pidżamie, w wagonie sypialnym, i jadąc do Warszawy, usłyszałem, że ktoś z pasażerów zrobił uwagę, że czuje mysy odór. Inni mu zawtórowali. W końcu zidentyfikowano winowajcę i niewiele brakowało, a zostałbym usunięty z wagonu.

W Rokicie zajmowałem się nie tylko gameksanem, ale również syntezą związków rtęcioorganicznych. Korzystając z obecności filii IBP w fabryce i w niej mojego kolegi, urządziłem sobie tam laboratorium, w którym prowadziłem badania chemiczne na własną rękę. Przyrzuciłem znaczną liczbę nie opisanych w literaturze związków rtęcioorganicznych o potencjalnych właściwościach grzybobójczych. Tą pracą zajmowałem się w późne popołudnia i święta.

Zbyszek Oleszczyk był za pan brat z problemami technologicznymi, ponieważ pracował w przyfabrycznej filii kilka lat. Mimo że, znaliśmy się ze studiów, bliższe stosunki zadzierzgnęliśmy dopiero w czasie mojego pobytu w Rokicie. Oleszczyk był wszechstronnie odczytany i orientował się w różnych aspektach rzeczywistości, jednak stwarzał wokół siebie aurę przyciągnięcia. Był minimalistą, niczego nie potrzebował, do niczego nie dążył. Zaspokajał swe potrzeby możliwie najskromniejszymi środkami. Tego rodzaju stosunek do życia uważał za przejaw mądrości życiowej. Gdy wyjeżdżał w delegacje nie korzystał z biletów 2 klasy, do których był upoważniony, ale kupował bilety 3 klasy. Im dłużej z nim przebywałam tym bardziej zdawałem sobie sprawę z anomalii jego zachowania. Zauważyłem też że nie interesował się kobietami. Zaczęłam Zbyszka namawiać na zrobienie doktoratu, mając nadzieję, że oderwę go od monotonii codziennych obowiązków. Jakoś nic z tego nie wychodziło. Kilka lat później, gdy pracowałem już w PAN, żona przyniosła z pracy wiadomość, że Olesz-

czyk popełnił samobójstwo. Wypił roztwór cyjanku potasu, na polanie, w lesie położonym w pobliżu fabryki. Do matki i siostry wysłał listy z przeprosinami. Było to ogromnie przynębiające wydarzenie.

W początku 1955 r. prace nad uruchomieniem produkcji gameksanu dobiegły końca. Natychmiast podjąłem intensywne starania o uzyskanie przydziału mieszkania. Złożyłem wizytę wiceministrowi przemysłu chemicznego, którego nazwiska nie pamiętam, i przedstawiłem mu naszą trudną sytuację lokalową, żona była wówczas w ciąży. Od wiceministra uzyskałem przyrzeczenie otrzymania przydziału mieszkania w najbliższym czasie. Zrobiłem, co było w mojej mocy, aby zapewnić zrealizowanie tej obietnicy.

Wreszcie dostaliśmy upragniony i niezbędny przydział na Bielanach, przy ul. Wyspiańskiego. Było to mieszkanie w nowym budownictwie, na pierwszym piętrze. Składało się z dwóch pokoi, kuchni i łazienki. Byliśmy szczęśliwi. Natychmiast zaczęliśmy je urządzać. Mieliśmy przyjemne sąsiedztwo. Naszymi najbliższymi sąsiadami byli: sędzia Sądu Najwyższego Korzeń z żoną; kierownik zakładu technologicznego IF, laureat państwowej nagrody, którego nazwiska nie przypominam sobie; pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego i kolega mojej żony, Konstanty Belniak oraz sędzia Sądu Najwyższego Tadeusz Byliński z żoną, która również była sędzią.

Pracując w IBP zawarłem znajomość, która miała wpływ na moją przyszłość. Poznałem tam docenta wydziału chemicznego Politechniki Warszawskiej, dra Zygmunta Ecksteina, późniejszego profesora w tym fakultecie. Był on absolwentem Politechniki Lwowskiej, w czasie wojny pracował w fabryce drożdży w okolicy Krakowa. Do politechniki przyszedł z fabryki leków Polfa w Tar-



Zygmunt Eckstein, profesor środków ochrony roślin na wydziale chemii Politechniki Warszawskiej. Był moim doradcą w początkowym okresie mojej pracy nad dysertacją doktorską.

Fot. W. Eckstein

chominie pod Warszawą. Pracując na politechnice szukał dla siebie atrakcyjnej, nowej specjalności, odmiennej od zagadnienia środków leczniczych. W katedrze Technologii Organicznej II, z którą był związany, poza prof. Urbańskim, kierownikiem katedry, pracowała również doc. dr Barbara Serafinowa, oboje byli czynni w dziedzinie poszukiwania nowych leków.

Eckstein interesował się środkami ochrony roślin, które w Polsce miały ograniczoną tradycję badawczą. W trakcie jednej z dyskusji na tematy zawodowe zaproponował mi przeniesienie się do Zakładu Syntezy Organicznej PAN, zlokalizowanego w katedrze prof. Tadeusza Urbańskiego, który był jego organizatorem i kierownikiem. Zakład stanowił załączek przyszłego Instytutu Chemii Organicznej PAN. Po krótkim namyśle przyjąłem tę ofertę. Urbańskiego poznałem kilka lat wcześniej, gdy byłem studentem w Katedrze Środków Leczniczych na Politechnice Gdańskiej.

8. Zakład Syntezy Organicznej PAN

Zygmunt Eckstein był nietuzinkową osobistością. Wysoki, tęgawy, w laboratoryjnym fartuchu, ze ścierką przewieszoną przez ramię, pracujący przy stole laboratoryjnym lub pod wyciągiem. Zawsze czynny. Tak go pamiętam. Niesamowicie pracowity, o dużym doświadczeniu chemicznym. W tym względzie jednostronny. Jego zainteresowania problemami chemicznymi były tak głębokie, że wykluczały kontakty z innymi dziedzinami życia, np. kulturalnymi. W rezultacie tego obracał się w zniekształconym świecie widzianym tylko przez pryzmat pracy badawczej. Był chemikiem par excellence. Jego żona opowiadała mi, że w czasie wojny, gdy możliwości badawcze były ograniczone, w domu ekstrahował substancje naturalne z roślin.

Na marginesie pragnę wspomnieć, że niektóre nowe substancje, które syntetyzował, miały nieoczekiwane własności farmakologiczne, np. powodowały obrzęk ciała. Wtedy robił kilkudniową przerwę w pracy, a następnie wracał do niej zachowując bardziej rygorystyczne środki ostrożności.

Eckstein był człowiekiem wybuchowym. Korzystaliśmy z sąsiednich pokoi laboratoryjnych i ze sposobu zamykania drzwi wnosilem o jego nastroju. Trzaskanie nimi było rzeczą powszednią. W związku z tym musiało wzmocnić ich futryny. Agresywność stanowiła cechę jego osobowości. Był napastliwym dyskutantem. W czasie referatów był zazwyczaj najbardziej aktywny w zadawaniu pytań, które zbiły z pantafelki niejednego prelegenta. Między członkami fakultetu miał wrogów, co opóźniło jego profesorską nominację. Niejednokrotnie odgrażał się, że opíše stosunki panujące w ramach fakultetu chemicznego Politechniki Warszawskiej, ale chyba nigdy tego nie zrobił.

W zakładzie zacząłem pracować jako adiunkt. Moim zadaniem było zrobienie pracy doktorskiej na zaproponowany przeze mnie temat syntezy związków rtęcioorganicznych o spodziewanych własnościach biologicznych, które miały hamować rozwój mikroorganizmów o aktywności stanowiącej zagrożenie dla przydatności ziarna siewnego.

Pracę miałem wykonywać pod opieką doc. Ecksteina, ale moim oficjalnym promotorem był prof. Urbański. Wstępem do mojej pracy było napisanie przeglądowego artykułu na temat fosforoorganicznych środków owadobójczych. Nad moją pracą doktorską pracowałem cztery lata. W trakcie jej trwania przyrządziłem 34 związki rtęcioorganiczne, należące do różnych klas tej dziedziny chemii. Większość z nich była nieznana w literaturze. Element chemiczny mojej pracy był istotny. Poza syntezą różnych preparatów obejmował również opracowanie reguł rtęciowania pewnej grupy związków organicznych (pochodnych cyjanoguanidyny) oraz nową metodę analityczną badania rtęcioorganicznych substancji włączoną, kilka lat później, do zbioru podstawowych testów służących do badania organicznych grup funkcyjnych w mikroskali.

Własności biologiczne tych substancji były badane przez zespół doc. R. Kowalika, kierownika pracowni mikrobiologicznej Instytutu Przemysłu Organicznego w Warszawie (dawny Instytut Barwników i Półproduktów). Przyrządzone przeze mnie związki charakteryzowały się wysoką aktywnością grzybobójczą. Zbadano również ich fitotoksyczność oraz wpływ na tryzy glebowe szczepy bakteryjne wiążące azot.

Wcześniejsze publikacje na temat zależności biologicznej charakterystyki rtęcioorganicznych fungicydów od ich chemicznej struktury były fragmentaryczne, moja praca stanowiła pierwsze wyczerpujące studium tego rodzaju. Równoległe z rozwojem mojej pracy badawczej publikowałem jej poszczególne części. Nie wszystkie prace, które zrobiłem w czasie czteroletnich studiów weszły w skład mojej dysertacji.

Na rok przed zakończeniem pracy doktorskiej wydarzyło się coś szczególnie przykrego, mianowicie pewnego dnia okazało się, że zostałem uczulony na związki rtęcioorganiczne. Substancje te często charakteryzują się wysokimi prężnościami par, niektóre sublimują. Moje uczulenie przejawiało się obrzękiem twarzy, szczególnie wokół oczu. Byłem tym zmartwiony, ponieważ miałam zaawansowaną pracę doktorską. Zdecydowałem się doprowadzić ją do końca. Dla ułatwienia mi osiągnięcia tego celu, na dachu budynku Katedry Technologii Organicznej II, gdzie pracowałem, została zainstalowana silna pompa, usuwająca zanieczyszczone powietrze spod wyciągu w moim laboratorium. Byłem uczulony nie tylko na opary związków rtęciowych, nie mogłem ich również dotykać. Pracowałem z maską na twarzy i z osłoniętymi rękami, a mimo to puchłem od czasu do czasu. Po każdym takim epizodzie musiałem przerywać pracę na kilka dni. Zdawałem sobie sprawę, że moja kariera w dziedzinie związków rtęciowych dobiega końca.

Powiedziałem Ecksteinowi, że staram się zakończyć prace na temat organicznych pochodnych rtęci i nie widzę możliwości kontynuowania ich. Przekonywał mnie, że nad rtęciowymi pochodnymi cyjanoguanidyny warto byłoby popracować dłużej. Zgadzałem się z nim, że warto byłoby rozszerzyć te badania, ale nie widziałem możliwości ich zrealizowania. Byłem przekonany, że zebrany materiał doświadczalny wystarczy do obrony dysertacji doktorskiej, mimo że obejmowała tylko część opublikowanych wyników.

Gwoli ścisłości pragnę zauważyć, że dodatkowym bodźcem do mojego pośpiechu był pielęgnowany w duszy od dawna plan wyjazdu za granicę do jakiegoś dobrego laboratorium. Pozdawałem egzaminy doktorskie z bardzo dobrymi wynikami - z chemii organicznej u prof. Polaczkowej i z chemii środków ochrony roślin u doc. Ecksteina. Stan napięcia między mną i docentem rozładowałem w ten sposób, że napisałem pracę doktorską, która została wysłana do recenzji.

Eckstein obraził się na mnie i przestał ze mną rozmawiać. Wtedy zwróciłem się z prośbą do prof. Urbańskiego, żeby wyeliminować z naszych stosunków Ecksteina i uprościć je, stwarzając bezpośrednią łączność między nami. Zgodził się. W rezultacie tego byłem zależny jedynie od Urbańskiego, który w zanadrzu miał dla mnie nowy temat badawczy. Pracę doktorską obroniłem 1 marca 1960 r. na posiedzeniu Rady Wydziału Chemicznego Politechniki Warszawskiej. W czteroletnim okresie przygotowywania tej pracy, w latach 1956-1960, opublikowałem jedną pracę przeglądową i dziewięć prac naukowo-badawczych, których byłem autorem bądź współautorem. Poza tym byłem także współtwórcą czterech patentów. W międzyczasie skryształizowały się moje plany odnośnie wyjazdu za granicę. Chciałem dostać się do laboratorium prof. Van der Kerka w Utrechcie, w Holandii. Laboratorium to wchodziło w skład Międzynarodowego Instytutu Związków Cynoorganicznych. Urbański napisał list w tej sprawie do Utrechtu i wkrótce otrzymałem zaproszenie do pracy w Holandii. Związkami cynoorganicznymi interesowałem się od dawna.

Przeszkoda w urzeczywistnieniu moich planów pojawiła się z zupełnie nieoczekiwanej strony. Otóż, sprawa wyjazdów zagranicznych w PAN była nadzorowana przez prof. Leopolda Infelda, dawnego współpracownika Alberta Einsteina. Ponieważ język angielski znałem słabo, chciałem posługiwać się niemieckim i czytałem dużo beletrystyki niemieckiej. Infeld był zdania, że posługiwanie się niemieckim w Holandii zrobi złe wrażenie po smutnych doświadczeniach ostatniej wojny. Doszedł natomiast do

wniosku, że dla mnie byłby wskazany wyjazd do Akademii Nauk Związku Radzieckiego, do laboratorium prof. Aleksandra Nikołajewicza Niesmiejanowa, kilkakrotnego prezesa tej instytucji, profesora Uniwersytetu Moskiewskiego i dyrektora Instytutu Związków Elementoorganicznych w Moskwie. Z Infeldem miałam kilkakrotnie dyskusje na ten temat, usiłowałam go przekonać, że wyjazd do Moskwy jest utrudniony ze względu na mój brak znajomości rosyjskiego. Infeld twierdził, że słaba znajomość rosyjskiego nikogo nie zaskoczy, a porozumiem się na pewno. Borykaniem się z Infeldem niewiele mogłam wskórać, czułam, że należy ustąpić, ponieważ w znacznej mierze miał rację. Kto chce wyjechać na Zachód, powinien znać j. angielski. Poza tym, Niesmiejanow był światowym autorytetem w dziedzinie związków metaloorganicznych.

W tamtych latach przełomowym odkryciem w tej dziedzinie chemii była synteza organicznych pochodnych żelaza. Przed 1951 rokiem istniało przekonanie, że synteza takich związków jest niemożliwa. Takim poglądom hołdował również Niesmiejanow. Kiedy w latach 1951-1952 nastąpił przełom w badaniach nad organicznymi związkami żelaza, niemal równocześnie otrzymanymi w Anglii i USA, Niesmiejanow stał się entuzjastą tych badań. Otrzymano wtedy słynny ferrocen, który stanowił trójwymiarowy układ aromatyczny zawierający atom żelaza umieszczony między dwoma pierścieniami cyklopentadienylowymi. Charakteryzował się niezwykle reaktywnością elektrofilowego podstawienia. Równocześnie okazał się związkiem stabilnym, można go było przechowywać latami bez widocznej zmiany. Chciałem poznać jego chemię. Widocznie Niesmiejanow żywił podobne uczucia, ponieważ w Instytucie Związków Elementoorganicznych zorganizował zakład, którego laboratoria poświęcone były badaniom nad chemią ferrocenu. Składały się one z około 20 pracowników naukowych. Ostatecznie, wzięwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, zdecydowałem się przyjąć ofertę wyjazdu do Moskwy.

Urbański napisał list do Niesmiejanowa, którego znał osobiście i otrzymał odpowiedź zapraszającą mnie do Moskwy z zastrzeżeniem, że mój przyjazd musi się odwlec, bowiem instytut ma być przeniesiony do nowego budynku, którego budowa była już w stadium końcowym. Pracę miałem zacząć w jego nowej siedzibie. W związku z tym zapisałem się na kurs j. rosyjskiego w PAN, a od Urbańskiego otrzymałem nowy temat pracy badawczej - była to praca na temat reakcji tlenków azotu ze związkami metaloorganicznymi. Intencją tej pracy było zbadanie możliwości syntezy nitroparafin via związki metaloorganiczne. Nitroparafiny należały do spe-

cialności, które Urbański intensywnie rozwijał. Równocześnie z tymi zawodowymi sprawami, razem z żoną zaczęliśmy się starać o zamianę naszego mieszkania na większe. Mieliśmy już wtedy dwoje dzieci i nasze przydziałowe mieszkanie okazało się za ciasne. Wkrótce udało się nam zamienić je na lokum przy ul. Lisowskiej na Bielanych. Nowe mieszkanie też było na pierwszym piętrze, ale w starym budownictwie. Miało trzy duże pokoje. Staraliśmy się je szybko urządzić.

Zbliżał się koniec 1961 roku, niecierpliwiło mnie, że mój wyjazd do Moskwy stale był w zawieszeniu. Napisałem list do Niesmiejanowa w tej sprawie, który odpisał mi, żebym się nie niepokoił i że wyjazd będzie wkrótce zrealizowany. Istotnie, na wiosnę 1962 roku przyszło zawiadomienie z moskiewskiego instytutu, że mogę już tam przyjechać.

Po przerwaniu współpracy z Ecksteinem zmieniło się miejsce mojej pracy, zostałem przeniesiony do innej części katedry. Moim towarzyszem laboratoryjnym został dr Władysław Biernacki, z którym często jadałem obiady w stołówce. Biernacki był urodzonym optymistą i był zazwyczaj w dobrym humorze.

W tamtym czasie zbliżyłem się do Urbańskiego, nasza współpraca dobrze się układała, mimo że nie dostarczyła nowej metody otrzymywania nitroparafin, wyjaśniła natomiast reakcje czterotlenku azotu z organicznymi związkami ołowiu. Prace na ich temat opublikowaliśmy w *Tetrahedronie* i *Rocznikach Chemii*.

Do Moskwy zdecydowałem się wyjechać w pierwszej połowie maja. Zwłoka w tym wyjeździe okazała się korzystna. Mieliśmy z żoną czas na zagospodarowanie nowego mieszkania, poza tym mogłem polepszyć znajomość rosyjskiego, do tego stopnia, że czytałem w tym języku powieści. Skończenie pracy nad tematem otrzymanym od Urbańskiego stanowiło trzeci pozytywny aspekt odroczenia wyjazdu. Ogólnie byłem zadowolony z takiego obrotu spraw.

9. Instytut Elementoorganicznych Związków Akademii Nauk Związku Radzieckiego w Moskwie

Gdy wyjeżdżałem z Warszawy do Moskwy był piękny, majowy dzień. Oboje z żoną byliśmy zdenerwowani. Jedyne rozłaki jakie dotychczas przeżywaliliśmy były związane z moimi wyjazdami do zakładów przemysłowych na terenie kraju.

Do Moskwy wyruszyłem pociągiem, ponieważ chciałem zobaczyć kraj, w którym miałem pracować. Tuż po przekroczeniu granicy nasz pociąg zatrzymał się, został otoczony przez oddział wojskowy i poddany rewizji. Ze sposobu jej przeprowadzenia wynikało, że żołnierze szukali kogoś a nie czegoś. W Moskwie umieszczony zostałem początkowo w dormitorium należącym do akademii, a kilka dni później przeniesiono mnie do hotelu Warszawa, przeznaczonego dla gości z zagranicy.

Następnego dnia po przyjeździe udałem się do instytutu, mieszczącego się w dużym, nowoczesnym budynku. Laboratorium miałem dzielić z kandydatem nauk chemicznych (doktorem) Dmitrijem (Dimą) Nikołajewiczem Krawcowem, pracującym z techniczką. Pokój był podzielony na dwie części, każda z nich posiadała urządzenia niezbędne dla pracy chemika.

Następnie zostałem przedstawiony Aleksandrowi Nikołajewiczowi Niesmiejanowowi, okazałemu mężczyźnie, który słuchał mojego łamanego języka rosyjskiego bez zniecierpliwienia. Zapytałem go, czy mógłbym odwiedzić kilka laboratoriów, których prace przyciągnęły ostatnio uwagę chemików. Odpowiedział mi, że właśnie miał to na uwadze.

Kilka dni później znalazłem się ponownie w gabinecie Aleksandra Nikołajewicza (taki był sposób zwracania się do niego). Nie pytając o wrażenia z odwiedzin laboratoriów, powiedział, że myślał o temacie mojej pracy badawczej i zaproponował mi zajęcie się kompleksami ferrocenu z jodem. Nad tym zagadnieniem pracowała jego córka Olga Aleksandrowna Nie-

smiejanowa, ale nie chciał, żebym się sugerował jej opublikowanymi już wynikami. Uważał, że zagadnienie jest dalekie od rozwiązania. Wkrótce po tej rozmowie wyjechał na urlop.

Wziąłem się energicznie do pracy. Istotnie, w literaturze nie było danych na temat reakcji ferrocenu z jodem poza tymi, które ogłosiła Olga Aleksandrowna. Jej publikacja zawierała stwierdzenie, że w trakcie tych reakcji tworzą się substancje łatwopalne. W ramach moich doświadczeń stwierdziłem, że ferrocen tworzy z jodem całą gamę kompleksów o różnym składzie i własnościach, ale żaden z nich nie był łatwopalny. Spośród nich jeden tylko wyróżniał się stabilnością, trójjodek ferrocenu, w którym trzy atomy jodu utworzyły anion stabilizowany elektronem pobranym z ferrocenu, przeobrażonego w rezultacie tej reakcji w kation ferrocenowy. To odkrycie poparłem danymi analitycznymi i widmowymi, a wyniki przedstawiłem Niesmiejanowowi, gdy wrócił z urlopu w drugiej połowie września. Był zaskoczony tym, co zobaczył, sądził że w ramach danego tematu wykonałem dotychczas jedynie wstępne próby. Przyrzekł mi przynieść dziennik laboratoryjny córki, ale słowa nie dotrzymał. Moje wyniki stały się podstawą pracy na temat stabilności soli ferrocenowych, którą ogłosiliśmy w Izwestii Akademii Nauk ZSRR.

Po tym incydencie stosunki między nami ochłodziły się. Niesmiejanow zaczął mnie ignorować i przesłał mi przez Dimę wiadomość, że daje mi do wyboru dwie możliwości, albo sam znajdę sobie nowy temat pracy badawczej, albo wrócę do Warszawy. Drugą możliwość od razu wykluczyłem. Uważałem, że fiasko tematu zaproponowanego przez Niesmiejanowa było przysłowiową wodą na mój młyn, ponieważ celem, który przed sobą postawiłem było zrobienie eksperymentalnej części pracy habilitacyjnej, którą mógłbym obronić w Polsce, gdzie przepisy wymagały, żeby kandydat na docenta był autorem rozwiniętego w niej problemu. Taką pracę mogłem wykonać jedynie za granicą, w Polsce miałem stałe zajęcie i musiałem być zaangażowany w badania prowadzone przez mojego szefa. Za granicą byłem na stypendium i miałem większą swobodę. Tak czułem i tak myślałem.

W związku z tym samodzielne znalezienie tematu było sprawą zasadniczą. Zacząłem robić liczne eksperymenty, używając ferrocenu i reagenty spełniające założone przeze mnie warunki, zwracając uwagę na symptomy świadczące o jakichś reakcjach międzycząsteczkowych. Pewnego październikowego wieczoru zmieszałem roztwory ferrocenu oraz trójnitrobenzenu i stwierdziłem ze zdumieniem, że ich mieszanina stała się ciemna, niemal czarna. Pozostałość roztworu po odparowaniu rozpuszczalnika miała bar-

wę substratów, ciemne zabarwienie znikło bez śladu. Do osadu wystarczyło dodać organicznego rozpuszczalnika, żeby powtórzyć zaobserwowane zjawisko. Wtedy nie słyszałem o kompleksach z przeniesieniem ładunku i początkowo nie wiedziałem co o tym efekcie sądzić. Mój czas zaplanowałem w ten sposób, że w czasie dnia wykonywałem różne eksperymenty w laboratorium, a wieczorami jeździłem do biblioteki im. Lenina (największa księżnica w Moskwie) i starałem się znaleźć odpowiedź na pytanie jakiego rodzaju była odkryta przeze mnie reakcja. W końcu, na podstawie literatury, określiłem obserwowane zjawisko jako proces tworzenia się kompleksów z przeniesieniem ładunku.

W rezultacie moich wysiłków miałem przed sobą określony i obiecujący problem badawczy. Niepewność mojej sytuacji minęła w samą porę, gdyż zbliżały się Święta Bożego Narodzenia 1962 r., na które wybierałem się do domu. Święta, z udziałem moich rodziców, spędziliśmy w Warszawie.

Tuż przed powrotem do Związku Radzieckiego, Halina Lewonowa, sekretarka Urbańskiego, poprosiła mnie o załatwienie pewnej, delikatnej sprawy w Moskwie. Chodziło mianowicie o odnalezienie Rosjan, krewnych jej przyjaciół mieszkających we Francji. Jej przyjaciele opuścili Rosję w czasie rewolucji i nie znali losów rodziny pozostałej w kraju. Wręczyła mi również list pisany cyrylicą, z prośbą o doręczenie adresatowi, jeśli uda mi się go odnaleźć. Podała mi również jego imię i nazwisko. Przyrzekłem, że zrobię, co będzie w mojej mocy. Po przyjeździe do Moskwy zająłem się tą sprawą. Na wstępie stwierdziłem ze zdumieniem, że Moskwa, wielomilionowe miasto, nie ma książek telefonicznych. Jeśli ktoś chciał znaleźć jakiś numer telefonu, względnie adres, musiał się udać do specjalnego biura, gdzie załatwiano takie sprawy. Wypełniłem więc formularz i zgłosiłem się dwa dni później po odpowiedź, która okazała się pozytywna. W najbliższą niedzielę wybrałem się do adresata. Przyjęto mnie w kuchni, podejrzliwie. Zaczęły się indagacje, w końcu zdenerwowany wypaliłem retoryczne pytanie, czy oni nie wiedzą, że mają krewnych we Francji?! Efekt był piorunujący, moi gospodarze po prostu oniemieli. Po dodatkowych pytaniach i oddaniu listu, zaprosili mnie do stołowego pokoju gęsto tłumacząc się z chłodnego przyjęcia i podejrzliwości. Wyjaśnili mi, że w Związku Radzieckim należało obowiązkowo zawiadomić władze o posiadaniu krewnych za granicą. Żegnając się prosili mnie, żebym ich wkrótce odwiedził. O umówionym czasie przyjechałem do nich. Tym razem przyjęli mnie wystawnym obiadem. Pan domu zawiózł przywieziony przeze mnie list swoim rodzicom, którzy mieszkali pod Moskwą. Zawarte w nim wiadomości zrobiły na nich ogromne wrażenie. Moi gospodarze raz jeszcze przeprosili

mnie za początkowe chłodne przyjęcie i wyjaśnili, że było to podyktowane przykrymi doświadczeniami ubiegłych lat. Spędziłem u nich pogodny wieczór. Byli ludźmi wykształconymi i dobrze sytuowanymi. On był profesorem w Instytucie Włókienniczym, a jego żona pracowała w pewnym instytucie badawczym i posiadała wyższy stopień naukowy.

Kiedy zrobiło się ciepło, wiosną 1963 roku, razem z dr Z. Kałuskim, zwiedzaliśmy parki i pałace podmoskiewskie. Kałuski, chemik z Uniwersytetu Poznańskiego, był moim kolegą. Zaprzyjaźniliśmy się w Moskwie, gdzie pracował nad dysertacją habilitacyjną w laboratorium krystalografii także w Instytucie Związków Elementoorganicznych. Poza tymi rozrywkami, szczególnie cenne były bezpłatne bilety teatralne, dostarczane co tydzień przez Radziecką Akademię Nauk. Dzięki temu miałem możliwość zapoznania się z rosyjskim, klasycznym repertuarem teatralnym. Obficie korzystałem z tych możliwości.

Wiosna 1963 r. przyszła do Moskwy wcześniej, była piękna, wypełniona słonecznymi dniami. Życie toczyło się szybko i jego żelazne reguły dawały znać o sobie. Moje stypendium z PAN wygasło i należało je odnowić, albo starać się o inne. W związku z tym przygotowałem do publikacji fragment mojej pracy i poprosiłem Niesmiejanowa o przedstawienie go do druku w Dokładach Akademii Nauk oraz o zastąpienie mojego, kończącego się polskiego stypendium, radzieckim. Chętnie się zgodził.

W połowie czerwca przyjechała do mnie w odwiedziny żona. Spędziliśmy piękne dwa tygodnie chodząc do opery i teatru. Odwiedzaliśmy różne restauracje, ponieważ poszczególne republiki związkowe miały w Moskwie swoje zakłady gastronomiczne, które serwowały ich specjalności kulinarne. Na letni urlop przyjechałem do Polski.

W sierpniu, całą rodziną, wybraliśmy się do Małego Cichego koło Poronina. Był to grzybowy rok. Nigdy, ani przedtem, ani potem nie pamiętam takiego zatrzęsienia grzybów. Rosły nie tylko w lasach, ale nawet na podwórzach domów. Oboje z żoną przepadałszy zarówno za zbieraniem ich, jak też jedzeniem.



*Krystyna w czasie wizyty
w Moskwie w 1963 r.*

W końcu września tego roku uczestniczyłem w sympozjum międzynarodowym na temat nitrozwiązków, zorganizowanym w Warszawie przez PAN, pod egidą Międzynarodowej Unii Chemii Czystej i Stosowanej. Organizatorem zjazdu był prof. Urbański. Napisałem przeglądowy artykuł na temat jego przebiegu i umieściłem w „Problemach”.

W połowie października wróciłem do Moskwy. Nie chciałem dłużej mieszkać w hotelu Warszawa. Na każdym piętrze, za biurkiem, siedziała kobieta z obsługi i nie tylko lustrowała przechodzących gości, ale także zwracała uwagę na to, co mieszkańcy wynosili na talerzach z baru. Poza tym w hotelu odbywały się częste rewizje, o czym świadczyły porzucane rzeczy i przewracane książki. Ta sytuacja stwarzała nastrój podejrzliwości i niepewności. Poprosiłem więc administrację Akademii Nauk o przydział mieszkania w hotelu przeznaczonym dla Rosjan. Widocznie urzędnicy domyślili się powodów mojej prośby, bo z uśmiechem zgodzili się i dostałem lokum o jakie prosiłem. Nie pamiętam nazwy hotelu, który mieścił się tuż przy Placu Czerwonym. Było to wygodne i niekrepujące mieszkanie. Dodatkową innowacją stanowiło wybranie mnie, w tym czasie, na starostę polskich stypendystów związanych z Radziecką Akademią Nauk. Chodziło o ułatwienie kontaktów Polaków z administracją akademii. Minęły już czasy, gdy posługiwałem się łamanym rosyjskim. Po rocznym pobycie w Moskwie, władałem rosyjskim płynnie i nawet spotykałem się z niedowierzaniem, gdy twierdziłem, że jestem tu od roku i że nigdy przedtem nie byłem w Rosji. W tym czasie zawarłem niezapomnianą znajomość. Poznałem dra Wiesława Wolframa, pracownika Instytutu Chemii Fizycznej PAN w Warszawie. W Moskwie pracował nad określeniem struktury pewnych związków organicznych za pomocą rentgenografii w Instytucie Fizyki Radzieckiej Akademii Nauk. Znał chemię fizyczną i statystykę, był koneserem teatru i opery, znał się również na malarstwie, poza tym stanowił przykład dobrego interlokutora. Nasza znajomość przeobraziła się w przyjaźń. Często spotykaliśmy się u mnie w hotelu na gruzińskiej herbacie, która była nadzwyczajna. Miała lekko cierpki smak. Sprzedawano ją w postaci dużych sześcianów. Parzyliśmy ją w szklankach, piliśmy jej skoncentrowane roztwory i prowadziliśmy niekończące się dyskusje.

Celem urozmaicenia naszych rozrywek zaprosiłem do naszego towarzystwa Nataszę, sympatyczną i ładną blondynkę, chemiczkę z naszego instytutu. Odtąd wolny czas spędzaliśmy we trójkę. Dostawałem również dla Nataszy darmowe bilety teatralne z akademii. Wolfram miał wprawdzie zastrzeżenia odnośnie przebywania w towarzystwie mojej znajomej, bo co

by było, gdyby jego żona dowiedziała się o tym, ale uspokoiłem go mówiąc, że wiadomości takie z pewnością do Warszawy nie dotrą.

Mój pobyt w Moskwie miał jeszcze jeden aspekt - rozwoju kulturalnego. Często spędzałem samotne wieczory, wobec tego kupiłem sobie magnetofon i zacząłem słuchać muzyki klasycznej. Nabyłem płyty z muzyką klasyczną począwszy od średniowiecza. Nie ograniczałem się jedynie do słuchania ich, również bardzo dużo czytałem i zrobiłem się, w ramach tych indywidualnych studiów muzykologicznych, w pewnym sensie, ekspertem w dziedzinie muzyki poważnej. Stałem się również właścicielem znacznej kolekcji płyt, które w Moskwie można było kupić po niskich cenach. Często wracając późnym wieczorem z instytutu, przynosiłem naręcza nowych nagrań, przesłuchanie ich było ważniejsze od posiłku. Stwierdziłem wtedy, że znajomość muzyki klasycznej w Związku Radzieckim była powszechna i okazało się, że wielu moich znajomych z instytutu było melomanami. Nagromadziłem tyle płyt, że gdy wracałem do Polski urzędnicy w urzędzie celnym na granicy byli w kłopotcie, jak potraktować moją kolekcję. Były sugestie by moje płyty przesłuchać i sprawdzić, czy jest tam wyłącznie muzyka poważna, ale w końcu, w wyniku moich perswazji, machnęli ręką i przepuścili wszystko przez granicę.

Znowu piękna wiosna zawitała do Moskwy. W maju miałem wracać do Polski i moje projekty zwiedzenia Turkiestanu spelżyły na niczym, podobnie jak ich wersja podróży do Leningradu. Nie tylko to, termin zakończenia mojego stypendium w Związku Radzieckim upływał w początku maja, a ja potrzebowałem dodatkowych 2 tygodni na zakończenie eksperymentalnych oznaczeń, koniecznych do obliczenia termodynamicznych funkcji moich kompleksów. W związku z tym musiałem zadzwonić do administracji PAN w Warszawie celem uzyskania potrzebnego mi przedłużenia pobytu w Moskwie.

Przed zakończeniem mojego pobytu w Akademii Nauk, na prośbę prof. Niesmiejanowa, zreferowałem wyniki mojej pracy w Instytucie Elemento-organicznych Związków na plenarnym zebraniu jego pracowników. Prelekcja spotkała się z żywym zainteresowaniem i wyrazami uznania dla moich osiągnięć.

Ze Związku Radzieckiego przywoziłem obfity materiał eksperymentalny. W Moskwie skupiłem się na prowadzeniu badań doświadczalnych i temu oddałem się bez reszty. Studia dotyczące literatury przedmiotu moich badań ograniczyłem głównie do spraw metodologicznych. Po powrocie należało je rozszerzyć i objąć nimi całokształt materiału związanego z interesującym mnie rodzajem związków chemicznych. Po przygotowaniu go, napisałem pracę habilitacyjną, której wyniki przedstawiłem w pięciu publikacjach.

Równocześnie z tymi pracami edytorskimi, chcąc nie chcąc, musiałam być zamieszany w codzienne wydarzenia. W PAN zachodziły istotne zmiany. Zakład Syntezy Organicznej miał być przekształcony w Instytut Chemii Organicznej. Mówiło się o tym od dawna, ale powoli pogłoski stawały się rzeczywistością. Chodziły słuchy, że Urbański nie będzie dyrektorem powstającego Instytutu. Grono jego bliskich współpracowników doszło do wniosku, że ktoś ze związanych z nim przedstawicieli młodszej generacji powinien pójść do prof. Witolda Nowackiego, sekretarza naukowego PAN i porozmawiać na temat obsady tej kluczowej pozycji, która mogła mieć istotny wpływ na kierunek rozwoju chemii organicznej w Polsce.

Wybór padł na mnie. Byłem wówczas w trakcie procesu habilitacyjnego i sądzono, że to dodatkowo predestynuje mnie do tej misji. Poszedłem. Tak się złożyło, że mój brat robił doktorat z matematyki stosowanej u Nowackiego i był z nim w przyjaznych stosunkach. To przełamało pierwsze lody między nami i rozmowa przyjęła formę pogawędki. W jej trakcie naszkicowałem historię polskiej chemii w okresie kilku ostatnich dziesięcioleci podkreślając, że nasi wybitni chemicy byli często niedoceniani w kraju i że teraz kiedy po zniszczeniach wojennych nasza nauka odbudowuje się i ważna placówka, Instytut Chemii Organicznej, jest w trakcie organizacji, należy oddać jej kierownictwo prof. Urbańskiemu, nie tylko dlatego, że zorganizował jej podstawy, ale również ze względu na fakt, że stanowi on postać o szerokich perspektywach badawczych i obszernych zainteresowaniach, poza tym jest chemikiem znanym na skalę międzynarodową. Nowacki słuchał moich wywodów z zainteresowaniem. Po wyjściu miałem uczucie zadowolenia z właściwie spełnionego obowiązku. Niestety, Urbańskiemu nie dane było utrzymać stanowiska dyrektora, pomimo starań oddanych mu ludzi i mimo bezsprzecznych zasług położonych przy organizacji instytutu. W roku 1968 otrzymał je prof. Marian Kocór z Wrocławia. Nie na długo. Kilka lat później został z niego odwołany.

Dobrą wiadomością była natomiast nominacja prof. Pawła Nantki-Namirskiego na pozycję wicedyrektora instytutu. Był rozsądny i łatwo było z nim dojść do porozumienia.

W marcu 1966 r. zmarł mój ojciec, boleśnie przeżyłem jego zgon. Spowodowało to u mnie dłuższą refleksję nad dotychczasowym życiem.

W kwietniu 1966 r. obroniłem moją pracę habilitacyjną na posiedzeniu Rady Wydziału Chemicznego Politechniki Warszawskiej. Wkrótce po tym zostałem mianowany samodzielnym pracownikiem naukowym, docen-

tem, w Instytucie Chemii Organicznej PAN, a w 1967 r. otrzymałem nagrodę naukową PAN za osiągnięcia w dziedzinie chemii.

Autentyczność niniejszego dokumentu stwierdza się

Warszawa, dnia 30 czerwca 1969 r.



Z. Niwiński
/Zbigniew Niwiński/
Naczelnik Oddziału

POLSKA AKADEMIA NAUK

NAGRODA NAUKOWA

WYDZIAŁU NAUK
MATEMATYCZNO-FIZYCZNYCH
CHEMICZNYCH
I GEOLOGOGEOGRAFICZNYCH

ZOSTAŁA PRYZNANA
OBYWATELOWI

Doc. dr. Bogumiłowi Helnarowskiemu

ZA OSIĄGNIĘCIA NAUKOWE
W ZAKRESIE

CHEMII

[Signature]
Przewodniczący Komisji Nagród

[Signature]
Sekretarz Wydziału

Warszawa, dnia 20 XI 1967 roku

Dyplom nagrody naukowej PAN, przyznanej mi w 1967 r.

10. Instytut Chemii Organicznej PAN w Warszawie

W budynku instytutu zarezerwowałem pomieszczenia dla Pracowni Syntezy Organicznej Pierwszej, którą miałem nadzorować oraz laboratoria dla mojej grupy badawczej.

Poza tym nawiązałem kontakt z Zakładami Chemicznymi w Żarowie koło Świdnicy, gdzie w swoim czasie pracowałem nad usprawnieniem produkcji merkaptobenzotiazolu. Zakłady miały problemy z utlenianiem się wytwarzanej przez nie gumy i chciały wprowadzić do produkcji substancje zapobiegające temu procesowi. Zgodziłem się zająć tym problemem. Pierwszym etapem było zebranie literatury. Dostałem na ten cel fundusze. Wchodzące tutaj w grę informacje stanowiły niemal wyłącznie domenę patentów.

Wraz z moimi dwoma doktorantami, mgr inż. Zbigniewem Grabowskim i mgr inż. Wiesławem Kutkiewiczem rozwijaliśmy nowe organiczne pochodne nie tylko żelaza, ale również kobaltu i niklu. Celem tych wysiłków było uzyskanie metaloorganicznych półprzewodników o praktycznym zastosowaniu.

Urbański wyrażał się wielokrotnie z uznaniem o moich moskiewskich sukcesach. W pewnym momencie zwrócił się do mnie z prośbą o wyjaśnienie natury kompleksów stanowiących przedmiot jego pracy habilitacyjnej. Dotyczyła ona związków tworzących się w mieszaninach alifatycznych azotanów i aromatycznych nitrozwiązków analizowanych termicznie. Opublikował je w latach 1933-1937. Przedstawiłem mu mój punkt widzenia na badania, które moim zdaniem powinny doprowadzić do wyjaśnienia natury związków powstających w mieszaninach, z którymi eksperymentował. Odpowiadał mu mój pogląd i przydzielił mi swoją doktorantkę, mgr Weronikę Południkiewicz, która miała pracować nad doktoratem pod moim kierunkiem. Okazała się inteligentną i akuratną chemiczką. W ciągu kilku lat zrobiła doskonałą pracę doktorską, ogłoszoną w pięciu publikacjach. Poza tymi badaniami interesowałem się również syntezą nowych pochodnych

ferrocenu, które mogłyby znaleźć zastosowanie jako środki o własnościach terapeutycznych. Chemiczną stronę problemu rozwiązałem dla pewnych jego analogów. Niestety, nie mogłem zaaranżować badań biologicznych dla tych ciekawych substancji.

W 1968 r. otrzymałem stypendium PAN, które umożliwiło mi wyjazd do Niemieckiej Akademii Nauk na przyspieszony kurs języka niemieckiego. Byłem z nim obeznany, uczyłem się go w gimnazjum, w czasie okupacji czytałem niemieckie gazety, a później wiele niemieckiej beletrystyki. Brakowało mi jednak konwersacji.

Wyjechałem do Berlina z grupą pracowników PAN. Zostaliśmy ulokowani w zalesionej, letniskowej miejscowości usianej ładnie utrzymanymi willami. Znajdował się tam ośrodek Niemieckiej Akademii Nauk przeznaczony do goszczenia przybyszów zza granicy, uczestniczących w rozmaitych kursach i zebraniach. Nasz kurs trwał miesiąc, zaczął się w początku maja. Wypełniony był konwersacjami, mówić należało wyłącznie po niemiecku.

W ramach kursu zwiedziliśmy Drezno, które bardzo ucierpiało w czasie wojny na skutek alianckich bombardowań. Na własną rękę zwiedziłem Berlin oraz piękne pałace w Poczdamie. Kurs się udał, wiele skorzystałem, nie przypuszczałem, że w niedalekiej przyszłości będę się posługiwał codziennie niemieckim językiem.

Poza stypendium przydzielono mi także pieniądze, które miały mi umożliwić podróż naukową do Pragi Czeskiej, celem odwiedzenia tamtejszego uniwersytetu oraz do Leningradu dla nawiązania kontaktów naukowych w dziedzinie badań nad kompleksami organicznymi (metaloorganicznymi) i ich praktycznymi zastosowaniami.

Okres pohabilitacyjny charakteryzował się gorączkową działalnością badawczą. Dyskusje, narady nad planowanymi doświadczeniami oraz przygotowania do publikacji zakończonych prac stanowiły codzienną rutynę. W latach 1966-1969 współpracowałem z różnymi ludźmi i byłem współautorem 10 prac naukowo-badawczych. Pamiętam, że czasem zastanawiałem się nad tym i porównywałem tę działalność ze zbieraniem plonów przed nadciągającą burzą. Napawało mnie to lękiem. Jaka burza?! - zadawałem sobie pytanie. A jednak... nadciągała.

Pewnego dnia, późno po południu, żona wróciła do domu z warszawskiego śródmieścia i oznajmiła, że w okolicy uniwersytetu mają miejsce demonstracje studentów przeciwko rządowi. Nie bardzo orientowała się, o co chodziło. Polityką nie interesowaliśmy się, podobnie jak sportem. Nie przyszło nam nawet na myśl, że to początki zbliżającej się nawałnicy.

Pewnego dnia 1968 r. zadzwoniłem do Józefa Hurwica, profesora fizyki na Politechnice Warszawskiej, z zapytaniem dotyczącym pewnych technicznych problemów związanych z pracą doktorską jednego z moich doktorantów. Hurwic zdziwił się, że ja nic nie wiedziałem o jego usunięciu z Politechniki, odebraniu mu katedry i ograniczeniu jego działalności jedynie do wydawania *Problemów*, których był redaktorem. Celem porozmawiania umówiliśmy się w kawiarni na MDM. Siedzieliśmy przy stoliku, gdy nagle Hurwic wstał i powiedział, że musimy opuścić lokal, ponieważ są w nim ludzie, którzy go śledzą. Byłem przygnębiony.

W lecie 1968 r. mój brat Rysiek zatelefonował do mnie i prosił, żebyśmy się spotkali. Miał mi coś ważnego do powiedzenia. Nasza rozmowa odbyła się w kawiarni Bliklego na Nowym Świecie. Rysiek oświadczył mi, że razem z żoną podjęli decyzję wyemigrowania z Polski, gdyż władze odmówiły mu wydania zezwolenia na wyjazd do uniwersytetu w Nigerii, gdzie pod egidą UNESCO miał prowadzić wykłady na temat wytrzymałości materiałów. Powiedział, że czekał z tą decyzją do uzyskania informacji odnośnie przyczyn tej odmowy. Ostatnio poinformowano go poufnie, że odmowa była związana z żydowskim pochodzeniem naszej matki. Był tak zdesperowany, że zastanawiał się nad drastycznymi formami protestu. Był to tragicomiczny pomysł. Tym niemniej coś złowieszczonego kryło się w tej sprawie. Obaj nie byliśmy zaangażowani politycznie. Co miały wspólnego wykłady z wytrzymałości materiałów z problemami rasowymi?! Jak daleko mogło się to wszystko posunąć? O to rozbijała się logika egzystencji. Zaczęły się dyskusje z żoną na temat tego, co powinniśmy zrobić. Zastanawialiśmy się, co będzie po wyjeździe Ryśka.

Warunkiem emigracji było złożenie podania o wizę do Izraela, via konsulatu holenderskiego, który wówczas załatwiał te sprawy w Polsce oraz zrzeczenie się polskiego obywatelstwa. W zamian władze wystawiały namiastkę dowodu osobistego, tzw. dokument podróży, uprawniający jego posiadacza do wyjazdu do każdego kraju świata.

Dyskutowaliśmy co będzie, gdy się rozniesie, że Rysiek wyjechał do Izraela. Rysiek nie miał zamiaru wyjeżdżać do Izraela, planował wyjechać do Wiednia i tam złożyć podanie o wizę amerykańską. Znał angielski, uczył się go przez większość życia, poza tym spędził rok w Stanach pracując nad zagadnieniami wytrzymałości materiałów w Columbia University w Nowym Jorku i miał tam znajomych.

Równocześnie sekretarka Mariana Kocóra, dyrektora Instytutu Chemii Organicznej PAN, zaczęła dopytywać się, dlaczego nie załatwiam for-

malności związanych z moim zaplanowanym wyjazdem do Pragi i Leningradu. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Zbywałem ją. Trudno było przewidzieć, jaki wpływ na nasze życie będzie miało posunięcie Ryśka.

Nadszedł czas, że sami zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie powinniśmy emigrować. Myśleliśmy o tym coraz częściej. Emigracja oznaczała zawalenie się całego ówczesnego świata, w którym egzystowaliśmy. Po opuszczeniu kraju musielibyśmy zacząć wszystko od początku w nieznanych warunkach i w obcym środowisku.

Szczególnym elementem tego przedsięwzięcia, któremu należało poświęcić uwagę, była nasza matka. Owdowiała w 1966 r., mieszkała w Busku-Zdroju, we własnym domu otoczonym ogrodem. Stale była czynna, przyjmowała pacjentów. Oczywiście o wszystkim ją informowaliśmy. W przypadku naszego wyjazdu chciała jechać z nami. I tu pojawił się problem. Wyjazd mamy z Ryśkiem, który znał angielski i miał pewne znajomości w USA, był trudny do zorganizowania, ponieważ wymagałoby to obecności oddanej córki, a nie synowej. My, gdybyśmy pojechali, byłaby to podróż w nieznaną. Sądziłem, że jeżeli już emigrować to do USA, ale amerykański styl życia był zupełnie różny od polskiego. Poza tym moja znajomość angielskiego ograniczała się jedynie do języka zawodowego, a moja żona nie znała go zupełnie. Pewne informacje dotyczące egzystencji w Stanach dostarczała, w tamtych czasach, książka pod tytułem „Dwa łyki Ameryki”. Nie pamiętam nazwiska autora.

Równocześnie prowadziłem intensywne prace chemiczne. Tym niemniej sprawa wyjazdu zaprzętała mój umysł coraz bardziej. W końcu 1968 r., zaczęliśmy zbliżać się do podjęcia ostatecznej decyzji odnośnie emigracji. Odwiedziłem ambasadę USA w Warszawie. Nie pamiętam, kto był moim rozmówcą, ale ktoś, na którego wypowiedziach mogłem rzekomo polegać.

Powiedział mi, że ludzie z takim wykształceniem i doświadczeniem jak my z żoną, będą chętnie widziani w Stanach i zachęcał mnie do wyjazdu. Żona początkowo nie chciała słyszeć o żadnym wyjeździe. Ale w miarę upływu czasu zaczęła się skłaniać ku temu rozwiązaniu. Wreszcie, na wiosnę 1969 r. zdecydowaliśmy się opuścić kraj.

Co do matki, to była finansowo niezależna, miała w Busku przyjaciół i zakładałem, że gdy się wszystko wyjaśni i unormuje, znajdziemy sposób, żeby być razem. Na pytanie, co będzie jeśli nie znajdzie się takiego sposobu, odpowiedzi nie szukałem, bo trudno było cokolwiek przewidzieć. Mogę teraz powiedzieć, że sposób się nie znalazł i matka dożyła swych dni w smutnej samotności. Pisała z końcem lat 70., na krótko przed śmiercią, że nie

może znieść osamotnienia. Wyobrażam sobie te zmierzchy, gdy mrok stopniowo spowijał moją matkę w jej pustym mieszkaniu, zatopioną w myślach o tych, których kochała ponad życie i o których losy zamartwiała się. Uważam, że każdy jest odpowiedzialny za swoje czyny i że ponoszę w znacznej mierze winę za godną pożalowania starość mojej matki.

Wczesną wiosną 1969 r. udaliśmy się z Ryskiem do ambasady holenderskiej w Warszawie celem złożenia podania o wize izraelskie. Rysiek oddawał swoje podanie, ja stałem obok niego i nie mogłem się zdobyć na oddanie mojego. Wtedy wyrwał mi je z ręki i wręczył zdziwionemu urzędnikowi. Byłem jak sparaliżowany. Nie mogłem się zdobyć na przekroczenie progu oddzielającego naszą rzeczywistość, w której urodziliśmy się, wyrosliśmy, którą żyliśmy, od nieznannej przyszłości.

Wróciłem do domu. Żona prasowała bieliznę. Zrelacjonowałem jej całe zajście. Życie biegło pozornie normalnym torem, w rzeczywistości

jednak, pod powłoką zwykłej codzienności, buzowało przygotowaniami do wyjazdu. Mniej czasu poświęcałem na chemię, załatwiałem tylko bieżące sprawy. W domu każdą wolną chwilę starałem się zużyć na naukę angielskiego. Żona również uczyła się tego języka. Robiłem prawo jazdy. Starałem się o jego międzynarodową wersję.

Poszedłem do Urbańskiego, żeby zakomunikować mu moją decyzję opuszczenia Polski. Był w bibliotece. Kiedy usłyszał, zbladł. Było mi przykro. Zgodził się ze mną, że jeśli emigrować to tylko od Stanów Zjednoczonych. Powiedział mi, że bym pamiętał, że w nowych warunkach, za granicą, będę musiał robić doświadczenia własnoręcznie.

Profesor Tadeusz Urbański był gwiazdą pierwszej wielkości



*Profesor Tadeusz Urbański, kierownik
Katedry Technologii Organicznej II na
Politechnice Warszawskiej
i członek prezydium PAN*

na firmamencie polskiej chemii. Człowiek o szerokich horyzontach umysłowych i niezwyklej dociekliwości badawczej. Za osiągnięcia naukowe nagrodzony wysokiej klasy odznaczeniami, Oficerskim Orderem Polonia Restituta i Krzyżem Komandorskim Odrodzenia Polski. Stanowił niecodzienną postać, tytanicznie pracowity i agresywny, przemierzał życie szybkim krokiem. Po ukończeniu 6 klas w gimnazjum, przerobił dwie pozostałe w ciągu jednego roku w domu i złożył maturę jako ekstern. Studiując chemię na uczelni w Nowoczerkasku, po zakończeniu ćwiczeń z preparatyki organicznej, zwrócił się z prośbą do profesora chemii organicznej o przydzielenie mu samodzielnego tematu badawczego.

Podjmował prace tam, gdzie były dostępne i takie, które mogły rozszerzyć zakres jego zainteresowań, a więc w Łaziskach Górnych zajmował się materiałami kruszącymi produkowanymi dla przemysłu górniczego, a w Pionkach pod Radomiem materiałami wybuchowymi, które stały się pasją jego życia. Mając 23 lata skończył studia na Politechnice Warszawskiej. Udoskonalał kwalifikacje zawodowe pracując w przemyśle francuskim.

Doktoryzował się w wieku 31 lat i w rok później został docentem. Po kilku latach, w roku 1936, został profesorem nadzwyczajnym. Liczył wtedy 35 lat. Zanim to nastąpiło już kierował Katedrą Technologii Organicznej II. Istotnymi cechami jego osobowości była odwaga i determinacja w walce z przeciwnościami.

Nie tylko nie wahał się przyjmować odpowiedzialności za różne inicjatywy, ale kwitł, żyjąc pod ich ciśnieniem. W czasie wspólnego powrotu jego samochodem ze zjazdu Polskiego Towarzystwa Chemicznego w Gdańsku w 1968 r., mijaliśmy pewną miejscowość wypoczynkową wypełnioną ładnymi willami. Na moją uwagę, że warto by tu zamieszkać, usłyszałem odpowiedź „zwariowałbym”.

W Ottawie poznałem pewną chemiczkę polskiego pochodzenia, profesora krystalografii w Research Council. Nasza rozmowa zeszła na Urbańskiego, którego dobrze znała. Twierdziła, że Urbański należy do kategorii ludzi, którzy mogą żyć i prosperować jedynie pod ciśnieniem zobowiązań. Tak więc po powrocie z Anglii, po wojnie, nie wahał się podejmować różnego rodzaju inicjatyw obejmujących technologię materiałów wybuchowych, których fundamentalna, trzytomowa monografia jego pióra ukazała się w USA. Należy wziąć pod uwagę, że w ramach wspomnianych specjalności rozwijane były różne gałęzie chemii jak nitroparafiny, kwasy hydroksamowe, oksazyny i inne.

Współpracował z tłumem chemików. Jego dorobek wyrażał się liczbą ok. 500 publikacji, 10 książkami i wieloma patentami. Był człowiekiem

wykształconym również w dziedzinie humanistyki, opanował podstawy łaciny i greki. Klasyczne utwory literatury poznał w oryginale. Miał zdolności lingwistyczne i władał kilkoma językami.

Interesował się wieloma dziedzinami życia, m.in. religiami. Pamiętam jego wykład, który zrobił mi na temat mormonów. Był człowiekiem rodzinnym, powszechnie uważano, że przy podejmowaniu decyzji liczył się ze zdaniem najbliższym. Z listów, jakie pisał do mnie, do Stanów, wiem, że ciężko przeżył śmierć żony oraz że opiekował się jej chorującą siostrą. W pierwszym okresie naszej emigracji, w czasie pobytu w Wiedniu, korzystaliśmy z jego wpływów. Nic więc dziwnego, że niechętnie wyrzekłem się bezpośrednich kontaktów z tym światłym człowiekiem.

Były jeszcze inne wydarzenia odzęgające nas od decyzji wyjazdu. Opowiem o jednym, który został mi w pamięci. Był piękny, majowy ranek 1969 r., leżałem jeszcze w łóżku, w naszym mieszkaniu przy ul. Lisowskiej i przyglądałem się fotografiom moich rodziców wiszącym vis-a-vis mnie. Nieoczekiwanie, w ciszę poranka, z pobliza, wdarł się dźwięczący radością śmiech dziewczyny, wydawało się, że wypełniał całą przestrzeń i natychmiast poczułem się w szponach konwulsyjnego strachu przez nagłe, niemal podświadome zestawienie beztroskiego śmiechu i naszego wyjazdu w nieznane. Mimo tych dystrakcyjnych epizodów, przygotowania do wyjazdu toczyły się wartko.

Sprzedaliśmy w Desie przedmioty o muzealnej wartości, które specjalna komisja ekspertów muzealnych, mających odwiedzić nasze mieszkanie, na pewno nie wypuściłaby za granicę. Komisja ta nieco później zrobiła przegląd rzeczy przewidzianych do wywozu i zatwierdziła ich spis bez robienia nam trudności. Zabieraliśmy ze sobą niemal wszystkie książki, sprawdzone przez specjalnego agenta, zapakowane w skrzynie i zaplombowane.

Piszę, że wyjeżdżaliśmy do Wiednia. Ktoś może zapytać, do kogo? Otóż zawiadomiliśmy jedną z organizacji zajmującej się sprawami przesiedleń o naszym przyjeździe i nadaliśmy bagaże na jej adres, mimo że nie wiedzieliśmy czy ta właśnie organizacja będzie się nami zajmować. Liczyliśmy na to, że skoro wiadomość nasza dotrze do władz tej organizacji, ktoś zjawi się po nas na dworcu i zajmie się nami, choćby na jakiś czas. Tak też się stało.

21 sierpnia 1969 r. wręczyliśmy klucze od mieszkania jego właścicielom, sąsiadom z parteru. Z żalem opuszczaliśmy je. Było pięknie urządzone, zaopatrzone przez nas w innowacje. Wczesnym popołudniem, żegnani przez grono serdecznych przyjaciół, odjechaliśmy pociągiem do Wiednia, na spotkanie nieznanych losów. Mieliśmy przy sobie 15 dolarów.

Pamiętniki

Część 2

*Za granicą
1969-2001*

1. Pobyt w Wiedniu i podróż emigracyjna do USA

Nasz szlak emigracyjny prowadził przez Kraków i Cieszyn, gdzie pociąg przekroczył granicę polsko-czechosłowacką. Byliśmy nieco zdenerwowani zbliżającą się odprawą celną. Wprawdzie zastosowaliśmy się do zarządzeń polskich władz odnośnie wywożonych przedmiotów, tym niemniej obawialiśmy się, że celnicy przyczepią się do czegoś, co ze sobą zabraliśmy. Byliśmy zdumieni, że odprawa celna nas ominęła. Wyrzucałem sobie, że nie zabraliśmy portretu starca, namalowanego w 1831 r., który okazji nabyłem i przed wizytą komisji ekspertów do spraw antyków sprzedałem w Desie. Ten obraz, niewielkich rozmiarów, był mi szczególnie drogi i z żalem się z nim rozstałem. Przejechaliśmy przez Czechosłowację, przekroczyliśmy jej granicę z Austrią i bez kłopotów dotarliśmy do Wiednia. Na wiedeńskim dworcu kolejowym spotkaliśmy się z przedstawicielami agencji zajmujących się sprawami uchodźców. Nie wiedzieliśmy, która z nich będzie naszym sponsorem. Tymczasem dostaliśmy lokum w hotelu położonym na peryferiach Wiednia.

Okazało się, że nie byliśmy rzadkimi okazami emigrantów opuszczających rodzinny kraj z dokumentami podróży. Równocześnie z nami emigrowała znaczna grupa ludzi, głównie rodzin, choć nie brakowało też pojedynczych osób. Niektórzy jechali do kogoś, kto już był zadomowiony za granicą, inni podróżowali „w siną dal” bez określonego miejsca docelowego, ale z reguły wszyscy wiedzieli, w jakich krajach chcieliby się osiedlić. Przeważająca liczba uchodźców zmierzała do Stanów Zjednoczonych, inni chcieli się dostać do Kanady, jeszcze inni do Izraela. Byli ludźmi młodymi, lub w średnim wieku, większość miała zawód, niejednokrotnie posiadali politechniczne wykształcenie. Ludzie bez zawodu byli zwykle młodzi i z zapałem odnosili się do projektu studiowania. W Wiedniu zawarliśmy znajomość z pewnym inżynierem budowlanym, który chciał zamieszkać w Ameryce i pracować w Nowym Jorku. Trzymaliśmy się razem przez dłuższy czas. Po przyjeździe do Nowego Jorku straciliśmy go z oczu.

Nasza rodzina składała się z 4 osób, naszego małżeństwa oraz dwójga dzieci, 11-letniej Moniki i 14-letniego Pawła. Naszym zamiarem było dostanie się do Stanów Zjednoczonych, gdzie mój cioteczny brat, Jerzy Szpinak, mieszkał od kilku lat. Wspomniałem go w 1 części moich pamiętników. Skończył studia lekarskie w Łódzkiej Akademii Medycznej. Był gastrologiem i ordynował w jednym z łódzkich szpitali. Ożenił się z lekarzka i był ojcem dwu synów. Kilka lat przed nami Jurek wraz z najbliższą rodziną wyjechał na zawodowy staż do Nowego Jorku. W przeciwieństwie do nas opuścił kraj w okresie poprzedzającym erę dokumentów podróży, więc zachował polskie obywatelstwo. Właśnie w czasie naszego pobytu w Wiedniu przyjechała tam również ciotka Lusja, matka Jurka, będąc w drodze do syna w Nowym Jorku. Ponieważ chorowała, umieszczono ją w pensjonacie, gdzie miała zapewnioną opiekę lekarską.

Wkrótce po przyjeździe do Wiednia nawiązałem kontakt z mgr Jerzym Minczewskim, kierownikiem zakładu analitycznego w żoliborskim Instytucie Chemii Ogólnej. Tuż przed opuszczeniem Warszawy dowiedziałem się, że właśnie pojechał z wizytą do naddunajskiej stolicy. To spotkanie było dość istotne, ponieważ uzyskane od niego informacje mogły być pomocne, zwłaszcza że byliśmy w przededniu złożenia podania o amerykańską wizę. Wcześniej jednak musieliśmy się uplasować w jednej z agencji opiekujących się uchodźcami i sponsorującej wyjazd do USA. W wyniku kilku spotkań dostaliśmy się pod egidę International Rescue Committee (IRC), którego centrala mieściła się w Nowym Jorku, a jedna z filii w Wiedniu. Równocześnie odwiedziliśmy z żoną ambasadę amerykańską, żeby ponownie zasięgnąć informacji co do sensowności naszego pomysłu osiedlenia się w USA. Podobnie jak w czasie mojej wizyty w ambasadzie USA w Warszawie, także w Wiedniu, zapewniono nas, że postępujemy właściwie i że nie powinniśmy mieć kłopotów ze znalezieniem zatrudnienia w Stanach. Zasięgnęliśmy również informacji jak długo będziemy musieli czekać na wizę. Odpowiedziano nam, że kilka miesięcy, ponieważ jest wielu ubiegających się, a miesięczny limit wpuszczanych do Ameryki osób został ograniczony.

W związku z tym należało się uzbroić w cierpliwość i przygotować do dłuższego pobytu w Austrii. Przede wszystkim rozpocząłem starania o przydział mieszkania, ponieważ życie w jednym hotelowym pokoju przez kilka miesięcy było trudne do zniesienia.

Drugim problemem była sprawa kształcenia dzieci. Chciałem, żeby zaczęły naukę w amerykańskiej szkole w Wiedniu. Nasz sponsor zgodził

się na załatwienie tej sprawy, ale tylko dla jednego dziecka. Ponieważ Monika była szczególnie utalentowana do przedmiotów humanistycznych i w Warszawie uczęszczała na kursy języka rosyjskiego i angielskiego, ją wybraliśmy do nauki w szkole amerykańskiej. Zdecydowaliśmy, że edukacja Pawła poczeka do naszego osiedlenia się w USA.

Kierownik tej szkoły, którego wkrótce poznałem, okazał się Polakiem. Zapewnił mnie, że pobyt naszej córki w tej ekskluzywnej szkole będzie dla niej z pożytkiem w niedalekiej przyszłości. Wkrótce odwiedził nas w naszej nowej siedzibie.

W pierwszej połowie września otrzymaliśmy przydział mieszkania stanowiącego własność Gertrudy von Sigmunt, zamożnej i kulturalnej wdowy. Znajdowało się ono w pobliżu centrum miasta, przy Gentzgasse, na pierwszym piętrze. Było w pełni urządzone, nawet z pewną elegancją. Uwagę zwracała znaczna liczba bibelotów z półszlachetnych kamieni. Odnosiło się wrażenie, że właściciel mieszkania lubował się w tego rodzaju przedmiotach, lub był ich kolekcjonerem. Gdyśmy się wprowadzili uderzył nas gryzący odór w tym ładnym apartamencie. Wkrótce odkryliśmy jego źródło... był to kurz. Pozornie w mieszkaniu panował porządek, ale w szafach, pod łózkami, dywanami były istne pokłady kurzu. Mieszkanie nie widziało odkurzacza przez wiele lat, może nawet przez ich dziesiątki. Posprzątałyśmy więc gruntownie nasze nowe lokum. Przed wiedeńskim okresem życia nie miałem pojęcia, że kurz ma zapach. Trzeba było dopiero znaleźć się w Wiedniu, żeby wzbogacić swoje doświadczenie w tym względzie.

Nasz sponsor wprawdzie zasilał nas pieniędzmi, ale odczuwaliśmy ich deficyt. Zastanawiałem się, jak temu zaradzić. Wkrótce po zamieszkaniu przy Gentzgasse nadarzyła się nieoczekiwana okazja. W sukurs przyszła znajomość, jaką zawarłem z profesorem V. Gutmannem, kierownikiem katedry chemii nieorganicznej na politechnice wiedeńskiej, Technische Hochschule, mieszczącej się na Getreidemart. Pewnego dnia, w trakcie dyskusji nad pewnym zagadnieniem chemicznym i aktualnymi wydarzeniami politycznymi zapytałem go, czy nie mógłbym prowadzić pracy badawczej w jego laboratorium na temat pewnego problemu chemicznego, który mu przedstawiłem. Poprosił mnie o napisanie podania i przyrzekł poprzeć tę sprawę. Wkrótce otrzymałem tak pożądane stypendium austriackie na czas naszego pobytu w Wiedniu i w laboratorium Gutmanna zacząłem pracę eksperymentalną nad pewnymi kompleksami pirydyny. To stypendium poprawiło naszą sytuację materialną i umożliwiło nam przetrwanie pobytu w Wiedniu we względnym dostatku. Doraźnego załatwienia

wymagała także sprawa naszej nauki języka angielskiego. Rozwiązaliśmy ją, zapisując się na kursy prowadzone przez szkołę Berlitz, która cieszyła się zasłużoną reputacją. Z uwagi na różne poziomy znajomości angielskiego, uczęszczaliśmy na lekcje o różnym stopniu zaawansowania. Byliśmy nieustannie zajęci. Apropozycji nasze gospodarstwo domowe, żona gotowała, a ja robiłem eksperymenty na politechnice. Załatwiłem sobie też możliwość przeszkolenia w uczelnianej pracowni szklarskiej celem nabycia umiejętności własnoręcznego przygotowania szklanej aparatury chemicznej, ponieważ słyszałem, że tego rodzaju manualne umiejętności ułatwią mi pracę w amerykańskich laboratoriach.

Nade wszystko jednak przykładaliśmy się do nauki angielskiego. Zdziwiająca rzecz, że wiedeńscy, ogólnie biorąc, znali język angielski. W przeważającej większości sklepów można się było porozumieć w tym języku.

W ramach przygotowań do opuszczenia Wiednia i udania się do USA skorzystałem z usług doskonałej kliniki stomatologicznej, gdzie uporządkowano mi „umeblowanie” jamy ustnej. Nie zdążyłem tego zrobić w Polsce. Finansowa strona tego przedsięwzięcia była ulgowa ze względu na mój status emigranta. Wykonanie takiej pracy w Stanach byłoby kosztowne, wręcz niemożliwe, w pierwszym okresie pobytu. Nie zaniedbaliśmy także możliwości zwiedzania Wiednia i jego okolicy. Gutmann, który w początkowej fazie naszej znajomości ugościł naszą rodzinę obiadem, od czasu do czasu zabierał nas swoim samochodem na wycieczki po okolicy. W trakcie tych krajoznawczych eskapad zatrzymywaliśmy się w przydrożnych oberżach, słynnych Heurigen, gdzie jadłospisy gorliwie zachęcały do zamawiania win. Wszystkie odwiedzane przez nas miejsca obfitowały w pamiątki związane z dynastią Habsburgów. Tę aurę austro-węgierskiej monarchii odczuwało się wszędzie, od Wiednia począwszy. Przypominam sobie, że nawet w naszym mieszkaniu przy Gutzgasse wisiała rycina przedstawiająca sztywnego oficera austriackiego w mundurze z okresu I wojny światowej usiłującego pocałować atrakcyjną dziewczynę. Ten sztywny stanowił romantyczny akcent nawiązujący do habsburskiej przeszłości.

W czasie pewnego weekendu Gutmann zabrał nas do cysterskiego opactwa Heiligenkreutz, pochodzącego z XII wieku. Nie wchodziliśmy do środka, bo właśnie kończyło się nabożeństwo, ale budowla wywarła na nas duże wrażenie.

W Lasku Wiedeńskim byliśmy kilkakrotnie, początkowo w towarzystwie Gutmanna, później sami. Będąc tam, wybraliśmy się na Kahlenberg,

wzniesienie, na którego szczycie stoi mały, barokowy kościół p. w. św. Józefa. Tu 12 września 1683 roku modlił się Jan III Sobieski przed pamiętną bitwą z armią Kara Mustafy. Z tego wzniesienia roztacza się bajeczny widok na Wiedeń, w którego miejskim pejzażu silnym akcentem są wieże katedry św. Stefana.

Całą rodziną zwiedziliśmy także Schönbrunn. Ten pałacowo-ogrodowy kompleks oglądaliśmy w słoneczny, jesienny dzień. Zapamiętałem pogodę tego dnia, bowiem silny wiatr utrudniał mi otwarcie szklanych, francuskich drzwi wiodących do pałacowej galerii. Zespół zrobił na nas dogłębne wrażenie. Poza tym ogrody... Zwiedzaliśmy je. Część położona w pobliżu zabudowań miała charakter sztuczny, natomiast fragmenty oddalone od pałacu stanowiły naturalnie zadrzewiony park. Schönbrunn nazwałem dla domowego użytku Theresianum, ponieważ był to ulubiony pałac Marii Teresy. W czasie czterdziestoletniego panowania (1740-1780) właśnie tutaj najczęściej przebywała razem z liczną rodziną (miała 16 dzieci) i dworem. Żółta fasada pałacu jest związana z jej predylekcją do tej barwy. Front pałacu, obserwowany z pewnej odległości celem wprowadzenia elementu przestrzeni, zostawia niezapomniane wrażenie.

Gdy tylko mogłem, zwiedzałem wiedeńskie muzea. Żona i dzieci nie miały ani ochoty, ani czasu, więc chodziłem sam. Szczególnie utkwiała mi w pamięci wystawa eksponatów pochodzących z zamachu na arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie, w 1914 roku. Przedmioty pokryte zaschniętymi kroplami krwi podkreślały ponurą rzeczywistość minionej tragedii. Niestety, nie pamiętam nazwy tego muzeum.

Spokój naszego pobytu w Wiedniu został zakłócony informacją nadesłaną ze Stanów. W lecie 1969 r. zapytałem prof. Hurwica, czy nie pomógłby mi w zaaranżowaniu pracy badawczej po drugiej stronie Atlantyku, w początkowym okresie naszego pobytu. Wspomniałem, że gdyby taka praca dotyczyła tworzyw sztucznych byłbym szczególnie zadowolony. Odpowiedział mi że ma kolegę ze studiów, profesora chemii polimerów w Syracuse Univ., w stanie Nowy Jork, i że chętnie napisze do niego w tej sprawie. Wkrótce otrzymałem list od rzeczzonego chemika, że nie będzie problemu z tego rodzaju pracą dla mnie. Chodziło mi jedynie o wstępne zaczepienie się. W listopadzie otrzymałem od niego wiadomość, że praca w jego laboratorium nie będzie możliwa. Powodów, jakie podał, nie pamiętam. Epizod ten stanowił ostrzeżenie, że droga do zadomowienia się w USA może obfitować w wyboje i że musimy być przygotowani na różne ewentualności.

2. Pierwsze kroki w USA, Cornell University w Iłace

W czwartym miesiącu naszego pobytu w Wiedniu, czyli w grudniu 1969 roku otrzymaliśmy zawiadomienie z International Rescue Committee, że dostaliśmy amerykańskie wize i że nasz odlot do Nowego Jorku jest zaplanowany na koniec stycznia 1970 roku.

Z żalem opuszczaliśmy austriacką stolicę, przywykliśmy do Wiednia. Nasz pobyt tam stanowił jakby przedłużone wakacje. Kłopotami nie przejmowaliśmy się i nie przywiązywaliśmy do nich wagi, ponieważ wiedzieliśmy, że szybko miną.

27 stycznia odlecieliśmy do Nowego Jorku. Na międzynarodowym lotnisku J.F. Kennedy'ego spotkaliśmy się z przedstawicielami naszego sponsora, International Rescue Committee (IRC). Odwieziono nas do jego głównej siedziby, mieszczącej się na Manhattanie. Naczelnym dyrektorem tej instytucji był Charles Sternberg, w którego obecności dobrze się czułem i od początku nabrałem do niego zaufania. Naprędce nakreśliliśmy plan szukania pracy, w którym istotną rolę miał odgrywać IRC. Naszym zadaniem, tj. moim i żony, miało być kontaktowanie agencji pośredniczących w poszukiwaniu pracy. Umieszczeni zostaliśmy w hotelu Latham, na Manhattanie, w pobliżu IRC. Na samym początku pobytu skontaktowałem się z Jurkiem Szpinakiem. Mieszkał w dzielnicy Grand Concourse, w nowojorskim Bronxie. Jego matka opuściła Wiedeń wcześniej od nas i już mieszkała z synem i jego rodziną. Odwiedziliśmy ich. Jurek udzielił mi informacji na temat poruszania się po Nowym Jorku.

Początkowo byliśmy przytłoczeni nowojorskim ogromem, ruchem, tłumami przechodniów, a nade wszystko drapaczami chmur, tworzącymi kanyon ulic. Szybko jednak przywykliśmy do tych niezwykłości i skoncentrowaliśmy się na szukaniu pracy.

Rano wychodziłem z hotelu, kupowałem The New York Times, wracałem do domu i wypisywałem adresy oraz numery telefonów z najnowszych ogłoszeń oferujących prace oraz biur ułatwiających ich znalezienie.

Ustalałem terminy spotkań i chodziłem na nie. Niektóre biura odwiedzałem nawet bez zapowiadania się. Poruszałem się metrem, autobusami, na piechotę, nawet taksówkami. Zazwyczaj chodziłem sam, a gdy była nadzieja, że oboje z żoną dostaniemy gdzieś pracę, szliśmy razem. Krystyna była doskonałym chemikiem analitykiem. IRC również starało się pomóc. Telefonowano np. w mojej sprawie do Texasu, gdy wydawało się, że w jednym z tamtejszych uniwersytetów mogę znaleźć zatrudnienie. Styczeń spędziliśmy na peregrynacjach po Nowym Jorku w poszukiwaniu odpowiedniej pracy. Według moich obserwacji, biura, z którymi nawiązałem kontakt, najczęściej oferowały propozycje zatrudnienia związane z małymi i średnimi firmami produkcyjnymi, nie miały natomiast powiązań z dużymi fabrykami, uczelniami i instytutami badawczymi.

Brak pracy, a laboratoryjnej w szczególności, dawał mi się we znaki. Moje zdrowie i samopoczucie zaczęły szwankować. W tym czasie, pewnej nocy miałem sen. Nie były to pospolite rojenia nocne, ale seria przykrości i upokorzeń jakie miały mnie spotkać. Czarne psy szarpały mi ręce, ale krwi nie było. Cierpiałem, chciałem je odpędzić, ale nie mogłem. W sekwencji różnych obrazów był też taki, że wchodziłem do windy, w której już ktoś był i że ta osoba starała się mnie wypchnąć z niej. Były jeszcze inne obrazy o podobnej treści. Kiedy obudziłem się rano i analizowałem senne produkty mojego mózgu doszedłem do wniosku, że jeżeli mają one odzwierciedlać moją przyszłość, to stanowią jedynie jej fragment, nie było bowiem epilogu. Następną noc przyniosła epilog... Śniło mi się, że byłem na rynku w Stopnicy razem z Pawłem, moim synem. Rynek wypełniała mgła, taka sama jak ta, z której opadających tumanów wylaniały się topole należące do naszego janowskiego sąsiada Warzechy. Po prostu mleczna przestrzeń! Błąkaliśmy się z Pawłem po zamglonym rynku i nie mogliśmy z niego wyjść. Nie mieliśmy tej przysłowiowej nici z mitycznego kłębka Ariadny, która umożliwiłaby nam wyjście. Wkrótce okazało się, że nie nić Ariadny była nam potrzebna, ale czas. Ponieważ mgła nagle opadła, a my znaleźliśmy się na mrocznym placu targowym. Był wieczór, w oknach jaśniały światła, błyskały ogniki papierosów palaczy stojących na chodniku. Nie mieliśmy trudności z opuszczeniem placu. Wyszliśmy uliczką skierowaną na północ, którą dobrze znałem. Byliśmy wolni po całodziennym włóczeniu się po wypełnionym mgłą rynku.

Te sny stanowiły zapowiedź trudności, przykrości, niecodziennych koleji życiowych, które miały się dla nas skończyć korzystnie, ale późno, po wieloletnim szarpaniu się z losem. Czy ten epizod oznacza, że człowiek znajdujący się pod silną presją okoliczności życiowych może przeniknąć zasło-

nę oddzielającą go od przyszłości i zobaczyć, co go czeka? Sądzę, że tak, ale to niewątpliwie zależy od indywidualnych właściwości przeżywającego oraz stopnia jego napięcia nerwowego.

Doszedłem do wniosku, że należy zrobić coś drastycznego, żeby zmienić naszą sytuację. Należy, sądziłem, zahaczyć się chwilowo w jakiejś instytucji i dopiero wtedy szukać pracy, a nie robić tego „z ulicy”. Mój brat przejściowo pracował w Cornell University w Itace, w stanie Nowy Jork. Prowadził wykłady i ćwiczenia ze studentami na wydziale mechanicznym zastępując jakiegoś profesora, który na rok wyjechał w sprawach naukowych. Zadzwońiłem do niego prosząc, żeby się dowiedział, czy nie można by na pewien czas dostać tam pracy naukowej związanej z chemią.

Kilka dni później otrzymałem od niego wiadomość, że profesor Richard O' Brian, dyrektor wydziału nauk biologicznych w Cornell'u, miał właśnie nie zajęty grant w dziedzinie środków ochrony roślin. Grant oznaczał posiadanie przydziału pieniędzy z puli pewnej instytucji spoza uniwersytetu na prowadzenie badań naukowych w interesującej ją dziedzinie. Środki ochrony roślin stanowiły jedną ze specjalizacji, jakie nabyłem w Polsce. W jej ramach zrobiłem doktorat i byłem także związany z przemysłem produkującym pestycydy.

Chwyciłem się tej możliwości i przez Ryśka umówiłem się na spotkanie z O'Brianem. W drugiej dekadzie lutego pojechałem do Itaki. Zatrzymałem się u Ryśków i spotkałem z moim przyszłym szefem. Jego laboratorium mieściło się w budynku sekcji Neurobiology&Behavior, noszącym nazwę Langmuir Laboratory, w pobliżu lotniska, poza Itaką. Było odległe od głównej części uniwersytetu stanowiącego jakby oddzielne miasteczko liczące ok. 20 000 studentów.

O'Brian interesował się mechanizmem pracy systemu nerwowego owadów i rozwinięciem nowych środków owadobójczych. Omawialiśmy problemy badawcze w jego laboratorium. Nasza rozmowa zbliżała się do końca, gdy zapytał mnie, czy znam w Polsce prof. Jana Michalskiego, zajmującego się związkami fosforoorganicznymi, ponieważ niektóre z nich charakteryzowały się własnościami owadobójczymi. Po mojej twierdzącej odpowiedzi wyjął z szuflady grupowe zdjęcie i poprosił o identyfikację Michalskiego. Ten test ostatecznie przełamał dzielącą nas barierę nieufności. Uzgodniiliśmy, że w końcu lutego sprowadzę do Itaki rodzinę, a z początkiem marca zacznę pracę w jego laboratorium.

Do Cornell University zostałem przyjęty jako pracownik naukowo-badawczy. Moja praca miała dotyczyć środków owadobójczych, których

mechanizm działania polegał na hamowaniu aktywności acetylocholinoesterazy (AChE), podstawowego enzymu umożliwiającego poprawne funkcjonowanie impulsów nerwowych u zwierząt, zarówno kręgowców, jak też owadów. Aktywnym czynnikiem w tym cholinergicznym układzie jest acetylocholina, która po zrealizowaniu transmisji nerwowej gromadzi się na końcach nerwów i jej działanie musi być natychmiast zneutralizowane przez AChE, w przeciwnym wypadku powoduje długotrwałe uaktywnienie włókien nerwowych, wyrażające się chaotycznymi drgawkami, prowadzące w końcu do śmierci zwierzęcia. Dwie klasy związków chemicznych charakteryzują się tego rodzaju owadobójczym mechanizmem - aromatyczne karbaminiany i związki fosforoorganiczne. Domeną moich badań miała być chemia i mechanizm biologicznej aktywności pierwszej grupy.

Natychmiast zacząłem się rozglądać za jakimś lokum. W czasie tych poszukiwań poznałem Polkę, Henrykę Kurzepę, doktora mikrobiologii, osobę w średnim wieku, samotną, rodem z Warszawy. Pracowała na granicy w departamencie mikrobiologii w Cornell Univ. Istotnym punktem tej znajomości było to, że mieszkała blisko uniwersytetu, w dwurodzinnym domu, zajmując pierwsze piętro. Parter był wolny. Były to mieszkania dwupokojowe z kuchniami i łazienkami. Właścicielem posesji był Aleksander Grendys, polsko-ukraińskiego pochodzenia, z zawodu stolarz. Doszedłem z nim szybko do porozumienia i wynająłem mieszkanie na parterze. W ten sposób zostaliśmy sąsiadami Kurzepy.

W trakcie wizyty w Itace poznałem Leopolda Wierzbickiego, który zrobił właśnie doktorat w dziedzinie nauki o produktach spożywczych u Kosikowskiego, profesora tego wydziału w Cornell. Gdy go poznałem pracował na podoktoranckim granicy w laboratorium swojego promotora. Mieszkał wraz z rodziną złożoną z żony i córeczki w tzw. Hupsbruck Apartments, które były kolonią domów z mieszkaniami dla studentów posiadających rodziny.

W sumie, widoki co do przyszłych warunków naszej egzystencji w Itace usposobiły mnie optymistycznie. Wróciłem do Nowego Jorku, zlikwidowałem tam nasze sprawy i przenieśliśmy się do Itaki. Należące do nas rzeczy, wysłane z Polski, były jeszcze w Wiedniu i zostały skierowane do Itaki.

Należało jak najszybciej zorganizować sobie życie. 5 marca 1970 r. zacząłem pracę w laboratorium O'Briena. Najpilniejszą sprawą było nabycie samochodu, bez którego egzystencja na amerykańskiej prowincji jest niemożliwa. Trudno dostać się do pracy, nie można zrobić koniecznych zakupów. Miejska komunikacja praktycznie nie istnieje. Chodniki są tylko w większych osiedlach.

Pierwszy pojazd, jaki kupiliśmy, to używany czterodrzwiowy Buick wyposażony w sprzęgło i biegi. Jego manualna obsługa sprawiała mi początkowo pewne trudności. Moje międzynarodowe prawo jazdy, zrobione w Warszawie, zostało uaktualnione. Dostałem jego amerykański ekwiwalent ważny na rok, następnie należało go odnowić przez zdanie odpowiedniego egzaminu. Drugą sprawą, którą trzeba było załatwić w trybie doraźnym, była szkoła dla dzieci. Monika, która mówiła po angielsku znalazła się w jednej ze szkół Itaki, Paweł w innej, bez jakichkolwiek kursów językowych. Ja zapisałem się na kurs angielskiego w Cornell Univ.

Każdego dnia dzieci wychodziły do szkoły, ja do laboratorium, a w domu zostawała Krystyna, która nie mogła znieść zawodowej bezczynności. Po dwu miesiącach mojej pracy w Lagmuir Laboratory O'Brien zapytał mnie, czy moja żona nie przyjąłaby obowiązków chemika-analityka w departamencie entomologii, w laboratorium prof. Chrisa Wilkinsona, który prowadził badania toksykologiczne. Miał kilku doktorantów i dysponował naukowymi grantami. Zaaranżowałem ich spotkanie, w wyniku którego od 15 czerwca 1970 roku Krystyna zaczęła pracę w tzw. insektarium. Tak nazywał się budynek, w którym mieściło się laboratorium Wilkinsona, ponieważ poza badaniami chemicznymi znajdowały się tam również pomieszczenia przeznaczone do hodowli insektów i ich larw, przeznaczonych do badań toksykologicznych. Z naszego mieszkania było tak blisko do insektarium, że żona mogła chodzić do pracy na piechotę.

W ciągu czterech miesięcy zorganizowaliśmy sobie życie w Itace. Sądzę, że zrobiliśmy to dość szybko. Było to prowizoryczne usadowienie się, tym niemniej, myślę, że od tego należało zacząć stawianie pierwszych kroków w Stanach.

Następnie trzeba było jak najszybciej pogłębić naszą znajomość angielskiego. Pamiętam, że kiedy pierwszy raz przyjechałem do Itaki i byłem gościem Ryśków, wieczorem usiadłem przed telewizorem, widziałem i słyszałem ludzi mówiących po angielsku, ale nic nie rozumiałem. Nie miałem natomiast trudności w komunikowaniu się tym językiem na co dzień. Celem szybszego opanowania go starałem się wprowadzić zwyczaj porozumiewania się nim w domu, ale to napotkało opór żony i córki. Pierwsza twierdziła, że należy to odłożyć do czasu lepszego zaznajomienia się z angielskim, druga wręcz oponowała mówiąc, że utrudniłoby jej to zachowanie znajomości polskiego, oświadczyła, że w przyszłości postara się odwiedzić Polskę i chciałaby posługiwać się rodzimym językiem. Po zastanowieniu się doszedłem do wniosku, że jeżeli przez 20 lat naszego małżeń-

stwa porozumiewaliśmy się po polsku w najrozmaitszych sprawach, to zastąpienie go angielskim stanowiłoby sztuczność, której i tak doświadczałyśmy nieustannie. Język angielski w jego amerykańskiej wersji jest trudny.

Mówiąc o angielskim, mam na myśli język amerykański, który rozwinął się z języka brytyjskich kolonistów pod lingwistycznym wpływem imigrantów z różnych krajów świata. Jest to język żywotny, który wg najnowszego wydania popularnego słownika Merriam-Webster wzbogacił się ostatnio o dziesięć tysięcy słów. Innym dowodem jego prężności jest stworzenie gwary, tzw. slangu, który był używany początkowo na peryferiach języka literackiego, a obecnie coraz częściej penetruje go i wzbogaca. Język amerykański odznacza się ogromnym bogactwem słów, zawiera ich miliony oraz mnóstwo idiomów. Wyrazy zmieniają znaczenie zależnie od kontekstu, tu kryje się ich ogromna różnorodność. Tego rodzaju właściwością charakteryzują się chyba wszystkie języki, ale tu różnice znaczeń mogą być bardzo istotne i ich zakres zmienności jest bardzo obszerny. Poza tym istnieje przepaść między językiem mówionym i pisany. Rzekome reguły łączące obie formy obfitują w wyjątki. A propos tej właściwości języka amerykańskiego, warto przypomnieć historię Kazimierza Pułaskiego, członka konfederacji barskiej i bohatera narodowego Stanów Zjednoczonych i Polski. Przed wyjazdem do Stanów studiował j. angielski, właściwie jego formę pisaną, wyjechał z przeświadczeniem, że poznał ten język. Po przyjeździe rozczarował się mając trudności w porozumiewaniu się z mieszkańcami Stanów.

Dla ułatwienia nauki tego trudnego języka starałem się naśladować Heinricha Schliemanna, genialnego archeologa - samouka, odkrywcy starożytnej Troi, który opanował kilka języków ucząc się słówek jedynie w kontekście zdań. Ściany mojego laboratorium w zakładzie O'Briena oblepiłem kartkami papieru ze zdaniem zawierającym słowa, które chciałem sobie przyswoić. Wzbogaciłem tę metodę stosowaniem łacińskiej maksymy, często powtarzanej przez mojego mistrza Feliksa Stelmaszyńskiego „*repetitio est mater studiorum*”. W praktyce polegało to na codziennym głośnym czytaniu angielskich tekstów, zanotowanych na przyczepionych do ścian karteluszka. Po około 10 dniach zmieniałem kartki. Równocześnie dużo czytałem angielskiej literatury, zarówno naukowej jak i beletrystyki, nie zapomniałem również o gazetach. Wycinałem z nich całe artykuły i wklejałem je do zeszytów dużego formatu. Podkreślałem nieznanne słowa i na marginesach wypisywałem ich polskie znaczenia. Techniczki z laboratorium, na moją prośbę, czytały głośno treść wyselekcjonowanych artykułów. Recy-

tacje te nagrywałem na małym rekorderze i następnie przesłuchiwałem je w domu. Wreszcie sam czytałem je głośno naśladując wymowę lektorek. Szczególnie wiele zawdzięczam jednej z nich, Nancy, sympatycznej dziewczynie, która miała dobrą dykcję i przyjemny, dźwięczny głos. Tak postępując, we względnie krótkim czasie mówiłem płynnie po angielsku.

Staraliśmy się również kontynuować nasze życie religijne. Wkrótce po osiedleniu się zostaliśmy członkami katolickiej parafii, związanej z kościołem pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia, znajdującym się w śródmieściu Itaki i każdej niedzieli uczęszczaliśmy całą rodziną na przedpołudniowe nabożeństwa.

W Itace zamieszkaliśmy wiosną. Charakterystyczną cechą tutejszego klimatu był stosunkowo długi okres panowania zimy. Nierzadko mieszkanie trzeba było ogrzewać jeszcze w maju. Gdy tylko zrobiło się ciepło następowała prawdziwa eksplozja wiosny, która bardzo szybko przechodziła w lato. Tereny wokół budynków pokrywały się zielenią. Około połowy maja odbywały się pierwsze koszenia trawy. Wczesnym latem koszone ją co tydzień, później rzadziej, w odstępach dwutygodniowych. Dla nas była to nowość, ponieważ w Polsce nikt nie dbał o trawniki. Nawet w naszym janowskim majątku, gdzie trawniki stanowiły ważne element ogrodu kwiatowego, nie przypominam sobie ich koszenia. Odległe łąki koszone dwa razy do roku więc nie było okazji do zwrócenia uwagi na ich aromaty, a tutaj miałem pod nosem ten zapach. Amerykańska prowincja to domy, drogi i ... trawniki. Mam w Polsce znajomą, która spędziła pewien czas w Stanach pracując w okolicach Chicago. Opowiadała mi, że zapamiętany przez nią obraz amerykańskich osiedli to zielone przestrzenie.

Z problemami trawników zetknęliśmy się bezpośrednio wtedy, gdy po latach pobytu w USA zostaliśmy właścicielami własnego domu z ogrodem. Wtedy też staliśmy się wielbicielami zielonych powierzchni.

Innym aspektem nowej rzeczywistości była kwestia spędzania wolnych od pracy dni, tzw. holidays. W ich czasie wiele amerykańskich rodzin udaje się do okolicznych parków zaopatrzonych w rozstawiane na trawnikach metalowe paleniska, na których przygotowuje się posiłki. To również była dla nas nowość. W Itace znajduje się jeden park miejski i trzy stanowe. Zazwyczaj korzystaliśmy z Taughannock Falls State Park, odległego od miasta o 11 mil (16 km). Wybraliśmy go, ponieważ jest położony nad malowniczym jeziorem Cayuga (te osobliwe nazwy - Taughannock, Cayuga są indiańskiego pochodzenia). Należy ono do grupy tzw. Fingerlakes, zespołu równoległych jezior, które kształtem przypominają grupę palców

(finger - palec, lake - jezioro). Okolice Fingerlakes są znane z atrakcyjnej, naturalnej scenerii i zawierają wypoczynkowo-rozrywkowe ośrodki. Niekiedy korzystaliśmy również z gościny Robert Treman State Park, położonego znacznie bliżej Itaki. Niestety, w jego sąsiedztwie nie było zbiornika wodnego.

Wbiły mi się w pamięć te parkowe pikniki organizowane w czasie weekendów przez szereg lat. Udawaliśmy się na nie, jeśli tylko dopisywała pogodna. Zazwyczaj przyjeżdżaliśmy wcześniej, by móc zająć dogodne miejsce na brzegu jeziora. Samochód zostawialiśmy na pobliskim parkingu i po opłaceniu wstępu całą rodziną maszerowaliśmy w pobliże jeziora. Dźwigaliśmy koce i wiktuały oraz materiały do czytania. W parku czas mijał ospale. Na tle przytłumionych odgłosów bawiących się dzieci, wiele osób prowadziło dyskusje siedząc przy zastawionych stołach, inni czytali, niektórzy opalali się, a jeszcze inni spacerowali. Przed oczami, po wodach jeziora przesuwały się żaglówki jak dostojne łabędzie oraz szybkie motorówki podobne do zwinnych kaczek.

Kiedy dzień miał się ku końcowi, wycieczkowicze zaczęli powoli zbierać się do domów, niebieskawy dym ognisk spowijał drzewa, a wokół rozchodził się charakterystyczny aromat pieczonego mięsa. Dzieci chciały jeszcze wykorzystać ostatnie chwile na świeżym powietrzu i ze śmiechem kontynuowały zabawy, ale nawoływania rodziców kładły kres ich rozbrykaniu. Park pustoszał. Kończył się jeszcze jeden świąteczny dzień. Naprawdę, nikt kto nie brał udziału w życiu amerykańskiej prowincji nie może sobie wyobrazić tej nasyconej życzliwością piknikowej atmosfery, w czasie której obcy ludzie starają się wyświadczać sobie uprzejmości przy nadarzających się okazjach.

Byliśmy ogromnie ciekawi kraju, w którym osiedliliśmy się i w czasie weekendów zaczęliśmy zwiedzać okolice Itaki. Pierwszym naszym „wypadem” krajoznawczym było zwiedzenie Elmiry, miejscowości odległej od Itaki o 17 mil, znanej dzięki Markowi Twainowi, który znalazł tam żonę i spędzał letnie wakacje pisząc niektóre utwory literackie. Wraz z rodziną został pochowany w Elmira. Mimo, że minęły dziesiątki lat od czasu, gdy jako chłopiec, na kieleckiej prowincji czytałem „Przygody Tomka Sawyera”, powieść Twaina, zachowałem w pamięci jej treść.

Niedaleko od Elmiry znajduje się miasteczko Corning, a w nim słynny Corning Glass Center, obrazujący historię wyrobów szklarskich i terażniejsze sposoby ich produkcji. Przeszłość sztuki szklarskiej jest prezentowana w Corning Museum of Glass, gdzie wyeksponowano około 20 000

zabytków szklarskich, ułożonych w porządku chronologicznym, począwszy od II w. p.n.e. do czasów obecnych. Następnie, w sekcji nauki i przemysłu oglądaliśmy na filmach nowoczesne procesy produkcji szkła. W fabryce szkła Steuben przyglądaliśmy się pracy rzemieślników produkujących artystyczne wyroby szklarskie. W sklepie sąsiadującym z hutą można było je kupić po umiarkowanych cenach.

Jesienią 1970 r. miałem pierwszy wypadek samochodowy. W czasie jednego z weekendów jechałem do Langmuir Laboratory i na zakręcie drogi jadący za mną samochód uderzył mój automobil demolując go doszczętnie. Sam miał uszkodzony przód. Telefonicznie zawiadomiłem władze o wypadku. W ciągu kilkunastu minut na miejscu zdarzenia zjawili się dwaj funkcjonariusze policji stanowej i zabrali kierowcę, młodego człowieka, odpowiedzialnego za wypadek. Wkrótce dowiedziałem się, że kierowca uderzający tył wyprzedzającego samochodu jest z reguły uważany za winnego kolizji i obarczany odpowiedzialnością i konsekwencjami. Tak było również w moim przypadku. Na podstawie raportu policji, instytucja ubezpieczająca pojazd sprawcy wypadku wypłaciła mi równowartość mojego samochodu, który był tak zniszczony, że nie nadawał się do naprawy i został oddany na złom. Przywykłem do niego i żał mi było rozstawać się z nim. Nowym samochodem został Ford LTD, również używany. Był znacznie większy od poprzedniego, kompletnie zautomatyzowany, zaopatrzony jedynie w dwa pedały, z których jeden regulował dopływ paliwa do silnika, a drugi służył jako hamulec. Miał jeszcze fabryczną gwarancję.

W październiku 1970 r. przyszły z Wiednia nasze rzeczy. Były tam m.in. dywany, obrazy i książki, stanowiące główny składnik przesyłki, bowiem w Polsce mieliśmy dużą bibliotekę, którą zabraliśmy ze sobą.

Zbliżał się koniec 1970 roku. Nasze mieszkanie było niewygodne, przede wszystkim ciasne. Zaczęliśmy się rozglądać za nowym apartamentem. Dowiedziałem się, że rodzina pewnego stypendysty japońskiego w Cornell opuszcza Stany z końcem roku i tym samym zwalnia mieszkanie w Warren Woods Apartments. Były to niewielkie bloki mieszkalne, położone na krańcu miasta, w pobliżu lotniska. Wykorzystaliśmy nadarżającą się okazję i wymieniliśmy mieszkania.

Nasze nowe lokum było znacznie większe od poprzedniego, składało się z trzech pokoi, kuchni i łazienki. Jeden pokój zajmowaliśmy oboje z żoną, drugi należał do dzieci, a trzeci, największy, pełnił rolę jadalni. Poza stołem i krzesłami był tam również tapczan i telewizor. W skład mieszkania wchodził także przedpokój oraz znacznych rozmiarów balkon, z które-

go roztaczał się widok na okoliczne błonia i ogrody. Mieszkanie mieściło się na 2 piętrze, było starannie wykończony i dość drogie.

W marcu 1971 r. podpisałem nowy kontrakt na następny rok pracy w laboratorium O'Briena, poza tym przygotowywałem do druku moją pierwszą publikację na temat środków owadobójczych, inhibitorów acetylocholinoesterazy. Po oddaniu jej do druku O'Brien przydzielił mi techniczkę, Nancy Hogan, która pracowała ze mną niemal przez cały okres mojego pobytu w Langmuir Laboratory.

Krystyna, moja żona, szybko zaadoptowała się do pracy i stosunków panujących w laboratorium Wilkinsona. Początkowo zdziwienie budziły niezwykle precyzyjne wyniki jej pracy laboratoryjnej. Po pewnym czasie jej szef przywykł do tego. Stała się niezbędnym elementem w funkcjonowaniu jego laboratorium i brała udział w publikowanych pracach. Jej pierwsza publikacja ukazała się drukiem w 1972 roku. Ogólnie mówiąc, jej obowiązki obejmowały zagadnienia analityczno-biochemiczne. Przez wszystkie lata, jakie tam spędziła, a było ich łącznie 19, jej wysiłki i wyniki były oceniane jako wybitne. Obecnie jest od 18 lat na emeryturze i rokrocznie wymienia korespondencję ze swoim byłym szefem, opisującą wydarzenia w naszych rodzinach. Wilkinson mieszka obecnie w Północnej Karolinie.

O solidnej postawie zawodowej mojej żony świadczy fakt, że figuruje w ogólnościowym rejestrze na rok 1976 „Kto jest Kim wśród Kobiet” („The World Who's Who of Women”, 3-d ed., 1976).

W tym pierwszym etapie naszego pobytu w Stanach Zjednoczonych wszystko niby układało się pomyślnie. Zaczęliśmy pracować, dzieci chodziły do szkoły, mieszkaliśmy wygodnie, nie staliśmy w kolejkach celem aprowizacji naszej rodziny.

A jednak... w Polsce żyliśmy w napięciu dążeń zawodowych, żona w mniejszym stopniu niż ja, ponieważ miałem tendencję do intensywnego przeżywania problemów pracy. Posiadanie pracy nie stanowiło problemu. A tutaj... odwrotnie niż w Polsce. Posiadanie odpowiedniej pracy i jej utrzymanie nastęrczało trudności i stanowiło najważniejszy problem. Sprawa pozycji zawodowej została zdegradowana do znacznie niższego poziomu ważności. Byliśmy opłacani grantowymi pieniędzmi i już w początku naszego pobytu w Stanach odczuwaliśmy niebezpieczeństwo braku stabilności zatrudnienia.

Należy nadmienić, że ogólny okres naszej pracy zawodowej powinien trwać 40 lat. Emigrując z Polski byliśmy w jego połowie. To znaczy, że owoce naszych 20-letnich wysiłków, piękne mieszkanie na Bielanych, nasz

dorobek materialny i zawodowy zostały stracone. Również spadek po rodzicach został zredukowany do minimum. Mieliśmy przed sobą 20 lat pracy zawodowej i musieliśmy wszystko zaczynać od nowa. Stanowiło to nie lada problem, ponieważ przepracowane 20 lat były tą fazą życia, która była przewidziana jako naturalny proces naszego rozwoju, stworzenia bazy zawodowej i materialnej, na której miało się opierać nasze dalsze życie. Ta podstawowa faza wyrażała się w przypadku żony znaczną liczbą publikacji zawodowych, pozycją kierownika laboratorium analitycznego w badawczym Instytucie Przemysłu Organicznego oraz odznaczeniem przez Ministerstwo Przemysłu Chemicznego medalem za osiągnięcia w dziedzinie wprowadzania metod analitycznych do praktyki przemysłowej.

W moim przypadku osiągnięciami były: uzyskanie doktoratu z chemii i habilitacja. Zostałem docentem w Instytucie Chemii Organicznej PAN, miałem trzech doktorantów oraz pełniłem obowiązki kierownika Pracowni Badań Strukturalnych, byłem też odznaczony nagrodą naukową PAN za osiągnięcia w dziedzinie chemii. Proszę sobie wyobrazić sytuację, w której to wszystko zostało nagle zredukowane do zera i nasz start życiowy został przesunięty o 20 lat wstecz. Oczywiście, nie byliśmy już tymi samymi ludźmi, którzy zaczynali karierę życiową 20 lat temu, po uzyskaniu dyplomów uniwersyteckich. Byliśmy inni, w odmienny sposób reagowaliśmy na problemy i ciosy życiowe. Proszę do tego dodać nowe środowisko, do którego należało się wdrożyć, a nade wszystko język, który trzeba było opanować. Mogliśmy liczyć tylko na siebie. Powrót do kraju rodzinnego mieliśmy zamknięty, ponieważ musieliśmy się zrzec polskiego obywatelstwa. Znaleźliśmy się w sytuacji armii Cortesa, jednego z konkwistadorów, która po wylądowaniu w Meksyku miała odcięty odwrót, ponieważ jej dowódca polecił spalić okręty, na których przybyła.

W związku z tym, wkrótce po ulokowaniu się w Itace, przedmiotem dyskusji była sprawa naszych emerytur, ponieważ mieliśmy przed sobą tylko 20 lat pracy. W Polsce żadne z nas nie myślało o tym, ani nasi rówieśnicy nie zaprzęтали swojej uwagi sprawami emerytury, ponieważ było na to za wcześnie, a poza tym droga do emerytury była ściśle określona i wydeptana przez 20-letni okres zatrudnienia. W związku z tym, naszym zadaniem w Stanach stało się zdobycie i utrzymanie pracy, aby w końcowym efekcie zbudować emerytalną egzystencję, „naszego miejsca na ziemi”, wyposażonego w dostępne tutaj atrybuty. Zadawaliśmy sobie pytanie, czy będzie to możliwe, gdyż mieliśmy mało czasu, a droga przed nami była wyboista i stromo skierowana ku górze. Postanowiliśmy nie zrażać się trud-

nościami, nie oglądać się wstecz, iść naprzód i starać się o zdobycie tego, co będzie możliwe oraz zwiedzić i zobaczyć jak najwięcej.

Wiosną 1971 r. w Bostonie odbył się 33 Kongres Chemii Czystej i Stosowanej, na który przyleciał prof. Urbański z referatem na temat naszej wspólnej pracy wykonanej w Polsce, w ramach doktoratu Weroniki Południkiewicz. Prosiłem O'Briena, żeby sfinansował moje uczestnictwo w tej imprezie, na co chętnie się zgodził. W Bostonie spędziłem sporo czasu z Urbańskim. Ucieszyło mnie również spotkanie na kongresie Bogusławy Trzebiatowskiej-Jeżowskiej, profesora politechniki i uniwersytetu we Wrocławiu.

Późnym latem 1971 r. wybraliśmy się cała rodziną na wakacje do Cape Cod w stanie Massachusetts. Jest to przylądek w kształcie zgiętego ramienia, otoczony wodami Atlantyku, zadrzewiony, o malowniczej scenerii, pocętkowany stawami i jeziorami. Stanowi znane uzdrowisko oraz jest częstym celem wycieczek krajoznawczych. Jego odkrywca, Bartholomew Gosnold był zdumiony obfitością dorszy w okalających przylądek wodach i nazwał go Dorszowym Przylądkiem (Cape Cod). Wakacje zamierzaliśmy spędzić pod gołym niebem, na popularnych tutaj kempingach, stanowiących strzeżone tereny zaopatrzone w toalety i prysznic. W pobliżu kempingów znajdują się kioski, w których można nabyć artykuły pierwszej potrzeby. Celem zrealizowania naszych planów zaopatrzyliśmy się w odpowiedni sprzęt turystyczny, namiot czteroosobowy, metalowe łóżka, nadmuchiwane materace, turystyczną maszynkę do gotowania, sztućce i papierowe talerze. Ważnym szczegółem był tzw. cooler, pojemnik służący do przechowywania produktów spożywczych, chłodzony lodem. Z biegiem czasu nabraliśmy wprawdy w urządzeniu mieszkalnego kąta ze sprzętu wozzonego w bagażniku. Nasza marszruta do Cape Cod wiodła przez wyżynne stany Vermont i New Hampshire. Pierwszy z nich obejmuje pasmo Zielonych Gór, drugi Białe Góry. Oba te pasma wchodzi w skład Apalachów.

Mieliśmy udane wakacje. Nigdy nie zapomnę tamtejszych „złotych” plaży. Niestety, morska woda była zimna, nie mogliśmy wytrzymać w kąpieli dłużej niż kilka minut. Niedaleko od naszego obozu było miasteczko Provincetown, znany ośrodek turystyczny, będący również portem. Tu zarzucił kotwicę Mayflower, statek wiozący purytanów uciekających przed prześladowaniami religijnymi z Anglii (1620 r.). Stąd koloniści zrobili rekonesans celem poznania terenu i w końcu zdecydowali się na osiedlenie w miejscowości zwanej obecnie Plymouth, położonej nad zatoką Massachusetts. Upamiętnia to granitowy pomnik.

Nie od rzeczy będzie zauważyć, że pierwszym permanentnym osiedlem kolonijnym, założonym w Ameryce przez angielskich uchodźców był Jamestown w Virginii, powstały w 1607 roku.

Pobyt w Cape Cod odprężył nas. Były to pierwsze wakacje od trzech lat. W okolicy Labor Day (1 września) O'Brien wydał w swoim domu przyjęcie dla pracowników swojego laboratorium. Było też kilka osób spoza zakładu. Byliśmy na nim razem z żoną. Na marginesie tego wydarzenia chciałbym zrobić dygresję na temat zebrań towarzyskich i sposobu ubierania się w środowisku, w którym obracaliśmy się. Przyjęcie, o którym piszę było typowym, jednym z wielu w jakich uczestniczyliśmy. Wszystkie miały charakter nieformalnych spotkań, dominowała swoboda zachowania, uczestnicy stali lub siedzieli ze szklankami koktajli w rękach. Na większym stole były zakąski, względnie produkty służące do ich przyrządzania. Sposób organizowania zebrań towarzyskich, tzw. parties ma, że tak powiem, charakter zbiorowy. Szef zaprasza współpracowników. Nie ma zwyczaju zapraszanie kilku osób, zaprasza się wszystkich. Często można zobaczyć przed domem „stada” zaparkowanych samochodów, co świadczy, że parties są w toku. Mimo panującej swobody zasadniczo ich ton jest oficjalny. Prawdziwie bliskie stosunki towarzyskie są kultywowane między członkami rodzin. Co jakiś czas organizowane są zjazdy rodzinne, na które przybywają krewni nawet z odległych części kraju.

W związku ze swobodą zachowania się w czasie towarzyskich spotkań, swoboda panuje również w sposobie ubierania, mam na myśli mężczyzn. Marynarka czy sweter rzadko stanowią części tego samego zestawu ubraniowego, najczęściej są przypadkowymi częściami garderoby. Garnitury są rzadko widywane, chyba jedynie w czasie galowych uroczystości. Podobnie krawaty. Pospolitym ubraniem są spodnie dżinsowe, znane na całym świecie, tutaj z reguły używane przy pracach domowych, niekiedy w pracy zawodowej, jak również przy okazjach towarzyskich. Nie lubię ich ponieważ są ciężkie i mało przewiewne.

W 1972 r. opublikowałem z O'Brienem dwie prace na temat inhibowania aktywności acetylocholinoesterazy, a rok później przedstawiłem nasze wyniki na 166 zjeździe Amerykańskiego Towarzystwa Chemicznego.

Wakacje spędziliśmy z Krystyną w Ocean City nad Atlantykiem, w stanie Maryland, podobnie jak w poprzednim roku na terenach kempingowych, pod namiotem. Utkwiły mi w pamięci tamtejsze sady brzoskwiniove obfitujące w ogromne owoce.

Zbliżał się kolejny rok, należało szukać stałej pracy, bowiem ta, którą miałem była rokrocznie przedłużana. Nie widziałem szans na otrzymanie stałego zatrudnienia w Cornell University. Musiałbym mieć tu silne poparcie. Było to trudne, ponieważ byłem nowym i mało znanym człowiekiem. Stałe osiedlenie się musiałoby się wiązać z nabyciem domu, gdyż korzystanie z wynajmowanych mieszkań jest ogromnie drogie, stanowi moloch pochłaniający zarobki.

Równocześnie doszły mnie słuchy, że O'Brien szukał wyższej pozycji w uczelnianej administracji niż ta, którą zajmował dotychczas. Czułem się niepewnie, większość czasu towarzyszył mi niepokój o pracę. Całe swoje życie byłem uczulony na związane z nią problemy.

W związku z tym nawiązałem kontakt z Urbańskim, który planował w 1973 roku przyjechać do Kanady. Umówiliśmy się na spotkanie w Ottawie i wiosną razem z żoną udaliśmy się do kanadyjskiej stolicy. Z przekroczeniem granicy nie było problemu, wystarczyło wylegitymować się tzw. zieloną kartą, stanowiącą dowód posiadania stałego pobytu w USA. Z Urbańskim spędziliśmy popołudnie. Przyrzekł, że skontaktuje mnie z pewnym profesorem chemii w Kanadzie. Poza tym zadzierzgnąłem kontakt z Marią Przybylską, profesorem na wydziale nauk biologicznych w Research Council w Ottawie. Przyrzekła mieć „oczy i uszy otwarte” na możliwość otrzymania przeze mnie pracy w Kanadzie. Rezultaty moich zabiegów nie były obiecujące.

W 1973 roku opublikowałem nową pracę naukową, w której eksperymentalnie potwierdziłem moją hipotezę na temat mechanizmu inhibitowania aktywności acetylocholinoesterazy.

W początku sierpnia tego roku cała nasza rodzina wyprawiła się samochodem w daleką podróż krajoznawczą. Z Itaki nasza marszruta wiodła do Gettysburga w Pensylwanii, który był widownią decydującej bitwy wojny secesyjnej rozegranej w początku lipca 1863 r. W jej trakcie zginęło około 5 000 żołnierzy. Laur zwycięstwa przypadł armii federalnej. Te krwawe wydarzenia upamiętnia narodowy park wojskowy w Gettysburgu, który obrazuje topografię zmagania. Specjalne markery uwidaczniają pozycje walczących armii, a znaczna liczba posągów i pomników pomaga wyobraźni odtworzyć militarne wydarzenia.

Stamtąd udaliśmy się do Wirginii i rozbiliśmy namiot w Shenandoah, narodowym parku obejmującym Blue Ridge Mountains (Niebieskie Pasma Górskie). Park jest rezerwatem zwierzyny. W nocy na teren kempingu przyszły niedźwiedzie i porozrzucały kosze na śmieci.

W dalszym ciągu naszej podróży dotarliśmy do Monticello, posiadłości trzeciego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Tomasza Jeffersona. Był renesansową postacią, starannie wykształcony, odznaczył się jako prawnik, utalentowany pisarz polityczny, architekt-samouk i koneser o wszechstronnych zainteresowaniach. Jego majątek jest przykładem doskonale zaplanowanego zespołu ogrodowo-pałacowego. Dom o 35 pokojach, zbudowany w stylu neoklasycyzyzm, z cegły, jest usytuowany na wzgórzu. W pewnej odległości od niego znajdują się zabudowania gospodarcze, ogrody i cmentarz, na którym spoczywa Jefferson i członkowie jego rodziny.

Następnie udaliśmy się do stanu Tennessee, sąsiadującego z Wirginią, gdzie szczególnie zainteresowały nas Smoky Mountains (Zadymione Góry). Namiot rozbiliśmy na kempingu w Great Smoky Mountains National Park. Podziwialiśmy oryginalną scenerię tamtych okolic, zawołowanych łagodną mgiełką. Z jej obecnością wiąże się rzekome „zadymienie” krajobrazu. Tam zwiedziliśmy również indiański rezerwat. Z Tennessee pojechaliliśmy do Południowej Karoliny. Początkowo mieliśmy zamiar pojechać na Florydę, ale ze względu na problem z samochodem zrezygnowaliśmy z tego planu.

Zdecydowaliśmy się na zwiedzenie Charlestonu. Jest to stary port nad Atlantykiem o dużej wartości historycznej. Stanowi magnes przyciągający rzesze turystów. Rozłożyliśmy się obozem na Palm Island, wyspie ocienionej licznymi palmami, położonej w pobliżu miasta. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem takiej ilości much, w jaką obfitował teren tego kempingu. Było ich zatrzęsienie. Musieliśmy szczelnie zamykać namiot. W mieście panował upał, jak w rozpalonym piecu. Ale na plażach było przyjemnie, powiew łagodnego wiatru czuło się cały czas, nie było też śladu insektów. Woda w zatoce była ciepła jak w wannie. Ryby wyskakiwały nad morską powierzchnię błyszcząc łuskami w ostrym słońcu, spadały do zielonkawej wody i szybko znikwały. Paweł, nasz syn, łowił je na wędkę. Smażone na maszynie turystycznej stanowiły doskonale posiłki. Miasto piękne, dużo starych domów z XVIII wieku, niektóre zaopatrzone w tabliczki, przypominające metryki, informujące o ich budowniczych, właścicielach i mieszkańcach. Zabytkową część miasta wyłączono z ruchu kołowego. Współczesna dzielnica, obfitowała natomiast w nowoczesne wille, położone nad brzegiem morza, otoczone ogrodami pełnymi podzwrotnikowej roślinności. Tworzyły one obraz bajecznego dobrobytu. Spędzając czas w Charlestonie przeżyaliśmy ponownie podniecenie, odczuwane kiedyś przy czytaniu słynnej powieści Margaret Mitchell „Przeminęło z wiatrem”. Szczerze mówiąc jej fabuła spowodowała nas do odwiedzenia tego szacownego portu.

Z gościnnego Charlestonu wyruszyliśmy na północ, przez Północną Karolinę i Wirginię do Waszyngtonu D.C. W jego pobliżu ulokowaliśmy się na kempingu. Waszyngtońska metropolia zrobiła na nas wrażenie dużego, europejskiego miasta. Spośród licznych muzeów szczególnie interesowały nas dwa: The National Gallery of Art i Museum of History and Technology. Te muzea wchodzą w skład Smithsonian Institution, instytucji powstałej w 1846 roku w oparciu o testament Jamesa Smithsona, angielskiego chemika i mineraloga. Jednoczy ona w swoich ramach 11 muzeów, poza tym finansuje i organizuje różnorodne badania naukowe. Galeria Sztuki posiada wspaniałe kolekcje obrazów, m.in. jeden, Leonarda da Vinci, jedyne płótno tego artysty w Stanach Zjednoczonych. Trzon galerii stanowią zbiory finansisty i męża stanu A. W. Mellona.

Szczególnie zainteresowało nas Narodowe Muzeum Historii i Technologii. Natychmiast przy wejściu rzucało się w oczy wahadło Foucaulta. Zawieszona na wieży o wysokim sklepieniu, wahało się zmieniając pozycję w miarę obrotu Ziemi. Inną atrakcją była specjalnie zbudowana bocznic kolejowa, z ustawioną na niej kolekcją lokomotyw. Historia kolejnictwa jest tu darzona specjalnym sentymentem i nostalgią. Przypomina czasy, kiedy tylko kolej zbliżała odległe części kraju, łącząc wybrzeża Atlantyku z portami Pacyfiku. Publikowane wydawnictwa albumowe obrazują jej rozwój, a kluby hobbystów budują modele stacji kolejowych, wyposażonych w typowe akcesoria. W muzeum można oglądać eksponaty najrozmaitszych wynalazków, zaopatrzonych w objaśnienia dotyczące zasad ich działania i zastosowania. Można je było uruchamiać. Na tle przyrządów fizycznych wyróżniała się demonstracja pracującego roju pszczelego, zamkniętego w przezroczystym ulu, połączonym z zewnętrznym światem kanałami. Na zakończenie naszego pobytu w Waszyngtonie udaliśmy się do muzealnej rezydencji George'a Washingtona w Mount Vernon. Odziedziczył ją po przyrodnim bracie. Jest ona odległa od stolicy zaledwie o 15 mil. Znajduje się tam mauzoleum pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych i jego żony Marty.

W 1974 roku brałem udział w zjeździe Amerykańskiego Towarzystwa Chemicznego w Los Angeles, gdzie na posiedzeniu sekcji środków leczniczych przedstawiłem wyniki moich ostatnich badań na temat unieczynnienia aktywności acetylocholinoesterazy. Pamiętam, że odleciałem z lotniska w Syracuse (duże miasto w pobliżu Itaki) w mroźny poranek kwietniowy. Kilka godzin później wysiadłem na lotnisku w Los Angeles, gdzie powitała mnie ciepła, słoneczna pogoda. Mężczyźni bez marynarek, z zawi-

niętymi rękawami koszul. Kobiety w letnich sukienkach. Należało uwolnić się od zimowego płaszcza i obuwia.

W Los Angeles spędziłem tydzień. Kilka godzin dziennie poświęcałem zjazdowi, resztę przeznaczałem na zwiedzanie miasta i okolic. Po przylocie wypożyczyłem na lotnisku samochód. Dzięki niemu mogłem swobodnie poruszać się po mieście i okolicy. Cały dzień spędziłem w Disney Land, który zrobił na mnie duże wrażenie. Zwiedziłem również Hollywood. Dla porównania z waszyngtońskim muzeum technologii odwiedziłem jego odpowiednik w Los Angeles. Stwierdziłem, że ekspozycja w stolicy przewyższa znacznie kalifornijską. W końcu wykupiłem bilet na autobus wycieczkowy, który obwoził turystów po całym mieście z przewodnikiem objaśniającym widziane budowle i widoki. Ogromnie żałowałem, że nie towarzyszyła mi żona, ponieważ wspólne zwiedzanie i podróże stanowią asumpt do dyskusji i dzielenia się uwagami.

Późnym latem usiłowaliśmy z żoną zwiedzić Niagara Falls, słynny wodospad usytuowany po kanadyjskiej stronie granicy. Niestety, nasz samochód zepsuł się w Buffalo. Staraliśmy się go naprawić, ale sprawa była poważna i należało naprawę odłożyć do czasu powrotu do domu. Mimo to zwiedziliśmy Buffalo, polskie miasto, gdzie ulice i sklepy nosiły polskie nazwy, a mieszkańcy często mówili po polsku.

3. Nasi milusińscy

Opisując nasze życie w Stanach należy wspomnieć również o zwierzętach, które stały się niemal członkami naszej rodziny. Najpierw mieliśmy kota, później psa.

Kota nabyliśmy we wczesnych latach 70. Wyrósł na dużego, wielokolorowego kocura. Jego sierść miała barwę szaro-czarną i pomarańczową. Tutaj takie koty nazywane są calico. Monika, nasza córka, nazwała go Pimpusiem. Kochał nas bardzo, szczególnie żonę. Gdy wracaliśmy do domu witał nas już na chodniku, przed schodami. Kładł się na grzbiecie i tarzał kręcąc głową. Zimowe wieczory spędzał leżąc na stole i wygrzewając pod lampą służącą do opalania się. W lecie chodził na polowania, z których wracał obarczony złowionymi myszami. W drodze powrotnej uderzał w drzwi wejściowe trzymaną w pyszczku zdobyczą, a po wejściu podrzucał ją do sufitu. Był dumny ze swoich wyczynów. Przed przekroczeniem progu mieszkania, na wycieraczkę otrząsał łapki z niewidocznego pyłu. W czasie weekendów, gdy byliśmy w domu, żona zazwyczaj spała dłużej. Pimpus starał się ją obudzić. Robił to w sposób delikatny, podnosząc kołdrę i łaskotając ją w podeszwy. Co chwila podnosił głowę sprawdzając, czy już się obudziła. Zginął tragicznie przejechany przez samochód. Plakaliśmy po nim długi czas.

Potem mieliśmy suczkę cocker spaniela, czarną. Monika nazwała ją Kryszną. Miała nadzwyczajne wyczucie czasu. Na około pół godziny przed powrotem żony z pracy piesek już na nią czekał. Na tle białej zastony zakrywającej francuskie okno, sięgające podłogi, widniała czarna kulka czekającej Kryszneczki. Gdy tylko żona ukazała się na horyzoncie, czarna kulka natychmiast zniknęła, pędziła do przedpokoju i warowała przy drzwiach wejściowych, żeby jako pierwsza powitać osobę, którą darzyła największym sentymentem.

Gdy wyjeżdżaliśmy, często nam towarzyszyła. Zdarzało się, że jadąc musiałem zatrzymać samochód i iść coś załatwić, np. wstąpić do sklepu. Kryszna, uplasowana na siedzeniu, drżała z napięcia wyglądając przez okno, niespokojna, czy aby na pewno wróć. Jej największą rozrywką było apor-

Pierwsze kroki w U.S.A.



*Moja żona w jesieni 1970 r.,
pierwszego roku w Itace.
Fot. B. Hetnarski*



*Moja najbliższa rodzina:
córka Monika,
żona i syn Paweł,
w lecie 1970 r. w Itace.
Fot. B. Hetnarski*



*Dr Jerzy Szpinak, mój
brat cioteczny z żoną
Marią, również lekarką.*



*Mój syn Paweł łapiący ryby
w jeziorze Cayuga.
Fot. B. Hetnarski*



*Nasz ukochany piesek, Kryszna.
Fot. B. Hetnarski*

towanie piłki. Mogła przynosić ją bez końca i stale domagała się kontynuowania zabawy. Często po powitaniu wracającej żony płaczkliwym skowytom domagała się pomocy w dostaniu czegoś, co leżało pod tapczanem czy lodówką, a co okazywało się być piłką. Jesienią, gdy mnie nie było, a żona wracała, gdy już zapadał zmrok, mimo ciemności wychodziła z psem przed dom i rzucała piłkę. Po pewnym czasie Krysna, solidnie zmęczona i zgrzana siadała w cieniu krzewów unikając światła lamp, które myliła ze światłem słonecznym. Nie chciała wsiadać do samochodu pod nieobecność żony.

Pamiętam, że pewnego razu usadowiłem dzieci w samochodzie i pakowałem sprzęt turystyczny do bagażnika. Koło nas kręciła się podniecona Krysna, będąca entuzjastyczną podróżniczką. Gdy chciałem wsadzić ją do samochodu pobiegła do mieszkania zostawiając mnie na parkingu. Po chwili ukazała się w towarzystwie żony, i następnie, w samochodzie, wskoczyła na jej kolana.

Tego rodzaju przykładów nagromadziło się mnóstwo w czasie 13-letniego życia Krysny. Zmarła na raka. Mimo wysiłków nie udało się nam jej uratować.

Niejednokrotnie zastanawialiśmy się z żoną nad faktem spotkania w Ameryce zwierząt o niezwykłych właściwościach. Doszliśmy do wniosku, że nie było to związane z nadzwyczajnymi cechami zwierząt rodzących się w Stanach Zjednoczonych, ale ze szczególną troską jaką je tutaj otaczano. Są tu sklepy z akcesoriami używanymi przy ich hodowli. Szpitale zwierzęce istnieją wszędzie, poza tym w każdym mieście znajdują się oddziały organizacji zajmującej się ochroną zwierząt (SPCA). Przyjmują zwierzęta, których właściciele chcą się pozbyć, opiekują się bezdomnymi, zapobiegają również niewłaściwemu ich traktowaniu. Ułatwiają także nabywanie zwierząt. Krótko mówiąc, w Stanach jest kultura odpowiedniego traktowania zwierząt domowych. Jeśli porówna się pozycję hycła z okolic Stopnicy, który zjawiał się od czasu do czasu celem usunięcia wałęsających się psów, z obowiązującymi w USA regułami traktowania zwierząt, sądzę, że nie przesadzę, jeśli powiem, że w dniach mojej młodości, w Polsce nie było zorganizowanej opieki nad zwierzętami.

4. Pierwsze bezrobocie

Nadszedł brzemienny w wydarzenia rok 1975. Wiosną otrzymaliśmy amerykańskie obywatelstwo, a ja straciłem pracę w laboratorium O'Briena. Uroczystości związane z otrzymaniem obywatelstwa odbyły się w Binghampton, uniwersyteckim mieście, odległym od Itaki o około 50 mil, w biurze federalnej agencji zajmującej się sprawami naturalizacji.

Latem brałem udział w zjeździe Amerykańskiego Towarzystwa Chemicznego, gdzie w sekcji chemii organicznej wygłosiłem referat na temat przewidywania aktywności inhibitorów AchE. Poza tym z O'Brienem ogłosiłem dwie prace, którymi starałem się przekonać kręgi naukowych czytelników, że postulowany przez nas mechanizm inhibitowania AchE stanowi odzwierciedlenie rzeczywistości.

Te wydarzenia miały miejsce na zewnątrz naszej rodziny. Przeżywaliśmy także niezwykle przykre wydarzenia w rodzinie. Nasze dzieci zaczęły się buntować przeciwko rygorom codziennego życia. Niechętnie się uczyły, łatwo ulegały zewnętrznym wpływom odciągającym je od nauki. Zdarzały się wypadki znikania z domu. Zwłaszcza córka wykazywała w tym względzie ogromną pomysłowość. Niekiedy zdarzały się okresy tak dramatyczne, że koniec naszej rodziny zdawał się być nieunikniony. Szczególnie, jeśli weźmie się pod uwagę, że działo się to w okresie, gdy byłem bezrobotny.

Chciałbym poświęcić uwagę mojej sytuacji. Moje osiągnięcia w Cornell University wyraziły się w opracowaniu nowej teorii mechanizmu hamowania aktywności AchE, przedstawionej w sześciu pracach opublikowanych w znanych czasopismach naukowych oraz w trzech prezentacjach wygłoszonych na dorocznych zjazdach Amerykańskiego Towarzystwa Chemicznego. Te wyniki przedstawiły w nowym świetle nie tylko teoretyczną stronę od dawna badanego problemu, ale również stanowiły drogowskaz w wyborze dróg syntezy nowych środków owadobójczych opartych na unieczynnieniu AChE.

O'Brien miał kłopoty z otrzymaniem grantów. Stało się to powodem deficytu finansowego w jego laboratorium oraz stanowiło bezpośrednią przyczynę mojego bezrobocia. Należy tu wtrącić uwagę, że nie bez wpły-

wu na moją ówczesną sytuację były zakulisowe tarcia ambicjonalne mające miejsce poza fasadą badań naukowych. W ramach mojej 25-letniej kariery zawodowej znalazłem się po raz pierwszy bez pracy, nie licząc pod różny emigracyjnej.

Z przygnębienia szybko się otrząsałem. Powiedziałem sobie, że muszę sobie poradzić z moimi problemami życiowymi. Wszedłem w kontakt z pewnym profesorem chemii fizycznej w Cornell University celem przygotowania propozycji badań naukowych nad reakcjami prowadzonymi przeze mnie w laboratorium O'Briena, które miały być kontynuowane z użyciem markerów wolnorodnikowych w fizykochemicznym laboratorium departamentu chemii.

Pierwszym etapem tego przedsięwzięcia było wykonanie wstępnej pracy doświadczalnej. W oparciu o jej rezultaty trzeba było napisać propozycje na temat wyżej wymienionego projektu i przedstawić je w jednej z federalnych agencji przydzielających subwencje (granty) na prowadzenie tego typu prac badawczych. Wstępna praca miała być również wykonana w wymienionym laboratorium. Uzgodniliśmy z moim fizykochemikiem, że będzie mi regularnie płacił. W tym czasie otrzymywałem pieniądze z ubezpieczenia związanego z brakiem zatrudnienia. Zabrałem się intensywnie do pracy. Minęły dwa miesiące, a o umówionej zapłacie ani słychu. Sądziłem, że mój „dobroczyńca” zapomniał o niej. Żona była zdania, że należy mu przypomnieć. Przypomniałem. Odrzekł, że jest bez grosza, nie stać go nawet na opłacenie sekretarki. Byłem rozczarowany. Straciłem serce do tego przedsięwzięcia. Zrozumiałem, że szkoda czasu i atłasu na rozwijanie go i moje zaangażowanie zmniejszyłem do minimum.

Główny mój wysiłek szedł w kierunku znalezienia pracy. W zimie 1975/1976 miałem się spotkać z pewnym profesorem technologii środków leczniczych na uniwersytecie w Buffalo. Ta wizyta miała oczywiście związek z poszukiwaniem pracy.

Na tydzień przed planowanym spotkaniem miałem przykry wypadek samochodowy. Feralnego dnia w Itace panowała wczesnowiosenna pogoda, niby słoneczna, ale chwilami napływały chmury ograniczające widoczność niemal do zera. Te zmiany zachodziły szybko. Podjeżdżałem do departamentu chemii, na terenie uniwersytetu, gdy nagle słońce znikło, zrobiło się szaro. W odległości kilku kroków nic nie było widać. W momencie zatrzymywania samochodu uderzyłem w tył zaparkowanego auta. Okazało się, że był ich cały łańcuch. Nastąpił efekt domina. Pięć czy sześć samochodów zostało uwikłanych w tę kolizję. Zniszczenia były znaczne i upoważniły funk-

cjonariuszy uniwersyteckiej policji do sprowadzenia kolegów z posterunku policji miejskiej w Itace. Przyjechali na miejsce wypadku i po rozmowie ze mną doszli do wniosku, że zdarzenie nie było z mojej winy. Mój samochód został uszkodzony asymetrycznie, zniszczeniu uległa prawa strona maski.

Kilka dni później udaliśmy się z żoną do Buffalo. Wyjechaliśmy w niedzielne popołudnie, w czasie ulewy zamarzającego deszczu. Było to moje pierwsze spotkanie z tego rodzaju zjawiskiem stanowiącym deszcz, który po zetknięciu ze stałą powierzchnią natychmiast zamarza. Autostrada, na którą wjechaliśmy była pokryta warstewką lodu, istna „szklanka”. Jednocześnie przednia szyba samochodu również pokryła się warstwą lodu. W wyniku gołoledzi samochód zaczął się kręcić w kółko. W tym momencie w lusterku pojawiła się sylwetka ogromnej ciężarówki. Szczęśliwie nie nam się nie stało, ciężarówka minęła nasze auto bez przykrych konsekwencji. Zatrzymałem samochód, a przejeżdżający kierowca również stanął i zapytał czy nie jest nam potrzebna pomoc. Odpowiedzieliśmy przecząco i ruszyliśmy w dalszą podróż. Jazda była trudna, nie tylko ze względu na śliską jezdnię, ale również z powodu nierównomiernego oporu stawianego przez uszkodzony pojazd strumieniowi powietrza. Przydroża były literalnie usiane samochodami, które wpadły w poślizg i znalazły się poza obrębem drogi. Żona chciała, żebyśmy się zatrzymali w przydrożnym motelu i przeczekali złą aurę do następnego dnia, jednak kontynuowaliśmy podróż.

Zapadł zmrok, kiedy znaleźliśmy się na przedmieściach Buffalo. Następnego dnia miałem interwiew na uniwersytecie, a wieczorem byliśmy podejmowani kolacją przez naszego gospodarza i jego żonę.

Opis tej podróży jest jednym z przykładów, w jakich warunkach przyszło mi czynić starania o pracę. Nie zawsze podróżowałem samochodem, zdarzały się sytuacje, że latałem samolotem. Jeśli miało to sens - jeździłem z żoną, bowiem najkorzystniejsze byłoby dostanie pracy w tej samej miejscowości.

Przykładem takich starań była nasza samolotowa podróż do Columbus w stanie Ohio. Złożyliśmy tam podanie o pracę w redakcji Chemical Abstracts. Miała ona polegać na przygotowywaniu streszczeń artykułów publikowanych w czasopiśmie chemicznych. Wymagano znajomości języków obcych. Oboje z żoną znaleźliśmy angielski, niemiecki i rosyjski. Nie byłem zachwycony tą możliwością zatrudnienia. Żonie odpowiadała. Pensje były dobre, dodatki finansowe do nich, również. Żonę przyjęli, a mnie nie. Nawet dzwoniли do niej do Itaki prosząc, żeby przyjechała do pracy. Ale cóż, nie

mogła skorzystać z tej możliwości, mimo że bardzo jej odpowiadała.

Następnym razem pojechałem do Kodak Company w Rochester, miasto uniwersyteckie w stanie Nowy Jork, odległe od Itaki o 2 godziny jazdy samochodem. Wygłosiłem referat. Otrzymałem odpowiedź, że przyjmą mnie pod warunkiem, że żona też podejmie u nich pracę. Krystyna odmówiła. Oświadczyła, że nie chce pracować w przemyśle, wolała pracę w Cornell University. Cała sprawa upadła.

Innym przykładem ubiegania się o zatrudnienie było interview w dużej fabryce chemicznej w pobliżu Cleveland, miasta w stanie Ohio. W skład tej fabryki wchodziło duże laboratorium badawcze. Wygłosiłem referat. Po dyskusji na jego temat, dyrektor do spraw naukowych zaprosił mnie do swojego gabinetu. Rozmawialiśmy przez dłuższą chwilę, po czym powiedział mi, że nie ma wątpliwości co do mojego techniczno-chemicznego wykształcenia, ale problem komplikuje fakt, że na stanowisko, które ma właśnie powstać i które byłoby odpowiednie dla mnie, ma kilku kandydatów spośród chemików zatrudnionych od szeregu lat w tym laboratorium. Zapytał, co ja bym zrobił na jego miejscu.

Otrzymanie pracy utrudniało współzawodnictwo oraz daleko posunięta specjalizacja. W rezultacie tego, jeśli któryś spośród kilku ubiegających się o pracę kandydatów miał jakieś doświadczenie w dziedzinie interesującej dane przedsiębiorstwo, stawał się od razu uprzywilejowanym aplikantem. Poza tym należy podkreślić, że cofnięcie się w naszej zawodowej karierze o 20 lat, stworzyło bariery utrudniające otrzymanie odpowiedniej pracy, zarówno na uniwersytetach, jak i w przemyśle. Tymczasem byłem w Itace.

Z departamentu chemii, w którym nie było pieniędzy, przenieśliem się do College of Veterinary Medicine, wchodzącego w skład Cornell University. Dostałem pracę w ramach dużego grantu, obejmującego projekt badań naukowych w departamencie biochemii. Moim zadaniem była synteza preparatów chemicznych niedostępnych w handlu, a potrzebnych w prowadzeniu tej pracy. W weterynaryjnej uczelni przydzielono mi oddzielne pomieszczenie z wyposażeniem, które uzupełniłem i urządziłem sobie laboratorium.

5. Center for Neurochemistry w Nowym Jorku

W roku 1977 dostałem pracę w dziedzinie neurochemii w Nowym Jorku. Praca była przewidziana na dwa lata i podobnie jak poprzednie była oparta o granty. Celem projektu było uzyskanie odpowiedzi na pytanie, czy sztuczna degeneracja centralnego systemu nerwowego królików, powodowana przez kationy glinu, może być modelem zmian wywołanych przez chorobę Alzheimera, związaną z utratą pamięci u ludzi. W tym celu należało porównać zmiany w cholinergicznym systemach obu przypadków.

W projekcie brały udział dwa instytuty. Jednym był Center for Neurochemistry, stanowy instytut w Nowym Jorku, który dostarczył laboratorium ze wszystkimi akcesoriami technicznymi. Jego dyrektorem był dr Abel Lajtha, znany neurochemik. Wysoki, przystojny i rzeczowy. Z pochodzenia Węgier. Był człowiekiem sympatycznym i kulturalnym o europejskich manierach. Jego ojciec był znanym węgierskim kompozytorem. Drugą partycypującą instytucją był nowojorski instytut naukowy, zajmujący się podstawowymi badaniami w dziedzinie umysłowej degeneracji (New York State Institute for Basic Research in Mental Retardation). Jego dyrektorem był Henryk Wiśniewski, polski emigrant, docent neuropatologii. Ten instytut dostarczał pieniędzy oraz był źródłem preparatów biologicznych, na których opierała się moja praca. W skład naszego zespołu badawczego wchodziło pięciu pracowników naukowych, Lajtha, Wiśniewski, który był nota bene, autorem projektu oraz dwu jego pracowników i ja, jako jedyny chemik w zespole. Pozostali członkowie byli neurochemikami, za wyjątkiem Wiśniewskiego, który był lekarzem. Jego instytut mieścił się na Staten Island, miejscowości stanowiącej dużą wyspę sąsiadującą ze stanem New Jersey, ale wchodzącą w skład stanu nowojorskiego. Center for Neurochemistry znajdował się również na wyspie, Wards Island, będącej częścią Nowego Jorku. Z Wards Island łatwo było dojechać do Staten Island przez nowojorskie dzielnice Queens i Brooklin oraz popularny most, Veransano Bridge, często widziany na widokówkach z Nowego Jorku.

Celem ułatwienia pracy i uniknięcia problemów mieszkaniowych w ogromnej metropolii, starałem się dostać lokum na wyspie, w budynku, w którym mieściły się mieszkania pracowników zatrudnionych na Wards Island.

Pamiętnego wrześniowego dnia, wyprawilem się naszym nowym samochodem do pracy w Nowym Jorku. Nasze nowe auto, „Omega”, produkcji General Motors, czterodrzwiowe, brązowe, kompletnie zautomatyzowane. Jego istotną zaletą były składane tylne siedzenia, które w razie potrzeby umożliwiały podwojenie powierzchni bagażnika. Wyjeżdżając z Itaki byłem wyposażony w akcesoria konieczne do prowadzenia mini-gospodarstwa domowego w nowych warunkach.

Po raz pierwszy byłem w Nowym Jorku z rodziną w początku 1970 roku, kiedy przylecieliśmy samolotem z Wiednia. Od tamtego czasu nie byłem tam, czyli minęło 7 lat od ostatniego mojego pobytu w Nowym Jorku. Sądzę, że nie przesadzę, jeśli powiem, że ta podróż była drogą w nieznaną. Już na samym początku wjazdu do Nowego Jorku można mieć problemy. Wjeżdżałem zawsze przez popularny most nowojorski, George Washington Bridge, łączący stan New Jersey z Manhattanem. Po przebyciu mostu należało dobrze pamiętać, żeby jego rampę opuścić właściwym wyjazdem. Błędny wybór powoduje wjazd na niewłaściwą autostradę. W takim przypadku trzeba jechać do najbliższego zjazdu i zawracać, korzystając z innych dróg, co jest czasochłonne i denerwujące. Po pokonaniu tych początkowych trudności i po dwukrotnym konsultowaniu się z przechodniami dotarłem w końcu do Triborough Bridge i Wards Island. Tam telefonicznie skontaktowałem się z pracownikiem instytutu Lajthy, Chińczykiem, dr Koon-Sea, który mieszkał w tym samym budynku, w którym dostałem lokum. Wręczył mi do niego klucze i wskazał, gdzie się znajduje. Było to przyzwoicie umeblowane, duże mieszkanie. Składało się z pokoju stołowego - bawialni, kuchni, łazienki i trzech sypialni. Zdecydowanie było dla mnie za duże. Z biegiem czasu moja przestrzeń życiowa skurczyła się, ponieważ wprowadzili się tam jeszcze dwaj przybysze z zagranicy: dr Alojz Suchar ze Słowenii oraz dr Csaba Wadasz z Węgier. Obaj przybyli do Center for Neurochemistry na roczny pobyt. Wadasz nie wrócił na Węgry, sprowadził rodzinę i zadomowił się w Stanach.

Posiłki przygotowywaliśmy sobie sami. Zakupy produktów spożywczych robiliśmy w weekendy, na ogół w soboty. Często wyprawialiśmy się moim samochodem do Queens, gdzie ceny artykułów spożywczych były niższe, szczególnie owoców. Zapamiętałem nazwę pew-

nego sklepu, szczególnie często przez nas odwiedzanego. Mieścił się w Astorii będącej dzielnicą Queens i był elementem siatki sklepów noszącej nazwę Key Food Stores.

Przed wyjazdem z Itaki uzgodniłem z żoną, że w trakcie rozłąki, będąc przyjeżdżał do domu. Starałem się trzymać tej zasady i raz na trzy lub cztery tygodnie jeździłem do Itaki. Te eskapady były czasochłonne i męczące. Moje wyjazdy z Nowego Jorku wypadały zazwyczaj w piątki, a powroty miały być w niedziele. Jednak, aby być jak najdłużej w domu, wracałem w poniedziałki. Całe życie śpieszyłem się do kogoś lub czegoś. Wtedy śpieszyłem do żony i dzieci, chciałem zjeść z nimi piątkową kolację. Starałem się być w Itace przed zapadnięciem zmroku. Nie lubiłem jeździć nocą. W poniedziałki, mój pośpiech był podyktowany koniecznością jak najszybszego zjawienia się w pracy, w której powinienem być obecny od rana, a przyjeżdżałem koło południa lub wczesnym popołudniem. Itakę od Nowego Jorku dzieliło 360 km, do pokonania tej odległości potrzebowałem 4 do 5 godzin, zależnie od nasilenia ruchu na drogach.

W piątkowe popołudnia drogi w pobliżu George Washington Bridge były wypełnione pojazdami mieszkańców metropolii udających się na weekendy. Podobnie było w niedziele, kiedy wracali do domowych pieleszy. Poniedziałki były lepsze, bowiem natężenie ruchu było znośne. Te pospieszne podróże stawiały mnie od czasu do czasu w kolizji z policją stanową, której funkcjonariusze patrolowali autostrady, łapiąc mnie niekiedy na przekroczeniu dozwolonej prędkości, która w stanie Nowy Jork wynosiła 55 mil na godzinę. Dostawałem wówczas tzw. ticket, tj. wezwanie do sądu. Alternatywą było wpłacenie kary do biura, zajmującego się tego rodzaju sprawami. Doświadczenie nauczyło mnie, że sądy w tym przypadku były łagodne i traktowały przyjsie oskarżonego na rozprawę jako pewnego rodzaju nauczkę i karę oraz zwalniały podsądnego od płacenia kilkudziesięciu dolarów, sumy zazwyczaj wymienianej w sądowym wezwaniu.

W czasie mojej nieobecności w domu, żona sama musiała rozwiązywać codzienne problemy oraz użerać się z dziećmi. Paweł nie chciał się uczyć, wrócił z Delhi, miejscowości, w której znajdował się ogrodniczy college i poszedł do pracy w dużym, wielobranżowym sklepie. Monika studiowała w lokalnym college'u i nauka szła jej dobrze. Dostała się nawet na tzw. listę dziekana, co oznaczało, że była wzorową studentką. Żona, jak zawsze, była nadzwyczajnym pracownikiem. Wyniki jej pracy były oficjalnie oceniane jako wybitne, ludzie wyrażali się o niej z uznaniem. Regularnie brała udział w publikacjach swojego zespołu.

W instytucie Laithy początkowo korzystałem ze wspólnego pokoju laboratoryjnego, ale wkrótce dostałem do dyspozycji oddzielne laboratorium, połączone z pokojem wyposażonym w biurko i półki na książki. Instytut liczył około 20 pracowników naukowo-badawczych i był częścią znacznie większej instytucji, Rockland Research Institute (Rockland Psychiatric Center). Mimo, że niewielki, stanowił spolaryzowany układ o niekiedy wysoko szybujących ambicjach i animozjach wśród jego pracowników. Poznałem tam Polkę, Izabelę Wajdę, farmakologa, przedwojenną absolwentkę Uniwersytetu Jagiellońskiego, która doktoryzowała się po wojnie w Birmingham, w Anglii. Następnie losy zawiodły ją do Argentyny, gdzie była dziekanem farmakologii w szkole medycznej w Mendoza. Wreszcie przybyła do USA i tu osiedliła się na stałe. Wajda stanowiła przykład tułaczego losu wielu Polaków po II wojnie światowej. Był tam również Henry Szerszeń, doktorant polskiego pochodzenia. Nie znał słowa po polsku, nie wiedział też co oznacza słowo „szerszeń”.

Pracowałem intensywnie i dużo wysiłku wkładałem w zajęcia laboratoryjne oraz studiowanie podstaw neurochemii, która była dla mnie nową dziedziną. Mimo pośpiechu starałem się wygospodarować czas na spacery do ładnego parku na Wards Island. W ramach tych przechadzek wychodziłem poza jego granice, na błonia i docierałem do rzeki East River. Na jej brzegu znajdowały się stopy różnych kamieni przypominające ich zyspiska w Janowie, naszym majątku, w latach mojego dzieciństwa. Stamtąd, z zainteresowaniem przyglądałem się sylwetce Manhattanu, widniejącego na przeciwległym brzegu rzeki. W rok po mnie, do instytutu przybył pracownik naukowy Armeńskiej Akademii Nauk, starszy człowiek, nie pamiętam jego nazwiska, który stał się moim bliskim i częstym towarzyszem w spacerach po wyspie. Wyciągał mnie zwłaszcza na poobiednie przechadzki twierdząc, że ułatwiają trawienie. Był biochemikiem. Opowiadał interesująco o swoim kraju i mimo że, niewątpliwie, był światłym i rozbagniętym człowiekiem, pozwolił się zastraszyć polityczną atmosferą panującą w Związku Radzieckim, w którym Armenia była jedną ze związkowych republik. Miałem angielską wersję pamiętników córki Stalina, Allilujewej. Sugerowałem mu przeczytanie ich. Mimo zainteresowania, a nawet podniecenia, odmówił przeczytania jej wspomnień, bowiem w jego kraju książka ta była zakazana. Powiedział mi szczerze, że boi się przykrości.

Wakacje 1978 roku spędziliśmy w Virginii, w Chincotigue, który był pięknym, nadatlantyckim kurortem o wspaniałych plażach. Okolice obfitywały w lasy, którym towarzyszył zalew słodkiej wody. Wiązało się to z obec-

nością ornitologicznego rezerwatu oraz stad dzikich koni, które szczególnie spopularyzowały Chincotigue. O pięknie Virginii wspomniałem, opisując nasz pobyt tam w 1973 roku.

Podobnie, jak w czasie poprzednich wycieczek, tym razem również korzystaliśmy z kempingów. W Melfie, pobliskim miasteczku, odwiedziliśmy Stanisława Rolę-Szustkiewicza, który na krótko przed naszą emigracją obronił pracę doktorską na wydziale chemicznym Politechniki Warszawskiej, w oparciu o katedrę prof. Urbańskiego. Jej część eksperymentalną wykonał w Stanach. Był absolwentem przedwojennej Politechniki Lwowskiej. Wykładał w pobliskim college'u. Gościliśmy kilkakrotnie w jego domu. Miał miłą i uroczą żonę, niestety, kilka lat później zmarła na raka mózgu.

Zbliżał się rok 1979, który miał być moim ostatnim rokiem w Center for Neurochemistry. Przygotowywałem do druku trzy prace, z których dwie dotyczyły bieżącego tematu neurochemicznego, a trzecia tkwiła korzeniami w cornellowskiej tematyce ubiegłych lat. W marcu 1979 roku uczestniczyłem w zjeździe Amerykańskiego Towarzystwa Neurochemicznego w Charleston, w Południowej Karolinie, gdzie zreferowałem wyniki moich badań, stanowiących zakończenie dwuletniego projektu badawczego. Badania te, prowadzone na temat zastosowania sztucznie wywołanej degeneracji tkanki centralnego systemu nerwowego u królików, spowodowane przez sole glinowe, jako ewentualnego modelu zmian wywoływanych przez chorobę Alzheimera u ludzi, dały negatywną odpowiedź. W pierwszym przypadku aktywność przenoszenia impulsów nerwowych w cholinergicznym systemie była zachowana pomimo degeneracji tkanki nerwowej, w drugim miała miejsce jej degradacja. Oba systemy okazały się nieporównywalne i wykluczyły zastosowanie sztucznego zwyrodnienia zwierzęcej tkanki nerwowej jako modelu destrukcji chorobowej podobnej tkanki u ludzi. Te wyniki były nieoczekiwane i stanowiły dla wielu osób niespodziankę.

Moje ówczesne poszukiwania pracy były utrudnione tym, że wyniki moich opracowań zawarte w rękopisach stale nie były publikowane. Irytowało mnie to, że Lajtha zatrzymywał oddanie ich do druku, dając interweniującemu Wiśniewskiemu niejasne tłumaczenia. Dopiero później zrozumiałem, co było tego powodem. Otóż w instytucie na Wards Island była napięta atmosfera dotycząca zatrudnienia. Dr Jen-Tzaw Huang, chińskiego pochodzenia neurochemik, nie dostawał pensji z braku funduszy. Korzystał z laboratorium oraz odczynników, pracował w pełnym wymiarze czasu i publikował wyniki swoich badań, a inny pracownik, młody człowiek, w różnych porach dnia był płacony pieniędzmi pochodzącymi z kil-

ku źródeł. W takim układzie stosunków pracownik publikujący trzy prace w ciągu dwu lat oraz referujący je na ogólnokrajowym zjeździe naukowym mógłby spowodować zaburzenie w ustalonej polityce zatrudnienia (mam na myśli siebie). Dopóki moje wyniki nie były publikowane nie liczyłem się jako potencjalny kandydat do pracy w tamtejszym instytucie.

Lajtha starał się o pracę dla mnie poza moimi plecami. W lecie 1979 roku powiedział mi, że istnieje stanowisko pracownika naukowego w departamencie farmakologii w Chicago Medical School. Dziekanem tego wydziału był profesor Seymour Ehrenpreis, dawny pracownik instytutu Lajthy. Praca ta, niestety, znowu bazowała na grantcie, tym razem należącym do Ehrenpreisa, mimo że zostałem przyjęty na stanowisko wizytującego profesora. Moim zadaniem miało być powiązanie rzekomej aktywności uśmierzenia bólu przez jeden z aminokwasów z postulowanym mechanizmem jego działania. Poleciałem do Chicago, widziałem się z dziekanem Ehrenpreistem, zobaczyłem jego laboratorium, omawiałem warunki pracy i płacy. Miałem nadzieję, że projekt badawczy był sprawdzony i pewny, że będę mógł na dobre usadowić się w Chicago i sprowadzić tam rodzinę. Jak się okazało, byłem naiwny i nadal ogromnie łatwowierny. Najwidoczniej nie spotkało mnie jeszcze dostatecznie dużo rozczarowań, które pozbawiłyby mnie łatwowierności i uczyniły bardziej ostrożnym.

Wróciłem do Nowego Jorku, opowiedziałem Lajthcie o moich wrażeniach z wizyty w Chicago i oświadczyłem, że zdecydowałem się przyjąć tę pracę. Po tej rozmowie Lajtha od razu wypuścił wszystkie moje prace do druku (sic!). Pożegnałem się z nim serdecznie. Jeszcze nie zdawałem sobie sprawy w jaką kabałę ten człowiek mnie pakuje. Mimo wszystko nie mogę powiedzieć, że bym się do niego nie przywiązał! Zlikwidowałem swoje sprawy w Nowym Jorku i wróciłem do Itaki.

Na urlop wyjechaliśmy z żoną do Virginia Beach. Zapamiętałem ten urlop dobrze, ponieważ pierwszej nocy nawiedziła nas sroga burza i nasze kempingowe domostwo zostało nasączone wodą, mimo że namiot był zrobiony z solidnego, impregnowanego materiału. Rano należało wszystko rozbierać i suszyć. Po tym niezbyt przyjemnym wstępie do wakacji, sprawy się wyklarowały i wypoczywaliśmy spędzając czas na plażach, i spacerach. W sumie mieliśmy dobrą pogodę i niezapomniane wakacje.

6. Chicago Medical School, śmierć matki i podróż do Polski

Jesienią 1979 r., ponownie zaopatrzony w rekwizyty konieczne do zorganizowania sobie samodzielnego gospodarstwa, wyruszyłem do Chicago, odległego od Itaki o 800 mil, czyli 1200 km. Podróż trwała 2 dni. Kiedy dotarłem tam było późne popołudnie. Zatrzymałem się u Ehrenpreisów. Miałem u nich mieszkać przejściowo, do czasu znalezienia niezależnego lokum. Wkrótce znalazłem mieszkanie przy Sheridan Road, niedaleko śródmieścia. Mieściło się w dużym bloku z apartamentami. Składało się z dwóch pokoi, sypialnianego i stołowego, kuchni i łazienki.

W tym samym budynku mieszkał Kazuhiko Kubota, profesor farmakologii z Japonii. Przyjechał do USA na zaproszenie Ehrenpreisa celem spędzenia w jego laboratorium roku poświęconego pracy badawczej. Kubota miał mi pomagać w tej części badań, które dotyczyły znieczulenia bólu przez pewne aminokwasy. Jego mieszkanie w tym samym budynku stanowiło korzystną okoliczność, ponieważ od czasu do czasu odwiedzaliśmy się i razem chodziliśmy do miasta. Z reguły, każdego ranka zabierałem go moim samochodem do pracy w szkole medycznej. Nasza codzienna trasa wiodła wzdłuż jeziora Michigan, w pobliżu którego znajdowały się najbardziej poszukiwane mieszkania, bowiem latem, kiedy kontynentalne upały w metropolii są trudne do wytrzymania, tu jest najchłodniej. W Chicago, upalne lata przeplatają się z mroźnymi zimami, których ostrość wzmagają lodowate wiatry wiejące od strony jeziora Michigan, z ich powodu Chicago zostało nazwane miastem wiatrów. Nasze mieszkania, niezbyt odległe od jeziora, były korzystnie położone, co odczuliśmy podczas letniej kanikuły.

Moim drugim pomocnikiem laboratoryjnym był Joel Greenberg, pełniący obowiązki technika i pracujący ponadto nad doktorską dysertacją.

Życie toczyło się w oparciu o intensywne prace laboratoryjne, zwiedzanie miasta oraz uczestniczenie w koncertach Chicago Symphony Orchestra. Lubilem również chodzić do słynnej galerii malarstwa, The Art

Institute of Chicago, gdzie znajdowała się wspaniała kolekcja płócien francuskich impresjonistów.

Szereg weekendów spędziłem na zapoznaniu się z bogatymi zbiorami zwierzęcych wykopalisk znajdujących się w Field Museum of Natural History. Życie towarzyskie było natomiast związane z rodziną Ehrenpreisów, którzy zapraszali mnie w dni świąteczne.

Na wiosnę 1980 roku przyjechała do mnie córka. Skończyła dwuletni college i miała zamiar zapisać się na studia uniwersyteckie w Chicago. Marzyłem o tym, żeby studiowała medycynę, która w Stanach Zjednoczonych stanowi jedną z najtrudniejszych specjalności. Niełatwo jest dostać się na te studia, a jeszcze trudniej skończyć je. Moje marzenie było podyktowane tym, że z biegiem lat doszedłem do wniosku, że zrobiłbym lepiej, gdybym studiował medycynę, względnie po skończeniu chemii zajął się medycyną w Gdańskiej Akademii Medycznej. Życzeniem mojej matki było, żebym został lekarzem.

Odnosnie wykształcenia kobiet sądzę, że studia lekarskie ułatwiają im osiągnięcie niezależności i uznania bardziej niż inne zawody. Moja córka, mająca poglądy z reguły diametralnie różne od moich, tym razem zgodnie z moim życzeniem, złożyła podanie i została przyjęta do Premedical School of the University of Illinois; poza tym zamieszkała ze mną. Byłem zadowolony z tego obrotu spraw. Po pierwsze, nie byłem sam, po wtóre, jej obecność ułatwiała mi prowadzenie gospodarstwa domowego.

W trakcie pracy w Chicago poznałem Borysa Tabakoffa, profesora farmakologii i toksykologii na tamtejszym uniwersytecie. Osobiste kontakty pozwoliły mi na wyrobienie sobie o nim pozytywnej opinii. Był zaradny, prowadził szeroko zakrojone badania naukowe, miał granty i doktorantów. Nawet w pewnym momencie, chwilowo, korzystałem z jego laboratorium celem wykonania pewnych pomiarów związanych z moją pracą badawczą.

Ponieważ bardzo chciałem, żebyśmy mieszkali z rodziną w komplecie, w jednym miejscu, zwróciłem się do niego z pytaniem, czy nie przyjąłby mojej żony do swojego laboratorium. Opisałem mu jej kwalifikacje i opublikowane prace. Odpowiedział, że chętnie się z nią spotka i omówi tę sprawę.

W rezultacie tej rozmowy, w maju 1980 roku Krysia przyleciała do Chicago. Oprócz umówionego spotkania z Tabakoffem miała jeszcze inne możliwości, ale koncentrowaliśmy się głównie na tej pierwszej. Również Ehrenpreis chciał ją zatrudnić, czemu byłem przeciwny, nie chciałem abyśmy pracowali w tej samej instytucji.

W czasie pobytu żony w Chicago, u Ehrenpreisów odbyła się uroczystość. Ich pierworodny syn, lekarz, żenił się. Odbyło się huczne wesele, na które byliśmy zaproszeni.

Gdy żona wróciła do Itaki, otrzymała telefon od Tabakoffa z propozycją zatrudnienia. Niestety, odmówiła. Odmowa była związana ze stanowiskiem prof. Wilkinsona, jej zwierzchnika w Cornell, który prosił ją o pozostanie.

Szczerze mówiąc naprawdę zadomowieni czuliśmy się jedynie w Itace, poza tym, wszędzie czuliśmy się obco. Zastanawiałem się, czy miała na to wpływ zapamiętana w młodych latach historia Odyseusza, który z uporem, mimo Scyll i Charybd, wracał z wojny trojańskiej do rodzinnej, greckiej Itaki. My, po początkowym usadowieniu się w amerykańskiej Itace, nie wyzwoliliśmy się z jej objęć. Bezwiednie dążyliśmy do niej latami, mimo prób osiedlenia się w innych stronach. Z wędrówki całego życia zostaliśmy skierowani przez los na ostateczne osiedlenie się w jej pobliżu, w odległej od niej o kilkanaście mil, Wolnej Wsi, czyli we Freeville. Dziwna rzecz, że nasza córka mieszka we własnym domu w pobliżu Chicago, w miejscowości o nazwie Libertyville, czyli we Wsi Wolności. Odnoszę wrażenie, że jesteśmy pod wpływem pewnego tropizmu, którego cechą charakterystyczną jest kierowanie nas do miejsc o nazwach zawierających element wolności. Całe życie dążyliśmy do wolności, ale świadomie nie poszukiwaliśmy miejsc z wolnością w nazwie.

Mimo romantyczności tej historii, faktem było, że nasza rodzina była podzielona. Żona z Pawłem, który od szeregu lat pracował w tej samej instytucji, mieszkali w Itace, a ja z Moniką w Chicago. Polskiemu czytelnikowi taka sytuacja może wydawać się nienaturalna, natomiast w Stanach są to powszednie zjawiska. Czynnikiem decydującym o miejscu zamieszkania jest praca.

Do tych kłopotliwych spraw dołączyło się poważne zmartwienie. Moja matka zaczęła chorować. Sygnały o jej dolegliwościach dochodziły do mnie już w 1978 roku, gdy pracowałem w Nowym Jorku. Starałem się odwiedzić mamę w latach 1975, 1976 i 1977, składałem więc podania do ówczesnych władz polskich z prośbą o wjazdową wizę, ale zawsze mi odmawiano. Matka, ze swej strony również nie szczędziła starań, żeby skutecznie mój przyjazd, nawet zwracała się do Urbańskiego z prośbą o pomoc, ale profesor był bezradny w tej materii. Kiedy w 1980 roku matka znalazła się w buskim szpitalu, otrzymałem wreszcie polską wizę i wkrótce zacząłem się przygotowywać do wyjazdu.

Na dzień przed planowanym wyjazdem do Polski, w nocy z 12 na 13 października, miałem osobliwy sen. Śniła mi się trupio blada, milcząca dziewczyna, która ignorowała moje pytanie czemu przypisać jej błądź. Był wczesny ranek, gdy zbudziło mnie pukanie do drzwi. Nadeszła depe-sza. Matka zmarła poprzedniego dnia. Choć minęło już 25 lat od tych wy-darzeń, ten sen pamiętam tak wyraźnie, jakby śnił mi się poprzedniej nocy. Wiadomość o śmierci matki zrobiła na mnie silne wrażenie. Początkowo straciłem panowanie nad sobą i łzawo zareagowałem na tę hiobową wieść. Matkę kochałem bardzo i byłem do niej głęboko przywiązany.

Natychmiast starałem się polecieć do Polski. Dowiedziałem się, że wieczorem, tego dnia mam połączenie z Warszawą poprzez Zurych. Poje-chałem więc na lotnisko O'Hare, międzynarodowy port lotniczy w Chica-go, ale samolot nie odleciał z powodu defektu silnika. Następnego dnia poleciałem do Nowego Jorku, gdzie spotkałem się z bratem i razem pole-cieliśmy do Warszawy LOT-em, a stamtąd, taksówką do Buska-Zdroju. Wiele starań, zabiegów i troski poświęcała naszej matce w ostatnim okre-sie jej życia Bronia Łuczak. Znajomość jej rodziny z naszą datuje się od czasów II wojny światowej. W okresie okupacji zostawialiśmy u Łucza-ków niektóre, cenne przedmioty, m.in. futra. To Bronia właśnie zawiado-miła mnie depeszą o śmierci mamy.

Gdy przyjechaliśmy do Buska, wszystko było przygotowane do po-grzebu. Na drzwiach wejściowych do domu, od strony kuchni, wisiało za-wiadomienie napisane ręką mojej matki przed jej wyjazdem do szpitala „Zaraz wracam”, adresowane do pani Kozłowskiej, żony naczelnika Za-kładu Ubezpieczeń Społecznych, z którą matka się przyjaźniła. Niestety, ze szpitala już nie wróciła.

Do pogrzebu pozostały trzy dni. Zdecydowaliśmy się pojechać do Żarek, miasteczka w województwie katowickim, gdzie mieszkali niektó-rzy członkowie rodziny naszego ojca. Pojechaliśmy taksówką. Zatrzyma-liśmy się u Maryli i Kazimierza Ludwików, naszych kuzynów. On był wła-ścicielem warsztatów mechanicznych, ona nauczycielką. Na wstępie za-proszono nas na uroczyste przyjęcie. Ludwikowie mieli obszerny i ładnie urządzony dom.

Następnego dnia po powrocie z Żarek odbył się pogrzeb. Mszę żałob-ną w kościele parafialnym w Busku-Zdroju odprawił mój stryjeczny brat, ksiądz kanonik Kazimierz Nachtman, proboszcz parafii Kostomłoty w Gó-rach Świętokrzyskich. On też prowadził procesję na miejscowy cmentarz. Matka spoczęła obok ojca, w podwójnym grobowcu. Łącznie, w Stopnicy

i Busku żyła i pracowała około 60 lat, podobnie jak ojciec. Na pogrzebie było dużo ludzi, wielu znajomych rodziców, których nie znałem. Była również Dwidka Leszczyńska, moja miłość lat dziecinnych, która przyjechała ze Stopnicy z siostrą.

Tak więc, ostatecznie moi rodzice leżą obok siebie we wspólnym grobie, przykryci marmurowym całunem. Wszystkie niesnaski i pretensje zostały wyjaśnione względnie umorzone, w prawym dolnym rogu kamiennej pokrywy widnieje napis: „Non omnis moriar”. Każde z nich mogłoby powiedzieć, że z ich śmiercią nie wszystko umarło. Pozostała pamięć. Po pogrzebie Rysiek oświadczył, że ma do wygłoszenia referat w NASA i bezwzględnie musi wracać do Stanów.

Należało załatwić wiele spraw. Względnie małą rzeczą było przyjęcie węgla, zamówionego i opłaconego przez matkę, natomiast dużej wagi problemem było wyłączenie domu spod kwaterunku. Dom musiał być sprzedany i zakwaterowanie kogokolwiek uniemożliwiłoby tę transakcję. W związku z tym udałem się do przewodniczącego zarządu miasta i gminy Busko-Zdrój, celem przedstawienia mu tej sprawy. Przewodniczący zgodził się ze mną, że kwaterunek uniemożliwiłby sprzedaż domu i przyrzekł wyłączyć nasz dom z gospodarki kwaterunkowej. Ciężar spadł mi z serca. Do załatwienia pozostało kilka spraw w urzędzie notarialnym. Nasz notariusz, Wanda Belon, załatwiła je bez zwłoki. Następnie pojechałem do Warszawy, gdzie zatrzymałem się u naszych przyjaciół, Krysi i Stasia Czermińskich na Bielanach.

W Warszawie odwiedziłem Stanisława Kajfasza, profesora w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki PAN i poinformowałem go o sytuacji, w jakiej znajduje się nasz dom, ponieważ Kajfasz był pełnomocnikiem brata i moim oraz miał załatwić sprzedaż naszej nieruchomości.

Później obarczyliśmy go też zadaniem spieniężenia odziedziczonych przez nas działek budowlanych.

Będąc w Warszawie ochłonałem po przeżyciach ostatnich dni i doszedłem do wniosku, że należy ponownie pojechać do Buska i zabrać z domu różne przedmioty o gabarytach umożliwiających ich przewóz samochodem. Dom miał być bowiem sprzedany wraz z całą zawartością, tj. meblami, pościelą itp. Staś Czermiński zgodził się pojechać ze mną swoim samochodem. Pojechaliśmy więc w Kieleckie. Najpierw wstąpiliśmy do Dwidki Leszczyńskiej w Stopnicy, następnie udaliśmy się do Buska. Załadowaliśmy do samochodu dużo rzeczy. Niektóre, jak piękny obraz Sz. Skorupki „Kwiaty”, nabyty dawno przez moją matkę w Warszawie, wisi obecnie w naszym mieszkaniu we Freeville.



*Dom zbudowany przez ojca w Busku-Zdroju w początku lat. 50.,
po sprzedaży majątku w Janowie.*

Fot. B. Hetnarski

Zamykając matki mieszkanie powiedziałem do Stasia: „To jest pożegnanie z moim domem rodzinnym”. Wyszliśmy na zewnątrz. Była wietrzna i bezgwiezdna noc. Z dala dochodziły przytłumione szczekania psów. Wsiadliśmy do samochodu i wyjechaliśmy na szosę prowadzącą do Kielc i Warszawy. W myślach przeszedłem jeszcze raz wszystkie etapy mojego dzieciństwa i młodości szczególnie uwzględniając historię naszych domów i mieszkań, jej epilogiem była likwidacja tej ostatniej posesji rodzinnej, której realizacja przypadła mi w udziale. Kilka dni później pojechałem na Okęcie, żeby odlecieć do USA. Natychmiast zwróciłem uwagę na dziwne zachowanie dwu celników. Powitali mnie ironicznymi uśmiechami, widocznie czekali na mnie. Poddali mnie osobistej rewizji. Jedynym przedmiotem, jaki skonfiskowali, była złota moneta trzymana przeze mnie w portmonetce. Była jedną z wielu, które dostałem w spadku po matce. Zostawiłem ją na pamiątkę, inne sprzedałem. Z zachowania celników wywnioskowałem, że działali w oparciu o donos na temat rzekomego wywożenia przeze mnie kontrabandy. Wiozłem ze sobą wiele rzeczy, które w trakcie rewizji zostały porzucane. Zanim je uporządkowałem zrobiło się późno i bezpośredni samolot do USA, na który miałem bilet, odleciał bezze mnie. Musiałem skorzystać z innego połączenia, poleciałem więc do Londynu i stamtąd do Stanów.

Po powrocie do Chicago zastałem w szkole medycznej duże zmiany.

Wiedziałem o tym, że ma być przeniesiona pod inny adres i przed wyjazdem do Polski spakowałem wyposażenie i odczynniki mojego laboratorium. Szkoła mieściła się dotychczas w śródmieściu Chicago, przy Ogden Avenue, obecnie znalazła siedzibę na odległym przedmieściu, w północnej jego części, w nowym budynku, o dużych i dobrze oświetlonych pomieszczeniach, ale w znacznej odległości od metropolii. Celem oszczędzania wielu mil przejeżdżanych samochodem, zacząłem dojeżdżać do pracy pociągiem.

W nowej sytuacji miałem dobrze urządzone laboratorium. Niestety, na przekór zewnętrznym warunkom wyniki laboratoryjne nie szły po myśli Ehrenpreisa. Zaczęłem nabierać przeświadczenia, że powinienem przerwać pracę nad tym projektem.

Zbliżał się doroczny zjazd American Society for Neurochemistry. Chciałem wziąć w nim udział. Miałem zamiar rozglądać się za inną pracą, ponieważ ta, którą miałem, była zdecydowanie niepewna. Ehrenpreisowi pokazałem streszczenie referatu, który planowałem wygłosić na zjeździe, figurował w nim jako współautor. Zaaprobował go. Następnie przedstawiłem mu do wglądu tablice z wynikami badań laboratoryjnych, które chciałem zreferować. Zaakceptował je także.

Zjazd odbył się w Richmond, stolicy Virginii. Słuchacze byli zdziwieni treścią mojego wystąpienia, przypuszczam, że oczekiwali innych wyników, być może bardziej pozytywnych, ale przedstawione rezultaty odzwierciedlały stan badań eksperymentalnych.

Po powrocie do Chicago i przeanalizowaniu całego projektu doszedłem do wniosku, że musi być poddany gruntownej rewizji. W trakcie konwersacji z Ehrenpreisem przedstawiłem mu moje poglądy. W kilka dni później listownie przysłał mi wymówienie pracy. Wkrótce wybierał się na zjazd naukowy do Japonii. Przed opuszczeniem Chicago zadzwonił do mnie z pytaniem, czy mam zamiar przyjść do laboratorium. Odpowiedziałem, że nie. Więcej nie spotkaliśmy się.

7. Drugie bezrobocie

Ponieważ straciłem pracę, a nie opuściłem jej samowolnie, natychmiast zaczęto wypłacać mi pieniądze z funduszu ubezpieczeniowego. Dalszy pobyt w Chicago nie miał sensu. Musiałem wracać do Itaki, do domu. Pobyt Moniki ze mną komplikował rozstanie z Chicago. Namawiałem ją do wspólnego wyjazdu, przerwania nauki na tamtejszym uniwersytecie i przeniesienia się do nowojorskiego uniwersytetu stanowego w Cortland lub w Rochester, czyli do miejscowości niezbyt odległych od Itaki. Chodziło mi o to, żeby była blisko nas. Córka nie chciała o tym słyszeć. Po kilkudniowych dyskusjach i namowach doszedłem do wniosku, że nic nie wskóram. Monika twierdziła, że mieszkanie w wielomilionowym mieście pomoże jej zarówno znaleźć stałą pracę jak i doraźny zarobek, gdyby zaszła taka konieczność. Ustaliliśmy zatem, że ja wyjeżdżam zostawiając ją w mieszkaniu, które dotąd zajmowaliśmy wspólnie. Miała je zamienić na mniejsze, względnie na apartament, wspólny z koleżanką.

Gdy wreszcie wróciłem do Itaki i ochłonałem po nieoczekiwanych przygodach, zdałem sobie sprawę z niebezpiecznej sytuacji w jakiej znaleźliśmy się. Wprawdzie żona pracowała i nic jej nie groziło, ale ja nie miałem zatrudnienia, a to oznaczało konieczność szukania nowej pracy. Z tym wiązały się dwie zasadnicze trudności, mój wiek i fakt, że nie mogłem liczyć na poparcie mojego ostatniego pracodawcy, z którym rozstałem się w burzliwych okolicznościach. Byłem zwolniony z pracy po raz pierwszy i ostatni w życiu na podstawie różnic w interpretacji badań naukowych.

Nikt, kto nie przeżył bezrobocia nie jest w stanie zrozumieć związanych z nim uczuć i problemów. Dla delikwenta pozbawionego pracy najgorsze jest rano, kiedy sąsiedzi wyjeżdżają do pracy, a on zostaje w domu i nie wie, co ma ze sobą zrobić. Wtedy intensywnie odczuwa odmienność swego położenia. Koło południa w sercu bezrobotnego wzbiera nadzieja, jest bowiem czas dostarczania poczty, więc nasłuchuje odgłosów otwieranych przez listonosza skrzynek pocztowych, po ich usłyszeniu zaraz biegnie sprawdzić, czy otrzymał jakieś odpowiedzi na składane podania o pracę.

Gdy dzień zmierza ku końcowi i nadciąga wieczór zaczyna odczuwać niepokój i osamotnienie. Ludzie samotni są szczególnie narażeni na zmienne koleje emigracyjnej egzystencji. Rodzina stanowi pewnego rodzaju osłonę, umożliwiającą psychiczną regenerację.

Moje dni bez pracy wlokły się. Nie mogę powiedzieć, że bym spędzał czas beczynnie. Początkowo byłem zaszokowany wszystkim, co się wydarzyło. Wkrótce przystosowałem się do nowego życia. Zacząłem czytać dużo literatury zawodowej. W szczególności dotyczyło to chemii peptydów, którą zainteresowałem się podczas pracy w Center for Neurochemistry. Poza tym czytałem monografie z dziedziny fizyki i kosmologii, zapoznałem się również z komputerowym językiem liczbowym Fortran. Nade wszystko jednak szukałem pracy.

Po przeczytaniu kilku monografii na temat chemii peptydów zwróciłem się z prośbą do Marka Katza, rodem z Krzemieńca, profesora matematyki na Uniwersytecie Rockefellera, mojego dobrego znajomego, o porozmawianie na mój temat z profesorem Bruce Merrifieldem, również pracownikiem tego uniwersytetu, do którego laboratorium chciałem się dostać. Merrifielda uważano za koryfeusza chemii peptydów. Był twórcą nowej metody ich syntezy.

8. Rockefeller University w Nowym Jorku

Na początku września 1982 roku odbyłem długą rozmowę z profesorem Merrifieldem w Uniwersytecie Rockefellera. Dotyczyła różnych spraw, ale w końcu skoncentrowała się na zagadnieniu, nad którym miałem pracować w jego laboratorium do którego zostałem przyjęty jako pracownik naukowo-badawczy. Celem mojej pracy miało być określenie fizykochemicznych parametrów w jego metodzie syntezy peptydów. Ich rola ma w niej pierwszorzędne znaczenie, ponieważ kondensacja aminokwasów zachodzi w układzie dwufazowym, jeden z nich jest zakotwiczony w fazie stałej, czyli w syntetycznej żywicy, napęczniałej przez organiczne rozpuszczalniki. Ten aminokwas jest fragmentem stale powiększającego się peptydu w miarę wzrastania liczby cykli kondensacji. Następnymi elementami reakcji są aminokwasy rozpuszczone w napęczniającym rozpuszczalniku, stanowiącym drugą fazę, ciekłą. Z tego roztworu aminokwasy dyfundują do miejsc reakcji rozsianych na powierzchni i wewnątrz polimeru o postaci kulek. Każdy cykl procesu dotyczy przyłączenia nowego, pojedynczego aminokwasu do zakotwiczonego peptydu. Produktem reakcji jest żywica z przyczepionym do niej docelowym polipeptydem, który następnie uwalnia się od polimerowego podłoża.

Realizowanie pracy w Nowym Jorku wymaga dwóch zasadniczych komponentów. Pierwszym jest oczywiście sama praca, która w moim przypadku stanowiła pozycję pracownika naukowo-badawczego w Rockefeller University, drugim - mieszkanie, kosztowny składnik pobytowy. Nie pracowałem od roku i mimo ubezpieczenia, ponieśliśmy straty materialne, które należało skompensować.

Wiedziałem, że w instytucie Lajthy na Wards Island znajdował się nieużywany, dwupokojowy apartament i postanowiłem spróbować uzyskać jego zgodę na oddanie mi go do użytku. Przypuszczałem, że Lajtha mógł czuć się zobligowany w stosunku do mnie, ze względu na niefortunne zaaranżowanie pracy w Chicago. Po rozmowie ze mną, Lajtha natychmiast wyraził zgo-

dę na moją prośbę. Pozytywne załatwienie tej sprawy leżało, jak się wkrótce zorientowałem, również w jego interesie, ponieważ każdego dnia po skończonej pracy w jego instytucie nie było żywej duszy. Mieszkając tam byłbym na miejscu przypadku, gdyby zaszło coś nieoczekiwanego.

Do uniwersytetu jeździłem swoim samochodem. Przez Triborough Bridge mogłem szybko dostać się na York Avenue, przy której mieścił się uniwersytecki kampus. Moją rytualną, codzienną czynnością po opuszczeniu samochodu, było przejście do pobliskiego kiosku i kupienie *The New York Times*. Gazetę tę przedkładałem nad wszystkie inne. Pozostałem jej wierny do dzisiaj.

Wards Island znałem dobrze i cieszyłem się, że będę mógł korzystać z parku i nadbrzeżnych błoni. Do spacerów dodałem istotny element. Było to bieganie dla zdrowia. Biegałem kilka mil dziennie. Starłem się robić to systematycznie. Nawet gdy wracałem późnym popołudniem lub wieczorem kontynuowałem mój program biegania mimo ostrzeżeń, by nie robić takich ćwiczeń po zapadnięciu zmroku.

Uniwersytet Rockefellera, w którym zacząłem pracować wczesną jesienią 1982 roku został założony jako instytut w 1901 roku przez Johna D. Rockefellera, celem rozwijania medycyny i pokrewnych dziedzin. Został zreorganizowany przez amerykańskiego biochemika Detleva Bronka, następnie przez Dawida Rockefellera w 1953 r. W rezultacie tych zmian instytut został przekształcony w Uniwersytet Rockefellera. Zakres jego kompetencji rozszerzono o szereg specjalności w dziedzinie nauk ścisłych, jak chemia, fizyka i matematyka. Jest to szczególnie uniwersytet, w którym w zasadzie nie ma wykładów, gros edukacji wiąże się z badaniami naukowymi. Narybek naukowy stanowią doktoranci pracujący w ramach bieżących projektów badawczych. Fragment wykonanych prac przedstawiają w postaci dysertacji doktorskich.

Uniwersytet jest instytucją o wysokim poziomie naukowym. Wywodzi się z niego wielu laureatów nagrody Nobla. Jego laboratoria, wspaniała biblioteka, owiane są aurą wspomnień o wybitnych pracownikach naukowych, którzy tam prowadzili badania. To jest tradycja tej instytucji stale żywa i dająca się odczuć na każdym kroku.

W piątki odbywały się na uniwersytecie odczyty, które stanowiły dla mnie niezapomniane źródło przeżyć. Zaczynały się od tradycyjnej herbaty, po czym w auli wygłaszano referaty na temat aktualnych badań naukowych prowadzonych na uniwersytecie przez jego pracowników lub w innych instytucjach, które były referowane przez zaproszonych gości. Na-

stępnie miały miejsce ożywione dyskusje. Byłem czytany i zorientowany we współczesnych problemach naukowych i wyżywałem się biorąc udział w tych dyskusjach. Tętno życia naukowego dawało się odczuć na tym uniwersytecie bardziej niż w jakiegokolwiek innej instytucji, której byłem pracownikiem w przeszłości. Poza przemysłowymi instytutami naukowo-badawczymi w Warszawie, pracowałem w PAN, Akademii Nauk Związku Radzieckiego w Moskwie, Technische Hochschule w Wiedniu, Cornell University w Itace, Center for Neurochemistry w Nowym Jorku i Chicago Medical School. Mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że nie odczuwałem takiej atmosfery naukowej w żadnej z tych instytucji.

Mogłoby się wydawać, że w naszej egzystencji wszystko szło gładko, bez kłopotów. Wprawdzie do domu w Itace jeździłem regularnie, zazwyczaj raz w miesiącu, mimo to żona miała dość mojej nieobecności i w pewnym momencie wystąpiła o rozwód. Miała również zamiar usunąć moje książki z naszego mieszkania w Itace. Na szczęście te plany nie zostały zrealizowane. W 1984 roku wyjechaliśmy bez dzieci, sami, na urlop do Chincoteague w Virginii. Był to nasz pierwszy wypoczynek, podczas którego mieszkaliśmy w motelu, a nie w kempingowym obozowisku, stanowił pamiętny pobyt, gdyż tak intensywnie korzystaliśmy z plażowania, że do tkliwie się poparzyłem.

W 1985 roku brałem udział w symposium na temat chemii peptydów w Toronto. Przedstawiono tam szereg interesujących prac, poza tym spotkałem Bogdana Liberka, profesora chemii peptydów na Uniwersytecie Gdańskim. Był moim kolegą w dawnych, studenckich czasach. Wspominaliśmy stare dzieje, jeździliśmy po okolicach Toronto moim samochodem i zwiedziliśmy kilka muzeów.

8 a. Góry Adirondack

Jeden z najpiękniejszych urlopów w czasie naszego małżeństwa miał miejsce w 1986 roku. Spędziliśmy go tylko we dwoje w górach Adirondack, w Parku Narodowym o powierzchni około 23 tys. km kw. Tereny te, położone w północno-wschodniej części stanu Nowy Jork są bardzo malownicze. Zalesione stoki górskie ustępują często miejsca gołoborzom, a w dolinach znajduje się mnóstwo jezior.

Tym razem za bazę naszych wycieczek obraliśmy domek turystyczny, który wynajęliśmy w centrum parku, we wsi Wilmington. Nasze lokum składało się z dwułóżkowej sypialni i obszernej kuchni obejmującej jadalnię. Był tam również kominek, w którym rozniecaliliśmy ogień wieczorami, po powrocie z całodziennej wólczugi. W sypialni była świeża pościel, w kuchni znaleźliśmy wszelkie utensylia konieczne do przygotowania posiłków, nawet pieprz, sól i ocet.

Nasz domek usytuowany był w pobliżu jednego z najwyższych wzniesień górskich pasma Adirondack, Whiteface Mountain, o wysokości 1483 m n.p.m. Na jego szczyt dostawaliśmy się wyciągiem. Przed nami rozciągał się niezwykle widok na okoliczne wierzchołki górskie oraz doliny z jeziorami, które nadawały krajobrazowi bajeczny wygląd tysiąca wyciągniętych dłoni wypełnionych wodą.

Na marginesie chcę dodać, że Adirondack Mountains stanowią północny fragment Apalachów. Niedaleko od Wilmington znajduje się słynny ośrodek sportów zimowych w Lake Placid, gdzie dwukrotnie odbywały się zimowe Igrzyska Olimpijskie, w 1932 i 1980 roku.

W pobliżu Lake Placid znajduje się niecodzienna miejscowość, wieś Saranac, sąsiadująca z jeziorem o tej samej nazwie. Była jesienna pora i autostradę, którą jechaliśmy pokrywała żółta warstwa opadłych liści. W czarnej powierzchni jeziora Saranac odbijały się drzewa i krzewy porastające jego brzegi, co w połączeniu z żółtą wstęgą autostrady stwarzało niezwykle sceneryjną i nastrój oczekiwania czegoś nienaturalnego, co mogło wydarzyć się lada moment.

Warto tu wspomnieć naszą przygodę ze znalezieniem grzybów. Przyjęło się twierdzenie, że w Stanach nie ma dzikich grzybów takich jak koźlarze, maślaki czy rydze. Prawdopodobnie przyczyną tego są niekorzystne czynniki ekologiczno-klimatyczne. Jednak miejsca, gdzie rosną te grzyby na pewno istnieją, ponieważ ich zarodniki są roznoszone przez prądy powietrza. Przekonaliśmy się o tym w Itace, gdzie w pobliżu naszego mieszkania rosła grupa sosen i w ich cieniu, wczesną jesienią znajdowaliśmy maślaki. Oboje z żoną jesteśmy namiętными zbieraczami grzybów. Będąc w Górach Adirondack szukaliśmy grzybów w okolicach przypominających wyglądem miejsca, w których w Polsce można było je znaleźć, ale niestety, nie było ich tam. Pewnego dnia, zjeżdżając drogą z gór w dolinę spostrzegłem z okna samochodu koźlarze. Przystanęliśmy. Znaleźliśmy całą kolonię koźlarzy rozrośniętą na obszarze kilku kroków. Krystyna bała się ich jeść. Twierdziła, że wprawdzie wyglądem przypominają grzyby jadane

w Polsce, ale mogą stanowić ich trującą odmianę. Natomiast ja miałem nadzwyczajną kolację.

W parku Adirondack znajduje się wiele niezwykłych zjawisk natury. Do nich należy przełom rzeki Ausable zwany Ausable Chasm. Rzeka, niosąca wodę z gór wpada do ogromnego jeziora Champlain. Jej przełom jest bardzo malowniczy i stanowi atrakcję turystyczną. Przez tysiące lat woda wyłobiliła głębokie koryto, którego ściany mają niezwykle, fantastyczne kształty. Często wędrowaliśmy wzdłuż jej brzegów po chodnikach zaopatrzonych w balustrady, po schodkach i stromych ścieżkach. Na pewnym odcinku rzeki jest możliwość przepłynięcia go łodziami o płaskich dnach, sterowanych przez wyszkoloną obsługę. Skorzystaliśmy z tej możliwości podziwiając cuda natury.

Park jest również bogaty w relikty historyczne, do których zalicza się fort Ticonderoga, położony we wschodniej części parku, tuż przy granicy ze stanem Vermont, nad jeziorem Champlain. W pobliżu znajduje się inne duże jezioro, George. Dzięki temu forteca panowała nad całą okolicą, nad ważnym szlakiem komunikacyjnym, łączącym Kanadę z Koloniami Amerykańskimi. Dlatego nazwano ją kluczem do kontynentu. W miarę przemian historycznych forteca zmieniała trzykrotnie właścicieli. Początkowo należała do Francuzów, którzy nota bene, zbudowali ją (początek budowy - 1775 r.) pod nawą fort Carillon, następnie jej właścicielem była Wielka Brytania, a w okresie wojny rewolucyjnej znalazła się w rękach nowopowstałej Republiki Amerykańskiej.

Fort Ticonderoga składa się z czterech bastionów. Jest malowniczo usytuowany między lasami i jeziorem. Robi naprawdę duże wrażenie. Zwiedziliśmy go, zrobiłem żonie zdjęcie na dziedzińcu fortecznym między lawetami armat. Wmurowana w ścianę tablica informuje, że pomiędzy dostojnymi gośćmi, którzy odwiedzili to miejsce był również Tadeusz Kościuszko.

Na zakończenie naszej wizyty w Adirondack pojechaliśmy do Kanady, aby zwiedzić Upper Canada Village, „żywe” muzeum wsi, powstałej na przełomie XVIII i XIX wieku, obecnie zrekonstruowanej. Wieś leży w pobliżu granicy kanadyjsko-amerykańskiej.

Ten urlop, mimo że trwał około tygodnia i miał miejsce 20 lat temu, jest wciąż żywy w naszej pamięci, i często go wspominamy.

W 1987 roku uczestniczyłem w dziesiątym sympozjum chemii peptydów, zorganizowanym na Uniwersytecie Washingtona w St. Louis, w stanie Missouri. Przedstawiłem tam fragment moich badań na temat kinetyki i dyfuzji w syntezie peptydów metodą Mirrifielda.

W tym samym roku spotkało mnie coś, co wydawało mi się krzywdzącym zrządzeniem losu, ale okazało się dobrodziejstwem. Lajtha wymówił mi mieszkanie w swoim instytucie na Wards Island. Natychmiast dostałem lokum w bloku mieszkalnym należącym do Uniwersytetu Rockefellera, przy 70 ulicy, bardzo blisko mojego laboratorium oraz w pobliżu New York Hospital i Cornell University Medical Center, które działały łącznie. Moje mieszkanie było nowoczesnym, jednopokojowym apartamentem, z kuchnią i łazienką, usytuowanym na 2 piętrze. Było dość kosztowne, ale ta zamiana okazała się wkrótce korzystna dla mnie.

8 b. Atak serca

Nadszedł pamiętny dla mnie dzień 12 marca 1988 roku. Był wyjątkowo pogodny, słoneczny i ciepły, prawdziwie wiosenny. Od wczesnego rana pracowałem w laboratorium. Około południa poszedłem do kafeterii na lunch. Po powrocie podjąłem zajęcia laboratoryjne, wkrótce jednak poczułem ból w klatce piersiowej, który w miarę upływu czasu stawał się dojmujący. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Zjechałem windą na parter, wysiadłem w pobliżu drzwi wejściowych do Flexner Hall (budynek, w którym mieściło się laboratorium Merrifielda). W pobliżu stał znany mi profesor biofizyki i rozmawiał z kimś. Jacyś młodzi ludzie przechodzili śmiejąc się. Ja byłem tuż obok, bezradny. Wróciłem do laboratorium, skończyłem zaczęte doświadczenie i poszedłem do domu. Położyłem się do łóżka. Zapadał zmierzch. Ból nie ustępował. Doszedłem do wniosku, że nie zasną. Zadzwoiłem do mojego kuzyna, lekarza, Jurka Szpinaka. Mieszkał wtedy w New City pod Nowym Jorkiem. Po wysłuchaniu mojej relacji powiedział, że mam problemy z sercem i żebym poszedł do New York Hospital, który, dzięki Bogu, mieścił się w moim sąsiedztwie. Równocześnie Jurek zadzwonił tam, żeby przygotować lekarzy na moją wizytę. W szpitalu doktorzy stwierdzili u mnie atak serca i wysmiali mnie, gdy chciałem wrócić do domu po przybory do mycia.

Zadzwoiłem do żony i poinformowałem ją o moim stanie. Znalazłem się pod intensywną opieką lekarską, w tzw. intensive care unit. Dwaj lekarze opiekowali się mną przez całą noc, mierząc często mój puls, sprawdzając ciśnienie i robiąc mi zastrzyki z heparyny. Zapamiętałem nazwisko jed-

nego z nich. Był to dr Agosta, internista, wychodził z siebie, żeby mnie uratować. Często napominał mnie, żebym myślał o przyjemnych rzeczach. Całą noc miałem ostry ból w klatce piersiowej. Gdy świt rozjaśnił okna szpitalnej sali, nagle zrobiło mi się gorąco i ból ustał. To był koniec ataku serca. Jego przyczyną były zgryzoty życiowe, kłęby dymu tytoniowego i niewłaściwa dieta. Muszę powiedzieć, że lekarze ostrzegali mnie przed drugim atakiem, który rzekomo mógł nastąpić. Szczęśliwie nic takiego nie miało miejsca.

Następnego dnia, Monika przyleciała z Chicago i towarzyszyła mi przez kilka dni. Wiele osób odwiedzało mnie, m.in. Mirrifieldowie. W ramach badań po ataku serca, zrobiono mi angiogram definiujący stopień zablokowania moich arterii wieńcowych. W oparciu o uzyskane wyniki zalecono mi przeprowadzenie operacji odciążenia trzech naczyń krwionośnych, w znacznej mierze pozbawionych drożności przez złoża cholesterolu. Mówiąc krótko, groziła mi operacja trzech bajpasów.

Radziłem się różnych ludzi czy poddać się jej, ponieważ była niebezpieczna. Przekonała mnie pewna, młoda lekarka mówiąc, że nie powinienem z nią zwlekać, ponieważ mam silne serce, a jakie będzie za kilka lat, trudno przewidzieć. Według niej, konieczność przeprowadzenia operacji bez dłuższej zwłoki nie podlegała dyskusji. Należało jeszcze uzyskać drugą opinię, to jest ocenę innego kardiologa, spoza szpitala. Tak tutaj nągminnie się postępuje. Jurek Szpinak załatwił mi wizytę u znanego specjalisty z Columbia University Medical Center, Presbyterian Hospital w Nowym Jorku. Ten lekarz obejrzał mój angiogram, zbadał mnie i oświadczył, że należy zrobić operację. Zalecił mi, żebym się starał, aby zabieg wykonał dr William Isom, znany w środowisku nowojorskim specjalista chirurgii klatki piersiowej. Przed operacją, do Nowego Jorku przyjechała żona z córką.

W czasie tej choroby okazało się, jakim dobrodziejstwem była przeprowadzka do apartamentu na Manhattanie. Umożliwiła nawiązanie szybkiego kontaktu ze szpitalem, co nie byłoby takie proste w przypadku miejsca mojego poprzedniego zamieszkania na Wards Island.

Na operację do tego samego szpitala zostałem przyjęty 1 sierpnia 1988 roku, czyli bez mała cztery miesiące po ataku serca. Operacja odbyła się bez problemów. Niestety, w czasie pooperacyjnej nocy lekarze stwierdzili, że w klatce piersiowej gromadzi mi się krew i musiano ją dwukrotnie otwierać, aby zatamować krwawienie. Na drugi dzień internista powiedział Monice, że gdyby mój organizm odpowiedział spazmem na wydarzenia po-

przedniej nocy, nie byłoby mnie wśród żywych. Epizod krwawienia wiązał się z moim nieprzerwanym zażywaniem aspiryny przed operacją. Obecne przepisy zabraniają traktowania chorych aspiryną na tydzień przed jakąkolwiek chirurgiczną operacją. Po zabiegu musiałem pozostać w szpitalu przez około trzy tygodnie, ponieważ miałem stan podgorączkowy. Następnny miesiąc spędziłem w domu, w Itace, przychodząc do zdrowia i odzyskując siły.

8 c. *Laboratorium Merrifielda*

Ostatnio wymienione wydarzenia miały miejsce na tle mojej pracy w laboratorium Merrifielda, które składało się z dziesięciu pomieszczeń laboratoryjnych, zajmujących trzecie piętro dużego pawilonu zwanego Flexner Hall. W tym rozdziale zamieściłem fotografię głównego wejścia do niego. W pokojach laboratoryjnych pracowali współpracownicy Bruce'a Merrifielda, profesora uniwersytetu, twórcy nowoczesnej metody syntezy peptydów, który dominował wydarzenia tego zakładu badawczego. Przedmiotem badań tutaj prowadzonych był dalszy rozwój jego metody oraz jej praktyczne zastosowanie.

Szarą eminencją zakładu była Elizabeth (Libby), żona Merrifielda, reprezentująca wpływ w dziedzinie spraw personalnych i wydarzeń rozrywkowych. Poza eksperymentalnymi pracami badawczymi, laboratorium wyżywało się również w wygłaszaniu i dyskusowaniu referatów naukowych. Niestety, ta aktywność miała charakter sporadyczny.

Inną okazją do spotykania się wszystkich pracowników były przyjęcia organizowane z okazji Bożego Narodzenia, których centralnym wydarzeniem było rozdzielanie podarunków przez św. Mikołaja. Uroczystość tę wypełniały śmiechy i żarty pamiętane i powtarzane przez długi czas.

Obecnie chciałem się skoncentrować na osobie Merrifielda, którego kariera stanowi przykład kolei życiowych człowieka w czepku urodzonego. Pochodził z Teksasu, urodził się w 1921 roku. W Teksasie skończył szkołę średnią. W związku z przeprowadzką rodziny do Kalifornii, tam rozpoczął studia. Studiował chemię na uniwersytecie w Los Angeles, następnie na tym samym wydziale zrobił doktorat specjalizując się w biochemii. W czerwcu 1949 roku w jego życiu zaszły szybkie zmiany. 19 czerwca otrzymał doktorat, następnego dnia ożenił się i dwa dni później wyje-

chał z żoną do pracy w Nowym Jorku. Zaczął pracować jako asystent dr D.W. Woolley, profesora Uniwersytetu Rockefellera. Początkowo został przyjęty na rok, następnie jednoroczna posada przekształciła się w pracę całego życia.

Był biochemikiem z pewnym mikrobiologicznym doświadczeniem. Przez pierwsze 10 lat jego prace badawcze dotyczyły głównie biologicznej aktywności peptydów. Z tym wiązała się konieczność ich syntezy, która w tamtym czasie była trudna i pracochłonna. Merrifield pisze w swoich pamiętnikach, że otrzymanie pentapeptydu, tj. produktu kondensacji pięciu aminokwasów zabrało mu 11 miesięcy. Merrifield niejednokrotnie wspominał w rozmowach ze mną, że od dziecka miał szczególną predylekcję do majstrowania koło maszyn i rozmaitych mechanizmów. W 1959 roku przyszedł mu do głowy pomysł nowego sposobu prowadzenia syntezy peptydów. Miał on polegać na kondensacji aminokwasów w oparciu o polimery (napęczniałe żywice, stanowiące fazę stałą), zanurzone w ciekłym środowisku. Aby to zrealizować należało znaleźć odpowiedni polimer umożliwiający przeprowadzenie kondensacji w jego napęczniałym wnętrzu, ciekłe środowisko, stanowiące drugą fazę systemu reakcyjnego, wreszcie trzeba było w martwy schemat reakcyjny tchnąć życie przez określenie szczegółów laboratoryjnych umożliwiających prowadzenie syntezy tą nową metodą. Merrifieldowi zabrało to 4 lata. Metoda nadawała się do praktycznego zastosowania w 1963 roku. To, co kiedyś wymagało rocznej pracy można było teraz osiągnąć w ciągu kilku dni. Nowoczesna metoda miała ogromne znaczenie, ponieważ produkty, których dotyczyła są niezwykle ważne biologicznie, wystarczy powiedzieć, że do peptydów należą również białka.

Po jej opracowaniu busola aktywności Merrifielda wskazywała tylko jeden kierunek, było nim otrzymanie nagrody Nobla. Robił, co mógł, żeby ją otrzymać, mimo zeszpecenia twarzy przez raka skóry jeździł z wykładami, przemierzał kontynenty i miasta uniwersyteckie. Musiał na nią czekać 20 lat, nagrodę Nobla otrzymał w 1984 roku. W międzyczasie miał chwile załamania.

Należy dodać, że te sukcesy były możliwe dzięki cieplarnianym warunkom, które znalazł na Uniwersytecie Rockefellera. Zawdzięczał je dr Woolley'owi, z którym nawiązał serdeczne stosunki i owocną współpracę. Wooley był świetnym pracownikiem naukowym, obdarzonym zaletami umożliwiającym współpracę z wieloma ludźmi. Popierał projekt Merrifielda. W 1966 roku wyjechał na wycieczkę do Peru i tam nieoczekiwanie zmarł. Przed wyjazdem załatwił jednak Merrifieldowi promocję na stanowisko profesora zwyczajnego w Rockefeller University.

Merrifield mimo niewątpliwych zasług naukowych stanowił przykład osoby kontrowersyjnej; znał tylko język angielski, widziałem, że był zażenowany, gdy w jego obecności i dla niego przekładałem tekst niemiecki na język angielski; nie grzeszył też nadmierną znajomością chemii fizycznej, która pozostała jego piętą achillesową, z czego nie robił tajemnicy.

Wkrótce po rozpoczęciu pracy w jego zakładzie doszedłem do wniosku, że należało przeprowadzić inspekcję aparatury pomiarowej danych fizykochemicznych przez specjalistę z firmy Beckmana. W jej skład wchodził również spektrofotometr. Aparatura była stara i tego rodzaju sprawdzenie było uzasadnione. Poza tym inspekcja ułatwiłaby mi pracę i skróciła jej czas. Niestety, Merrifield nie zgadzał się na to, pomimo mojej gotowości zapłacenia połowy ewentualnych kosztów naprawy. Uważał, że aparatura działa prawidłowo. Pracowałem ze szczególną starannością i byłem ostrożny.

Inną sprawą, którą poruszyłem w trakcie współpracy z Merrifieldem była kwestia konsultanta. Biorąc pod uwagę, że profesor czuł się niepewnie na gruncie chemii fizycznej oraz że jego fobią była wizja popełnienia ośmieszającego błędu, sądziłem za wskazane zaproszenie chemika biegłego w dziedzinie fizykochemii polimerów jako konsultanta, ale mój szef nie chciał o tym słyszeć. Po otrzymaniu nagrody Nobla Merrifield zmienił się. Nie był to już ten odważny, energiczny człowiek z dawnych lat, podejmujący trudne zadania naukowe. Mówili o tym zwłaszcza ci, którzy znali go znacznie dłużej ode mnie, jak np. dr Stephen Kent, jego bliski współpracownik w przeszłości. Merrifield mojego czasu nie przywiązywał wagi do publikacji i charakteryzował się jakby przytłumioną aktywnością.

Wymienione powyżej przykre sprawy trudno pominąć i nie wspomnieć ich przy pisaniu pamiętników. Kiedyś odczuwałem je dogłębnie. Obecnie, izolowane przez czas i milczenie utraciły dawną ostrość i umożliwiają wydobycie z przeszłości lepszych wspomnień, jak wspólnych lunchów, czy rozmów prowadzonych w czasie spacerów. Dyskusje charakteryzowały się różnorodną tematyką, dotyczyły aktualnych wydarzeń, polityki, a nade wszystko chemii. Merrifield był sympatycznym, towarzyszem i nadzwyczajnym dyskutantem. Takie to były blaski i cienie pracy na Uniwersytecie Rockefellera.

W lecie 1989 roku nabyliśmy dom z placem na założenie ogrodu. Posesja była położona we Freeville, w odległości około 15 mil od Itaki. Zacząłem sobie zdawać sprawę, że czas pomyśleć o emeryturze. Żona przeszła na emeryturę z początkiem 1989 roku, była sama w domu i czuła się

Uniwersytet Rockefellera w Nowym Jorku



*To Bo with best wishes
Bruce Merrifield*

*Bruce Merrifield, profesor Uniwersytetu Rockefellera w Nowym Jorku,
laureat nagrody Nobla w dziedzinie chemii w 1984 r.
Bo jest skrótem mojego imienia*



*Rockefeller University. Wejście do Flexner Hall,
gdzie m.in. mieściły się laboratoria Merrifielda.
Tymi drzwiami wchodziłem do szacownej budowli 7 lat,
Merrifield przez 50*

nieswojo w takim układzie stosunków. Chciała, żebym wrócił do domu na stałe. Po ataku serca i operacji, moje zdrowie wymagało specjalnej diety i długich spacerów. Jeśli miłe mi było życie powinienem zastosować się do wymagań moich lekarzy. Po rozważaniach i konsultacjach doszedłem do wniosku, że w początku 1990 roku przejdę na emeryturę. I tak zrobiłem.

Rok później, w czasie mojej wizyty w Rockefeller University, Merrifield wręczył mi swoją fotografię opatrzoną dedykacją jako wyraz uznania dla moich osiągnięć w czasie pracy w jego laboratorium. Pracowałem w nim 7 lat i 4 miesiące, w dni powszednie i weekendy, często spędzałem tak również noce. Opracowałem szeroki zakres fizykochemii odgrywającej istotną rolę w metodzie syntezy peptydów w fazie stałej, obejmujące kinetykę, dyfuzję, właściwości elektryczne i przeszkody przestrzenne tego układu reakcyjnego. Całość mojej pracy zamknąłem w 5 manuskryptach przygotowanych do druku, które oddałem Merrifieldowi przed przejściem na emeryturę, na rok przed otrzymaniem jego pamiątkowej fotografii i na 4 lata przed otrzymaniem, zaopatrzonych w dedykację, właśnie wydanych jego pamiętników.

9. Emerytura

9 a. Nasz dom i jego otoczenie

Nasz dom to jednopiętrowy budynek z wbudowanym garażem. Jego mieszkalna część składa się z sześciu pokoi. Na parterze jest jedno duże pomieszczenie przeznaczone na bibliotekę. Na piętrze są trzy sypialnie, pokój stołowy, bawialnia, kuchnia i dwie łazienki.

Nasza posesja wchodzi w skład osiedla usytuowanego na tarasie znajdującego się u podnóża wysokiego wzniesienia. Taras stanowi półokrągłą, lekko nachyloną równinę o szerokości mili i jest przecięty publiczną drogą. Wędrowiec przemierzający ją z północy na południe, z prawej strony znajdzie się w obliczu lasu o niebotycznych drzewach, zaś po lewej będzie mijał domy usytuowane pośród trawników. Krawędź lasu od zachodu stanowi równocześnie kraniec tarasu. Teren spada gwałtownie w dół tworząc dolinę, której dnem biegnie autostrada. Nazwa osiedla Freeville jest zapożyczona od osady, której urząd pocztowy obsługuje również mieszkańców tarasu. Jego szczególne usytuowanie, łącznie z okolicznymi terenami stanowiącymi nieużytki, bądź pola kukurydzy, stworzyły z tarasu swego rodzaju ekologiczny rezerwat zwierząt i są również źródłem zatręśienia insektów.

Tutejsze tereny są widownią intensywnych wiatrów, najsilniejsze z nich wieją z południa na północ, mają źródło w nagranych słońcem wybrzeżach Zatoki Meksykańskiej (Gulf of Mexico) na Florydzie, zwykle charakteryzują się umiarkowanymi temperaturami. Kanada bywa również źródłem silnych prądów powietrznych, ale często o niskich temperaturach. Wiatry bywają niekiedy porywiste, wrywają drzewa z korzeniami. W Stanach często zdarzają się trąby powietrzne, ale u nas jest to rzadkie zjawisko. Dnie kończą się tutaj pomarańczowo-czerwonymi zachodami słońca, a poświata trwa długo po jego zniknięciu za horyzontem.

Zwiastunami zmiany pór roku są przyloty i odloty dzikich gęsi. Dłgie ich klucze, lecące z południa zwiastują wiosnę, jesienią ich gromadne opuszczanie naszych stron zapowiada bliską zimę. Kiedy wiosna jest w roz-

kwiecie, chóry żab dają koncerty, jest to jednak inny dźwięk niż żab w Stopnicy, składa się z ostrych i piskliwych dźwięków.

Kiedy zaczyna się lato do głosu dochodzą rzesze insektów, wydawane przez nie rozmaite dźwięki składają się na jedną wielką pieśń życia, która wypełnia przestrzeń naszego tarasu każdej nocy. W takim oto środowisku postanowiliśmy się osiedlić.

Muszę uzupełnić jego opis. Nie wspomnianym elementem jest pukiwanie sów. To odgłos powtarzający się godzinami, towarzyszący jako tło naszemu życiu wiosną, latem i jesienią.

9 b. Nasze mieszkanie

Kiedy znaleźliśmy się z żoną pod własnym dachem, uczciliśmy to wydarzenie kupnem oryginalnego perskiego dywanu. Właśnie w Itace miała miejsce aukcja dywanów importowanych z Azji. Ten dywan o misternych figurach w niebieskim kolorze, leży dziś na podłodze w pokoju stołowym. W bawialni, na dywanie z czerwonym ornamentem na granatowym tle stoi komplet stylowych mebli, składający się z dwu dużych foteli, dwu stolików i kozetki, nad którą wisi obraz pędzla Rafała Wąsowskiego, przedstawiający polskie, wiosenne roztopy. Można im się przyglądać bez końca, wydaje się, że obejmują cały pokój i nadają mu ton. Po prawej stronie tego płótna wisi „Zima” Nehringa, a po przeciwnej stronie pokoju obraz z Hiszpanii, przedstawiający rybaka naprawiającego sieci w przystani. To obraz pełen słońca, bez względu na pogodę za oknem.

Na ścianie klatki schodowej prowadzącej do biblioteki, znajdującej się na parterze, wisi duże, impresjonistyczne płótno pędzla Stanisława Podgórskiego, przedstawiające podkarpackie obejście gospodarskie. W środku jadalni znajduje się kwadratowy stół, oparty na 4 zwierzęcych, rzeźbionych łapach, uzupełniony przez pasujące do niego krzesła. Nad stołem wisi mosiężny żyrandol z pięcioma elektrycznymi świecami. Większość powierzchni jednej z jej ścian zajmują francuskie drzwi, które obejmują przestrzeń od sufitu do podłogi i wychodzą na duży balkon. Sąsiaduje z nimi antyczna sekretera wypełniona kryształowymi naczyniami. Trudno mi pominąć wzmiankę o pięknej reprodukcji „Dziewczyny z kolczykami” Vermeera van Delft, którą nabyłem przed laty w czeskosłowackim ośrodku kulturalnym w Warszawie.

Jeszcze wspomnę o parze antycznych, połączonych kandelabrow pięciolichtarzowych, znajdujących się w tych dwu pomieszczeniach. Z jadalnią łączy się kuchnia, stanowiąca małe laboratorium gastronomiczne.

Na ścianach klatki schodowej wiszą oprawione zdjęcia kościoła farnego w Stopnicy oraz widoków tutejszych okolic naszego domu. Schody są oświetlone dużą lampą mosiężną, zawieszoną u sufitu. Towarzyszy jej egzotyczna maska pochodząca z Afryki, wisząca nad drzwiami wejściowymi.

Przed wejściem do biblioteki wita wchodzących duży portret mołojca kozackiego, dzieło ukraińskiego malarza - dekoratora Sołomki. Kupiłem go w Moskwie w latach 60.

Ściany naszej księżnicy są wypełnione mnóstwem książek. W skład księgozbioru wchodzi kilka encyklopedii, dużo książek z dziedziny chemii, fizyki i astronomii, znaczna ich liczba dotyczy literatury polskiej i angielskiej. Obszernie jest reprezentowane pamiętnikarstwo, mamy również sporo książek z zakresu ogrodnictwa i pszczelarstwa, którym poświęciliśmy dużo uwagi w trakcie pierwszej dekady naszej emerytury.

W oczy wchodzącego do biblioteki rzuca się duży obraz, kopia słynnej „Nieznajomej” Kramskoją. Jej oryginał znajduje się w Galerii Tretjakowskiej w Moskwie, gdzie nabyłem właśnie tę kopię. Poza tym, także w Moskwie udało mi się kupić stary sztych przedstawiający Michała Łomonosowa, założyciela Uniwersytetu Moskiewskiego, znanego rosyjskiego chemika z XVIII wieku. Na ścianie, na której wisi „Nieznajoma” zrobiliśmy przerwę między książkowymi półkami i umieściliśmy piękny, rzeźbiony zegar. Swego czasu, przejeżdżając przez Kielce, zauważyłem go na wystawie jakiegoś sklepu zegarmistrzowskiego i natychmiast go kupiłem.

Biurko, fotele, kanapa i niski stół stanowią uzupełnienie umeblowania biblioteki. Ten pokój ma szerokie zastosowanie, ponieważ znajduje się tu również telewizor i urządzenia do słuchania muzyki, poza tym mieszczą się tu także przyrządy gimnastyczne, stąd nasza biblioteka jest codziennie odwiedzana. Ma nie tylko drzwi, łączące ją z klatką schodową, ale również z pralnią i garażem, wyposażonym w dwoje wrót otwieranych do góry.

Garaż jest podzielony na dwie części, przewidziane na dwa samochody. Mamy jeden, zajmujący połowę pomieszczenia. Drugą część zajmują maszyny służące do obsługi naszego ogrodu. W garażu znajduje się również podręczny warsztat z mnóstwem narzędzi umożliwiających przeprowadzanie drobnych napraw domowych oraz obsługę naszego parku maszynowego.

W naszym mieszkaniu znajdują się trzy sypialnie z ekspozycjami malarzkimi, które szczególnie odpowiadają naszym gustom, a więc w jednej wisi portret dwu główek dziewczęcych, w drugiej znajduje się surrealistyczny obraz „Początek świata”, pędzla znanego, współczesnego malarza H. Kruegera, nabyty w Nowym Jorku. Lubię go bardzo, wisi ponad 20 lat w ten sposób, że po obudzeniu się mój wzrok pada właśnie na niego. W tym samym pokoju, nad moim łóżkiem, znajduje się stary sztych przedstawiający scenę wniesienia do świątyni nowonarodzonego Jezusa. Jest to fragment ołtarza w katedrze w Antwerpii, pędzla Rubensa. W trzeciej sypialni, czyli w tzw. narożnym pokoju, znajduje się duży obraz „Dr Faust”, pędzla Rosjanina Pielewina, kupiony przeze mnie w Moskwie. Ten pokój jest wyposażony w stylowe meble, korzysta z niego nasza córka, gdy nas odwiedza.

Tylne okna naszego domu wychodzą na wschód i kiedy wchodzę rano do kuchni, przed ukazaniem się słońca, witają mnie zaróżowieniem obłoki na niebie, a na usta cisną się słowa Franciszka Karpińskiego „Kiedy ranne wstają zorze...”. Okna frontowe skierowane są na zachód i późnym popołudniem zagłąda w nie czerwona tarcza zachodzącego słońca, widoczna między pniami drzew. Wówczas ponownie powraca Karpiński z pieśnią „Wszystkie nasze dzienne sprawy...”.

W ten sposób z okien naszego domu można oglądać dwa misteria natury, tworzące jedną całość. Wschód sprzęgnięty dniem z zachodem oraz zachód związany nocą ze wschodem.

9 c. *Nasz ogród*

Jedną częścią naszego środowiska jest mieszkanie, drugą ogród. Oczywiście korzystanie z niego jest uwarunkowane pogodą. Od początku zabiegaliśmy o to, żeby teren otaczający nasz dom przekształcić w ogród. Pierwszą rzeczą, którą należało zrobić, było zdrenowanie terenu, ponieważ obfitował w źródła podziemne. Przed kupnem, oglądaliśmy go, gdy był pokryty śniegiem i nadmiernej ilości wód gruntowych nie było widać. Drenaż kosztował nas dużo pieniędzy. Drugą podstawową sprawą było usunięcie kamieni z działki mającej być ogrodem warzywnym. Stanowi ją obrzeżona strumieniem wschodnia część posesji.

Tutejsze tereny to obszary, na których lodowiec zostawił swoje ślady w postaci kamieni. Usuwałem je za pomocą dwu kilofów, z których jeden połamalem. Wykopane kamienie wozilem taczkami na brzeg strumienia. Ułożyłem z nich pewnego rodzaju wał. Była to naprawdę ciężka praca. Miejsca po usuniętych kamieniach wypełniałem ziemią przywożoną samochodem z okolicznych lasów. Przywoziłem również próchno z rozkładających się drzew i nawóz, którego chcieli się pozbyć niektórzy właściciele gospodarstw. Drzewa rosnące koło domu dostarczały ogromnych ilości liści, które rozdrabniałyśmy w specjalnej maszynie napędzanej motorem spalinowym. Następnie, góry tych pociętych liści wkopywaliśmy w ziemię. Niekiedy wydawało się nieprawdopodobne, że nasza gleba będzie w stanie zaabsorbować takie gigantyczne ich ilości. Postępując w ten sposób, po około dwu latach mieliśmy dobrze uprawioną ziemię i zaczęliśmy hodować różne rodzaje warzyw oraz inne rośliny.

Blżej domu znalazły miejsce skrzynie wypełnione szczególnie starannie uprawioną ziemią, gdzie sadziliśmy zioła, jak oregano (*Origanum vulgare*), tarragon (*Artemisia dracunculus*), szafwia lekarska (*Salvia officinalis*), macierzanka (*Thymus vulgaris*). Skrzynie tworzą podreżny ogródek i z najbliższym otoczeniem stanowią nasze centrum ogrodnicze. Na jego terenie znajdują się dwa niewielkie budynki gospodarcze, gdzie przechowujemy narzędzia. W centrum mieści się studnia artezyjska zaopatrująca dom w wodę. Wokół niej wytyczyliśmy alejki, wybrukowane płaskimi kamieniami. Wzdłuż jednej z nich, skierowanej na wschód, posadziliśmy czerwone i czarne porzeczkę dostarczające mnóstwo owoców każdego roku. Wzdłuż alejki skierowanej na północ posadziliśmy białe porzeczkę oraz aronie, które są szczególnie faworyzowane, gdyż ich jagody służą do produkcji nalewek alkoholowych, dżemów i soków. W związku z cennymi właściwościami leczniczymi aronii urządziliśmy jej dodatkową plantację, gdzie rośnie w starannie przygotowanej glebie. Północną stronę naszej posesji oddzieliśmy od sąsiada żywopłotami. Pierwszy ich odcinek stanowi szeroki pas malin, następny składa się z róż Szaronu, a ostatni z krzewów ligustru. Żywopłot agrestu oddziela nas od naszego południowego sąsiada. Należy podkreślić, że agrest i porzeczkę są tu niepopularne i nie ma ich w handlu.

Podjazd łączący nasz dom z drogą publiczną jest również obsadzony roślinami z obu stron. Wyróżniają się tam, m.in.: ogromny, podwójny świerk kanadyjski (genus *Tsuga*), „płonące krzewy” (genus *Euonymus*), których listowie nabiera szkarłatnego koloru w jesieni oraz krzewy berberysu ob-sypane, również w jesieni, czerwonymi jagodami.

Nie można powiedzieć, żeby posesja, którą kupiliśmy stanowiła pusty obszar. Nie była ogrodem, ale rosło tu szereg drzew, jak klony, jesiony, świerki i szczególnie godne uwagi tzw. „indiańskie drzewa”. Zwłaszcza jedno rzuca się w oczy, ogromne, o potężnym pniu i wielkiej, kulistej koronie. Te „indiańskie drzewa” to północnoamerykańskie dzikie wiśnie (*Prunus virginiana*). Wczesną wiosną pokrywają się białymi kwiatami, które u schyłku lata zamieniają się w czarne jagody o gorzkim smaku. Indianie używali ich do konserwacji mięsa.

Pierwsze krzewy, zakwitające wiosną to forsycje, później przychodzi kolej na krzewy bzu. Rosną od frontu i z boku domu wypełniając powietrze upajającym aromatem. Równocześnie zakwitają jabłonie, grusze i brzoskwinie a także nektarynki. Wszystkie drzewa owocowe zasadziliśmy sami. Przyzwyczajony byłem do drzew owocowych, ponieważ mieliśmy ich dużą liczbę w Janowie pod Solcem-Zdrojem. Sądziłem w prostocie ducha, że będziemy mieć tu sytuację do jakiej przywykłem w Polsce, czyli że posadzimy drzewa i będziemy zbierać owoce. Nic podobnego. Tutaj drzewa owocowe trzeba spryskiwać środkami grzybobójczymi, bo jeśli się tego nie zrobi, nie będzie żadnych zbiorów. Każda odmiana ma „swojego” szkodnika. Najwięcej kłopotów sprawiają jabłonie, szczególnie upodobane przez szkodniki. Przez cały okres wegetacji, za wyjątkiem 2-3 tygodni przed zbiorem owoców, drzewa trzeba spryskiwać co tydzień roztworem fungicydów. Względnie odporne są grusze. Z brzoskwiniami i śliwkami też są kłopoty, ale nie takie jak z jabłoniami. Po sześciu, siedmiu latach istnienia naszego ogrodu, jegodrzewa i krzewy rozrosły się, atakując coraz bardziej trawniki i powiększając przydzielony im teren egzystencji. Odnoszę wrażenie, że cała powierzchnia ogrodu stała się jednym wielkim organizmem, w którym rośliny wywierają na siebie wzajemny wpływ. Cały ogród, oddzielony żywopłotami od zewnętrznego otoczenia, stał się ekologicznie odrębną jednostką, niezwykłą dzięki kolorom drzew i krzewów na tle zieleni trawników, a więc głęboko czerwonym liściom ozdobnych klonów i jabłoni oraz seledynowo zabarwionej niezwyklej odmianie akacji.

9 d. Nasze życie

Naszą emerytalną egzystencję można podzielić na dwie kategorie. Jedną jest osiadłe życie, jakie prowadzimy w Freeville, drugą stanowią nasze podróże. W tym rozdziale chcę opisać pierwszą część, która składa się z zajęć intelektualnych oraz prac na świeżym powietrzu. Zajęcia intelektualne obejmują studia lingwistyczne, komputerowe i inne. Należy do nich oczywiście czytanie książek. Krystyna czyta około 100 książek rocznie. Jest to lektura w języku angielskim, ponieważ polskie książki naszej biblioteki, które ją interesowały, już dawno przeczytała. Gdy dopisuje pogoda, zajmujemy się ogrodem. I tak, w kwietniu zaczynamy prace od wymiany oleju i świec zapłonowych w motorach oraz ostrzenia noży w maszynach służących do koszenia trawników. Pierwsze koszenie ma miejsce na początku maja, potem powtarzamy je w maju i czerwcu w odstępach tygodniowych. W lipcu i sierpniu trawniki są koszone co dwa tygodnie. Do koszenia służą dwie kosiarki i traktor ogrodowy.

Traktorem kosimy większe, otwarte przestrzenie, natomiast małe podręczne kosiarki używamy do strzyżenia trawników wzdłuż żywopłotów, alejek i rabat.

Trawniki wymagają też nawożenia, tak wiosną jak i jesienią. Materiały do ich użyźniania kupuje się w specjalnych sklepach. W czerwcu i lipcu zbieramy czerwone i czarne porzeczki oraz maliny. Truskawek nie hodujemy, natomiast własnoręcznie zbieramy je na farmach zajmujących się ich uprawą. Obniża to ich cenę, poza tym stanowi dla nas pewną rozrywkę.

Podobnie ma się sprawa z czarnymi jagodami, kultywowanymi na farmach. Jest to tutaj szczególna odmiana tych owoców rosnących na krzewach, ich zbiór przypada na późne lato, wtedy zbieramy również jagody aronii. Po zbiorze owoców następuje ich przetwarzanie, cała operacja „owocowa” stanowi pracochłonne przedsięwzięcie obejmujące produkcję dżemów i konfitur, również nalewek alkoholowych oraz mrożenie czarnych jagód, truskawek i malin.

Następnym naszym zadaniem, już o jesiennym charakterze jest grabienie i usuwanie opadających liści. Ten proces zaczyna się z końcem października. Tych liści jest bardzo dużo, na szczęście po drugiej stronie drogi jest las i mieszkańcy ulicy Morrisa mogą tam wywozić liście usuwane ze swoich ogrodów. Po zrobieniu porządku z liśćmi pozostaje nam przygotować działkę do zimy, owinąć drucianą siatką pnie drzew w celu zabezpieczenia ich przed sarnami i zającami.

Pisząc o naszym życiu nie wspominałem o pszczelarstwie, które przez siedem lat pochłaniało sporo mojego czasu. Od wczesnej młodości interesowałem się trzmielami i pszczołami. W naszym podsoleckim majątku posiadaliśmy małą pasiekę obsługiwaną przez dochodzącego pszczelarza. Osiedlając się we Freeville chciałem mieć pszczoły. W 1992 roku zapisałem się na kurs pszczelarski prowadzony przez Ryszarda Taylora, profesora filozofii na pobliskim uniwersytecie w Rochester. Dla niego pszczelarstwo stanowiło drugi zawód. Był autorem zarówno traktatów filozoficznych jak i książek oraz artykułów na temat hodowli pszczół i produkcji miodu.

Moją karierę pszczelarską zacząłem od trzech uli. Postępowałem zgodnie z radami profesora R. Morse'a, dyrektora pszczelarskiego laboratorium badawczego w Cornell University. Celem mojej pracy było z jednej strony zaspokojenie zainteresowań pszczelarskimi społeczeństwami, z drugiej chciałem zaopatrzyć nasze gospodarstwo domowe w miód własnej produkcji. Nie wiedziałem, że to przedsięwzięcie wymaga odpowiedniej liczby uli, których w pasiece nie może być mniej niż 4-5. Wiąże się to z koniecznością wzmocnienia osłabionego roju przez pszczele robotnice silniejszej kolonii, gdy liczba pszczół spada poniżej pewnego minimum.

Pszczelarstwa nauczyłem się gruntownie. Gdy czegoś nie wiedziałem, kontaktowałem się z zawodowymi pszczelarzami. Poza tym byłem członkiem lokalnego klubu pszczelarskiego. Po kilku latach stałem się samodzielnym pszczelarzem i sam decydowałem o sprawach mojej pasieki. Poznałem różne strony psychologii pszczelego środowiska, np. byłem kilkakrotnie świadkiem zabijania królowej. Jest to akt popełniany gromadnie przez dużą liczbę robotnic, tworzących wokół nieszczęsnej królowej kulę, która ma na celu uduszenie jej. Kilkakrotnie miałem możliwość interweniowania w celu niedopuszczenia do wykonania wyroku. Gdy jednak doszło do egzekucji i w ulu zapanowało bezkrólewie, wtedy inicjatywę starały się przejąć niektóre pszczoły-robotnice. Te pseudo-królowe znosiły niezaplodnione jaja, z których powstawały trutnie. W rezultacie liczebność kolonii malała i jej los wydawał się przesądzony, groziła jej zagłada. W takim przypadku opróżniałem ul, wyrzucając bezceremonialnie wszystkie pszczoły na trawnik. Tysiące ich latało wokoło mnie. Normalne pszczoły z reguły wracały od ula, pseudo-królowe natomiast, ociążałe i niezdolne do lotu, pozostawały na zewnątrz. Tego właśnie chciałem, usuwałem te pseudo-królowe i następnie wprowadzałem nową królową. W ulu należało stworzyć środowisko sprzyjające jej akceptacji. W tym celu najkorzystniejszym układem było nagromadzenie młodych pszczół-robotnic w jego strategicz-

nych miejscach. Mimo stworzenia optymalnych warunków trzeba było zachować daleko idącą ostrożność przy wprowadzaniu nowej królowej. Te kupowałem zazwyczaj u renomowanych hodowców. Były przysyłane pocztą w małych klatkach. Towarzystwo im świty, składające się z kilku robotnic, karmiących je w czasie podróży. Po wprowadzeniu do ula otwartej klateczki królowa zwlekała z opuszczeniem jej bojąc się nowego środowiska. Gdy wreszcie zamieszkała w ulu, przez kilka dni sprawdzałem, jak sobie radzi. Czując, że jest poszukiwana, chowała się za robotnicami.

Pszczoły mają licznych wrogów, do najgroźniejszych należą roztocze. Szczególnie niebezpieczny jest *Varroa jacobsoni*, który żywi się larwami trutni i jest roznoszony przez pszczoły po całym ulu. Wspominam o tej zarazie, ponieważ swego czasu była przyczyną ogromnych strat w produkcji miodu w skali krajowej. Dużo czasu spędziłem niszcząc komórki z nierozwiniętymi trutniami, eliminując w ten sposób niebezpieczne pasożyty.

Nie zdawałem sobie sprawy, że konieczność utrzymania kilku uli spowoduje nadmiar produkcji miodu w stosunku do zapotrzebowania na niego. Po kilku latach miałem 7 uli, które produkowały około 50 kg miodu każdy, czyli rocznie zbierałem kilkaset kg miodu, gdy tymczasem domowe zapotrzebowanie wynosiło około 15 - 20 kg.

W rezultacie stanąłem wobec nie byle jakiego dylematu, co zrobić z ogromnym nadmiarem miodu. Sprzedawać! Taka była konkluzja wstępnych rozważań.

Część miodu przyjmowały stoiska z warzywami i owocami. Kolejną część sprzedawał mój syn, który miał odbiorców na znaczną ilość słodkiego produktu. Ja też brałem udział w tych operacjach handlowych, co miało ten pozytywny skutek, że poznawałem ludzi z bliższej i dalszej okolicy. Mój miód miał powodzenie, stanowił produkt nektaru z żółtych kwiatów dziurawca i był ogromnie aromatyczny. Ludzie ubiegali się o niego i często dzwoniли do mnie w tej sprawie. Jednak z uwagi na czasochłonność pszczelarskiego hobby oraz dużego wysiłku fizycznego, którego wymagało, żona domagała się zaniechania go. Po siedmiu latach parania się pszczelarstwem sprzedawałem pszczoły i cały sprzęt pszczelarski.

Po operacji serca w 1988 r., lekarze kazali mi dużo chodzić. Początkowo chodziłem z żoną 2-3 mile dziennie. Po pewnym czasie Krystyna zrezygnowała z tych wędrówek i sam kontynuowałem spacerować. W ciągu 10 lat przechodziłem około 8 tysięcy mil. Chodziłem tak często, jak było to możliwe, nawet w czasie szarug. Celem urozmaicenia spacerów zmieniałem ich trasy i w ten sposób poznałem okolice naszego miejsca zamieszka-

Emerytura



*Moje zdjęcie zrobione wkrótce po ataku serca, w początku maja 1988 r.
Fot. Ryszard Hetnarski*



*Nasz dom we Freeville widziany z równoległej do niego publicznej drogi.
Fot. B. Hetnarski*



*Krystyna na emeryturze,
przed naszym domem.
Fot. B. Hetnarski*



*Dolna część jednego z uli mojej pasieki
stanowiąca platformę pełniącą funkcję pszczelego lotniska.
Fot. B. Hetnarski*

nia. Uprawiałem ten sport nawet w czasie naszych samochodowych wycieczek krajoznawczych. Po przerwie na lunch, żona czekała na mnie w kafeteriach, a ja wychodziłem na przechadzki. Szedłem szybkim krokiem, bowiem celem tych ćwiczeń było zwalczanie nadciśnienia krwi, a szybkość marszu stanowi, w tym przypadku, istotny parametr.

9 e. Nasze podróże

Floryda

Na Florydę chciałem pojechać z żoną. Wiedziałem, że będzie to nie byle jakie przeżycie i żeby dać mu właściwą oprawę należało je dzielić z kimś bliskim. Żona niepokoiła się wzrostem przestępczości na Florydzie oraz wielkością naszego samochodu, uważała że jest za mały na pokonywanie takich odległości, jak wycieczka na Florydę. Było to 1200 mil, czyli około 1800 km. Z doświadczenia wiem, że bez specjalnego wysiłku mogę przejechać dziennie 400 mil, a zatem podróż z Freeville na Florydę zabrałaby trzy dni. Do tego należało dodać jeszcze dzień na osiągnięcie południowej Florydy, siedliska rajskiego klimatu.

Po dwu latach namawiania udało mi się w końcu przekonać żonę, że przy zachowaniu pewnych środków ostrożności można bezpiecznie zwiedzić Florydę oraz że nasz samochód jest wystarczająco duży na taką podróż.

Rankiem, 16 lutego 1995 roku, opuściliśmy nasze pielesze. Droga wiodła przez Pensylwanię, Maryland, Zachodnią Wirginię, Wirginię, Północną Karolinę, Południową Karolinę i Georgię. Z reguły, z moteli wyjeżdżaliśmy koło 9 rano. W południe stawaliśmy na lunch i po godzinie jechaliśmy dalej przez 3-4 godziny. Między czwartą i szóstą opuszczaliśmy ruchliwe autostrady i szukaliśmy noclegu w motelu. Chcieliśmy także odpocząć przed kolejnym dniem. Wystrzegałem się jazdy nocą. Było to niebezpieczne. Większość wypadków na autostradach ma miejsce właśnie w nocy. W czasie pierwszych dwóch dni podróży pogoda nam dopisywała, ale trzeciego, gdy byliśmy na terenie Georgii, zaczął padać ulewny deszcz.

Żona chciała przeczekać złą aurę w motelu, namówiłem ją jednak do kontynuowania podróży i pojechaliśmy dalej. Widoczność na drodze była słaba, jedynym wskaźnikiem kierunku jazdy było tylne światło poprzedza-

jącego nas samochodu. Na poboczach autostrady pełno było pojazdów, które wpadły w poślizg i wyładowały poza jej obrębem. W końcu dojechalśmy do granicy stanów Georgia i Floryda. Było chłodne, pochmurne i wilgotne popołudnie. Zatrzymaliśmy się w miejscowości Yulee, przy międzystanowej autostradzie nr 95. Wynajęliśmy pokój w motelu Days Inn.

Następnego dnia wyruszyliśmy na południe i zatrzymaliśmy się w miejscowości Bell Glade, w pobliżu jeziora Okeechobee, które uważaliśmy za marker południowej Florydy. Stamtąd udaliśmy się na zwiedzanie Flamingo Gardens, położonych w pobliżu Fort Lauderdale. W skład ptaszarni wchodziła również wyspa specjalnie przystosowana do hodowli flamingów, wysokich, brodzących ptaków, o upierzeniu czerwonym lub różowym. Ogrody zawierały również kolekcję podzwrotnikowych roślin, ale nas interesowały głównie te ptaki.

Następnie zwiedziliśmy Florida Keys - sznur wysepek wzdłuż południowego brzegu półwyspu. Największą jest pierwsza od wschodu wyspa Largo. Ostatnia, Key West, stanowi najbardziej na południowy zachód wysunięty obszar należący do USA. Wysepki są zagospodarowane, mają plaże, sklepy i motele. Przejechaliśmy samochodem autostradę łączącą wszystkie wysepki. Widok był imponujący. Na Key West spędziliśmy dwa dni zwiedzając tamtejsze akwarium, dom Hemingwaya oraz dom Audubona, znanego przyrodnika. John James Audubon nigdy nie przebywał w tym domu. Urodzony w końcu XVIII wieku na Haiti, mieszkał i pracował w Key West. Był malarzem - ornitologiem. Na jego cześć nazwano jego imieniem zarówno dom-muzeum jak i towarzystwo opiekujące się nim. Organizacja ta popiera działalność w zakresie ochrony przyrody.

W Key West mieliśmy przygodę. Sądziliśmy, że spędzimy tam tylko jeden dzień, ale okazało się, że to było za krótko i trzeba było zostać na następny dzień, ale na zbliżający się weekend zjechało mnóstwo wycieczkowiczów i motele były przepełnione. Za nocleg zażądano od nas 170 dolarów, podczas gdy normalnie płaciliśmy 40 - 50. Ponieważ mieliśmy ze sobą namiot i nadmuchiwane materace udaliśmy się na kemping, gdzie spędziliśmy ciepłą i pogodną noc. Zapłaciliśmy 30 dolarów. Był to jedyny przyrządek, w czasie całej wycieczki, spania na kempingu w namiocie.

Po zwiedzeniu Florida Keys przez kilka dni odwiedziliśmy plaże położone powyżej wyspy Largo, a następnie udaliśmy się do Fairchild Tropical Gardens. Otwarte w 1938 roku, mieszczą największe w USA zbiory tropikalnych roślin oraz fragmenty podzwrotnikowych lasów.

Z dużym zainteresowaniem zwiedziliśmy Everglades National Park, który zajmuje znaczną część południowej Florydy. Jest to rzeka o powierzchni około 600 000 ha i szerokości 50 mil (75 km), która powoli spływa na południe. Odnacza się minimalnym spadkiem, 2 cm na kilometr. Jest płytka, o głębokości zaledwie kilkunastu centymetrów, zasilana opadami i wodami jeziora Okeechobee. Stanowi niezwykle życiodajne środowisko dla różnych przedstawicieli fauny i flory. Porośnięta mangrowymi zaroślami posiada taką florę jak Kuba i Indie Zachodnie. Żyje tu około 300 gatunków ptaków i 600 odmian innych zwierząt.

Wzięliśmy udział w wycieczce po tym niezwykłym parku jadąc elektrycznym tramwajem. W trakcie pieszej eskapady mieliśmy spotkanie z grupą wygrzewających się na słońcu krokodyli.

Z Everglades pojechaliśmy Aleją Aligatorów do Naples, gdzie podziwialiśmy słynne plaże publiczne o długości 41 mil. Naples znajduje się na zachodnim wybrzeżu Florydy, jest położone nad Zatoką Meksykańską i stanowi milionowe miasto. Z Naples wróciliśmy do południowej części Florydy, którą zwiedziliśmy robiąc wycieczki w okolicy Florida City, miasta stanowiącego centrum handlu rolniczymi produktami tego regionu. Z południowej Florydy przenieśliśmy się do jej części środkowej, do Davenport, w pobliżu Orlando.

Zamieszkaliśmy w motelu o romantycznej nazwie Gospoda Zachodzącego Słońca i stamtąd organizowaliśmy krajoznawcze wycieczki. Pierwszą było zwiedzenie Cypress Gardens (Cyprysowych Ogrodów).

Te ogrody były szaleństwem botaniki, na 90 ha zgromadzono ok. 8 000 różnych roślin z całego świata, między nimi pokazano wszystkie róże kultywowane w Ameryce. Były tu również tysiące swobodnie latających motyli hodowanych w specjalnej sekcji ogrodów. Poza tymi niezwykłymi wystawami zbudowano tam również quasi kaplicę, w której uroczyscie zawierane są śluby.

W pobliżu Cypress Gardens znajduje się również serpentarium, a w nim pokazano większość żyjących na świecie węży. Oglądaliśmy je również. Być na Florydzie i nie widzieć Walt Disney World to tak, jak być w Rzymie i nie widzieć papieża! Obejrzenie większości spektakli dostępnych w ramach tego niezwykłego przedsięwzięcia wymagałoby dłuższego czasu, którego nie mieliśmy. Oglądaliśmy więc niektóre, m.in. Magiczne Królestwo, w którym odtworzono XIX-wieczną ulicę z kinami wyświetlającymi nieme filmy, kawiarniami i sklepami, i konnymi tramwajami. Możliwości uczestniczenia w tych spektaklach były niezliczone i tak np. na Placu Wolności można

było oglądać wczesną Amerykę na pokładzie parowca, w nawiedzonym domu wędruje się przez mroczny budynek, w którym straszyc itp.

Nigdy nie zapomnę momentu, kiedy siedząc w dużej łodzi wpłynęliśmy do ogromnej hali, której ściany pokrywały figurki dzieci ze wszystkich części świata machające chorągiewkami i wykrzykujące słowa powitania. Był to spektakl „Świat jest mały”, w sekcji Kraj Fantazji (Fantasy Land).

Zwiedziliśmy też słynne akwarium Świat Morza. Związana z nim broszura zapowiadała, że dzięki tej ekspozycji zobaczymy inny świat. I istotnie, przez ogromne, przezroczyste tafle ścian mogliśmy oglądać cuda. Podziw budziło niezwykle bogactwo form i kolorów morskiej fauny i flory. Godny podziwu był też poziom techniki i technologii umożliwiający zorganizowanie takiej ekspozycji. Na tym skończyliśmy nasz program zwiedzania Florydy, w którym najważniejszą rolę grały zjawiska natury, a tylko drugorzędną, relikty historyczne.

Teksas

Zwiedzenie Florydy zachęciło nas do organizowania dalszych tego rodzaju wycieczek. Mieliśmy zamiar zwiedzić w ten sposób południowy Teksas i stamtąd pojechać do Wielkiego Kanionu w Arizonie.

W połowie marca 1996 r. wybraliśmy się w podróż do Teksasu, oczywiście samochodem. Tym razem nasza podróż trwała dwa razy dłużej niż w przypadku Florydy. Trasa wiodła przez stany: Pensylwanię, Ohio, Kentucky, Tennessee i Arcansas. Po tygodniowej jeździe dotarliśmy do malowniczych, blisko siebie położonych miejscowości: Port Isabel i South Padre Island, charakteryzujących się mnóstwem tropikalnej roślinności i białymi plażami, których twarde powierzchnie umożliwiały podjazd samochodem niemal do linii wody Zatoki Meksykańskiej.

Po tygodniu spędzonym na zwiedzaniu okolicy i pobycie na plażach przenieśliśmy się do położonego na północy miasteczka Rockport, liczącego około 5 tysięcy mieszkańców. Mieliśmy tam dobre warunki. Na plażę dostawaliśmy się promem, który przewoził także nasz samochód. Rockport znane jest z popularnego rezerwatu ptaków. Charakterystyczną cechą tej miejscowości są nieustanne wiatry wiejące od strony Zatoki Meksykańskiej. Pamiętam, że pewnego razu przejeżdżaliśmy koło dużego sadu, którego pnie nachylone były w stronę lądu. Stanowiło to ilustrację prądów powietrznych w tamtych stronach.

Zastanawiałem się nad różnicami warunków na Florydzie i w Teksasie. Byliśmy za krótko aby je ocenić biorąc pod uwagę aspekt klimatyczny, natomiast z punktu widzenia ekonomii Teksas jest tańszy. Na przyjazdowych parkingach widzi się samochody niemal z całych Stanów, nawet z miejscowości bliżej położonych w stosunku do Florydy niż Teksasu. Podczas gdy na Florydzie często spotyka się Europejczyków, w Teksasie są widziani głównie mieszkańcy Ameryki.

Wartą odwiedzenia miejscowością był Corpus Christi. W powszednim dniu robi wrażenie cichego, prowincjonalnego miasta mimo obecności muzeów, morskiego akwarium oraz 250 tys. mieszkańców. Metamorfoza z tego uspionego stanu do burzliwego, kipiącego życiem środowiska zachodzi podczas weekendów, gdy do miasta przybywają rzesze turystów.

Ważniejszym miastem od Corpus Christi było San Antonio. Poświęciliśmy szereg dni na zwiedzenie go.

Nasza taktyka zwiedzania większych miast polegała na lokowaniu się w miasteczkach położonych w ich pobliżu. Ceny noclegów były tam znacznie niższe. W przypadku San Antonio pomocniczą miejscowością była osada Floresville, schludna i dobrze zaopatrzona.

San Antonio jest jednym z najładniejszych miast w Stanach. Pełne podzwrotnikowej roślinności, obfitujące w ogrody botaniczne, muzea, parki, pamiętki historyczne, jak Alamo - obecne centrum San Antonio, które kiedyś było misją franciszkańską, założoną przez Hiszpanów w początku XVIII wieku. Historyczne wydarzenia przekształciły ją w bastion, wokół którego toczyły się zacięte walki armii meksykańskiej i patriotów z Teksasu, w latach 1835-1836. Niezapomniane zostały w naszych wspomnieniach kawiarenki i restauracje ulokowane na wodnych nabrzeżach miasta.

Z żalem musieliśmy zrezygnować z poznania Grand Canyon położonego w północno-zachodniej Arizonie, ponieważ okazało się, że zakwaterowanie tam należy rezerwować w zimie, wiosną było już na to za późno. Duża szkoda, ponieważ Grand Canyon stanowi jedyną na świecie ilustrację procesów geologicznych odsłoniętych przez rzekę Colorado w ciągu wielu milionów lat erozji. Niezbyt odległy od Grand Canyon jest też Petrified Forest National Park, w którym można oglądać największą na świecie kolekcję skamieniałych drzew.

Egipt

Chcieliśmy wyjechać poza Stany Zjednoczone. Czas uciekał. Braliśmy pod uwagę kwestie zdrowia, które nie wiadomo jak długo jeszcze pozwoli nam na dalekie podróże. Wybór padł na Włochy. Podróż tę chcieliśmy odbyć z polskim biurem podróży, mieliśmy bowiem zamiar połączyć tę wycieczkę z odwiedzeniem Polski. Moja znajoma w Polsce, Kazia Biernacka, wdowa po moim koleździe doktorze Władysławie Biernackim, była dobrze zorientowana w korzystaniu z pomocy polskich biur podróży. Sugerowała korzystanie z usług Sigma Travel, biura z centralą w Warszawie.

W trakcie organizowania wyjazdu do Włoch dowiedziałem się, że Sigma właśnie przygotowuje wycieczkę do Egiptu, którego zwiedzenie było moim marzeniem od czasu przeczytania Faraona Bolesława Prusa. Byłem tak podniecony tą możliwością, że bez porozumienia się z żoną zmieniłem plany i załatwiłem podróż do Egiptu.

W początku września 1997 roku wyjechaliśmy ze Stanów do Polski, a 10 odlecieliśmy z Warszawy do Egiptu. Pierwszym portem docelowym była Hurghada nad Morzem Czerwonym. Nie było czasu na zapoznanie się z tą miejscowością, ponieważ tego samego dnia odjechaliśmy autokarem do Kairu. Należy dodać, że w tamtym czasie sytuacja polityczna w Egipcie była napięta w związku z aktywnością radykalnych grup religijnych. Dlatego też takie, jak ta, dłuższe podróże, odbywały się pod osłoną oddziałów wojskowych. W Kairze zostaliśmy zakwaterowani w hotelu. Osobliwa rzecz, w tamtejszych hotelach, rzekomo pierwszej klasy, stałe czegoś brakowało, podstawowe urządzenia sanitarne były często niesprawne. Należało więc zzywać członków obsługi i domagać się naprawy nie funkcjonującego urządzenia.

Cała wycieczka składała się z dwóch etapów. Pierwszym było zwiedzenie Kairu i miejscowości położonych w jego pobliżu. Zabrało to 7 dni. Mieliśmy doskonałego przewodnika, szkoda, że nie pamiętam jego nazwiska, chętnie bym je tu wymienił. Wrażenie, jakie wywarły na nas zabytki starożytnego Egiptu było ogromne. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że anulowane zostały tysiące lat dzielące nas od czasu, kiedy wspaniałe budowle nie były zabytkami, ale pełniły społeczne i religijne role w codziennym życiu i że my, po usunięciu bariery czasu, staliśmy w ich obliczu. Nie było już kapłanów i wiernych wyznawców. Przeminięli. Zadaniem naszej wyobraźni było zaludnienie ich i wskrzeszenie niezwykłej przeszłości.

Wierzenia i zwyczaje kultywowane tutaj miały miejsce często 5 tys. lat temu. W Memfis, „mieście białych ścian”, oglądaliśmy posągi Ramzesa II i sfinksy, w Gizie piramidy i posąg wielkiego sfinksa, a w Saqqara schodkową piramidę Dżosera, liczącą około 5 tysięcy lat. W jej pobliżu umieszczono mastaby, tj. budowle o płaskich dachach, ukośnych ścianach bocznych, zakrywające wejścia do pomieszczeń, w których znajdowały się sarkofagi ze zwłokami wysokiej rangi urzędników i wybitnych kapłanów.

Nasz przewodnik doradził mi, żebym udał się do mastaby wysokiej rangi urzędnika nazwiskiem Ti, z piątej dynastii, jeśli chcę zobaczyć coś szczególnie interesującego. Dotarcie do niej związane było z dłuższym spacerem przez piaski pustyni, nasza grupa nie zwiedzała tego obiektu i musiałem to zrobić sam.

Gdy dotarłem do tej mastaby byłem zmęczony i spocony, ale zapomniałem o tym natychmiast po przekroczeniu jej progu. Znalazłem się w komnacie, której ściany były pokryte kolorowymi płaskorzeźbami obrazującymi prace staroegipskich rolników, cały cykl produkcji rolniczej od zasiewu po zbiory oraz pracę rzemieślników, jak stolarzy czy rzeźbiarzy. To wszystko natychmiast ożywiło rzeczywistość istniejącą cztery i pół tysiąca lat temu, stanowiąc pomost łączący nasze czasy z życiem sprzed tysięcy lat.

Utrudnieniem w zwiedzaniu była grypa, którą zaraziliśmy się prawdopodobnie w trakcie podróży. W czasie zwiedzania zbiorów Muzeum Egipskiego w Kairze miałem wysoką gorączkę, żona twierdziła, że miałem pozieleniałą twarz. Moją uwagę przykuła tam pośmiertna maska Tutenchamona, osiemnastoletniego faraona. Bynajmniej nie dlatego, że była zrobiona ze złota, ale ze względu na jej nadzwyczajne wykonanie. Powstała około 3 300 lat temu.

Z Muzeum Egipskim łączy się pewna ponura historia. Po opuszczeniu przez nas Kairu, plac przed tym muzeum był widownią krwawego ataku grupy egipskich fundamentalistów na niemieckich turystów.

W ramach drugiego etapu naszej wycieczki opuściliśmy Kair i udaliśmy się pociągiem do Assuanu, gdzie znajduje się wielka tama na Nilu. Tam zostaliśmy zaokrętowani i zeglłowaliśmy po Nilu zatrzymując się w interesujących miejscach celem zwiedzenia ich zabytków.

Pierwszym z nich był olbrzymi ogród botaniczny na wyspie Kitchenera, dalej świątynia Izydy, bogini płodności na wyspie Filae oraz miejscowość Kom Ombo ze świątyniami Sobka, boga krokodyli i Horusa, uważanego za boga słońca. Z pobytem w Kom Ombo wiąże się moja przygoda, mianowicie o mały włos nasz statek odpłynąłby beze mnie. Zajęty kupowaniem pamiątek

nie zwróciłem uwagi, że mija czas odpłynięcia okrętu. Oddalił się, ale niedaleko, zawiadomiony z lądu, zawrócił i dostałem się na jego pokład.

Zwiedziliśmy również świątynię Horusa w Efdu. W końcu dotarliśmy do Luksoru, w pobliżu którego leży Karnak. Stanowią one pozostałości po Tebach, staroegipskiej metropolii Górnego Egiptu, będącej stolicą królestwa w okresie XI dynastii (ok. 2052-1991 p.n.e.) oraz w czasach Nowego Państwa i Późnej Epoki (ok. 1570-332 p.n.e.).

W czasach świetności, Teby były centrum życia religijnego, politycznego i kulturalnego. Mieszkalna część miasta, piękne wille, pałace, ogrody i świątynie znajdowały się po wschodniej (prawej) stronie Nilu. Na lewym brzegu budowano wprawdzie pałace faraonów, ale utarł się pogląd, że Nil dzielił Teby na dwa obszary, domenę żywych na prawym i domenę zmarłych na lewym brzegu. Na zachodnim, lewym brzegu, znajdowały się bowiem świątynie poświęcone grobowemu kultowi zmarłych (kolosy Memnona, zespół świątyń w Deir Bahri) oraz nekropolie, Dolina Królów i Dolina Królowych. Na początku naszej ery Teby przestały istnieć, mimo to wspaniałe świątynie w Luksorze i Karnaku oparły się zębowi czasu. W Luksorze przetrwała świątynia trójcy bogów tebańskich: Amona-Re, czczonego jako króla bogów, jego żony Mut i syna Khonsu.

Skoncentrowaliśmy się na oglądaniu świątyni Amona-Re w Karnaku. Ta świątynia graniczy na północy ze świątynią tebańskiego boga wojny Montu, a na południu ze świątynią bogini Mut, sprawującej pieczę nad wymiarem sprawiedliwości w Egipcie. Obie nie były udostępnione do zwiedzania.

Pierwszą część świątyni Amona-Re stanowi Wielki Dziedziniec, słynny ze względu na znajdującą się tam kolumnadę złożoną z 40 sfinksów z głowami baranów. Na Wielki Dziedziniec wchodzi się przez bramę pierwszego pylonu (to pary masywnych struktur trapezoidealnych otaczające bramy, budowane z kamienia, często ozdobione reliefami i napisami). Poszczególne części świątyni są oddzielone sześcioma pylonami i zakończone świątynią faraona Tutmosa III. Na lewym brzegu Nilu, jak wspomniałem, znajduje się słynna Dolina Królów, stanowiąca nekropolię faraonów XVIII-XX dynastii (1550-1191 p.n.e.), zwiedziliśmy niektóre ze znajdujących się tam grobowców.

Następnie pojechaliśmy do pobliskiej miejscowości Dair Bahri, która jest siedzibą zespołu świątyń, z których jedną zrekonstruowano. To świątynia pośmiertnego kultu królowej Hatszepsut, żony faraona Tutmosa II, która po śmierci męża była regentką sprawującą władzę w imieniu małoletniego pasierba, późniejszego faraona Tutmosa III, syna Tutmosa II i konkubiny Ese. Po siedmiu latach przejęła władzę królewską, którą sprawowała do końca

życia. Sukcesem jej rządów była pokojowa polityka i działalność zmierzająca do podniesienia dobrobytu kraju.

Ta świątynia jest często pokazywana ze względu na jej odrębność architektoniczną. Na tle typowych, ciężkich budowli starożytnego Egiptu, jest ona lekka, można rzec ażurowa. Składa się z trzech tarasów, których sale zakrywają wykute w skale grobowe sanktuarium królowej. Rekonstrukcja przywróciła świetność budowli, którą zniszczyły siły natury, ale również zemsta Tutmosa III oraz obrazoburcza polityka Amenhotepa IV, który przejściowo wprowadził monoteizm słońca. Tarcza słoneczna (Aton) została uznana w czasie jego panowania za bóstwo państwowe Egiptu.

Ostatnimi obiektami na naszej trasie były dwa kolosy z Memnon - posągi Amenhotepa III. Na tym zakończyliśmy zwiedzanie Egiptu i autokarem, pod osłoną oddziału wojskowego udaliśmy się do Hurghady nad Morzem Czerwonym, którego lazurową barwę, na przekór oficjalnej nazwy, podziwialiśmy na początku naszego pobytu w Egipcie. Kilka dni spędziliśmy na plażach w Hurghadzie, a następnie z tamtejszego lotniska odlecieliśmy do Warszawy.

* * *

W roku 1998 postanowiliśmy odpocząć od dalekosiężnych wycieczek i wybraliśmy się „tylko” w okolice Chicago pokonując 1 000 milową odległość, celem odwiedzenia naszej córki, Moniki. Mieszkała w Libertyville, miasteczku położonym na przedmieściu Chicago.

W drodze do niej, fatum sprawiło, że mieliśmy wypadek, w którym frontowe drzwi naszego samochodu zostały uszkodzone przez mijającą nas ciężarówkę. Wydarzenie to nie przeszkodziło nam spędzić z Moniką przyjemnych dwu tygodni w jej bardzo ładnym domu położonym w dobrze utrzymanym ogrodzie. Następnie, wróciliśmy do Freeville naszym samochodem, który naprawiliśmy po powrocie do domu.

Włochy

Do Włoch wybrałem się sam w 1999 roku. Żona odmówiła wyjazdu ze względu na trudy takiej eskapady. Istotnie, wycieczki organizowane przez „nasze”, polskie biuro podróży, wymagały dobrej zaprawy fizycznej. Plan

zakładał zobaczenie jak najwięcej, w jak najkrótszym czasie. Z tym wiązała się sprawa posiłków, składających się ze skromnego śniadania wczesnie rano oraz tzw. obiadokolacji, podawanych wieczorem, około godz. 20. Cały dzień wypełniony był zwiedzaniem. Oczywiście, można było posilić się kupionymi kanapkami, nie było to jednak tym samym co spokojnie zjedzony obiad. Poza tym dla ludzi starszych jedzenie głównego posiłku tuż przed snem nie jest wskazane.

Pierwszym etapem mojej wyprawy była podróż do Warszawy. W Warszawie, jak zwykle zatrzymałem się w mieszkaniu koleżanki, Irki Idzikowskiej-Missalowej na Żoliborzu. Tę dzielnicę Warszawy lubię najbardziej. Złożyłem wizyty znajomym, a 3 września wyjechałem autokarem wycieczkowym do Włoch. Jechaliśmy przez Cieszyn do Brna, gdzie zatrzymaliśmy się na pierwszy nocleg. Następnego dnia przejechaliśmy przez Austrię, skąd pozostały mi wspomnienia Tyrolu, jego wspaniałych lasów i z rzadka rozsianych osiedli, widzianych z okien autokaru.

Pod wieczór, 4 września dotarliśmy do Wenecji. Kiedy żona odmówiła wyjazdu sądziłem, że będę bardzo samotny. Nie tylko, że nie będę miał z kim dzielić się wrażeniami, ale będę musiał korzystać ze wspólnego pokoju hotelowego z kimś obcym, ponieważ pokoje były dwuosobowe. Te dwie trudności zostały rozwiązane na wstępie, bowiem zaraz na początku zawarłem znajomość z dżentelmenem w moim wieku. Większość uczestników stanowiły małżeństwa, a my dwaj byliśmy samotni. Moim nowym znajomym był Edmund Kopicki, wdowiec, były wojskowy, który po przejściu na emeryturę zajmował się numizmatyką. Stwierdziliśmy, że mamy podobne światopoglądy, zaprzyjaźniliśmy się i staliśmy się nieodłącznymi towarzyszami. Ta, zawiązana w czasie dwutygodniowej wycieczki znajomość trwa już sześć lat mimo że, dzieli nas ocean.

Pierwszym etapem wycieczki było zwiedzenie Wenecji, miasta położonego na 117 wyspach podzielonych 150 kanałami i połączonych 400 mostami. Z kanałów najbardziej znanym jest Canale Grande, stanowiący główną arterię komunikacyjną, a z mostów Ponte Rialto, zbudowany w XVI wieku. Dwa rzędy znajdujących się na nim sklepów stanowią magnes dla turystów poszukujących pamiątek. Szczególnym widokiem jest niezapomniany Plac Św. Marka wraz z campanillą, dzwonnica zbudowaną około X wieku, zrekonstruowaną po jej zawałeniu się w 1902 roku. Na tym placu znajdują się dwie najbardziej imponujące budowle Wenecji: Katedra św. Marka i Pałac Dożów. Obie pochodzą z X wieku. Katedra stanowi klasyczny przykład architektury bizantyjskiej, natomiast pałac jest znakomitym przykładem włoskiego gotyku z elementami wczesnego renesansu.

Wenecja jest wprost usiana pięknymi kościołami stanowiącymi przykłady różnych epok i stylów.

Widok kanałów z przepływającymi gondolami pozostaje w pamięci na zawsze. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że utrzymanie tego fenomenu stanowi nie lada techniczny i ekonomiczny problem. Wiąże się z koniecznością wymiany wody w kanałach oraz walką ze szkodliwymi gryzoniami.

Następnym etapem naszej wycieczki była Siena, jedno z najładniejszych tokańskich miast, posiadająca katedrę gotycką i ratusz. Mieliśmy niezwykłego przewodnika, Polkę osiadłą w pobliżu tego miasta, historyka sztuki. Była świetnie obeznana ze Sieną i jej zabytkami, wyjaśniała nam z entuzjazmem ich związek z historycznymi wydarzeniami minionych czasów.

Pełni oczekowań dotarliśmy do Rzymu, którego zabytki znane z rycin i fotografii, a teraz oglądane w naturze, zrobiły na nas duże wrażenie. Tutaj również korzystaliśmy z usług doskonałej przewodniczki, również Polki.

Przed naszymi oczami budowle odległej przeszłości stapiały się z architekturą nowych czasów, jako przykład może posłużyć Kapitol, stanowiący jedno z siedmiu rzymskich wzgórz, bastion, ośrodek religijny, symbol imperium rzymskiego, przebudowany przez Michała Anioła w XVI wieku.

Podobnie rzecz się miała z bazyliką św. Piotra i jej otoczeniem. Pierwsza bazylika, wzniesiona przez Konstantyna Wielkiego w IV wieku, została zburzona. Bramante, w XVI wieku, był pierwszym z szeregu architektów, którzy stworzyli widoczną dzisiaj świątynię i jej środowisko. Prace prowadzone były z przerwami do lat 30. XX wieku.

Podróżując na południe, wzdłuż Półwyspu Apenińskiego dotarliśmy do Monte Cassino, gdzie znajduje się opactwo benedyktyńskie, założone w VI wieku. Moje zainteresowanie skoncentrowało się na polskim cmentarzu wojskowym z czasów II wojny światowej. Z reguły nie lubię cmentarzy wojskowych, ponieważ identyczność grobów podkreśla właściwości śmierci, niwelowania indywidualizmu zmarłych. Na zwykłych cmentarzach groby różnią się przynajmniej nagrobkami. Ten cmentarz był wyjątkowy, ponieważ moją uwagę przykuł tam grób Henryka Zienkiewicza, żołnierza armii Andersa, urodzonego we Lwowie w 1924 roku, poległego pod Monte Cassino w 1944 roku. Zginął mając zaledwie 20 lat. Co za zły los przywiódł go ze Lwowa do Włoch i wprowadził w ślepą uliczkę zaciętych walk, które odebrały mu życie. Urodziliśmy się w tym samym roku. Ja też przez pewien czas mieszkałem we Lwowie. Gdyby żył moglibyśmy się spotkać. Gdyby ...

W pobliżu Monte Cassino znajdują się Pompeje. Stanowiły zamożne osiedle, były portem handlowym, miały charakter ośrodka wypoczynkowego, pełnego wytwornych willi. Szereg warsztatów rzemieślniczych, kilka świątyń, palestra, dwa teatry oraz mur obronny świadczą o ich zamożności. W 79 r. n.e. wybuch Wezuwiusza zniszczył Pompeje kompletnie, podobnie jak pobliskie Herculanium. O tragedii, jaka się tutaj rozegrała świadczą gipsowe odlewy ciał zachowanych w wulkanicznym popiele, o przedśmiertnych mękach ginących mówią ich niezwykle pozy. Obecnie odkopane miasto stanowi muzeum, ekspozycję pod otwartym niebem, co trochę łagodzi jego upiorny charakter. Chodziłem ulicami wymarłego miasta obok przewodnika, który objaśniał, gdzie mieściły się sklepy, zamożne wille, lupanary.

Jadąc dalej na południe przemierzyliśmy trzy prowincje: Kampanię, Bazylikatę i Kalabrię. W końcu dotarliśmy do cieśniny oddzielającej Półwysep Apeniński od Sycylii i z Villa San Giovanni przepłynęliśmy się promem do Messyny na Sycylii, która jest górzystym krajem o bogatej roślinności podzwrotnikowej, malowniczych krajobrazach i wielu pomnikach starożytnej przeszłości. Pierwszą wycieczką na Sycylii była podróż kolejką na szczyt najwyższego czynnego wulkanu w Europie, Etny (ok. 3 000 m n.p.m.). Zrobiłem zdjęcie żarzącej się lawy. Na Sycylii często spotyka się relikty kultury greckiej i rzymskiej, np. w Taorminie zwiedziliśmy doskonale zachowany teatr grecki, a w Agrigento Dolinę Świątyń, gdzie najładniejszym i najlepiej zachowanym przykładem greckiej architektury była Świątynia Zgody.

Ostatnie dwa miasta zwiedzane na Sycylii to Palermo i Monreale. To drugie usytuowane jest na stoku góry Monte Caputo, posiada katedrę zbudowaną przez Normanów oraz krużganki w byłym klasztorze benedyktynów. W Palermo najbardziej wryły mi się w pamięć katakumby z podobiznami pochowanych tam ludzi.

Z Palermo odlecieliśmy samolotem do Warszawy.

Hiszpania

W 2000 roku postanowiłem nigdzie nie wyjeżdżać. Odczuwałem bóle mięśni nóg w czasie chodzenia. Robiłem dużo ćwiczeń gimnastycznych. Miałem niejasne przeczucie, że czeka mnie operacja dolnego odcinka kręgosłupa. W związku z tym zdecydowałem się przyspieszyć zwiedzenie Hiszpanii i Portugalii. Hiszpanią, jej kulturą i historią, a nade wszystko językiem, interesowałem się od dawna.

W ostatnim czasie studiowałem język hiszpański i uczęszczałem na jego kursy. W początku 2001 roku opłaciłem wycieczkę na Półwysep Iberyjski. Miała odbyć w drugiej połowie roku. Mimo kłopotów ze zdrowiem opłaciłem całość wyjazdu chcąc mieć możliwość wyboru miejsca w autokarze. Była to istotna sprawa, ponieważ w autokarowych wycieczkach znaczną część zwiedzanego kraju poznaje się z okien autobusu.

W miarę upływu miesięcy stan moich nóg pogarszał się, zmuszony byłem do korzystania z laski i zacząłem brać leki uśmierzające ból. Przeżywałem momenty niepewności, wątpliwości, czy nie powinienem zrezygnować z wyjazdu. W końcu zdecydowałem się pojechać, uważając, że będę mógł liczyć na pomoc innych uczestników wycieczki. W poprzednich wyjazdach również towarzyszyły mi kłopoty zdrowotne i skwapliwa pomoc wycieczkowiczów pomogła mi przezwyciężyć te trudności. Byłem niemal pewien, że i tym razem mogę na nich liczyć. Nie zawiodłem się.

Wkrótce po wylądowaniu w Maladze, a było to 30 sierpnia, poznałem Ludwika Bukowskiego, docenta z Gdańskiej Akademii Medycznej. Podobnie jak ja, podróżował samotnie. Doszukaliśmy się wspólnych znajomych w Gdańsku i zdecydowaliśmy się na wspólny pokój w hotelu. Trzymaliśmy się razem i przy wielu okazjach Ludwik był mi bardzo pomocny.

Z Malagi udaliśmy się autokarem do Granady. Jej najcenniejszym obiektem jest Alhambra, klejnot cywilizacji mauretańskiej. Jest to zespół pałacowo-ogrodowy, zbudowany w XIII i XIV wieku przez kalifów. Te zabytki wbiły mi się w pamięć, nie tylko z uwagi na ich piękno, ale również ze względu na sposób w jaki je zwiedzałem, mianowicie o lasce. Przekuśtykałem przez cały zespół wzdłuż i wszerz, po schodach, pawilonach, komnatach, alejkach, wirydarzach i wzniesieniach. Miałem czas, żeby się przyjrzeć wszystkiemu. Po raz pierwszy oglądałem w naturze arabską architekturę i zdobnictwo, i doprawdy byłem urzeczony ich lekkością i koronkową subtelnością. Ogród też wywarł na mnie duże wrażenie, godna uwagi była jego architektura, a wiele rosnących tam roślin widziałem po raz pierwszy. W sumie, pierwszy dzień zwiedzania skończył się pomyślnie. Byłem w optymistycznym nastroju i nabrałem pewności, że mimo niedomagań nóg wszystko dobrze się ułoży.

Następnym etapem była Barcelona. Amfiteatralnie położona na przybrzeżnych wzgórzach, jest dużym portem śródziemnomorskim i pod względem zaludnienia drugim miastem w Hiszpanii oraz największym ośrodkiem przemysłu w tym kraju.

Chodząc po jej zadrzewionych, szerokich ulicach przypominałem sobie, jak moja matka ubierając się rano nuciła piosenkę zaczynającą się od słów „Znam uliczkę w Barcelonie pachnącą kwiatem jabłoni...”. Zadawałem sobie retoryczne pytanie: o której z ulic śpiewała moja matka? Daremny trud. Moje wspomnienia to tylko nierealne echo przeszłości.

Barcelona dzieli się na dwie części, starą (Ciudad) i nowoczesną (Eustache). Romańskie i gotyckie kościoły stanowią atrakcję starej części, między nimi wyróżnia się katedra św. Eulalii (XIII wiek).

Największą atrakcją nowej części są dzieła znanego architekta hiszpańskiego A. Gaudiego, tworzącego na przełomie XIX i XX wieku. Stoją tu: kościół Sagrada Familia, kompleks mieszkaniowy Casa Mila, pałac Guell wraz z parkiem i kaplicą. Najbardziej rzucający się w oczy jest kościół, widoczny z daleka, stanowi charakterystyczny akcent w panoramie miasta.

Czy zaprojektowane przez Gaudiego budowle są ładne? Zadawałem sobie to pytanie wielokrotnie. Sądzę, że są oryginalne, nie można ich pominąć, ale są tak różne od tego do czego jesteśmy przyzwyczajeni, że trudno dać jednoznaczną odpowiedź na to pytanie.

Syci wrażeń udaliśmy się do Saragossy, o której myślałem niejednokrotnie w różnych okresach mojego życia. Jestem pewien, że czytelnicy Popiołów Żeromskiego pamiętają postać Krzysztofa Cedry, który brał udział w oblężeniu Saragossy przez wojska francuskie. Działo się to w 1808 roku, w czasie walk napoleońskiej armii z Hiszpanami.

Miasto leży nad rzeką Ebro, której brzegi łączy kamienny most. W jego pobliżu znajduje się duży plac (Plaza del Pilar), przy którym stoją dwa kościoły, katedra i bazylika. Tę ładną kompozycję architektoniczną dobrze zapamiętałem.

Następnym etapem był Madryt, miasto pięknych placów i szerokich ulic nadających stolicy charakter nowoczesnej metropolii.

Dla mnie największą atrakcją była galeria malarstwa Prado, której poświęciłem gros czasu przeznaczonego na zwiedzanie. Zawiera zbiory obrazów malarzy hiszpańskich, jak El Greco, Velazqueza, Goyi, ale także prace mistrzów włoskich, francuskich i flamandzkich.

Potem udaliśmy się do Avila. Poczuliśmy się zdezorientowani, bowiem znaleźliśmy się w średniowiecznym mieście. Mury obronne Avila są najlepiej zachowanymi średniowiecznymi fortyfikacjami w Europie. W centrum miasta znajduje się wspaniały plac Mayor, z którego rozchodzą się ulice biegnące do bram miejskich. Zwiedzanie Avilii odbywało się w at-

mosferze stale żywych wspomnień o życiu św. Teresy, która tu się urodziła w XVI wieku. Jej okazały pomnik zdobi miasto.

Ostatnim miejskim ośrodkiem w Hiszpanii jaki zwiedziliśmy była Salamanka, miasto licznych kościołów i jednego z najładniejszych placów kraju, placu Mayor. Jest on otoczony portykowymi podcieniami i zawiera okazały ratusz. Miasto chlubi się posiadaniem rzymskiego mostu spinającego brzegi rzeki Tormes.

Salamanka jest miastem uniwersyteckim, pierwszy uniwersytet erygowano tu w 1218 roku. Dzisiaj na terenie miasta działają 3 wyższe uczelnie. Na tym zakończyliśmy zwiedzanie Hiszpanii i udaliśmy się do Portugalii.

Portugalia

Za stałą bazę zwiedzania Portugalii obrano Fatimę, do której wracaliśmy wieczorem na nocleg. Znajduje się tam słynne Sanktuarium Maryjne, nawiedzane dwa razy w roku przez pielgrzymki.

W Alcobaca, miejscowości niezbyt odległej od Fatimy, zbudowano klasztor cystersów Santa Maria de Alcobaca, pochodzący z XII wieku. Między mieszczącymi się w kościele nagrobkami, dwa zwracają szczególną uwagę. Są to pomniki pary nieszczęśliwych kochanków - króla Pedry I i Ines de Castro. Tragedia rozegrała się w XIV wieku. Pedro był synem króla Filipa IV, który polecił uśmiercić Ines, kochankę syna. Po śmierci ojca, Pedro wstąpił na tron i wówczas ukarał zabójców ukochanej. Zgodnie z jego wolą oboje zostali pochowani w dwóch oddzielnych sarkofagach ustawionych tak, żeby w czasie Sądu Ostatecznego, gdy tylko podniosą głowy, mogli natychmiast siebie zobaczyć.

Zwiedziłem Lizbonę. Podobnie jak Madryt, jest to miasto pięknych placów i skwerów. Trzęsienie ziemi, które nawiedziło stolicę Portugalii w 1755 roku umożliwiło jej przebudowę wg planów markiza de Pombal. Podziwiałem Pomnik Odkrywców w formie kamiennego okrętu z pokładem, wzdłuż którego stoją znakomici marynarze, podróżnicy i odkrywcy. Przy dziobie, na czele tej plejady, stoi posąg Henryka Żeglarza, następnie Alfonsa V, patrona pierwszych odkrywców, dalej Vasco da Gama i innych. Ten monument streszcza ważny rozdział historii kraju.

Poza budowlami i pomnikami moją uwagę przykuło w Lizbonie akwarium ilustrujące życie w oceanie (Oceanario de Lisboa), podobne do tego, jakie oglądałem na Florydzie. Należy przyznać, że amerykańskie było większe, o znacznie szerszej ekspozycji życia podwodnego.

Na północ od Lizbony znajduje się drugie co do wielkości miasto Portugalii, Porto. Jest portem, znajduje się nad rzeką Douro, w pobliżu oceanu, od którego dzieli je odległość 5 mil. Jest ośrodkiem przemysłu, produkuje się tu m.in. wina (słynne Porto), eksportowane od czasów średniowiecza. Zwiedziliśmy centrum miasta i braliśmy udział w degustacji win w jednej z winiarnianych piwnic.

Po zwiedzeniu trzech innych miast udaliśmy się do prowincji Algarve, na południu Portugalii. Tam klimat jest łagodniejszy niż w innych regionach kraju wskutek prądów morskich i powietrznych z sąsiedniej Afryki.

W Algarve zostaliśmy zakwaterowani w miejscowości Portimao, skąd było blisko do pięknej plaży Praia da Rocha. Aby szybko dostać się na plażę mogliśmy korzystać z autobusu należącego do naszego biura podróży.

Po dwu dniach spędzonych na plaży mieliśmy odlecieć do Warszawy, ale wypadki polityczne, atak na drapacze chmur w Nowym Jorku 11 września, sprawiły, że nasz powrót do Warszawy opóźnił się o jeden dzień. Odlecieliśmy z lotniska w Faro 16 września. Tak dobiegła końca moja ostatnia przygoda krajoznawcza.

Nasze dalekosiężne podróże



Zachód słońca nad Nilem w pobliżu Kom Ombo. Fot. B. Hetnarski



Egipt, 1977 r.

*Krystyna zwiedzająca świątynię
boga Amona Re w Karnaku.
Fot. B. Hetnarski*



*Świątynia królowej Hotszepsut.
Fot. B. Hetnarski*

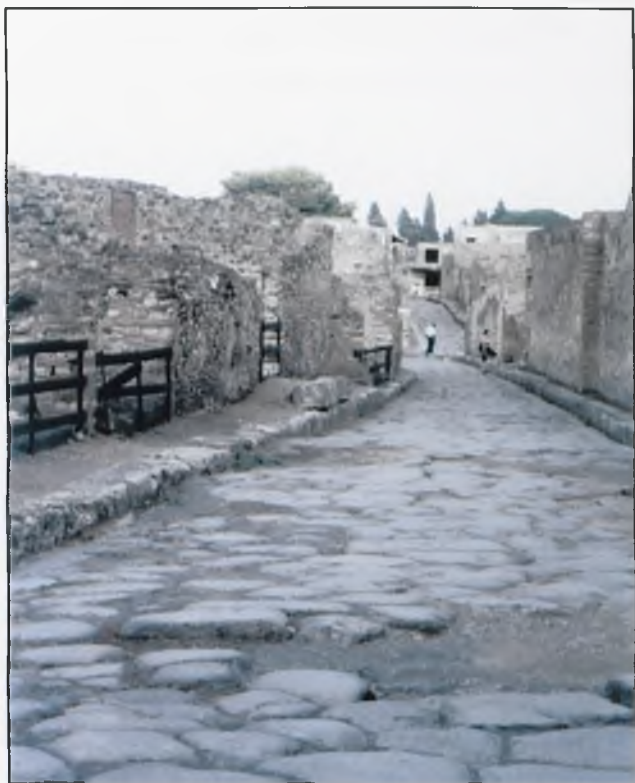


*Nasza córka Monika, w jej domu
w Libiertyville na przedmieściach
Chicago, 1998 r.
Fot. B. Hetnarski*



Włochy i Sycylia 1999 r.

*Wenecki kanał.
Fot. B. Hetnarski*



*Pompeje - fragment ruin miasta.
Fot. B. Hetnarski*



*Jestem na szczycie Etny, o krok od żarzącej się lawy czynnego wulkanu.
Fot. B. Hetnarski*

Hiszpania i Portugalia 2001 r.



Rzymski most na rzece Ebro w Saragossie. Fot. B. Hetnarski



Park Edwarda VII w Lizbonie. Fot. B. Hetnarski

Zakończenie

Kontakty z krajem

Nasze życie byłoby ubogie, gdyby ograniczało się jedynie do Ameryki. Urodziliśmy się w Polsce, w której mieszkaliśmy 45 lat, tam skończyliśmy studia i pracowaliśmy około 20 lat. W tym czasie rozwinęliśmy przyjazne stosunki z wieloma ludźmi. Nasza emigracja nie anulowała ich, jedynie je zmodyfikowała. Zabrakło osobistych kontaktów i rozmów.

W ciągu 35 lat spędzonych w USA żona odwiedziła Polskę tylko jeden raz, ja byłem w kraju czterokrotnie. Mimo, że odwiedziny są ważne, wzmacniają i ożywiają osobiste stosunki, ich rzadkość uszczupla znacznie tego sposobu komunikowania się.

Inną formą kontaktów jest korespondencja. Kiedyś miała duże znaczenie, z biegiem lat coraz rzadziej piszę i otrzymuję listy. Korespondencja ogranicza się głównie do przesyłania świątecznych życzeń.

Dużą rolę w kontaktach ze znajomymi odgrywają telefony. Kiedyś ustępowały miejsca listom, obecnie w znacznej mierze zastępują je. Rozmowy telefoniczne mają tę wyższość, że są żywym, bezpośrednim środkiem komunikacji, poza tym są natychmiastowym kontaktem, podczas gdy informacje listowe wysyłane ze Stanów docierają do adresatów w Polsce po 7-10 dniach. Należy jednak pamiętać, że rozmowy telefoniczne mają swoje ograniczenia, bowiem dzieli nas sześciogodzinna różnica w czasie. I kiedy my chcielibyśmy wieczorem porozmawiać z kimś w Polsce, to on (ona) może już dawno spać.

Mimo tych komplikacji tylko część naszego życia znajduje się w Stanach, a reszta stale tkwi w Polsce.

Podziękowania

Składam serdeczne podziękowanie mojej żonie Krystynie, za stworzenie mi warunków umożliwiających redakcję moich pamiętników oraz mojemu bratu Ryszardowi B. Hetnarskiemu za krytyczne uwagi wyrażone pod adresem pierwowzoru moich wspomnień. Poza tym wyrażam serdeczne dzięki moim przyjaciołom i znajomym: Zbigniewowi Borchólskiemu, Ryszardowi Górze, Eugeniuszowi Grzyłowi, Czesławowi Gule, Bolesławowi Helisowi, Irenie Idzikowskiej-Missala, Romualdowi Kopińskiemu, Piotrowi Kalecie, Hannie Lawera, Stefanii Leszczyńskiej, Tadeuszowi Leszczyńskiemu, Bożenie Michaleckiej, Ewie Rokosz, Antoniemu Uzarowiczowi i Krzysztofowi Wołoszynowskiemu. Moja wdzięczność dotyczy uściślenia niektórych faktów z przeszłości, uzupełnienia imion pewnych osób, o których piszę oraz wzmocnienia treści moich wspomnień fotografiami i rysunkami. W tym ostatnim względzie szczególnie zobowiązany jestem Wiesławowi Piaseczyńskiemu za wykonanie w ołówku, na moją prośbę, cyklu widokowych szkiców z Gór Świętokrzyskich.

Celem podkreślenia mojej wdzięczności pragnę dodać, że Tadeusz Leszczyński jest koneserem wszelkich spraw związanych ze Stopnicą i jej okolicami. Żywą encyklopedią wiedzy o Stopnicy jest również Antoni Uzarowicz. Opierając się na jego relacji opisałem w moich pamiętnikach okoliczności śmierci Jana Szmita i Bronisława Pałysa na wiosnę 1944 r. Jego informacje wykorzystałem także do odtworzenia wydarzeń na terenie posesji Stelmaszyńskich przy ul. Soleckiej, 3 sierpnia 1944 r., poprzedzających śmierć prof. Feliksa Stelmaszyńskiego.

Bibliografia

Bibliografia stanowi źródło niektórych cytatów oraz faktów historycznych

1. Garus R., „Przewodnik dla zmotoryzowanych Kielce - Sandomierz - Góry Świętokrzyskie, Kielce 2004”
2. J M, „Żydzi w Stopnicy”; ZAM, „Stopnica” Goniec Staszowski 1990, nr 9:
3. Jerzmanowski J., „W starych Kielcach”, Kraków 1975
4. Landau L., „Kronika lat wojny i okupacji, T. I i II”, Warszawa 1962
5. Leszczyński J.T., „Stopnica”, Kielce 2003
6. Maszczyński T., „Szydłów”, Kielce 1967
7. Salomon A., „Rys historyczny dziejów Stopnicy”, Kielce 1999
8. Smarzyński H., „Powiat Busko-Zdrój”, Kraków 1960
9. Wielka Encyklopedia Powszechna PWN, Warszawa 1966
10. Wiśniewski J., „Historyczny opis kościołów, miast, zabytków i pamiątek w Stopnickiem”, Mariówka 1929
11. Żeromski S., „Dzienniki t. 3, 1888-1891”, Warszawa 1966
12. Żeromski S., „Syzyfowe prace”, Kraków 1952

Indeks nazwisk

- Adams Roger 126
Adelajda (rozwidziona żona Kazimierza Wiekiego) 122
Agosta (lekarz) 205
Aleksander Jagiellończyk (z dyn. Jagiellonów, król pol.) 9
Aleksander I (car) 10
Aleksander Wielki 14
Alfons V (król Portugalii) 233
Allilujewa Swietlana (córka Stalina) 187
Amenhotep IV (faraon) 227
Amon-Re i jego rodzina (egip. mit.) 226
Andersen Hans Christian 25, 54
Antosz Marian 111
Ariadna (postać z grec. mit.) 162
Aronzon Izaak (skrzypek) 80-81
Audubon John James 220
August III (August III Fryderyk, z dyn. Wettinów, król pol.)
10, 82
- Baldwin (biskup krakowski) 7
Barbara (gosposia) 107
Bartoszewscy 58
Basiński Antoni 111
Belniak Konstanty 131
Belon Wanda 194
Bełżecki Czesław 124
Bem Józef 16
Berak Józef 69
Beresiewicz (tenant Stelmaszyńskich) 93
Biernacka Kazimiera 224
Biernacki Władysław 137

Blusztajn Anna (Andzia) 81
Blusztajn Majorek 81
Bodzanta (biskup krakowski) 119
Bolesław Krzywousty 116-117
Bolesław Wstydlivy 117
Bona Sforza d'Aragona (królowa polska, druga żona Zygmunta I Starego) 122
Borchólski Zbigniew 236
Borowski Edward 111
Bramante 229
Brodziński Kazimierz 73
Brückner Alesander 118
Buczowski Zbigniew 126-127
Bukowski Ludwik 231
Bursche-Gardawska Jadwiga (pierwsza żona Aleksandra Gardawskiego) 125
Byliński Tadeusz (sędzia Sądu Najwyższego) 131

Cedro Krzysztof 232
Celewicz Tadeusz 110-111, 113-114
Cezar Casius Iulius (rzymski wódz, mąż stanu i pisarz) 14
Chmielnicki Bohdan 9
Cholewa Mateusz 8
Chomicka Zofia 127
Chrzanowski Ignacy 73
Ciborowski Janusz 128
Cortés Hernán (konkwistador) 171
Csaba Wadasz 185
Czarny Marcin 119
Czermińscy Stanisław i Krystyna 194-195
Czerwiński Marian 108

Damokles 101
Daniewski Włodzimierz (właściciel Solca-Zdroju) 31, 70
Dekert Jan 10
Dembicki Krzysztof (oficjał i kanonik sandomierski, również stopnicki proboszcz) 82
Dembiński Henryk 16
Detlev Bronk 200, 205
Disney Walt 221
Długosz Jan 7
Dłuscy Stefan i Maria 43-44
Dudzikowa Jadwiga 88
Dziedzic Franciszek 12, 56

Eckstein Wojciech 131
Eckstein Zygmunt 131-135, 137
Edward VII (król angielski) wstawka ilustr. „Nasze dalekosiężne podróże” 234/235
Ehrenpreis Seymour 189-192, 196
Einstein Albert 135
El Greco 232

Filip IV (król portug.) 233
Filipowicz Stefan 51, 55, 59, 99, 120
św. Franciszek z Asyżu 9
Franciszek Ferdynand Habsburg (arcyksiążę) 160

Gałdecki Zdzisław 106
Gardawski Aleksander 108, 125
Gardawska Jadwiga zob. Bursche-Gardawska Jadwiga
Gardawscy 125
Gaudi Antonio 232
Giełgut (pułkownik, komendant Korpusu Kadetów we Lwowie) 61

Gosnold Bartholomew 172
Goya (Goya y Lucientes) 232
Gienia (przyjaciółka mojej matki) 125
Gomułka Witold 123, 127
Góra Ryszard, wstawka ilustr. „Nowa Stopnica” 100/101, 236
Górski Witold 94
Grabowski Zbigniew 146
Greenberg Joel 190
Grimm Jacob i Wilhelm (bracia) 54
Gromadzy 42, 56
Gromadzki Tomasz 42, 56, 88, 91
Gronek Ryszard 76
Gruszewski Maciej (Maciek) 75
Grzyl Eugeniusz 44, 236
Guła Czesław 236
Gutman V. 158-159

Hassman Franciszek 119
Hatshepsut (Hatszepsut), (żona faraona Tutmosa II) 226-227
św. Helena 118
Helis Bolesław 236
Hemingway Ernest 220
Henryk III Walezy (z dyn. Walezjuszów, król pol.) 9
Henryk Żeglarz Dom Enrique (królewicz portug.) 233
Hetnarski Bogumił Witold 56, 145, wstawka ilustr. „Emerytura” 218/219
Hetnarski Bronisław 107-108
Hetnarska Hanna Krystyna (moja żona) 128, 141, 162, 165, 173, wstawka ilustr. „Pierwsze kroki w U.S.A.” 178/179, 191, 202, 216, wstawka ilustr. „Emerytura” 218/219, wstawka ilustr. „Nasze dalekosieżne podróże” 234/235, 236
Hetnarska Izabela (moja matka) 45
Hetnarski Jan (mój ojciec) 45, 102
Hetnarska Marianna (matka mojego ojca) 102

Hetnarska Monika (Jasieniek, moja córka) 157, 165, wstawka ilustr., „Pierwsze kroki w U.S.A.” 178/179, 186, 192, wstawka ilustr., „Nasze dalekosiężne podróże” 234/235
Hetnarski Paweł (Pol, mój syn) 157-158, 165, wstawka ilustr. „Pierwsze kroki w U.S.A.” 178/179, 186, 192
Hetnarski Ryszard Bożysław (Rysiek, mój brat) 50-51, 148-150, wstawka ilustr. „Emerytura” 218/219, 236
Hogan Nancy 170
Horus (bóg słońca, mitol. egip.) 225
Hugo Wiktor (Victor) 66
Hurwic Józef 148

Idzikowska (Idzikowska-Missala) Irena 107, 228, 236
Ignasiowa (służąca) 44
Infeld Leopold 135-136
Isom William 205
Izyda (bogini płodności, mitol. egip.) 225

Jakusz Aleksander (technik) 127
Jan Kazimierz (Jan II Kazimierz, z dyn. Wazów, król pol.) 10
św. Jan Nepomucen 26
Jan Olbracht (Jan I Olbracht, z dyn. Jagiellonów, król. pol.) 9
Jan III Sobieski (król pol.) 10, 15, 116
Jan ze Stobnicy (Stobniczcin) 15
Jasińska Eugenia (żona Teofila Jasińskiego) 53
Jasińska Stefania (Dzidka, córka Eugenii i Teofila Jasińskich) 53, 89
Jasiński Teofil (mój nauczyciel i wychowawca w stopnickiej szkole powszechnej) 53, 88
Jasińska Wanda (siostra Dzidki) 53, 89
Jażdżewski Konrad 108
Jefferson Tomasz (Thomas) 175
Jen-Tzaw Huang 188
Jerzmanowski Jerzy 102
Józefowicz Edward 104-105

Kabała Józef 128
Kadłubek Wincenty 14, 119
Kahl Ryszard (Rysiek) 75
Kaleta Piotr wstawka ilustr. „Nowa Stopnica” 100/101, 236
Kalinowski Stanisław 75
Kałuski Z. 141
Kamieński Leon 110
Kapuściński Władysław 105
św. Karol Boromeusz 11, 13
Karpiński Franciszek 74, 213
św. Katarzyna (patronka kościoła klasztornego w powyżej wspomnianej osadzie) 116
Katarzyna II (cesarzowa ros.) 100
Katz Mark 198
Kazimierz II Sprawiedliwy 14
Kazimierz Wielki (Kazimierz III Wielki, z dyn. Piastów, król pol.) 8, 9, 19, 116, 124, 121, 122
Kazuhiko Kubota 190
Kemula Wiktor 129
Kennedy J. F. 161
Kent Stephen 208
Kitowicz Jędrzej 74
Klajnman Zygmunt 69, 80
Kleiner Juliusz 76
Kletowski Eugeniusz 51
Kochanowski Jan 74
Kocór Marian 144, 148
Komoniewski Maksymilian 24, 40
Konopnicka Maria 54
Konstantyn Wielki (Flavius Valerius Constantinus) 229
Koon Sea 185
Kopicki Edmund 228
Kopiński Romuald (lekarz) 7, 236

Korkuczański Adam 124
Korzeń (sędzia Sądu Najwyższego) 131
Kosikowski 164
Kościuszko Tadeusz 203
Kotlerówna Janina (Janka) 124
Kowalik Romuald 134
Kozłowska (przyjaciółka mojej matki) 193
Krak (legendarny założyciel Krakowa) 14
Kramskoj Iwan N. 212
Krasicki Ignacy 74
Krawcow Dmitrij Nikołajewicz (Dima) 138-139
Krueger H. 213
Krukowiecki Jan Stefan 16
Krzywicki Janusz 106
Krzywonos Maksym 9
Kuczyński Antoni (proboszcz parafii stopnickiej) 42
Kulesza Jan 127
Kurzepa Henryka 166
Kutkiewicz Wiesław 146

Lajtha Abel 184, 187, 188-189, 199, 204
Lampe Wiktor 129
Langiewicz Marian 11
Lawera Hanna 236
Ledóchowski Zygmunt 111-112
Leonardo da Vinci 96, 176
Leszczyńscy Andrzej i Rafał (fundatorzy zamku w Baranowie Sandomierskim na przełomie XVI/XVII w.) 95
Leszczyńska Stefania (Dzidka), (z d. Jasińska) 89, 194, 236
Leszczyński Tadeusz, wstawka ilustr. „Stara Stopnica” 20/21, 236
Lewonowa Halina 140
Liberek Bogdan 112, wstawka ilustr. „Politechnika Gdańska” 112/113, 201
Ludwikowie, Kazimierz i Maryla (nasi kuzyni) 193

Łabiński 75
 Łaskiewiczowie (właściciele majątku ziemskiego w Zborowie koło Solca-Zdroju) 34
 Łącka Anna 76
 Łomnicki Antoni (profesor politechniki we Lwowie) 69
 Łomonosow Michaił 212
 Łuczak Bronisława (Bronia) 193

Maciejowski Samuel 15
 Majka Władysław 67, 89
 Manblit Arnold 50
 Manblit Henryk i rodzina 49, 86
 Mandelman (obrońca sądowy) 80
 Mandelmanowie 80
 św. Marcin 37
 św. Marek 228
 Marek Joachim 98
 św. Maria Magdalena 9
 Maria Teresa (z dyn. Habsburgów, cesarzowa Austrii) 160
 Mellon A. W. 176
 Mereżkowski Dymitr (Dmitrij) S. 96
 Merrifieldowie 205
 Merrifield Bruce (prof. Uniw. Rockefellera w Nowym Jorku i laureat nagrody Nobla w 1984 r.) 198, 203, 206-209, wstawka ilustr. „Uniwersytet Rockefellera w Nowym Jorku” 208/209
 Merrifield Elizabeth (Libby, żona Bruce’a Merrifielda) 206
 Michalecka Bożena (z d. Reinstein) 89, 236
 Michalski Jan 163
 Michał Anioł 229
 Michał z Bystrzykowa (Michał Twaróg vel Paryżanin) 15
 Michałuszko (policjant) 27
 Michałuszko Stefan 27
 Mickiewicz Adam 69, 85

Minc Stefan (prof. Politechniki Gdańskiej) 113
Minczewski Jerzy 157
Missala Irena, zob. Idzikowska Irena
Morse Roger 217
Moryc 81
Moszczyński Wiesław 127

Nachtman Jan (mój ojciec, sędzia grodzki w Stopnicy) zob.
Hetnarski Jan
Nachtman Kazimierz (Kazik, mój kuzyn, ksiądz) 108, wstawka
ilustr. „Góry Świętokrzyskie” 118/119, 120, 193
Nachtman Władysław (Władeczek, mój kuzyn, ksiądz) 108
Nachtmanowie 102, 108
Nancy (techniczka) 167
Nantka-Namirski Paweł 144
Napoleon (Napoleon I Bonaparte) 106
Naruszewicz Adam 74
Natasza (techniczka) 142
Niesmiejanow Aleksandr Nikołajewicz 136-139, 141, 143
Niesmiejanowa Olga Aleksandrowna 138-139
Nehring 211
Nobel Alfred B. 207
Nowacki Witold 144
Nożycowa Maria 64, 66, 67, 80

O'Brien Richard 163-164, 170, 172-174, 180
Odyseusz (król greckiej Itaki, mitol. grec.) 192
Oleśniccy 118
Oleśnicki Mikołaj 118
Oleśnicki Zbigniew 119
Oleszczyk Zbigniew 130-131
Olszewska (właścicielka dziecięcego sanatorium w Rabce) 59
Ossendowski Ferdynand Antoni 58, 64

Ossolińska Zofia (z d. Cikowska) 9
Ossoliński Krzysztof 9, 20
Ossoliński Zbigniew 9
Otto Edward 105

Pałys Bronisław 91, 236
Pasek Jan Chryzostom 74
Paślowski Olgierd 24, 40
Pedro I (portugalski król) 233
Pełka Fulko 14
Piaseczyńscy 40
Piaseczyńska Janina 41
Piaseczyński Dzidek 115
Piaseczyński Wiesław 115, wstawka ilustr. „Góry Świętokrzyskie” 118/119, 236
Pielewin 213
Piłsudski Józef (Marszałek Polski) wstawka ilustr. „Stara Stopnica” 20/21, 42, 59
Piotrowski Waclaw 22, 79
Piskor Tadeusz 57
Piskorek Franciszek 101
Podgórski Stanisław 211
Polaczkowa Wanda (profesor Politechniki Warszawskiej) 135
de Pombal Sebastiao José (markiz) 233
Południkiewicz Weronika 146, 172
Prus Bolesław 65-66, 68
Przybylska Maria 174
Pułaski Kazimierz 166

Rakoczy Jerzy II (książę siedmiogrodzki) 9
Rajchel Bronisław 40-41, 49, 74
Reinstein Waclaw i rodzina 24, 25, 40
Reinstein (Reinstein-Michalecka) Bożena (Bożenka) 24, 25, 89

Rej Mikołaj 74
Reymont Władysław 66
Rockefeller John D. 200
Rockefeller David 200
Rokosz Ewa 236
Rola-Szustkiewicz 188
Rubens Peter P. 213
Russin Krystyna 127
Rzepowie 27
Rzeszowski Jan 116

Salomon Aleksandra 7
Schäfer Wilhelm 94
Schliemann Heinrich 166
Serafinowa Barbara 132
Sienkiewicz Henryk 65
von Sigmunt Gertruda 158
Sikora (nasz fornal w Janowie) 63
Sikorowie (rodzina) 29
Skłodowska-Curie Maria 70
Skorupka Sz. 194
Sławiński Henryk 42, 53
Słomiński (nasz sąsiad w Janowie) 63
Smithson James 176
Smuglewicz Franciszek 118
Sołomko 212
Stachura Walerian 109-110, 127, 129
Stalin Józef Wissarionowicz 187
Stanisław August Poniatowski (król pol.) 27, 74, 100, 122
Stankar Franciszek (prof. Uniwersytetu Krakowskiego i aktywista reformacji w Polsce) 9, 15
Stefan Batory (król pol.) 10
Stelmaszyńscy 22, 236

Stelmaszyński Feliks 12, 67-68, 70, 89-90, 93, 166, 236
 Sternberg Charles 161
 Suchar Alojz 185
 Sulma Tadeusz 112
 Swift Jonathan 54
 Szafer Władysław 112
 Szczepko (członek zespołu radiowego „Szczepko i Tońko”) 58
 Szerszeń Henry 187
 Szmit Barbara 91
 Szmit Jan 91, 236
 Szmit Władysław 91
 Szpigiel Józef i rodzina 42
 Szpinak Adolf 49
 Szpinakowa Felicja (Lusia, siostra mojej matki) 98, 104
 Szpinak Jerzy (Jurek) 49, 70, 76, 98, 104, 157, wstawka ilustr.
 „Pierwsze kroki w U.S.A.” 178/179, 205
 Szpinak Maria wstawka ilustr. „Pierwsze kroki w U.S.A.” 178/179
 Szwer Dawid 60, 75, 86, 99

 Świętosławski Wojciech Alojzy 129

 Tabakoff Borys 191-192
 Taylor Ryszard (Richard) 217
 św. Teresa z Ávila 233
 Ti (urzędnik piątej dyn. faraonów) 225
 Tomal (wikary stopnickiej fary) 42
 Tomas Tolek 112-113
 Tońko (członek zespołu radiowego „Szczepko i Tońko”)
 Trzebiatowska-Jeżowska Bogusława 172
 Turski Stanisław 108
 Tutenchamon (faraon) 225
 Tutmos II 226
 Tutmos III (faraon, pasierb Tutmosa II) 226, 227
 Twain Mark 168

Urbański Tadeusz 132, 134-137, 140, 142, 144, 146, 150-151,
172, 174, 188, 192
Uzarowicz Antoni 236

Van der Kerk 135
Vasco da Gama 233
Vermeer van Delft 211
Velázquez Diego 232
Waldseemüller Martin 15
Wagner (członek niemieckiej administracji w Busku-Zdroju) 74,
103
Wajda Izabela 187
Waldseem
Walewska Maria 106
Walewski Colonna 106
Walewski Ludwik i rodzina 106-107
Wanda (legendarna księżniczka krakowska, córka Kraka) 14
Warzecha Antoni (nasz sąsiad w Janowie) 99, 162
Washington George i Martha 176
Wasilewska Wanda 54
Wasylewski Stanisław 27, 73
Ważewski Tadeusz 68
Wąsowski Rafał 211
Weksler Samuel (skrzypek) 80
Wierzbicki Leopold 164
Wilczyński Franciszek (ks., hon. kanonik kielecki, mój ojciec
chrzestny) 42
Wilkinson Christopher 165, 170, 192
Wilkosz Witold 68
Wilusz Adam 12
Wiśniewski Henryk 184, 188
Wiśniowiecki Jeremi 118
Witekowa Stanisława 105

Wit Stwosz 119
Władysław Jagiełło (Władysław II Jagiełło, król pol.) 9, 118
Władysław Łokietek (Władysław I Łokietek, król pol.) 8, 121
Wodzicki Eliaszk 27, 100
Wojciechowski Jerzy 126
Wojno Tadeusz 104
Wolfram Wiesław 142
Wołoszynowski Krzysztof 42, 236
Wołoszynowski Stanisław 57-58
Wooley D. W. 207
Wrzosek (adwokat, tenant Stelmaszyńskich) 93

Zasuchowie 21
Zasucha Kazimierz (Kaziek) 21
Ząbkowa Maria 98
Zborowski Marcin 9, 15
Zebrzydowski Mikołaj 122
Zienkiewicz Henryk 229
św. Zofia 7
Zygmunt I Stary (z dyn. Jagiellonów, król pol.) 8, 10
Zyngier Józef 57, 81

Żal Bogdan 69-70
Żeromski Stefan 68, 116, 119

* * *

Wstawki Ilustracyjne

<i>Mapa orientacyjna</i>	str. 6/7 (zawarta między str. 6 i 7)
<i>Stara Stopnica</i>	20/21
<i>Nasza posiadłość janowska</i>	28/29
<i>Nowa Stopnica</i>	100/101
<i>Politechnika Gdańska</i>	112/113
<i>Góry Świętokrzyskie</i>	118/119
<i>Pierwsze kroki w U.S.A</i>	178/179
<i>Uniwersytet Rockefellera</i> <i>w Nowym Jorku</i>	208/209
<i>Emerytura</i>	218/219
<i>Nasze dalekosiężne podróże</i>	234/235

Spis treści

Wstęp	5
Z dziejów Stopnicy	7
Osobistości regionu stopnickiego	14

Pamiętniki

1. Moja wczesna młodość	19
1 a. Nasze życie towarzyskie	40
1 b. Stopnickie tragedie	43
2. Sprawy rodzinne	45
2 a. Moi rodzice	45
2 b. Rodzina mojej matki	49
2 c. Mój brat	50
3. Pierwsze lata nauki	53
4. Wojna i nauka	61
4 a. Zagłada Żydów	76
4 b. Podzwonne stopnickich Żydów	80
4 c. Stopnica po wysiedleniu Żydów	84
4 d. Ucieczka do Baranowa	92
4 e. Zniszczenie Stopnicy	97
4 f. Podzwonne mojej młodości i Starej Stopnicy	99
5. Studia	104
6. Zwiedzanie świętokrzyskiego regionu	115
6 a. Góry Świętokrzyskie	115
6 b. Południowo-zachodnie krańce regionu świętokrzyskiego	120

7. Instytuty Przemysłowo-Badawcze na Żoliborzu	123
8. Zakład Syntezy Organicznej PAN	133
9. Instytut Elementoorganicznych Związków Akademii Nauk Związku Radzieckiego w Moskwie	138
10. Instytut Chemii Organicznej PAN w Warszawie	146

Część 2

Za granicą 1969-2001

1. Pobyt w Wiedniu i podróż emigracyjna do USA	156
2. Pierwsze kroki w USA, Cornell University w Itace	161
3. Nasi milusińscy	178
4. Pierwsze bezrobocie	180
5. Center for Neurochemistry w Nowym Jorku	184
6. Chciago Medical School, śmierć matki i podróż do Polski	190
7. Drugie bezrobocie	197
8. Rockefeller University w Nowym Jorku	199
8 a. Góry Adirondack	201
8 b. Atak serca	204
8 c. Laboratorium Merrifielda	206

9. Emerytura	210
9 a. Nasz dom i jego otoczenie	210
9 b. Nasze mieszkanie	211
9 c. Nasz ogród	213
9 d. Nasze życie	216
9 e. Nasze podróże	219
Floryda	219
Teksas	222
Egipt	224
Włochy	227
Hiszpania	230
Portugalia	233
Zakończenie	235
Podziękowania	236
Bibliografia	237
Indeks nazwisk	238



CH-018863

Pamiętnik Bogumiła Hetnarskiego Biblioteka Wydz. Chemicznego
zwykłym. Przez pryzmat osobistych przeżyć i historycznych wydarzeń II wojny światowej, ról Polaków na emigracji. Zawiera też wiele ciekawych wiadomości, dotyczących dziejów i losów autora i dzieciństwa autora.



403000000035648

Przez karty pamiętnika przewijają się wspomnienia o osobach, które nie odeszli, o których zapomniano, choć przecież zasłużyli sobie na wdzięczną pamięć potomnych.

Opisy starej Stopnicy, jej zabytków, dzieje stopnickich Żydów, wojenne dramaty mieszkańców są przyczynkiem do najnowszej historii Stopnicy. Tułaczka na obczyźnie, poszukiwanie swojego miejsca i osiedlenie w jakże symbolicznej Itace, dopełniają obraz życia człowieka. Jednak dla niego miejscem szczęśliwości i spokoju pozostanie na zawsze, osadzona w pejzażu Południa Stopnica.

Redakcja

